

John
BURDETT
Tatuaż

Z angielskiego przełożył
PIOTR JANKOWSKI

WARSZAWA 2006

Izraelici, chrześcijanie i muzułmanie głoszą nieśmiertelność, lecz cześć, jaką oddają temu światu, dowodzi, że wierzą tylko w ten jeden, albowiem wszystkie inne światy w ich nieskończonej liczbie traktują jako nagrodę lub karę za niego. Pojęcie kręgu egzystencji w pewnych religiach hinduskich wydaje mi się rozsądniejsze.

Jorge Luis Borges, *Nieśmiertelny*

Może wbrew wszelkim „nowoczesnym ideom” i przesądom demokratycznego smaku zwycięstwo optymizmu, rozumność, która zdobyła władzę, praktyczny i teoretyczny utylitaryzm, tożsamy z demokracją, z którą jest współczesny — stanowią objawy gasnącej siły, nadchodzącej starości, fizjologicznego znużenia? (...) Co, z perspektywy życia, oznacza moralność? (...) Wszystko, co zwiemy dziś kulturą, wykształceniem, cywilizacją, będzie musiało stanąć kiedyś przed nieomylnym sędzią Dionizosem.

Friedrich Nietzsche, *Narodziny tragedii* *

* F. Nietzsche, *Narodziny tragedii albo Grecy i pesymizm*, przełożył Bogdan Baran.



Old Mans Club

1

— Uśmiercanie klientów po prostu psuje nam interes.

Głos Nong, mojej matki, wyraża rozczarowanie, jakie czujemy wszyscy w związku z fatalnym postępkiem naszej gwiazdy. Czy nic się nie da zrobić? Czy trzeba będzie zwolnić naszą kochaną Chanyę? Taką decyzję może podjąć tylko właściciel większości udziałów w Old Man's Club, pułkownik Vikorn, który już tutaj jedzie swoim bentleyem.

— To prawda — przytakuję. Podobnie jak matka, nie przestaję zerkać w stronę pustego stołka barowego, na którym leży kusa srebrzysta sukienka Chanyi (ledwie tyle jej wabiu, żeby zakrywał sutki i pośladki); leży i ocieka. Właściciel ociekania było niewiele i już prawie ustało (rdzawa plama na podłodze czernieje w miarę wysychania), ale i tak w ciągu dziesięciu lat mojej pracy detektywa w Królewskiej Policji Tajskiej nie widziałem odzienia tak nasiąkniętego krwią. Biustonosz Chanyi, też obrzydliwie zachlapany, leży na schodach, a majtki — ostatnia część jej stroju — na podłodze pod drzwiami pokoju na piętrze, gdzie dziewczyna — co jest dość ekscentryczne nawet u tajskiej kurewki — schroniła się z fajką opium.

— I nic zupełnie nie powiedziała? Nie wyjaśniła dlaczego?

— Nie, przecież mówiłam. Wpadła tu jak bomba, roz-

trzęsiona, z fajką w ręce, wybałuszyła na mnie oczy i mówi: „Załatwiłam go”. Potem zdarła z siebie sukienkę i pobięła na górę. Na szczęście w barze było tylko kilku *farangów*, a dziewczyny zachowały się fantastycznie. Powiedziały tylko: „Ach ta Chanya, czasami trochę jej odbija”, a potem grzecznie ich wyprosiły. Ja oczywiście musiałam grać opanowaną i kiedy wreszcie poszłam do jej pokoju, była już półprzytomna.

— Powiedziała coś wtedy?

— Po opium po prostu bredziła. Jak zaczęła rozmawiać z Buddą, wyszłam i zadzwoniłam do ciebie i do pułkownika. Na tym etapie jeszcze nie wiedziałam, czy rzeczywiście go zabiła, czy tylko jej odbija *po yaa baa*.

A jednak załatwiła go na cacy. Poszedłem do hotelu tego *faranga*, kilka ulic w bok od Soi Kauboi, błysnąłem odznaką i dali mi klucz do jego pokoju. Leżał tam — wielki, nagi, muskularny amerykański *farang*, około trzydziestki, bez penisa, za to cały we krwi. Rana zaczynała się w dole podbrzusza, a kończyła pod zębami. Chanya, na co dzień bardzo schludna i uczciwa Tajka, położyła jego penisa na nocnej szafce. Obok stała pojedyncza róża w plastikowym wazoniku.

Pozostawało mi tylko zabezpieczyć pokój na potrzeby ekipy dochodzeniowej. Wręczyłem jeszcze recepcjoniście solidną łapówkę, co go właściwie zobowiązało do mówienia tego, co mu każe mówić (w Okręgu 8. pod rządami pułkownika Vikorna to standardowa procedura), a potem już tylko czekałem na dalsze rozkazy. Vikorn oczywiście zabawiał się w klubach, otoczony nagimi młodymi kobietami, które adorowały go lub dobrze udawały, że to robią, więc zupełnie nie był w nastroju, żeby się udać na miejsce zbrodni, dopóki nie przebiłem się do jego pijanego mózgu z informacją, że sprawa nie dotyczy śledztwa jako takiego, lecz znacznie trudniejszego aspektu dochodzenia, nazywanego po prostu „kryciem”. Nawet wtedy nie był jeszcze skłonny się ruszyć, lecz w końcu pojął, że chodzi o Chanyę (sprawcę, a nie ofiarę).

— Skąd ona, u diabła, wytrzasnęła opium? — dziwi się moja matka. — W Krung Thep nie ma opium, od kiedy byłam nastolatką.

Widzę w jej oczach, że myśli z rozrzewnieniem o wojnie wietnamskiej, gdy sama pracowała w Bangkoku, gdzie amerykańscy żołnierze przywozili kuleczki opium ze strefy frontu (jednym z nich był mój prawie anonimowy ojciec, o którym powiem później). Po opium klient prostytutki staje się właściwie impotentem — co znacznie zmniejsza jego wymagania — i jest mniej skłonny do dyskusji na temat wysokości wynagrodzenia. Nong i jej koleżanki okazywały szczególne zainteresowanie każdym amerykańskim wojakiem, który pochwalił się, że ma w hotelu trochę opium. Oczywiście jako praktykujące buddystki same nie używały tego towaru, lecz zachęcały takiego frajera, żeby się naćpał do nieprzytomności, po czym inkasowały z jego portfela dokładnie umówioną sumę plus raczej hojny napiwek — za ryzyko związane z obsługiwaniem narkomana, plus dodatek na taksówkę — i wracały do pracy. Dla Nong uczciwość zawsze była najważniejsza, dlatego właśnie tak się zdenerwowała Chanyą.

Oboje wiemy, że limuzyna pułkownika już podjechała, bo dobiegają nas dźwięki jego cholernej ulubionej muzyki, czyli *Walkirii* Wagnera. Podchodzę do wejścia i patrzę, jak kierowca otwiera tylne drzwiczki i w pewnym sensie wyciąga Vikorna z auta (piękna kaszmirowa marynarka od Zegny, płowej barwy i nieco pomięta, spodnie od Monettiego z Via Condotti w Rzymie i nieodłączne ciemne okulary w stylu *Blues Brothers*).

Kierowca wlecze się w moją stronę z Vikornem uwieszonym na jego barkach.

— Przecież jest sobota, do kurwy nędzy — zrzędzi, za bijając mnie wzrokiem, no bo to wszystko moja wina. (W Okręgu 8. staramy się w soboty nie prowadzić dochodzeń nawet w najcięższych sprawach). Ścieżka buddyjska przypo-

mina chrześcijańską wtedy, gdy nagle zwała się człowiekowi na głowę karma innych.

— Wiem — odpowiadam. Usuwam się z przejścia i Vikorn, który zsunął sobie okulary na czoło, sztywnie choć nieco krzywo, też gromi mnie swym mętym spojrzeniem.

Na końcu sali są intymne łóżka z wyściełanymi ławeczkami i kierowca sadza tam Vikorna, a ja przynoszę z lodówki butelkę wody mineralnej, a mój pułkownik opróżnia ją kilkoma haustami. Spostrzegam z ulgą, że jego szczere oczy, którymi wcale nie mruga, zmieniają się znów w sprytne ślepek gryzonia. Opowiadam mu ponownie całą historię, przerywaną reklamowymi wstawkami matki („Zarabiamy na niej w ciągu miesiąca więcej niż na całej reszcie dziewcząt razem wziętych”) i widzę, że szykuje już sobie drogę odwrotu, na wypadek gdyby sprawy przybrały zły obrót.

Po dziesięciu minutach jest już prawie trzeźwy i każe kierowcy zniknąć razem z limuzyną (woli być tutaj incognito). Potem wbija we mnie wzrok.

— Znajdź jakiś tusz do pieczętek — mówi. — Spiszemy jej oświadczenie.

Biorę poduszczkę do tuszu, której używamy z naszą firmową pieczętką („The Old Man's Club — Rods of Iron”, czyli drągi z żelaza) i kilka kartek z faksu, który Nong zainstalowała dla tych nielicznych klientów z zagranicy niekorzystających z poczty elektronicznej (chcieliśmy mieć domenę o nazwie dziwka.com albo jakąś podobną, ale wszystkie już były zajęte. Domena kurwy.org jest oczywiście zajęta od prapoczątków cyberprzestrzeni, więc musieliśmy poprzestać na skrócie literowym — omcroi.com), po czym idę za pułkownikiem przez bar. Spostrzega sukienkę na stołku i rzuca mi pytające spojrzenie.

— Versace.

— Podróża czy firmowa?

Podnoszę sukienkę ostrożnie, czując ciężar krwi, którą nasiąknęła.

— Trudno powiedzieć.

Mruczy coś pod nosem, trochę w stylu komisarza Maigretta, jakby rozmyślał nad poszlaką zbyt dla mnie trudną do pojęcia. Wchodzimy po schodach, mijając bez słowa komentara biustonosz. Przed drzwiami pokoju podnoszę z podłogi majtki (lekkie jak piórko i bez śladu krwi — raczej seks w pigułce niż bielizna; z tyłu to tylko tasiemka rozdzielająca pośladki). Wieszam je na luźnym kablu elektrycznym. Chan-ya tak się naćpała, że nie zamknęła drzwi, i gdy wchodzimy, wita nas z szerokim uśmiechem na swych niesamowicie pięknych ustach, a potem powraca do którejś z niebiańskich krain Buddy, gdzie znalazła schronienie.

Jest całkiem naga; wyciągnęła się na łóżku z podkurczonymi nogami, jej pełne, twarde piersi celują w sufit (nad lewym sutkiem przeskakuje piękny niebieski delfin), a długie czarne włosy lśnią na bieli poduszki jak świeże pociągnięcie pędzla. Włosy łonowe ogoliła, zostawiając tylko cienką kreskę na środku, jakby drogowskaz ku łechtaczce dla pijanych i niezdarnych *farangów*. Obok niej leży fajka do opium, klasyczna, półtorametrowa rura z bambusa z pojemnikiem w dwóch trzecich długości. Pułkownik pociąga nosem i uśmiecha się — słodki aromat palonego maku wywołuje w nim, podobnie jak u mojej matki, przyjemne wspomnienia, chociaż zupełnie innego rodzaju. (Handlował opium w Laosie w złotej epoce bombowców B-52). Pokój jest mały, dlatego gdy przynoszę krzesła i stawiam je po obu stronach łóżka, ledwie się tam mieścimy. Bogini seksu zaczyna pochrapywać, a Vikorn dyktuje mi jej oświadczenie:

yfarang był już pijany, gdy przyszedł do mojego klubu. Przywołał mnie do stolika i chciał postawić coś do picia. Poprosiłam o colę, a on sam wypił... hm, zastanówmy się... prawie całą butelkę whisky Mekong. Chyba niezbyt dobrze znosił alkohol, bo był jakiś zdezorientowany i rozkojarzony. Potem chciał zapłacić grzywnę barową i zabrać mnie do swojego hotelu, ale powiedziałam mu, że jest zbyt pijany.

Wówczas mój *papasan*, niejaki Sonchai Jitpleecheep, poprosił mnie, żebym jednak poszła *zfarangiem*, bym potraktowała to jako przysługę, był on bowiem mężczyzną barczystym i silnym, i wyglądało na to, że jeśli się nie zgodzę, może zacząć rozrabiać".

— Wielkie dzięki — wtrącam.

— „Uderzyło mnie, że wyrażał się bardzo negatywnie o kobietach, szczególnie o Amerykankach, które nazywał »głupimi cipami«. Wyglądał na człowieka, który ma wiele problemów. Wydaje mi się, że musiał przeżyć jakiś zawód miłosny i skutkiem tego było głębokie rozgoryczenie w stosunku do kobiet w ogóle, choć wciąż powtarzał, że lubi Azjatki, które są jego zdaniem o wiele miłsze i łagodniejsze od kobiet *farangów*, a także bardziej kobiece. Gdy znaleźliśmy się pod drzwiami jego pokoju, próbowałam mu wytłumaczyć, że jednak nie będzie mógł się kochać, gdyż jest zbyt pijany, i że może będzie lepiej, jeśli wróć do klubu. Za proponowałam nawet, że zwrócę mu grzywnę barową, lecz to go tylko rozzłościło. Powiedział, że może się pieprzyć całą noc, i wepchnął mnie do środka. Kazał mi się rozebrać i posłuchałam go. Zaczęłam się bardzo bać, bo zobaczyłam na jego nocnej szafce wielki nóż...".

— Czyżbyśmy mieli narzędzie zbrodni?

— To rzeczywiście duży nóż, wygląda jak wojskowy, solidna stal, trzydziestocentymetrowe ostrze. Zostawiłem go na razie w jego pokoju.

— „...który wyglądał jak wojskowy. *Farang* zaczął mi mówić, co zrobi z moim ciałem, jeśli nie zaspokoję jego pożądania. Rozebrał się i pchnął mnie na łóżko, lecz nie mógł osiągnąć erekcji. Zaczął się masturbować, żeby zesztynieć, a potem przewrócił mnie na brzuch. Wówczas zrozumiałam, że chce uprawiać ze mną seks analny. Zaczęłam go błagać, żeby tego nie robił, bo nigdy tego nie próbowałam, a jego członek był już tak wielki, że bałam się, że mnie uszkodzi. On jednak nie ustąpił i zaczął to robić bez prezerwatywy ani

lubrykantu, a ból był tak straszny, że zaczęłam krzyczeć. Jego to bardzo rozgniewało i chciał mnie uciszyć poduszką. Wtedy zupełnie straciłam panowanie nad sobą, gdyż byłam już pewna, że mnie zabije. Na szczęście udało mi się dosięgnąć noża, którym zamachnęłam się do tyłu, gdy on jeszcze był we mnie. Przypadkowo okaleczyłam jego penisa. *Farang* doznał szoku i wstał, nie wierząc własnym oczom. Wpatrywał się w swojego penisa, który leżał na podłodze przy łóżku (wyśliznął się ze mnie i widocznie odpadł całkiem, gdy mężczyzna wstał). Potem zaryczał jak dzika bestia i rzucił się na mnie. Przekreśliłam się na plecy, a na nieszczęście wciąż trzymałam oburącz nóż, w pozycji pionowej i gdy napastnik opadł na mnie, nóż wbił się w jego podbrzusze. Zaczął się rzucać, co jeszcze powiększyło ranę. Robiłam, co mogłam, żeby uratować mu życie, ale udało mi się go z siebie zepchnąć dopiero po pewnym czasie, taki był wielki i ciężki. Byłam w takim szoku, że nie zadzwoniłam na policję od razu, tylko dopiero wtedy, gdy się zorientowałam, że mężczyzna nie żyje. Mogłam jedynie okazać mu tyle szacunku, że podniosłam penisa z podłogi i położyłam go na szafce. Moja sukienka i biustonosz leżały na łóżku, całe nasiąknięte krwią, ale musiałam je włożyć, żeby wyjść z hotelu. Kiedy wróciłam do baru, zdjęłam ubranie i pobiegłam do pokoju, gdzie zażyłam mocny środek odurzający i straciłam przytomność.

Powyższe oświadczenie zostało spisane przez pułkownika Vikorna z Okręgu 8. Królewskiej Policji Tajskiej oraz przez detektywa Jitpleecheepa, gdy byłam w pełni władz umysłowych. Według mojej wiedzy i najlepszych intencji jest ono zgodne z prawdą, co poświadczam odciskiem mojego prawego kciuka".

Otwieram poduszeczkę z tuszem i przykładam do niej prawy kciuk Chanyi, a potem odbijam go u dołu kartki. Vikorn, wytrawny fachowiec, tak zgrabnie skonstruował zeznanie, że zmieściło się na jednej stronie.

— Czy o czymś zapomniałem? — pyta.

— Nie — odpowiadam. Jestem pod wielkim wrażeniem. Ten tekst to mistrzowska mozaika kilku standardowych historii znanych nam z branży, splecionych z sobą niezwykle zręcznie. Jeszcze bardziej niezwykły—jak na gliniarza, który tak lekceważąco traktuje swą wiedzę prawniczą — jest sposób, w jaki skonstruował fundament dla wiarygodnej obrony w sprawie o zabójstwo czy nawet morderstwo: dziewczyna posłużyła się siłą tylko w obronie własnego życia, a kiedy zobaczyła, jak ciężko *farang* jest ranny, próbowała bezskutecznie go uratować; następnie okazała smutek i szacunek, pieczołowicie umieszczając odcięty narząd na bardziej honorowym miejscu. Typowe wypowiedzi nieżyjącego *faranga*, zięjące nienawiścią do płci przeciwnej z powodu złych doświadczeń w relacjach z jego rodaczkami, wyjaśniały natomiast przyczynę jego agresji i upodobań seksualnych.

— Myślę, że zadbał pan o wszystko.

— To dobrze. Jak się obudzi, daj jej kopię i dopilnuj, żeby dobrze zapamiętała tekst. Jeśli chciałaby coś zmienić, powiedz jej, że to niemożliwe.

— Czy chce pan obejrzeć miejsce zbrodni?

— Niekoniecznie. Zresztą to nie była zbrodnia, więc nie uprzedzaj wymiaru sprawiedliwości i w ogóle nie używaj tego słowa. Obrona konieczna jest całkowicie legalna, szczególnie w sobotnią noc w Krung Thep.

— Moim zdaniem powinien pan tam pójść — upieram się. Pułkownik burczy z irytacją, lecz w końcu wstaje, wskazując podbródkiem mniej więcej w stronę ulicy.

2

Recepcjonista, który ociekał już służalczą wdzięcznością za pięć tysięcy bahtów, które dostał ode mnie przed godziną, na widok Vikorna zaczyna się jąkać. Pułkownik jest w tej dzielnicy kimś w rodzaju cesarza. Włącza teraz swych pięć tysięcy kilowatów osobistego uroku i daje do zrozumienia, że osoby, które w takich momentach potrafią trzymać głowę na kłódce, czeka naprawdę obiecująca przyszłość. (Pozytywny bełkot z ust recepcjonisty). Biorę ponownie klucz i ruszamy na górę.

Smród, który nieodmiennie towarzyszy fachowej amputacji przyrodzenia, od poprzedniej mojej bytności jeszcze się nasilił. Włączam klimatyzację, która jedynie chłodzi odór, ale nie zmniejsza jego mocy. Widzę, że w pułkowniku narasta wściekłość na mnie za to, że go tutaj zaciągnąłem.

— Niech pan spojrzy — mówię, wyciągając paszport *faranga* z szuflady, gdzie go wcześniej znalazłem. Nie wyznaję się w naszych okultystycznych praktykach imigracyjnych, lecz niepokoi mnie rodzaj wizy Amerykanina. Paszport należy do niejakiego Mitcha Turnera.

Pułkownik też się zmartwił, aż pobladł na widok tej wizy.

— Czemu mi wcześniej o tym nie powiedziałeś? — pyta.

— Bo nie wiedziałem, czy to ważne, czy nie. Nie wiedziałem, co to jest. I nadal nie mam pojęcia.

— To jego wiza.

— Tyle wiem.

— Ważna na dwa lata z prawem wielokrotnego przekraczania granicy.

— I co?

— Nigdy nie dają wizy na dwa lata. Nigdy. A już na pewno nie wielokrotnej. Poza pewnymi przypadkami.

— Tak właśnie myślałem.

Wiza pogłębia jeszcze nasze poczucie tej tragedii, nagłej utraty dość młodego życia tak daleko od domu.

— CIA czy FBI?

— CIA. Po jedenastym września wpuściliśmy ich ze dwie setki. Chcieli mieć oko na muzułmanów na południu, przy granicy z Malezją. Są upierdliwi, bo nie mówią po tajsku i potrzebują tłumaczy. — Spogląda na zwłoki. — Wyobraź sobie, jak *taki farang*, metr osiemdziesiąt wzrostu, napakowany, w towarzystwie tłumacza, próbuje się wtopić w tłum naszych małych, brązowych ludzików w Hat Yai w piątkowy wieczór. Niech to szlag. To chyba nie Al-Kaida, co?

— Przecież mamy już zeznanie sprawczyń.

— Można ją przekonać, żeby je wycofała. Nie rzuciła ci się dzisiaj w oczy jakaś długa czarna broda?

Czy on mówi poważnie? Mój mózdzek o słabutkiej zdolności pojmowania nie zawsze nadaża za supermózgiem pułkownika.

— Nie wiem, w czym by to nam miało pomóc — mówię.

— Nie wiesz? Facet jest z CIA; rzuca się na nas z pazurami. Będą mi włożyć na łeb, nie wspominając już o tobie. Zażądają, żeby ją zbadał ich lekarz, i jeśli nie znajdą śladów przemocy, będziemy udupieni. Stracimy naszą najbardziej produktywną pracownicę, może nawet trzeba będzie na jakiś czas zamknąć klub.

— A co to pomoże, jeśli winę zrzucimy na Al-Kaidę?

— Oni właśnie tego by chcieli. Oskarżają ich o wszystko, łącznie z kiepską pogodą. Na hasło Al-Kaida będą nam jedli z ręki.

Wymieniamy spojrzenia. Nie, to beznadziejny pomysł. Sprawa po prostu nie wygląda na kastrację i morderstwo dokonane przez terrorystów. Więc co zrobimy z Chanya? Nie zbadałem jej miejsc intymnych, lecz trudno było uwierzyć, że jakiś mężczyzna mógłby ją do czegoś zmusić. Poza protokołem powiem, że jest sprężysta jak wilczyca i równie jak ona dzika, gdy znajdzie się w niebezpieczeństwie. Widzę po twarzy Vikorna, że podziela moje wątpliwości. Jakakolwiek jest prawda o wydarzeniach dzisiejszego wieczoru w tym pokoju, zeznanie Chanyi, którego jeszcze nawet nie przeczytała, nie pomoże nam raczej spaść na cztery łapy. Patrzymy teraz obaj na twarz Amerykanina.

— Raczej brzydki, nie sądzisz? Nawet jak na *faranga* — mówi pułkownik.

Pomyślałem to samo, lecz brak mi pozbawionej zahamowań ekspresji Vikorna. Facet ma nienormalnie krótką szyję, niewiele węższą od jego głowy, podbródek w zaniku, zacięte wąskie usta. Może dziewczyna zabiła go ze względów estetycznych?

Spojrzenie pułkownika zatrzymuje się na róży w plastikowym wazoniku. Wiem, co pomyślał.

— Nie pasuje do oświadczenia, co?

Vikorn przekrzywia głowę na bok.

— Nie, ale zostawmy ją. Ta historyjka musi działać sama, nieruszanie dowodów to podstawa dobrego krycia. Cała sztuka polega na interpretacji.

Ciężkie westchnienie.

— W tropikach zwłoki szybko się rozkładają — pod suwam.

— Powinno się je jak najszybciej skremować ze względów sanitarnych.

— Po spisaniu zeznania sprawczyni i rozwiązaniu tym

samym sprawy, zważywszy na fakt, że ofiara nie miała przy sobie dokumentów, będziemy musieli zgubić jej paszport.

— Doskonale — mówi Vikorn. — Zostawiam to tobie.

Oddajemy cześć ofierze, rozglądając się jeszcze raz po pokoju.

— Niech pan spojrzy, kabel od telefonu jest rozciągnięty. Aparat stoi w rogu łóżka. Próbował telefonować po pomoc?

— Sprawdź w recepcji.

— A co mam z tym zrobić? — Pokazuję.

Jako wytrawni praktycy nie zajmujemy się zanedo narzędziem zbrodni, które leży na środku łóżka, dokładnie tam, gdzie powinno, jeżeli Chanya zabiła go tak, jak to opisał Vikorn. Uznaję to za pomyślny znak i wyraźny dowód, że Budda patrzy przychylnie na nasze starania. Jednak Vikorn drapie się po głowie.

— Zatrzymaj go — mówi. — Przecież to zrobiła, więc na nożu będą jej odciski. Nic innego na nim nie znajdą poza odciskami i krwią, co będzie świadczyć, że jej zeznanie jest zgodne z prawdą. Oddamy im nóż w ramach współpracy. — Wzdycha. — Niech ona zniknie na jakiś czas. Działała w obronie własnej, więc nie możemy jej zatrzymać. Powiedz, żeby zmieniła fryzurę.

— A nos?

— Bez przesady. Dla nich i tak wszyscy wyglądamy tak samo. — Chwila milczenia. — No dobra, wracamy do klubu. Musisz mi opowiedzieć, co się naprawdę zdarzyło, żebym mógł nas wszystkich odpowiednio zabezpieczyć.

3

Czytelnicy mojej poprzedniej opowieści (transseksualna — z mężczyzny w kobietę — Tajka morduje czarnego Amerykanina, sierżanta marines, za pomocą oszołomionych narkotykiem węży; typowa sprawa z Okręgu 8.), zapewne pamiętają, że talent do interesów mojej matki zaowocował pomysłem wykorzystania ukrytych możliwości biznesowych viagry poprzez założenie Old Man's Club. Pomysł, który wciąż jeszcze budzi we mnie synowski podziw, polegał na tym, żeby zbombardować wszystkich niestetryczalnych jeszcze mężczyzn Zachodu powyżej pięćdziesiątki (najlepiej tych najbardziej wkurzonych możliwościami, jakie pozostawiła im do wyboru postindustrialna utopia) elektronicznymi zaproszeniami do bzykania ile dusza zapragnie, i to w znakomitej atmosferze, specjalnie stworzonej dla ich pokolenia. Nasze ściany obwieszono są zdjęciami Elvisa, Sinatry, Monroe, Mamas and Papas, Grateful Dead, a nawet wczesnych Beatlesów, Rolling Stonesów i Creamów, a muzyka wydobywa się z atrapy szafy grającej (chrom i ciemny błękit z milionem lśniących gwiazdek). Dźwięk tak naprawdę pochodzi z twardego dysku podłączonego do jednego z najlepszych systemów dźwiękowych, jakie można kupić za pieniądze.

Dla mojej matki viagra stała się rozwiązaniem pewnego

problemu w zarządzaniu, który nęka tę branżę od samego jej zarania: jak precyzyjnie przewidzieć czas męskiej erekcji. Według jej biznesplanu starszy mężczyzna miał obejrzeć dziewczyny i wybrać tę, która mu się spodoba, a potem zamówić ją telefonicznie ze swego pokoju hotelowego zaraz po połknięciu viagry. Ponieważ lek ten osiąga pełną moc działania niemal dokładnie godzinę po zażyciu, stworzony przez naturę problem logistyczny został rozwiązany. Teraz można było określić z dokładnością niemal co do minuty, za pomocą prostego programu komputerowego, kiedy dana dziewczyna jest zajęta. (W okresie szczytowego entuzjazmu zamierzaliśmy nawet wprowadzić specjalne oprogramowanie do zarządzania projektem, w rezultacie jednak do tego nie doszło). I wiecie co? Działo to rewelacyjnie, jeśli nie liczyć jednej drobnej wady, której nikt z nas, nawet Nong, nie mógł przewidzieć.

Nie wpadliśmy mianowicie na to, że nasi sześćdziesięcio-, siedemdziesięcio-, osiemdziesięcio-, a nawet dziewięćdziesięciolatkowie nie są bynajmniej takimi spokojnymi, łagodnymi, stetryczalnymi dziadkami, do jakich przywykliśmy w krajach rozwijających się. Nie, moi drodzy, to były stare rozrabiaki, rockmani i palacze trawki, emerytowani hipisi z Freak Street w Katmandu i z San Francisco (w czasach, kiedy mieszkała tam sama śmietanka), z Marrakeszu i Goi, zanim stały się popularne, z Phuket, gdy jeszcze mieszkało się w szalasach, ze świata, który był młody, w którym LSD, magiczne grzybki i tysiąc odmian marihuany rosły na drzewach. Chuderlawi współcześni Burroughsa i Kerouaca, Ginsberga, Keseya i Jaggera (nie wspominając o Keicie Richardsie), otóż wszystkie te chłopaki, choć już trzęsące się ze starości, złożyły kiedyś plemienną przysięgę, że nigdy nie wezmą zbyt małej dawki. Żeby poprawić funkcjonowanie, powinno się brać pół tabletki, ale czy któryś by tego posłuchał? Diabła tam. Niektórzy łykali po trzy albo i cztery. Zawaha dostało tylko kilku, pomimo wyraźnego ostrzeżenia

na opakowaniu, a z tego ledwie trzech faktycznie zeszło z tego świata. (W tych dramatycznych chwilach zarekwirowany Vikornowi Bentley służył nam czasem jako karetka pogotowia, pomimo okraszonych przekleństwami protestów krewkiego kierowcy, który uważał, że ratowanie życia starym *farangom* przynosi niewiele buddyjskiej zasługi). Reszta jak jeden mąż głosiła, że znaleźli się w niebie, nie musząc wcale w tym celu umierać.

I co w tym wszystkim złego? Powiem wam. Jeśli weźmiecie całą viagrę albo więcej, możecie się, panowie, pożegnać ze swą naturalną sflaczałością co najmniej na osiem godzin. (Na cały dzień zapomnijcie też o oddawaniu moczu; pojawia się natomiast pytanie, jak w ogóle wypełniać codzienne obowiązki z kijem od miotły między nogami. Wielu odczuwa tęsknotę za obwisłością. *Licentia poetica*: nie da się wtedy robić nic innego poza bzykaniem, czy chce się tego, czy nie).

Nasi starszacy zameczali dziewczyny, aż te zaczęły całymi stadami porzucać pracę. Matka obiecała każdemu pełną satysfakcję i za żadne skarby nie chciała ich rozczarować, toteż ostatnią deską ratunku stał się dla nas system sztafetowy. Jeden taki napalony dziadek potrafił zmienić pięć, sześć zdrowych młodych kobiet, zanim moc specyfiku osłabła i pozwolił się odstawić do hotelu w stanie, który najlepiej można określić mianem ekstatycznej katatonii (lub też radosnego *rigor mortis*). Stopa zysku zrobiła się cienka jak opłatek.

Coś trzeba było z tym zrobić. Na nadzwyczajnym zebraniu zarządu postanowiliśmy usunąć z reklam słowa „satysfakcja gwarantowana” i poszerzyć rynek. Preferowani byli młodszy mężczyźni, cierpiący na impotencję spowodowaną przepracowaniem i stresem. Nadal ściągali do nas najchętniej emerytowani imprezowicze z Zachodu, lecz jednocześnie zaczęła nas nawiedzać bardziej tradycyjna klientela (imprezowicze z Zachodu, lecz bez emerytury, mówiąc ogólnie). Straciliśmy w ten sposób naszą rynkową niszę. Przestaliśmy się tak

ae mnisi
gaśnie,

H wyob-
ych niewol-
yanej przez
inie media
liną rozpacz,

—

do ochrony przed tymi, którym złamała serce. Krótko mówiąc, Chanya uratowała nasze przedsięwzięcie i nie opuścimy jej teraz w godzinie próby. Każdy geniusz ma swoją ciemną stronę. W naszym niezatomizowanym jeszcze społeczeństwie osobista lojalność wciąż ma znaczenie; dlatego właśnie nawet przebiegły pułkownik Vikorn nie wahał się zrezygnować z sobotniej nocy w mieście (które, jak mówi piosenka, z dumnego robi pokornego — a czasem martwego), gdy zorientował się, że naszej supergwieździe coś zagraża. Opowiem teraz, co zdarzyło się naprawdę.

Spostrzegłem go, gdy tylko wszedł. Akurat mamy wakat na stanowisku *mamasan* (dosyć żałosna to sytuacja), co oznacza, że jako młodszy udziałowiec będę musiał przyjąć rolę *papasan*, aż do momentu gdy moja nieco zanadto wymagająca matka znajdzie kogoś nowego. (Jak wszystkie byłe dziwki odczuwa uporczywą awersję do wszystkich *mamasan* i nigdy nie może trafić na tę najlepszą). Podejrzewam ją o manipulację, chce mnie zatrzymać jako *papasan*. Opisałem już *twarzfaranga*, która wyglądała niewiele lepiej, gdy jeszcze zamieszkiwał ją duch. Nieładna plastyka plus arogancja mięśniowca, dźwigającego żelastwo w siłowni. Dziewczynom też się nie spodobał i trzymały się od niego z daleka; siedział więc sam przy stoliku w kącie i aż w nim kipiało, gdy widział, że wolą od niego nawet tych starszych i mniej umięśnionych. Pił umiarkowanie (piwo, nie whisky, ale nie mogłem przecież psuć genialnej historyjki Vikorna, czepiając się słówek). Mierziło mnie, że muszę trwonić porcelanowy talent Chanyi dla tego glinianego naczynia i w rzeczy samej chciałem tylko, żeby go omotała i wyprowadziła z baru. Bardzo się z Chanya lubimy i rozumiemy się doskonale. Wystarczyło jedno moje spojrzenie, by połapała się, o co chodzi. W każdym razie (ten moment opowieści wymaga aptekarskiej dokładności) wydaje mi się, że to właśnie moje spojrzenie posłało ją do

jego stolika. Po jakiejś minucie złe, wąskie usta Amerykanina rozciągnęły się w coś w rodzaju uśmiechu, jej dłoń powędrowała leniwie po jego kamiennym udzie, a gdy się pochyliła, by wypić łyk „damskiego drinka” (margarita z dodatkową tequilą), on skoncentrował się na jej piersiach. Kolejny hardy mężczyzna poddany procesowi upokorzenia.

Był typem, którego libido przed przełączeniem się na pełną czujność wymaga wpierw sekretne napięcia. Chanya dostosowała się do tego w mig i rozmawiali teraz konspiracyjnym szeptem (i w napięciu), niemal twarz przy twarzy. A co gorsza z atrapy grającej szafy wydobywało się *Beautiful Tonight* Erica Claptona. Ta nieodparcie romantyczna piosenka przepełniła czarę. Ręka osiłka znalazła drogę do najbliższego uda Chanyi. Sprawdziłem czas na zegarze faksu. Nie upłynęło nawet pięć minut i Żelazny Człowiek się rozpuścił — to swoisty rekord, nawet w przypadku Chanyi. Postanowiłem jej pomóc, puszczając Claptona ponownie — a może tylko byłem ciekaw efektu tej powtórki? W kącikach jego niesamowicie błękitnych oczu zaszklily się łzy, przełknął z wysiłkiem i widać było, nawet z odległości dziesięciu metrów, jak jego brzydkie usta powtarzają słowa: *I'm so damn lonely*, a potem niebywale wręcz niedorzeczne w tej sytuacji: *You look beautiful tonight, too*.

— Dziękuję — szepce Chanya, skromnie spuszczając oczy.

W tym momencie wszedł sprzedawca róż. Donkiszoteria i odwaga tego człowieka i jego kolegów (sprzedawcy orzeszków i chłopaka z zapalniczkami) jest doprawdy godna podziwu. Bary w zasadzie ich tolerują, pod warunkiem że są dyskretni i nie marudzą zbyt długo. Czy można sobie wyobrazić większego optymistę od kogoś, kto poświęcił się sprzedawaniu kwiatów klientom burdeli? Nigdy nie widziałem, żeby ten chudy jak patyk mężczyzna w średnim wieku — z twarzą zniekształconą guzem, bo nie stać go na operację — sprzedał choć jeden kwiat. Żelazny Człowiek

wezwał go nieśmiałym gestem, kupił różę, za którą przepłacił, i wręczył ją Chanyi.

— Chyba powinienem zapłacić twoją grzywnę barową, co? — zapytał.

Przyjęła różę, udając zaskoczenie zmieszane z wdzięcznością (dziewczyny odgrywają Orientalną Pokorę na zawołanie).

— Proszę bardzo, jeśli chcesz.

Według zegara na faksie minęło siedem minut i facet już był jej. W odpowiedzi wyjął z portfela banknot pięćsetbah-towy i podał dziewczynie. Ona złożyła dłonie we wdzięcznym *wai*, po czym wstała, żeby przekazać pieniądze mnie, a ja zanotowałem, teraz pamiętam, jej drugie zaliczenie tego wieczoru. W końcu to była Chanya, w dodatku mieliśmy sobotnią noc. Poprzedni klient był młodziakiem i najwyraźniej zabrakło mu wigoru, bo wróciła z jego hotelu zaledwie po czterdziestu minutach. Niezwykle w tej transakcji z Żelaznym Człowiekiem było tylko jedno. Gdy podawała mi pieniądze i odbierała kwitek, nie patrzyła mi w oczy. Zazwyczaj, dziewięć razy na dziesięć, puszcza do mnie oko albo uśmiecha się dokładnie w chwili, kiedy jest odwrócona plecami do klienta. Minutę później wyszli. Jakoś nie wpadłem na to, żeby obawiać się o jej bezpieczeństwo; przecież widziałem, że już go ujarzmiła — i przecież to była ona, Chanya.

— Tak to dokładnie przebiegało i nic więcej nie mam do dodania — tłumaczę Vikornowi i matce, gdy wróciliśmy już do klubu. Jest pierwsza w nocy, ale żadne z nas nie ma ochoty pójść spać.

— Nie spojrziała ci w oczy, podając pieniądze? To dziwne. Obserwowałam ją, wiem, że cię lubi i zawsze puszcza do ciebie oko. Chyba trochę na ciebie leci. — Moja matka wyłowiła ten dość kobiecy szczegół. Vikorn natomiast po wrócił wyraźnie do udawania Maigreta, przebywając gdzieś na poziomach strategii dla nas niedosiężnej. Czekaliśmy z Nong, aż się odezwie. W końcu potarł podbródek.

— Dziś już nic więcej nie zdziałamy — powiedział. — Jutro przyślemy ekipę kryminalistyczną, niech zrobią zdjęcia, ale bez przesadnej staranności. Sonchai załatwi usunięcie ciała. Musi uzyskać zezwolenie na natychmiastową kremację od... no, kogoś tam znajdziemy. *Farang* zgubi paszport. Prawdopodobnie jest to koleś, który samowolnie oddalił się ze służby w jakiejś dziurze na południu. Tam pewnie miał mieć oko na facetów z czarnymi brodami i w koszulkach z bin Ladenem, dlatego jest szansa, że nikt nie wie, gdzie on się podział. Opium i fajkę Chanya raczej na pewno dostała od niego, więc możliwe, że stacjonował w Kambodży. Poza tym chyba nie był tylko takim tępym osiłkiem, na jakiego wyglądał; starczyło mu w każdym razie wyobraźni, żeby popróbować trochę wyciągu z maku. Zanim wpadną na jego ślad, mogą upłynąć tygodnie, ale spodziewam się, że w końcu ktoś od nich zadzwoni. Jeżeli Chanya zmieni fryzurę i zniknie na jakiś czas, wielkiego ryzyka dla nas nie widzę. Nie chcę, żeby ją przeszukiwali, bo nie wiemy, w co mogła być zamieszana w Ameryce. — Teraz zwrócił się do Nong: — Najlepiej ty z nią porozmawiaj, jak kobieta z kobietą, zorientuj się, co się tam roi w tej główce. — I znowu do mnie: — A może ty to zrobisz, skoro tak dobrze się dogadujecie? Złap ją, jak będzie w lepszym humorze, nie chcemy, żeby i ciebie wykastrowała.

Matka śmieje się z tego niewiarygodnie prostackiego dowcipu tylko z uprzejmości — w końcu pułkownik to główny udziałowiec. Wychodzę złapać dla niego taksówkę, bo nie chce, żeby znów widziano jego limuzynę na Soi Kauboi. Ulica jest teraz zastawiona straganami z ciepłym jedzeniem, które pojawiają się nieodmiennie po drugiej w nocy, gdy bary są obowiązkowo zamykane. W powietrzu rozchodzą się wspaniałe aromaty; tutaj serwuje się wyłącznie tajskie potrawy dla tysięcy zgłodniałych dziwek wymieniających się historiami z minionej nocy. To scena emanująca spokojem i kocham te momenty, choć towarzyszą temu religijne skru-

puły z powodu pracy w branży i zarabiania pieniędzy na dziewczynach w sposób wyraźnie sprzeczny z naukami Buddy. Czasami nasze grzechy są wymuszone przez karmę: Budda zanurza w niej naszą twarz tak długo, aż robi się nam niedobrze od własnych błędów i wolelibyśmy raczej umrzeć, niż popełnić je znowu. (Skoro jednak tak jest, to czemu czuję się tak znakomicie? Dlaczego na całej ulicy panuje atmosfera święta? Czyżby zmieniły się zasady? Czyżby monogamia okazała się eksperymentem równie chybionym, jak komunizm?).

Wierzcie lub nie, ale ja nie wydaję ani grosza z tych pieniędzy. Księgowy Vikorna przelewa co kwartał moje skromne dziesięć procent zysków na konto w Thai Farmer's Bank, gdzie je trzymam, a ja tymczasem żyję sobie z policyjnej pensji i mieszkam nadal w norze nad rzeką, chyba że akurat nocuję w klubie. Uczciwie przyznam, że obiecałem Buddzie przeznaczyć te oszczędności na jakiś pożyteczny cel, gdy tylko nadarzy się okazja. Czy nie brzmi to żałośnie w twoich uszach, *farangul* W moich tak, ale nic nie mogę na to poradzić. Kiedy raz wziąłem trochę gotówki z konta, żeby sobie kupić parę fantastycznych półbutów od Baker-Benjego na wyprzedazy w Emporium (jedyne 500 dolarów), przeskodziła mi w tym jakaś mistyczna siła.

Wsadziłem pułkownika do taksówki i ruszam ulicą, na której nie ma już ani jednego *faranga*. Część straganów ma elektryczność, czerpaną z nielegalnych podłączeń do nielegalnych kabli oplatających nasze budynki niczym bluszcz, lecz większość korzysta z gazu, który syczy i płonie jasno w palnikach. Dostrzegam wiele znajomych, pięknych twarzy, wynurzających się z *chiaroscuro* i zanurzających w niego; dziewczyny są wygłodniałe po nocnej pracy. Pomiedzy straganami rozłożyli swe ministanowiska wróżbici: stolik i dwa krzesła dla lepszej klienteli, szal na ziemi dla reszty.

Z każdą odkrytą kartą tarota jakieś kobiece serce skacze z radości lub kurczy się z rozpacz: małżeństwo, zdrowie,

pieniądze, dziecko, zamorska podróż z obiecującym *farangiemi*. Nic się tu nie zmieniło, odkąd byłem dzieckiem. Atmosferę festynu potęguje niewidomy śpiewak z mikrofonem, zawodzący smętną tajską pieśń i trzymający się ramienia swego towarzysza, który niesie zawieszony na pasie głośnik, gdy suną majestatycznie ulicą. Wrzucam do ich pudełka banknot stubahtowy, lecz zaraz przypomina mi się Chanya i dorzucam, na szczęście, jeszcze tysiąc.

Wszyscy mnie tutaj znają: „Jak interesy, Sonchai?”, „Cześć, Sonchai, masz dla mnie robotę?”, „Papa Sonchai, mój ukochany *papasań*” — tonem wesołej kpiny. „Zatańczysz nam kiedyś znowu, detektywie?”.

Jestem bardzo szczęśliwy, że Vikorn ratuje Chanyę przed tą prostacką i odartą z wnikliwości sprawiedliwością, jaka funkcjonuje w Ameryce, gdzie — gdyby ją czekała ekstradycja — nikt nie wziąłby pod uwagę jej młodego wieku i urody, towarzyszącego jej profesji stresu czy choćby brzydoty ofiary. Nie mogłaby liczyć na łagodniejsze potraktowanie, jak ma to miejsce w naszym, bardziej elastycznym systemie. Jednakże słowa Vikorna, że nie wiadomo, w co mogła być zamieszana w Stanach, to jasny dowód jego wyjątkowej przenikliwości — nie nazywając tego paranoją, która dla gangstera jego formatu stanowi ryzyko zawodowe. Ja na przykład w ogóle się nie zastanawiałem nad jej życiem w Ameryce. Przecież to chyba jasne, że pracowała w salonie masażu, jak one wszystkie.

Nagle czuję, jak moje myśli spowalniają bieg, spada energia po okresie napięcia. Czuję się wypalony, zaraz się przewrócę. Wracam powoli do baru i wchodzę na piętro do jednego z pokoi, żeby się położyć. Jest osiem po piątej rano i z nocnego mroku wyłaniają się jedna po drugiej pierwsze oznaki poranka: zawodzenie muezina z pobliskiego meczetu, śpiew ptaków, cierpiąca na bezsenność cykada, jasność na wschodzie.

My, Tajlandczycy, mamy znakomite lekarstwo na wyczer-

panie emocjonalne. Żadnych tabletek, alkoholu, ćpania ani terapii — po prostu dajemy po sprężynach. Niezbyt wymyślne, ale działa. Nawet sondaże opinii publicznej wykazują, że spanie to nasze ulubione hobby. (Wiemy po prostu, że po drugiej stronie czeka nas coś lepszego).

Wygląda jednak na to, że sprawa Mitcha Turnera poruszyła mnie na jakimś głębokim poziomie, we śnie przychodzi bowiem do mnie mój nieżyjący partner i duchowy brat Pichai, albo to raczej ja go odwiedzam. Siedzi w kręgu medytujących mnichów, którzy emanują miodowej barwy poświatą. Początkowo nie chce, żebym mu przeszkadzał, ale nalegam i w końcu wychodzi ze swego boskiego transu. *Chcesz mi pomóc?* — pytam. *Don Buri* — odpowiada Pichai. — *Musisz go znaleźć*. I wraca do kręgu.

Budzę się lekko zdezorientowany, bo *buri* to po tajsku papieros. A *don*, jak sądzę, to „pan” po hiszpańsku. Oto Pichai w swym najbardziej gnomicznym wydaniu. Będę się chyba musiał rozejrzeć za bardziej konwencjonalnym wsparciem. Lecz sen i tak przewija się wciąż na nowo w mojej głowie w postaci pytania: *Któż to, u diabła, jest ten Don Buri?*

4

Wstaję ostatecznie dopiero wczesnym wieczorem, czując wyrzuty sumienia, ponieważ zaniedbałem Lęka.

Lek to mój nowy partner, przydzielony osobiście przez Vikorna. Szkoli się u mnie już od miesiąca i staram się traktować ten obowiązek poważnie. Nong jednak uważa go bardziej za niewolnika rodziny i nalega, żebym go wdrażał w subtelności domowych zajęć. Staram się jakoś utrzymać to wszystko w równowadze, ale poddaję się jej terrorowi (są powody, dla których Lek powinien z nią dobrze żyć), wzywam go przez komórkę i każę się odebrać z klubu.

O wpół do siódmej jeszcze trwa godzina szczytu i ulice są nadal zablokowane. Siedzimy z Lekiem w taksówce; kierowca nastawił radio na FM97, czyli, jak nazywamy je w Bangkoku, Radio Korek. Jak miasto długie i szerokie, ludzie uwięzieni w samochodach (bez prawa do warunkowego zwolnienia) dzwonią z komórek do prowadzonego przez Pisita programu na żywo. Tematem dzisiejszego wieczoru jest skandal z trzema młodymi gliniarzami, którzy udowodnili niezbitcie trzem młodym kobietom, że zajmują się prostytutką, ponieważ uprawiały z nimi seks za pieniądze. „Skoro taką mamy policję, to przestępcy już nam niepotrzebni! Dzwoncie na *sun nungnungsun sun nungnungsun sun*. Następuje lawina

telefonów z korka, przeważa nastrój wesołości. Jednak Lek, osiemnastolatek trzy miesiące po akademii policyjnej, marszczy nos.

— Czy rozmawiałeś już z matką? — Opuścił głowę niżej niż moja i teraz jego delikatna twarz zwraca się ku mnie niczym kwiat, a orzechowe oczy emanują urokiem. W feudalnym społeczeństwie wszystko jest feudalne — czyli osobiste. Jestem nie tylko zwierzchnikiem Lęka; jestem jego panem i władcą, a jego los spoczywa całkowicie w moich rękach. To dla niego ważne, żebym go kochał.

— Daj mi trochę czasu — odpowiadam. — U kobiety odpowiedni nastrój to podstawa. Szczególnie u Nong.

— Czy porozmawiasz z pułkownikiem Vikornem?

— Nie wiem. Sprawa wymaga rozważenia.

Zatrzymuję taksówkę na rogu Sukhunwit i Soi 4.

Historia naszej sprawy wygląda następująco. Dawniej, nie dalej jak pięć, dziesięć lat temu, w każdej bocznej soi przy Sukhunwit działał przynajmniej jeden stragan z pieczonymi konikami polnymi, jednak bezwzględne bombardowania dywanowe naszej kultury przez waszą, *farangu*, sprawiły, że zaczęliśmy się wstydzić tej naszej słabości do owadziej kuchni, a w rezultacie — w każdym razie w Krung Thep — musiała ona zejść do podziemia. Jednocześnie awangardowi *farangowie* rzucili się na tę kulinarną egzotykę z pretensjonalnym entuzjazmem i teraz jedynym miejscem, gdzie można zjeść pieczone polne koniki, jest zdominowany przez turystów Nana Plaža.

Kiedy się tam zjawiamy, najróżniejsze myśliwskie stanowiska, znane pod nazwą barów go-go, ruszają właśnie pełną parą.

— Przystojniaku, pójde z tobą! — woła do mnie z jednego z barów piwnych dziewczyna w czarnej bluzeczce na ramiączkach, lecz gwiazda Lęka błyszczy o wiele jaśniej od mojej. Żadna z dziewcząt ani *katoi* (dla *ciebie*, *farangu* — transseksualistów) nie może oderwać od niego wzroku, kiedy przez pychamy się przez cizbę wielkich mężczyzn rasy kaukaskiej

w przepoconych koszulkach i szortach, na wpół pijanych nie tyle alkoholem — choć każdy ciągnie lodowate piwo prosto z butelki — ile bogactwem seksualnych okazji. Tego wieczoru wszystkie telewizory, a jest ich pewnie z pięćset, pokazują mecz tenisowy turnieju French Open pomiędzy naszym Paradornem a kimś mało ważnym. Komentarza jednak nie słyszeć, bo w tysiącach głośników dudni typowa kombinacja — tajski pop na zmianę z Robbie Williamsem.

Docieramy w końcu na odległy kraniec placu, zdominowany przez *katoi*, śliniących się na widok Lęka. Właściciel budki z jedzeniem dość poważnie naruszył autentyzm miejsca, gdyż menu wypisane jest po angielsku: owady wodne, jedwabniki, świerszcze, mrówki mieszane, suszone żaby, karaluchy, skorpiony, koniki polne. Biorę dla siebie koniki, a dla mamy jedwabniki, mieszankę mrówek i suszone żaby. Sprzedawca sypie mrówki do papierowej torebki, a my z Lekiem przyglądamy się rytuałowi znacznie starszemu niż buddyzm. Młode kobiety w krótkich plisowanych spódniczkach — w tym barze bowiem przywołuje się sporadycznie fantazje na temat uczennic — stoją rzędem jedna za drugą, z szeroko rozstawionymi nogami, a dziewczyna przed nimi rysuje na ziemi wymyślne wzory dużym drewnianym fallusem. Gdy bóg pomyślności został już przywołany, rzuca fallusa ślizgiem pomiędzy nogami tamtych, po czym łomocze głośno w drzwi klubu. Następnie wstaje z wyrazem satysfakcji na twarzy (*Jeżeli to nie sprowadzi klientów, to już nie wiem, co ich sprowadzi*) i wraca razem z dziewczętami do baru, do dwudziestego pierwszego stulecia.

Po powrocie do naszego klubu posyłam Lęka do matki z torebką owadów. Jest jeszcze nieczynny, bo Nong czekała na kolację. Siadamy wszyscy w barze — moim zdaniem raczej do śniadania — i przez dwadzieścia minut panuje milczenie, przerywane tylko chrzęstem łamanych pancerzyków i pryskaniem wnętrzości. Po posiłku zostawiam matkę z Lekiem i idę na górę z ostatnią torebką koników polnych.

Chanya jest przytomna i wypoczęta po swoim przedłużonym pobycie w objęciach morfeusza. Ma na sobie za dużą koszulkę z krótkim rękawkiem i nic poza tym. Siedzi w półlotosie, oparta plecami o ścianę. Podsuwam jej otwartą torebkę, a ona wybiera sobie delikatnie tłustego konika i zaczyna go pałaszować. Kumpelski uśmiech, który mi posyła, zostaje tylko odrobinę zeszpecony przez włochate odnoże w kąciku jej ust. Najwyraźniej jednak nie ucierpiała zbyt wiele z powodu swego morderczego szalu — jeśli nie liczyć lekko spłoszonego spojrzenia, gdy wręczam jej oświadczenie. (Przewaga kultury wstydu nad kulturą winy polega na tym, że w tej pierwszej nie czujesz się kiepsko, dopóki mleko się nie wyleje).

Czyta uważnie, wreszcie podnosi wzrok.

— Ty to napisałeś? Poznają twój charakter pisma.

— Pułkownik dyktował, ja tylko zapisywałem.

— Pułkownik Vikorn? To prawdziwy geniusz. Było do kładnie, tak jak opisał.

— Naprawdę?

— Każdy szczegół się zgadza, poza tym, że on pił piwo, a nie whisky.

— Detal bez znaczenia, nie będziemy już tego zmieniać. W razie czego potwierdzę, że to była whisky, w końcu to ja stałem za barem.

Posłała mi uśmiech, który roztopiłby żelazo.

— Aha, no to świetnie.

Pokasuję i staram się ukryć smutek w oczach, gdy patrzę na jej drugie, czarne włosy.

— Jeszcze jedna sprawa. Będziesz musiała ściąć włosy i na jakiś czas zniknąć. Rób coś innego, bądź kimś innym, dopóki się nie przekonamy, jak sprawy stoją.

Wzruszyła ramionami.

— Dobrze, zrobię co każe pułkownik.

— Wrócisz do pracy, jak tylko będzie bezpiecznie. Musimy się zorientować, co zrobią Amerykanie, kiedy odkryją,

że ten ich jak-go-tam-zwał nie żyje. Czy będzie duże ciśnienie... czy był dla nich bardzo cenny... Rozumiesz problem?

— Oczywiście. Ja się chyba całkiem odizoluję; zawsze marzyłam, żeby pomedytować. Może zaszyję się w jakimś klasztorze w głębi kraju.

— Doskonały pomysł — odpowiadam, choć myśl, że Chanya straci swoje piękne włosy, doprowadza mnie niemal do łez. Następuje chwila niezręcznego milczenia. — Po słuchaj — dodaję — nie musisz mi mówić, jeśli nie chcesz, ale jeżeli podczas pobytu w Stanach zrobiłaś coś, o czym chciałabyś nas poinformować...

Szuka oczami moich. W jej wzroku widzę tylko niewinność.

— Oczywiście pracowałam na czarno. Pieniądze fantastyczne, szczególnie w Las Vegas. To piękny kraj, ale trochę bez ikry. Szybko mi się tam znudziło. Chciałam wrócić, gdy tylko zarobię na własny dom w Surin i na życie, ale po jedenastym września moje plany legły w gruzach. Musiałam wyjechać wcześniej, niż zamierzałam, a z powodów rodzinnych potrzebowałam więcej pieniędzy. Zostałam u was, bo ty jesteś *dobrympapasan*, a twoja matka jest dobrą szefową. Fajnie tu jest. Lubię ten wasz klub.

Korci mnie, żeby wypytać ją, co się dokładnie wydarzyło ubiegłej nocy, lecz zawodowa dyscyplina, której się wyuczyłem u boku mego mistrza Vikorna, pomaga mi się powstrzymać. Z drugiej strony, wypatroszyła tego Amerykankina strasznie i nawet jak na Tajkę jej spokój jest nieco niezwykły, żeby nie powiedzieć przerażający. Obawiam się, że kiedy zostawiałem ją samą z tekstem zeznania i torebką koników polnych, mój uśmiech był cokolwiek sztuczny. Nie zapytałem jej nawet o opium, bo oficjalnie go nie było. Zauważyłem, że pozbyła się fajki.

W barze matka zagoniła Lęka do mycia szklanek. Sprawdzam godzinę i włączam odbiornik, żeby posłuchać Radia Korek. Słuchają go w tej chwili wszyscy policjanci z Okrę-

gu 8., bo Pisit powiedział nam, że będzie miał sensację na temat odwiecznej i uporczywej wojny, toczonej przez naszego ukochanego pułkownika Vikorna z tym szubrawcem generałem Zinną, który właśnie wyszedł nietknięty z procesu przed sądem wojskowym, gdzie musiał się tłumaczyć ze swego oczywistego zaangażowania w przemyt heroiny i morfiny na wielką skalę. Sąd zaakceptował milcząco jego wytłumaczenie, że został w to wmanewrowany przez policję, a w szczególności przez Vikorna.

Pisit zaczyna od przypomnienia, że ta narkotykowa rywalizacja pomiędzy wojskiem i policją nie jest niczym nowym. Wszyscy w Tajlandii słyszeli, a część z nas jeszcze pamięta, wielki kryzys w Chiang Mai w latach pięćdziesiątych, gdy omal nie wybuchła wojna domowa z powodu sporu tych dwóch służb o wielki transport opium, przysłany koleją przez Kuomintang (za przyzwoleniem CIA). Pat trwał trzy dni, aż wreszcie osiągnięto kompromis: kilkutonowy ładunek opium miał zostać zatopiony w morzu. Legenda głosi, że operację nadzorował dyrektor policji, który zorganizował również statek do przejęcia ładunku. Dziś prowadzenie tej odwiecznej wojny spadło na barki Vikorna i Zinny. Pisit nie wyjawiał nam tylko, że jego dzisiejszym rozmówcą jest właśnie ten ostatni.

Pisit: Generale Zinna, to wielki zaszczyt gościć pana w naszym programie. Pewnie czuje pan ulgę, a jednocześnie zmęczenie po tym, co pan przeszedł.

Zinna: A co takiego przeszedłem?

Pisit: Miałem na myśli sąd wojskowy, który przywrócił panu dobre imię, generale.

Zinna: Ach, to. Zostałem po prostu wrobiony przez pewnego pułkownika policji, wszyscy to wiedzą.

Pisit: Ale, panie generale, jeśli to prawda, to jest to prawdziwy dynamit. I dlaczego właściwie pułkownik policji, którego nie wymienimy tu z nazwiska, czy w ogóle jakikolwiek policjant, miałby chcieć pana pogrążyć?

Zinna: To proste — boją się ujawnienia ich działań. Policja obecnie właściwie rządzi Tajlandią. Wystarczy śledzić codzienne wiadomości. Przecież bez przerwy pojawiają się konkretne, nieubarwione doniesienia o policyjnej korupcji, na każdym szczeblu, jak kraj długi i szeroki. I nikt z tym nic nie robi. Dlaczego? Bo rząd także boi się policji, która stała się jedyną prężną władzą w naszej ojczyźnie. A mamy podobno demokrację. Ten pułkownik, o którym tutaj mówiliśmy, też nieustannie gada o demokracji. A to po prostu zwykła walka o władzę. Problem z Zachodem polega na tym, że oni są dziecinnie powierzchowni. Wystarczy wprowadzić system, który z grubsza przypomina zachodni, choćby nie wiem jak był wadliwy i skorumpowany, i już cię chwala. Stwórz jakiś inny, a pošlą cię na dno. A więc nasi gliniarze stworzyli taki sprytny system, który jest państwem policyjnym udającym demokrację. Nic dziwnego, *zefarangi* nas kochają. To ich wynalazek, wypisz wymaluj.

Pisit: I policja obawia się wojska jako jedynej siły zdolnej się jej przeciwstawić?

Zinna: Oczywiście. Jako jedynej siły, która może obnażyć ten system i przetrwać.

Pisit: I nie ma to nic wspólnego z walką o źródła dochodów?

Zinna: Do czego pan zmierza?

Pisit: Sam pan przed chwilą mówił o korupcji w policji, generale. Co najmniej połowa tych doniesień, jak przypuszczam, dotyczy spraw związanych z narkotykami.

Zinna: Oczywiście. Gliniarze muszą mieć jakąś motywację do rządzenia krajem. Pod płaszczykiem demokracji oczywiście.

Pisit: A gdyby to armia znów zaczęła rządzić?

Zinna: To bardzo prowokacyjna hipoteza.

Pisit: A jak zamierza pan postąpić wobec tego pułkownika policji, który pana wrobił?

Zinna: To sprawa prywatna pomiędzy nim a mną.

Lek starał się za tym nadażyć, ale koncentruje się tylko na chwilę, ponieważ nie zna kontekstu i nie rozumie, o co chodzi w tej rozmowie.

— Czy moglibyście mi wytłumaczyć, w czym rzecz? — pyta.

Wymieniamy się z matką spojrzeniami.

— Pułkownik bardzo się zmienił od śmierci Raviego — mówi Nong.

Lek wcale od tego nie zmadrzył, więc gapi się na mnie.

— Ravi to był jego syn — wyjaśniam. — Wojsko za strzeliło go podczas rozruchów w maju dziewięćdziesiątego drugiego.

5

Dzwoni telefon. To ekipa dochodzeniowa, dość podekscytowana. Chcą mnie natychmiast widzieć w hotelu, w którym zginął Mitch Turner. Zastanawiam się, czy nie zabrać Lęka, ale on zajmuje się wypełnianiem obowiązków zawodowych — gdyż tak rozumie integrowanie się z moją matką (rozmawiają o subtelnościach stosowania tuszu do rzęs) — toteż jadę sam.

Po wejściu do pokoju natychmiast rozumiem ich ekscytację. W ferworze oględzin odwrócili zwłoki na brzuch i tak je zostawili. Teraz wpatrują się w mnie, a ja wpatruję się w ciało. Nie jestem pewien, czy mam wymiotować, czy tylko podrapać się po głowie. Jestem tak zszokowany, że nic nie robię. Wracam myślą do Chanyi i jej porannego zachowania: spokój, jasność umysłu, wesoła jak szczygiełek. Kręcąc głową, podnoszę słuchawkę hotelowego telefonu i każę się połączyć z Vikornem na komendzie. Tym razem akurat jest u siebie.

— Chłopaki z dochodzeniówki odwrócili go na brzuch — mówię.

— No i?

— Obdarto go ze skóry. Od barków aż do pośladków. Nie ma w ogóle skóry, tylko krwawa miazga.

Nastąpiła długa pauza; pułkownika chyba jednak w końcu zatkało.

— Niech go odwróć tak, jak był — odzywa się wreszcie. — Czy fotografowali te jego plecy?

— Chyba tak.

— Niech zniszczą zdjęcia. — Trzask odkładanej słuchawki.

Przyglądam się, jak odwracają zwłoki z powrotem na plecy, i myślę: *farang*, Francja, Niemcy, Anglia, Japonia, Stany Zjednoczone, grupa G8, dekadencja. Jeden ruch spowodował, że sprawa została wyjęta z kontekstu tajskiej psychologii i pozostaje mi teraz tylko ta odrobina wiedzy o waszej kulturze, którą zdobyłem za granicą. Biedacy — zrozumcie to — mordują z namiętności albo z powodu pieniędzy, ziemi czy zabobonów, dlatego ta brutalna kastracja w pierwszej chwili wyglądała na dość powszechną ekspresję wściekłości, strachu czy też chciwości, dobrze zakorzenioną w tradycji Trzeciego Świata. (Odcięty penis, przyznam, wyglądał trochę jak tajska zupa *tom yam*). Natomiast obdarcie ze skóry, ten nikomu niepotrzebny bonus, mogło wymyślić tylko społeczeństwo mające liczną, bogatą i znudzoną klasę średnią. (Zupełnie jakby napisano na nim: *Z nudów*). Dlatego pytam: Co się, u diabła działo, z Chanyą w Ameryce?

Następny dzień spędzamy z Lekiem na uciążliwej robocie: pozbywamy się ciała. Chociaż Vikorn umówił już urzędników w kostnicy i załatwił błyskawiczną autopsję dla zachowania pozorów (zmarł od upływu krwi spowodowanego rozległymi ranami brzucha i żołądka oraz ucięciem penisa, natomiast — co za niespodzianka! — nie ma ani słowa o obdartych ze skóry plecach), i tak musimy wypełnić mnóstwo formularzy, ugłaskać mnóstwo zdenerwowanych ludzi, znieść mnóstwo podejrzliwych spojrzeń — a już kolesie z krematorium naprawdę dali nam popalić. Jakimś sposobem dowiedzieli się,

że kremacja nie jest całkiem w porządku, i domagają się łapówki w wysokości, na którą nie mam prawa sobie pozwolić, muszę więc łąpać Vikorna telefonicznie. Widok ich zmieniających się twarzy, gdy kończą rozmowę z nim, sprawia mi pewną przyjemność, ale dzień jest bardzo wyczerpujący, a z Chaną widzę się znowu dopiero wieczorem, kiedy mam otworzyć bar. Powołaniem tej dziewczyny jest chyba aktorstwo, myślę, bo prawie jej nie poznałem. Nie chodzi tylko o to, że włosy ma teraz krótkie, sterczące i fioletowe, ani o zmianę makijażu. Zmieniła też osobowość. Ma na sobie długą czarną spódnicę, białą bluzkę z żabotem w stylu lat pięćdziesiątych i buty na płaskim obcasie. Gra poważną tajska nauczycielkę (z lekką domieszką miejskiej ulicznicy), z niesamowitym wyczuciem szczegółów. Kiedy wyjmuje z torebki parę niemodnych okularów (taniocha na receptę), kręcąc z podziwem głową. Przyszła się pożegnać. Przez chwilę trzymamy się za ręce, patrząc sobie w oczy. Wcale mnie nie zaskakuje, że czyta w moich myślach.

— To nie jest tak, jak myślisz, Sonchai. Chcę, żebyś to wiedział.

— W porządku.

Milczenie.

— W Stanach pisałam pamiętnik, może któregoś dnia dam ci go przeczytać.

Cmoka mnie w policzek, ostatni raz puszcza oko i odchodzi, przyrzekając od czasu do czasu zadzwonić, sprawdzić, czy teren jest czysty i czy może wrócić.

Jak to zwykle bywa, moja matka wchodzi do baru kilka minut po wyjściu Chanyi. Bierze sobie z lodówki piwo i siadamy przy stoliku. Ona zapala marlboro, a ja relacjonuję jej rozwój sprawy. Na koniec mówię:

— Mamo, przecież ty powinnaś wiedzieć najlepiej, co sprawia, że dziewczynom takim jak Chanya nagle zaczyna odbijać.

Mruży oczy w zamyśleniu, zaciąga się i wzrusza ramionami.

— Przyczyn może być wiele — odpowiada. — Każda dziewczyna przechodzi przez różne etapy. Na początku wierzy w to, co mówią jej klienci, i to jej podbija ego, ale pewnego dnia zaczyna się nagle zastanawiać, czy to przypadek, czy oni wykorzystują ją, a nie odwrotnie. Jak to w usługach, niezależnie od ich rodzaju, nigdy do końca nie wiadomo, kto komu wciska ciemnotę w tej grze. Potem następuje etap zawodowej dumy z tego, co się robi — dziewczyna chce być gwiazdą, bo innych celów nie ma. — Matka z namysłem wypuszcza dym. — Następnie uzmysławia sobie, że czas upływa, że młodsze koleżanki zyskują większe uznanie, że w jej barze pojawiła się jaśniejsza gwiazda. Musi poradzić sobie z kolejnym obrzędkiem przemijania, być może przejść okres depresji, ale w końcu godzi się z losem.

Marszczę brwi.

— Ale to wszystko nijak nie pasuje do Chanyi.

— Wiem o tym. Ona te etapy ma już dawno za sobą. Nigdy nie widziałam lepszej profesjonalistki, dlatego sądzę, że to jest wypalenie. Mnie też się to raz przytrafiło. Stajesz się wtedy ofiarą własnego sukcesu i zapominasz o pewnym drobiazgu: ta twoja praca to nic wyjątkowego, po prostu pieprzysz się za pieniądze. Twoje życie kręci się wokół męskiego członka, który staje się dla ciebie taką samą obsesją jak dla facetów. Gdzieś w środku zaczyna wzbierać pragnienie oporu. Niektóre dziewczyny naprawdę wtedy odlatują. Ja musiałam zrobić sobie przerwę na rok. Może pamiętasz, miałeś wtedy dziesięć lat i siedzieliśmy przez ten rok u babci na wsi? W końcu musiałam wrócić, bo kończyły się nam pieniądze, ale już nigdy nie było tak samo jak przedtem. Chanya już od pewnego czasu jest coraz bliżej tej ściany, widzę to.

Dlaczego chciałbym, żeby była mniej rzeczowa? Jestem świadomością uwięzioną w rurce. Chwilami trudno mi się oddycha.

— Więc uważasz, że po prostu jej odbiło?

— Chyba tak. Może on faktycznie był obmierzły, ale z tym umiałyby sobie poradzić. Chodzi o to, że dziewczyna ma czasem dość tych wszystkich gier i marzy o czymś prawdziwym, pełnokrwistym. Myślę, że to był naprawdę jego nóż, nie jej, i to jej dało pretekst. Zobaczyła nóż w jego pokoju i opętał ją jakiś demon. Tak ja to widzę.

— Skoro nóż był jego, a facet był wielki i muskularny, nawet bez pomocy Vikorna nikt by nie wątpił, że działała w samoobronie.

— No właśnie. Dlatego wciąż jestem na nią zła. Praw dopodobnie o tym myślała, może nawet kalkulowała za wczasu. Mogła się powstrzymać, mogła zrobić to, co ja zrobiłam — na jakiś czas wziąć na wstrzymanie. W końcu jest bogata, nie ma dzieci na utrzymaniu, stać ją, żeby się wycofać. Ale nie może, bo uzależniła się od branży. Tak samo jest w każdej profesji: gdy człowiek odkrywa w sobie jakiś szczególny talent, nie potrafi przestać. Musi zaliczać wciąż od nowa. Nie chodzi już wtedy o pieniądze, ale o samą ekscytację polowaniem.

— Ale jak ona to zrobiła? Facet był wielki.

Uśmiechnęła się.

— Jest smukła, jest silna, na pewno o wiele szybsza od niego. On był napakowany, ale niezdarny. Poza tym doszedł element zaskoczenia. — Nong zerka na mnie spod oka. — Myślę, że odcięła mu, jak już nie żył. Coś w rodzaju trofeum.

— No a skóra?

Mama spogląda na mnie, rozkłada bezradnie ręce. Z podwórza wchodzi Lek, któremu kazała uporządkować puste skrzynki po piwie. Patrzy na mnie wyczekująco.

Jestem zupełnie pozbawiony energii, lecz towarzyszę mu do *wai* w pobliżu komisariatu. Wystarczy umieścić dowolnego Taję pod mikroskopem, by odkryć w każdej komórce encyklopedię przesądów; jednak Lek jest z gatunku tych najbardziej skrajnych i aż go świerzbi z niecierpliwości po dniu spędzonym w bliskości śmierci: przeżył zbyt wiele godzin

w poczuciu zagrożenia swego dobrego losu i duchowego zdrowia. Idziemy szybko do świątyni. Kupujemy od ulicznych sprzedawców pączki lotosu, owoce i świece. Lek odprawia rytuał z wymyślną elegancją, a potem siada na piętach z rękami w głębokim *wai*, zamyka oczy, chyba raczej się modli, niż medytuje.

Trwa to zbyt długo, zostawiam go więc i wracam na komisariat, gdzie dowiaduję się, że Vikorn chce mnie widzieć. Przypuszczam, że chce porozmawiać o sprawie Mitcha Turnera, on jednak chce rozmawiać na temat Lęka. Pułkownik siedzi pod portretem króla i plakatem wydziału zwalczania przestępczości, ilustrującym tysiąc jeden sposobów, dzięki którym policjant może dorobić do pensji.

— Czy on jest pedałem? — pyta Vikorn.

— Nie.

— Ale jest bardzo zniewieściały. Ludzie mi się skarżą. Jeżeli jest pedałem, wywalę go na zbity pysk. I nie kłam, żeby go chronić. Nie czas teraz na te twoje łzawe numery.

— Nie jest pedałem — powtarzam. — On się w ogóle nie interesuje seksem. — Vikorn rozsiada się w fotelu i zmusza mnie wzrokiem do posłuszeństwa. Wcale nie mam ochoty opowiadać mu historii Lęka, ale chyba nie mam wyboru. — Jest Isaańczykiem z wioski Napo w prowincji Buriram; pan też dorastał w tamtych stronach, prawda? — Vikorn kiwa głową. — W wieku pięciu lat miał wypadek. Skakał na tylne nogi bawołu, żeby się wybić na jego grzbiet, jak to uwielbialiście robić po wioskach, bawół wierzgnął i Lek wyleciał w powietrze. Miał szczęście, że nie wylądował na rogach i nie nadział się, ale kiedy upadł na ziemię, rozwalił sobie czaszkę o kamień. Nie mieli tam żadnej pomocy medycznej, kompletnie niczego. Byli przekonani, że umrze; właściwie już wyglądał na martwego. Dlaczego mam wrażenie, że pan wie, co było dalej?

Twarz pułkownika gwałtownie się zmieniła. Gdy wstaje

i zaczyna chodzić po pokoju, błyszczą mu oczy. Przemawia z upodobaniem.

— Wezwali szamana, który rozpałił ognisko z węgla drzewnego koło głowy dziecka i zdmuchiwał na niego dym, żeby wzmocnić wizję. Potem zawołał rodziców i powiedział im, że ich syn jest już właściwie martwy. Została tylko jedna jedyna nadzieja: musieliby ofiarować dziecko duchowi, który wejdzie w ciało i przywróci go do życia. Jednakże potem nie będzie już należało do nich, lecz do ducha. — Patrzy na mnie, unosząc brwi.

— Udało się, ale był skutek uboczny.

Vikorn unosi palec.

— Duch był rodzaju żeńskiego.

Składam dłonie i unoszę je do oczu w *wai*, w uznaniu jego głębokiego zrozumienia, on tymczasem siada na powrót za biurkiem.

— Pomoże mu pan? — pytam.

Rozkłada szeroko ręce.

— Pedały to import z Zachodu. Natomiast *katoi* są tak tajscy jak palczatka cytrynowa. Będę go chronił, jak długo się da, ale musimy mu znaleźć odpowiedniejsze zajęcie.

— Niedługo zaczniesz brać estrogen. Może być trudno.

Vikorn krzywi się w uśmiechu.

— Gliniarz z cyckami? Czy on zamierza mieć pełną operację?

— Jeszcze nie wie. Zresztą na razie nie ma pieniędzy.

— Czemuż, u diabła ciężkiego, w ogóle poszedł do policji?

— Z tego samego powodu co ja. Nie chciał być kurwą ani gangsterem.

Vikorn kiwa głową.

— Rozumiem. Czy znalazł już Starszą Siostrę?

— Nie. Prosił mnie, żebym pogadał o tym z matką.

Pułkownik namyśla się chwilę.

— Nie chciałbym, żeby pracował w barach. Będzie tańczył?

— To właśnie chciałby robić. Szuka sponsora i cały czas ćwiczy. Kocha klasykę tajską, Ramakien.

Vikorn przechyla głowę na bok.

— Miałem kuzyna *kaloi*. Zmarł na AIDS. Właściwie nie puszczał się jakoś szczególnie, ale to było na początku lat osiemdziesiątych, nic jeszcze wtedy nie wiedzieliśmy o tej chorobie. Po prostu miał pecha. Przekaż młodemu jedną radę ode mnie. Jeśli nie przejdzie operacji, niech nie używa taśmy klejącej. Jest nieelastyczna i po pewnym czasie okropnie podrażnia skórę. Dużo lepszy jest plaster z płótnem, którego używają w szpitalach. Dobra, możesz już iść.

— Czy jest coś, na czym pan się nie zna? — pytam, wstając.

Pułkownik rzuca mi zza biurka olśniewający uśmiech.

Wracam do baru, gdzie okazuje się, że matka gdzieś zniknęła, a do puszczenia muzyki dobrała się jedna z dziewcząt:

Uszczypnę cię w tyłeczek

Uszczypnę cię w tyłeczek

Uszczypnij mnie w tyłeczek

Uszczypnij mnie w tyłeczek

Nie do wytrzymania. Przełączam na nokturny Chopina i prawie wzdycham z ulgi. Smak prawdziwej muzyki poznałem pod okiem pewnego Niemca, który wynajmował moją matkę przez kilka miesięcy w Monachium, gdy byłem mały — a potem wylądował w naszym słynnym ciężkim więzieniu Bang Kwan. Jedenasty i dwunasty rok życia były dla mnie decydujące. Matka pracowała bardzo nietypowo, wciąż w rozjazdach. Prawie cały czas spędzaliśmy za granicą, w Paryżu i Monachium, gdzie jej wyrafinowani klienci przyjmowali na siebie obowiązki zastępczych ojców. Nauczyłem się

kochać francuską kuchnię, Prousta, Beethovena i Nietzsche-go, Ermenegilda Zegnę i Versace, croissanty w Les Deux Magots i zachody słońca nad Pont Neuf w pełni lata, Straussa granego przez mężczyzn w skórzanych portkach przy kuflu piwa w monachijskim Biergarten. W przeciwieństwie do matki, która kocha Doorsów (z powodów historycznych i sentymentalnych: *Czas apokalipsy* to jedyna jej niepiracka płyta DVD), nie przepadam za rockiem czy popem.

Kładę się na jednej z ławek i podsypiam trochę, aż do chwili gdy matka wchodzi do baru świeża jak skowronek. Siadamy przy stoliku, ona pali, a ja relacjonuję jej moją rozmowę z Vikornem o Leku.

— A on nie zna przypadkiem jakiegoś starszego *katoP*. — pyta Nong.

— Nie. Jest świeżo po akademii policyjnej, a przedtem nigdy nie wyjeżdżał z Isaan. O *katoi* wie tylko tyle, co widział w telewizji i czego sam doświadcza emocjonalnie.

Nong kręci głową.

— Biedny dzieciak. To twardy orzech do zgryzienia. Nie przetrwa tego bez Starszej Siostry, bez kogoś, kto będzie jego przewodnikiem, pokaże liny ratunkowe, wspomże przestrogi. A tak w ogóle to śliczny chłopiec. — Wzdycha. — *Katoi* najbardziej ucierpieli podczas epidemii AIDS. Znałam ich setki, w dawnych czasach popijałyśmy z nimi po pracy — byli niesamowicie weseli i zabawni, ale okropnie chaotyczni. Zero koncentracji, gorzej niż u dziewczyn. Lekuowi jest potrzebny *katoi* na emeryturze, po trzydziestce albo starszy, ktoś, kto się zajmie tym wszystkim poważnie. Chcę, żeby jego wzorzec osobowościowy był dobrze ustawiony finansowo, bo to jedyny sposób, żeby go uratować przed tym, co nastąpi po początkowej euforii. Musimy go uchronić przed rozpaczą wieku średniego. *Katoi* nie starzeją się łagodnie, jeśli nie mają mnóstwa kasy.

Wymieniamy z matką spojrzenia. Otwieram usta zaskoczony.

— Chyba nie mówisz poważnie? Fatima?

— A czemu nie?

— Jest morderczynią.

Matka mruga zdziwiona.

— A co ma piernik do wiatraka?

— No przecież ona tak zdobyła majątek; wzbogaciła się, zabijając kochanka.

— Zabiła kochanka, ale zrobiła to z głową. Nasz aniołek właśnie tego potrzebuje, żeby się odnaleźć na tej ziemi

6

Pora śniadania: ulica zastawiona straganami z ciepłym jedzeniem. Czuję głód, więc decyduję się na *kuayjap*, gęstą polewkę z chińskich grzybków i skrawków wieprzowiny, która aż paruje pożywnością, gdy sprzedawca zanurza i podnosi chochlę; do tego wielki poskręcany kłęb *kuaytiaw phat khii mao* (dosłownie „smażony makaron pijaka” — smażone w głębokim oleju ryżowe spaghetti z bazylią, kurczakiem i czerwonym akcentem świeżo siekanych chili), pojedynczy smażony pstrąg z *naam plaa* (transcendentnie pikantny sos ze sfermentowanych anchois — smak zapożyczony, *farangu*), szklanka zimnej, niegazowanej wody ze słynnych w świecie kranów Krung Thep oraz puszka 7-Up. To mi wystarczy (dolar pięćdziesiąt za wszystko, woda i lód gratis).

Po powrocie do baru widzę w komputerowym terminarzu, że spodziewamy się grupy wycieczkowej. Tak ich w każdym razie nazwaliśmy. Nie przyjmujemy już klientów w stadach, ale jest jeszcze jakaś setka tych, którzy odpowiedzieli na nasze pierwsze reklamy, i mniej więcej co trzy miesiące zjeżdża do nas cała banda podstarzałych punków. Tę grupę akurat dobrze pamiętam.

Telefon z biura imigracyjnego na lotnisku międzynarodowym w Bangkoku: jeden z oficerów chce potwierdzenia, że

rzeczywiście zarezerwowałem hotel dla dwudziestki starszych mężczyzn, którzy przez ostatnich piętnaście godzin nieźle dali popalić stewardesom Thai Air. Wszyscy są pijani.

— Tak — potwierdzam.

— Jest pan pewien, że nad nimi zapanuje? Może wbić im w paszporty odmowę wjazdu?

— Nie, nie, poradzę sobie.

Pełne niedowierzania „hmm” w słuchawce, ale przepuszcza wszystkich. Parę godzin później wkracza przez nasze wahadłowe drzwi łysy, przygarbiony olbrzym po sześćdziesiątce, w czarnym kowbojskim kapeluszu ze srebrnymi ćwiekami, w obcisłych spranych dżinsach i najprawdziwszych wysokich butach z niewyprawianej skóry. Prowadzi za sobą bandę podobnych odrzutów *zfarangowskiej* podświadomości.

Radosne pohukiwanie.

— Sonchai, chłopie! Hej, chłopaki, to właśnie Pan Viagra we własnej osobie. Daj nam najzimniejszego piwa, koleżko. — Nachyla się do mnie i szeptem: — Załatwiłeś trawkę, tak jak prosiłem w e-mailu? — Półgębkiem szepcze do kolegów: — Co powiecie chłopaki na parę piwek przed palem? Sonchai nam nie pozwoli tutaj palić, musimy iść do hotelu albo dać mu w łapę, żebyśmy mogli zapalić na górze.

— O, to on bierze łapówki? Zupełnie jak gliniarze na Freak Street w dawnych czasach!

— Nie biorę łapówek — oznajmiam.

— To prawda, zachowujcie się jak ludzie cywilizowani; to buddyjski kraj, a nasz Sonchai jest joginem, codziennie medytuje. — Znów do mnie: — To co, załatwiłeś?

Sięgam za bufet i podaję mu płaską paczuszkę owiniętą w brązowy papier. Zdecydowaliśmy już dawno z matką, że mowy nie ma, byśmy sprzedawali w barze narkotyki, choćby tylko trawę, ale pułkownik Vikorn, gdy ujrzał pierwszy raz tę bandę, uznał, że lepiej dać im cokolwiek na uspokojenie, niż pozwolić tym podstarzałym postrzeleńcom roznieść bar po pijaku w drobny mak. Stary wielkolud wręcza mi dwa tysiące

bahtów (Nong zajęła się wyceną i przebicie mamy prawie tysiącprocentowe), bierze zawiniątko i znika w męskiej toalecie razem z kilkoma wtajemniczonymi. Pamiętam, że uwielbiają Lou Reeda, i puszczam na cały regulator *Transformers*. Po niecałych dziesięciu minutach wielki kowboj i jego kumple wyłażą z kibla. Właśnie przyszła Lalita, która pamięta ich z poprzedniego razu, choć imion nie kojarzy. Kiwnięcie ręką.

— Cześć chłopaki, *sabai dee mai*?

— Witaj, Lalita, cudownie jest znów cię widzieć. Jezu, czy ty musisz być taka cholernie piękna? — Z błaganiem w oczach kontynuuje: — Ja się tam duszę, La, oni tak samo. Kiepsko jest być starym i chorym, ale co zrobić, gdy się jest zdrowym? Kiedy wszystko działa jak należy, ale facjatę masz pomarszczoną i niemodną, a ludzie patrzą na ciebie jak na przedwojenny model forda.

Zjawiają się Om i Nat; jedna w dzinsach, druga w czarnej sukience z ozdobnymi lamówkami, tak obcisłej, że widać, że nie ma pod spodem bielizny.

Sukienka Nat przenosi grupę wycieczkową do krainy fantazji.

— Hej, chłopaki, chyba czas na viagrę?

Przychodzą pozostałe dziewczęta.

Po przekroczeniu progu baru każda skłania się najpierw przed posążkiem Buddy, stojącym w rogu nad kasą. Jest niewysoki, może z półmetrowy i według tego, jak moja matka rozumie buddyjską doktrynę, ma tak niepohamowany apetyt na nagietki i kadzidło, że jeśli go nie nakarmić, szczęście odwróci się od nas w try miga.

Dziewczyny miały już do czynienia z tą bandą napaleńców i w drodze do szatni lawirują zręcznie wśród chciwie wyciągniętych starczych rąk. Każda dostaje ode mnie znak, żeby nie rozkręcały wieczoru zbyt szybko. Po tej historii z Chanyą na ulicy roi się od policjantów. Wszystkich gliniarzy i tak oczywiście kontroluje Vikorn, ale czasy są takie, że trzeba dbać o pozory.

— A co z niebieskimi pastylkami, Sonchai? — woła do mnie łysy wielkolud. — Są znów na miejscu?

— Nie, u nas już nie. Możecie sobie kupić w aptece. W każdej aptece.

— Dobra, słuchajcie, chłopaki, zmieniło się. Viagrę mu simy sobie kupić sami. To co, może chodźmy do apteki, a potem się odświeżymy, przejdziemy po barach, wypalimy parę lufek i wrócimy tu, gotowi do imprezki?

Ta propozycja wywołuje okrzyki radości. Dopiero po ich wyjściu spostrzegam obcego, który musiał się wśliznąć niepostrzeżenie, gdy byłem odwrócony plecami. Po dwudziestce, wysoki, barczysty, w czarnych drugich spodniach, wyglansowanych czarnych półbutach, śnieżnobiałej koszuli i o tak intensywnym spojrzeniu, że wygląda, jakby cały czas marszczył brwi. Nie jest typowym klientem, szczególnie że ma czarne włosy, cienki wąsik i brązową skórę.

Dziewczyny zniknęły w szatni, grupa postrzelców wyszła i w barze zostaliśmy tylko my dwaj. Zmieniam muzykę z powrotem na Chopina.

Przybysz raczej nie zauważa sączącej się z głośników esencji geniuszu, tych wznoszących się i opadających w nieskończoność fortepianowych tonów. Kupuje puszkę coli i siada na stołku przy barze. Patrzy na mnie, Taj na Tają.

— Jesteś alfonssem? — pyta zdziwionym tonem, zbyt niewinnie, bym mógł się obrazić. Nie chce mi się wyjaśniać technicznych różnic pomiędzy moim zajęciem a pracą alfonsa.

Pomimo marsowej miny jest przystojny, choć nieco zbyt grubokościstyjak na tajskie geny. Nie kryje swej pogardy dla podstarzałych punków — i dla mnie także. Patrzy na zdjęcia Elivsa, Sinatry i reszty z szyderczym uśmiechem. Z trudem wytrzymuję prawość w jego spojrzeniu.

— Amerykanie — mówi neutralnym tonem. Wie, że na leżycie odczytam podtekst.

Odpowiadam uśmiechem i rozkładam ręce — bo cóż innego mogę zrobić?

Zerka na Buddę nad kasą i łączy go ze mną ruchem oczu.

— Powiedzieli mi, że jesteś buddystą — mówi. — Prawdziwym, nie jakimś zabobonnym wieśniakiem.

— Tak powiedzieli?

Chce coś dodać, lecz jego milczenie wystarcza za cały osąd. Szczerze mówiąc, wziął mnie przez zaskoczenie. Takiej religijnej szczerości doświadczyłem ostatnim razem w klasztorze buddyjskim, ale to nie jest buddyjski mnich. Nagle rozglądam się po niemal pustym barze jego oczami. Nie jest to chyba zbyt budujący widok, ociupinę zbyt ziemski dla tak czystej duszy. (Ale spójrz tylko, co te czyste dusze zrobiły światu, napominam się w myśli). Odrzucam niewypowiedziane zaproszenie do okazania skruchy i trwamy w takim milczącym zwarciu, którego moim zdaniem on nie wygra (mój bar, moja ulica, mój kraj, moja religia — to ja należę tutaj do większości); przybysz tymczasem wyjmuję z kieszeni spodni złożoną na cztery kartkę i rozpościerają na kontuarze, obserwując uważnie moją reakcję. Leży przede mną cyfrowe zdjęcie *faranga*, którego zabiła Chanya. Nie umiem opanować skurczu, który przemyka przez moją twarz. Muzułmanin spostrzega i zapamiętuje wyraz szoku w moich oczach, lecz nie ma już czasu na wyjaśnienia czy dyskusję, bo jedna po drugiej przybywają pozostałe dziewczyny.

z nich ma jakieś nawyki, za które w większości tirm prawdopodobnie wyleciałaby z pracy. Chanya jest tu najlepszym przykładem — jaki pracodawca w tej sytuacji w ogóle by jej odpuścił?

Marły: w wieku lat dwudziestu siedmiu jest jedną z naszych najmądrzejszych pracownic. Jak większość profesjonalistek traktuje powtórzenia jako najlepszą metodę spędzenia wieczoru bez ryzyka gwałtownych skoków nastroju, a to oznacza, że koncentruje się raczej na klientach w średnim wieku i starszych. Wdzięki tych młodych przegrywają w konfrontacji z łagodnością, szczodrością, ojcowską dobrocią, majątnością oraz skłonnością do wczesnego chodzenia spać tych star-

58

7

Homer sporządzał listę okrętów. Może ja też powinienem podobnie uhonorować nasze szalupy ratunkowe, pływające po ciemnych wodach rynkowych zmagień?

Nat: większość dziewcząt trzyma swoje rzeczy w szafkach w głębi baru, ale ona woli się ubrać jeszcze w domu. Twierdzi, że musi się dłużej wczuwać w rolę, ale Chanya wyjawiała mi kiedyś, że Nat po prostu próbuje złapać klienta już w kolejce nadziemnej, po drodze do pracy. Prawdą jest, że częściej od innych telefonuje, że jest chora, i to z reguły w czasie, gdy powinna jechać kolejką. Nie ma sprawy, każda

Um, o naturalnie ciałopięcej tigurze, obcięła nogawki dzinsów na poziomie krocza i zostawia bawełniane nitki wszędzie, gdzie usiądzie. Pochodzi z Phuket, gdzie wszyscy wzbogacili się na turystyce. Nie zaznała niedostatku, ale znudziła się sklepem rodziców i wyjechała do Krung Thep w poszukiwaniu przygody. Prostytucja jest dla niej głównie sportem, w którym polująca kobieta posługuje się wdziękiem, sprytem i potęgą seksu. Celem jest sytuacja, w której klient ochoczo przemieszcza gotówkę ze swojego do jej portfela, nie spostrzegając nawet, jakim jest frajerem.

Ay, w bikini i szpilkach, prezentuje srebrny ćwiek w pępku, na środku płaskiego, brązowego brzucha — nie wspominając

szych, dzięki czemu zostaje jej czas na małe dorabianie na boku, gdyby potrzebowała gotówki.

Lalita jest w asymetrycznej, czarnej podróbce Saint-Laurenta z przepaścistym dekoltem; bluzeczka odsłania jej pięknie poprawiony brzuch — zręczny chirurg wykonał gustowną robotę, nic nie przesadził. Jest bardzo uzdolniona i zbudowała już w swojej rodzinnej wsi piętrowy dom z wiatą na samochód. W zeszłym tygodniu zarobiła tyle, że jej rodzice mogli wydzierżawić kolejne dwa bawoły wodne. Nowych klientów wita zwykle zdaniem: „Spodobałeś mi się, gdy tylko zobaczyłam cię w drzwiach”. Wciąż jeszcze uśmiecham się na myśl, jak często się na to łapią.

Wan i Pat, dwie przyjaciółki, założyły identyczne obciste szorty, góry na ramiączkach i szpileczki. Pochodzą nie z Isan, leżącego na północy, lecz z prowincji Chiang Mai na dalekim pomocnym zachodzie, gdzie klimat jest chłodniejszy, a opium świeższe. Urodziły się w górskiej wiosce zamieszkaną przez plemię Hmongów i wykształciły się na specjalistki od uprawy maku. Kiedy władze narzuciły płodozmian i ich umiejętności stały się zbędne, przerzuciły się z wdziękiem na inny rodzaj występku, żeby pomóc rodzinom przetrwać przy zmniejszonych dochodach. Gdy tylko zbiorą wspólnie dość gotówki, zamierzają otworzyć w Chiang Mai salon piękności.

już o srebrnym mieczniku, którego miecz wisi na wysokości majątek. To autentyczne dziecię Isaanu, gdzie wychowała się jako analfabeta. Jak często bywa w takich wypadkach, ma fotograficzną pamięć i zawsze potrafi sobie przypomnieć imię klienta, nawet po roku od ostatniego spotkania. W tej branży to cenna umiejętność.

A oto Bon. Jest bardziej światowa od innych. U nas ma bazę, lecz preferuje bardziej eleganckie miasta: Tokio, Singapur i Hongkong. Jest specjalistką w dziedzinie wiz i oferuje bezpłatną pomoc dziewczętom, które myślą o przeprowadzce. Jej angielski jest niemal perfekcyjny, a japoński podobno też nie najgorszy. Ma własną stronę internetową, poprzez którą znajduje dodatkową pracę i utrzymuje kontakt z zagranicznymi klientami. Jeszcze daleko jej do życiowego zakrętu, ma w rodzinnej wiosce mały biznes, którym zajmuje się jej matka.

A teraz jedna z moich faworytek. Urn przyjechała z najbiedniejszej części Isaan, w pobliżu granicy z Kambodżą. To autentyczna wieśniaczka, która nie splami swej tożsamości nauką czytania i pisania czy angielskiego, jeśli nie liczyć kilku zwrotów niezbędnych w pracy. Z dzieciństwa spędzonego na polstkach ryżowych wyniosła lekkie płaskostopie; lubi też podwijać spodnie do łydek, jakby brodziła po moczarach. Jest przesądna — nigdy nie zapomina o *wai* przed Buddą i zawsze przed wejściem do baru zdejmuje buty (a inne zawsze się z tego śmieją). Po tajsku mówi z prostackim akcentem i mnóstwem wulgaryzmów. Ma także wyjątkową figurę i wspaniały uśmiech, więc głodem nie przymiera.

Su: nic szczególnego z wyglądu, ale matka i ja jesteśmy pod wrażeniem jej jakże tajskiej beczelności. Pewnego dnia przeprowadziłem eksperyment i posłałem do niej misjonarza. (Czasami się zjawiają: biała koszula, czarny krawat z malutkim węzłem, smutna uprzejmość zawodowego pogromcy grzechu, Biblia w poręcznej kaburce na ramieniu — obawiam

się, że mężczyźni i kobiety z tej branży wyglądają dla mnie tak samo). Misjonarz do Su:

— Będę ci płacił za sprzątanie mojego mieszkania tyle samo, ile zarabiasz tutaj.

Su (wystraszona, spłoszona i zmieszana):

— A nie moglibyśmy po prostu się bzykać?

Farangu, powiedz swoim ewangelistom, żeby nie wrzucali zbawienia i etyki zawodowej do jednego worka. W tropikach to się nie sprawdza. Rozumieją to nawet muzułmanie i katolicy, a my, buddyści, zawładnęliśmy dziewięćdziesięcioma procentami rynku, handlując inercją od dwóch i pół tysiąca lat.

Sonja: już jej u nas nie ma, ale kiedyś była chyba najpiękniejszą dziewczyną na ulicy i to pomimo małej blizny w kształcie gwiazdki na lewym policzku. (To motorower: dziewięćdziesiąt procent blizn na tajskich ciałach powstaje, gdy za szybko bierzemy zakręt po pijaku). Jej życie zmieniło się po obejrzeniu filmu klasy B z Ronaldem Reaganem w roli głównej; bohaterka filmu, także naznaczona blizną, wypowiada nieśmiertelną kwestię, której Sonja natychmiast nauczyła się na pamięć: „Och, jakże by mógł mnie pokochać mężczyzna, taką ohydnie oszpeconą?”. Wszystko to razem zadziało tak skutecznie, że musiała sporządzić krótką listę starających się, wśród nich Anglika, Amerykanina i Chińczyka.

Anglik:

— Ależ kochanie, przez to właśnie jeszcze bardziej cię kocham.

Amerykanin:

— Przyjedź do Stanów, załatwię ci operację plastyczną.

Chińczyk:

— Chcę dziesięć procent zniżki.

Sonja, wyszkolona przez swoją matkę, wybrała oczywiście tego, który miał największe szanse na zrobienie majątku

jeszcze w tym życiu, i wyjechała do Szanghaju, żeby żyć długo i szczęśliwie z Chińczykiem. (To twój *system, farangu*). No i tak dalej. Każda z nich była taką kombinacją wychowania i naiwności, że nie potrafił się im oprzeć żaden chojrak — chyba że tego chojraka wspomagał jego Bóg. Młody ciemnolicy przybysz nie przestawał się wiercić na stołku i uśmiechać szyderczo od chwili, gdy zaczęły się schodzić dziewczęta. Sytuację ratuje, dzięki Buddzie, Australijczyk, który jak zwykle potyka się w progu i klnie.

8

Szczupły, żylasty, około trzydziestopięcioletni, na imię ma — a jakże — Greg i jest od dwóch miesięcy naszym regularnym gościem. Siada obok Ay, która natychmiast z wyćwiczoną biegłością zmienia pozycję na stołku, by móc zahaczyć nogą o udo Grega. On jakby tego nie zauważył.

— Daj mi fostersa, Sonchai. — Podrzuca głową. — Pić się chce w taką pogodę.

— Kup mi drinka — mówi Ay.

— Czy ja cię znam?

— Tak.

— To nalej jej, Sonchai.

Młody muzułmanin bacznie to obserwuje.

Ay wychyla teąuilę jednym haustem i ssie umoczoną w soli limonkę. Nikt nie wie, który to smagły koleś w sombrero nauczył nasze pracujące dziewczęta pić teąuilę (no dobra, to był chyba ten chiński przedsiębiorca), ale historia oceni ten akt marketingowego geniuszu z należną mu czcią.

— Zapłacisz bar? — pyta Ay, masując teraz członek Grega, który nabrzmiewa wyraźnie pod jego szortami. Śniady przybysz odwraca się zde gustowany i wbija wzrok w ścianę.

— Chodźmy do mojego hotelu, tam jest więcej miejsca —

mówi Greg. Wyciąga banknot pięćsetbahtowy i unosi go do światła. — A może jeszcze się napijemy, jak myślisz?

Ay z szybkością błyskawicy przechwytuje banknot i podaje go mnie. Unoszę brwi w niemym pytaniu do Grega.

— No, może faktycznie dziewczynka ma rację — mówi. — Zalałbym tylko pałę i zrobił z siebie później durnia. — Spo gląda na swój rozporek. — Rany boskie, Ay, co ty tam wyprawiasz, kiedy ja tu prowadzę z Sonchai intelektualną dyskusję?

Przy jego szczupłej budowie wypukłość jest dość wyraźnie widoczna i przyciąga uwagę innych dziewcząt — wszystkie chcą mierzyć obwód i sprawdzać twardość.

— Ale banan — rzuca Lalita wśród ochów i achów pozostających. — Tylko obchodź się z nią łagodnie.

Muzułmanin zaciska szczęki.

— A co ze mną? — pyta Greg. — Z biednym, małym Australijczykiem, zagubionym w tym waszym wielkim mieście?

— Nie miasto wielkie, tylko twój banan.

Greg wybucha śmiechem.

— Z wami nikt nie ma szans!

Zerka na muzulmanina, potem szuka swojego wzroku. Kręcę głową. Milczenie.

— Przebiore się — mówi Ay.

Przyglądamy się jej pośladkom w bikini, gdy kroczy przez bar na wysokich obcasach. Wszyscy, poza muzulmaninem. Atmosfera się zagęszcza.

„Przebieranie się” Ay polegało na szczęście na wskoczeniu w spódniczkę i koszulkę z krótkim rękawem. Wraca, a Greg płaci za jej drinki i grzywnę barową.

— Do zobaczenia — woła od drzwi.

Muzułmanin obserwuje ich wyjście ze skrajną pogardą w oczach.

Po chwili wpada do baru łysy olbrzym ze swoją bandą. Z punktu widzenia Allaha to raczej nie polepsza sytuacji.

— Hej, Sonchai, coś ty zrobił z muzyką, chłopie? Puszczasz jakieś nudy sprzed tysiąca lat!

Zmieniani na *Nights in White Satin* Moody Blues.

— No, już lepiej.

Zbieram siły, żeby jakoś sobie z nimi poradzić. Grupa zrobiła się bardziej sterowna, ale starców z tego plemienia trzeba pilnować na każdym kroku. Na szczęście przybywają kolejne dziewczyny — Marły, Kat, Pinung i reszta, aż w końcu jest po jednej dla każdego, a honor nakazuje im okazać admirację i męskość, więc mizdrzą się i ślinią do nich na całego. Dziewczyny, roześmiane, ledwie zdążyły się przebrać. Kiedy wracają, drinki już stoją na stolikach, a ja muszę zadzwonić i zamówić więcej tequila.

Wszyscy piją, poza mną i przybyszem, który wydyma usta. Poskładał już kartkę ze zdjęciem i zastanawiam się, po co w ogóle tu jeszcze siedzi, skoro starcy działają mu na nerwy. Martwię się, bo znów mam jeden z moich wglądów.

Muszę to wyjaśnić. Otóż mój najlepszy przyjaciel i duchowy brat Pichai zabił naszego handlarzayaa *baa*, kiedy byliśmy jeszcze nastolatkami. Nasze matki załatwiły nam wtedy roczny pobyt w klasztorze na północy, którego opat jest wielce poważanym mnichem i tak się składa, że również starszym bratem pułkownika Vikorna. Tak na marginesie, Pichai zginął w ubiegłym roku podczas tej sprawy z kobrami (op.cit.).

Dwanaście miesięcy intensywnej medytacji w tym leśnym klasztorze zmieniło nas obu w stopniu niemożliwym do pojęcia przez niepraktykujących. Od tamtego czasu miewam przebłycki wgląd w przeszłe żywoty innych osób. Czasami informacja jest przejrzysta i łatwo ją zinterpretować, ale najczęściej są to tylko krótkie fantasmagorie na temat wewnętrznych przeżyć tych ludzi. Ten muzułmanin to zupełnie inny przypadek, bardzo rzadki w Bangkoku. Jestem zaszokowany, gdyż wiem niemal na pewno, że spotkaliśmy się na słynnym uniwersytecie buddyjskim w Nalandzie w Indiach,

mniej więcej przed — drobnostka — siedmuset laty. Muszę przyznać, że nic nie stracił ze swego blasku. Kątem oka dostrzegam, że kładzie pieniądze pod pustą puszkę po coli i znika za drzwiami.

W mózgowicy łysego olbrzyma zapala się światełko — przypomina sobie, że Lalita uwielbia tańczyć.

— *Jailhouse Rock!* — ryczy.

Dziewczyny pamiętają poprzedni raz.

— Tak, tak, Sonchai, puść mu Elvisa.

Zaczynamy od *Blue Suede Shoes*, potem leci *Jailhouse Rock*, *Nothing but a Hound Dog* i cała reszta. Kilku starszych panów wybiera sobie partnerki do tańca. Klaszczemy do rytmu, pokrzykujemy. Łysy olbrzym obwieszcza na całe gardło, że każdy z nich przed półgodziną zażył viagrę. Wesołe piski dziewcząt; każda chce sprawdzić tajemniczą nabrzmiałość i wymienić się uwagami z jej właścicielem oraz kolegami. Wakacje starszych panów osiągnęły zenit atrakcyjności: „To się nazywa życie!” — mówi każda z tych rozradowanych pomarszczonych twarzy.

Wracam do miejsca, w którym siedział muzułmanin, i okazuje się, że zostawił dokładną kwotę za napój, a do tego kartkę z numerem telefonu i adresem oraz starannie złożoną fotografię ofiary Chanyi.

— *Jai dum* — komentuje Marły z marsową miną, mijając stołek, na którym siedział przybysz. Czarne serce.

Lecą już teraz spokojniejsze kawałki; Elvis śpiewa *Love me Tender* i emerytowani hipisi przytulają swoje partnerki, raczej wczepiając się w nie, niż je obejmując.

— Starzy ludzie — szepce do mnie Marły po tajsku. — Niedługo umrą.

9

Na początku tej *kalpy* wędrowało razem trzech ludzi: chrześcijanin, muzułmanin i buddysta. Byli dobrymi przyjaciółmi, a w dyskusjach o sprawach duchowych zgadzali się niemal we wszystkim. Kiedy jednak zwracali spojrzenie ku światu zewnętrznemu, odbierali go zupełnie inaczej. Pewnego dnia przekroczyli górską przełęcz i ujrzeli w dole żyzną, ludną dolinę.

— Jakie to dziwne — powiedział chrześcijanin. — W wiosce pierwszej wszyscy wieśniacy twardo śpią, tymczasem z wiosce drugiej zatracają się w ohydnej, grzesznej orgii.

— Mylisz się całkowicie — rzekł muzułmanin. — W wiosce pierwszej wszyscy pogrążeni są w stanie trwałej ekstazy, natomiast w wiosce drugiej wszyscy śpią.

— Jesteście idiotami — stwierdził buddysta. — Istnieje tylko jedna wioska i jedna społeczność jej mieszkańców. Wszyscy oni śnią na zmianę, że istnieją i nie istnieją.

10

Adres na kartce muzułmanina to apartamentowiec, kilka ulic od naszego baru, ale na razie nie mogę tam pójść, bo starsi panowie wciąż czekają, aż medyczny cud wyswobodzi ich z impotencji — a dziewczęta wykorzystują ten czas na przekonywanie swych coraz gorętszych adoratorów do stawiania kolejnych „damskich drinków”. (Bar dzieli się z nimi zyskiem po połowie i część dziewczyn woli zarabiać w ten sposób). Dziadkowie kolejno prowadzą swoje wybranki do pokoi na górze (kasujemy pięćset bahtów za dwie godziny) albo do swego hotelu.

Kartka przybysza i zdjęcie Mitcha Turnera tak mnie zaabsorbowały, że nie potrafię myśleć o niczym innym. Zegar na faksie pokazuje dziesięć minut przed północą, lecz postanawiam mimo to zadzwonić. Ktoś odbiera po pierwszym sygnale. Słowa powitania, w dialekcie z głębokiego południa, płyną cicho, niemal szeptem. To nie jest głos młodego muzułmanina; w tonie rozmówcy słychać moc i dojrzałość, to głos nawykły do władczości.

— Mówi...

— Wiemy, kto mówi — tamten przechodzi na standardowy tajski. — Liczyliśmy na to, że zechce nas pan zaszczyścić swymi odwiedzinami.

t

Milczę chwilę.

— Boję się — informuję.

— Rozumiem — odpowiada mężczyzna. Udaje mu się jako okazać współczucie przez telefon. — Jakie gwarancje uśmierzyłyby pańskie obawy? — Choć jest wyraźnie starszy ode mnie, używa form właściwych młodemu, gdy zwracają się do starych. Innymi słowy — wie, że jestem gliną. To interesujące i w tych okolicznościach niepokojąco subtelne. Czemu ogarnia mnie poczucie, że jest ode mnie przebiegłszy? — Czy chciałby pan przyjść z kolegą? Oczywiście może pan także poinformować pułkownika Vikorna. Nam to nie przeszkadza, choć wolelibyśmy tego uniknąć.

Czuję się, jakbym miał zawiązane oczy: następny krok to już przepaść czy nadal równy grunt? Odpowiadam po dłuższej chwili.

— Nie, nie trzeba. Zaraz przyjdę. Czy mam się udać pod ten adres z kartki?

— Tak, jeśli można prosić. I dziękuję panu.

Dzwonię do matki, żeby mnie zastąpiła w barze. Jest akurat w połowie ulubionego serialu (rodzina czarodziejów, która mieszka w jakimś tajemniczym obszarze ponad Ziemią i od czasu do czasu ingeruje w ziemskie sprawy, szczególnie w romans pary głównych bohaterów, ściganych ciągle przez kościotrupa — cenimy sobie bowiem realizm w rozrywce). Moje argumenty jednak do niej trafiają i po kwadransie zjawia się w kostiumie od Chanel, pachnąca dyskretnie perfumami Van Cleef & Arpels i obwieszona złotem. Dziewczęta zaczynają już wracać ze swych romantycznych schadzek i zaskoczone widokiem szefowej we własnej osobie za barem, składają jej głębokie, pełne szacunku *wai*.

Apartament jest blisko Soi Kauboi, przy Soi 23 i docieram tam piechotą w dziesięć minut. Ulica jest sławna ze swych restauracji, które zaspokajają wszelkie możliwe kulinarne gusty (wybrednych Francuzów, pulchnych Chińczyków, Wietnamczyków, Brytyjczyków, Niemców, Amerykanów,

Japończyków — nazywamy ją „ulicą zgłodniałych frajerów”). Po drodze często muszę schodzić z chodnika, żeby uniknąć zderzenia z romantycznymi parami, w większości składającymi się z białego mężczyzny w średnim wieku i dwudziestoparoletniej Tajki. (Nota kulturowa: przyjrzyj się bliżej, a zobaczysz, że dziewczyny starają się wysliznąć z objęć, pomimo tego, co wkrótce będą robiły albo niedawno robiły w intymnych warunkach. To kwestia twarzy, *farangu*).

Niezbyt okazałego budynku strzeże kilku ochroniarzy z kajdankami i pałkami u pasa. Dwóch siedzi przy prowizorycznym stoliku, grają w tajskie szachy kapsłami od butelek. Pokazuję im legitymację i wsiadam do windy.

Za zwyczajnymi drzwiami jest zupełnie inny świat. Osiem dywaników modlitewnych (wzory wyłącznie geometryczne, bogata kolorystyka w zieleniach i złocie) leży równolegle, pod dziwnym kątem do ścian. Wpuszcza mnie młody mężczyzna z baru i coś w jego zachowaniu kojarzy mi się z odwieczną tradycyjną arabską gościnnością (porzucił na razie swój surowy osąd i przeobraził się w łaskawego gospodarza). Składa mi *wai*, które odwzajemniam. Niepokoi mnie jednak druga osoba w pokoju, mężczyzna około sześćdziesiątki, w długiej szacie i mycce na głowie, który wstaje z krzesła, by złożyć mi *wai*. Odkłaniam się. *Wai* to coś więcej niż złożone dłonie przystawione do twarzy; to towarzyski semafor z całym alfabetem znaczeń. Powiem szczerze: każdy, kto kroczy duchową ścieżką, potrafi rozpoznać duchową rangę podobnych do siebie i ten tutaj imam natychmiast wywiera na mnie głębokie wrażenie. (Szczupły i prosty; w czarnych jak węgiel oczach jest głębia i ogień). Unoszę dłonie aż do czoła i przytrzymuję je przez chwilę. Ta forma wyrażenia czci wyraźnie przypada do gustu młodszemu z mężczyzn. (Zgodnie z zasadami buddyjski policjant nie musi okazywać takiej rewerencji muzułmaninowi z południa, nawet starszemu).

— Witaj przybyszu. Nasz dom jest twoim domem. —

Starzec wypowiada tradycyjne powitanie władczym szeptem, który już znam z telefonu. Daje znak głową młodszemu.

— Jestem Mustafa Jaema — mówi tamten — a to mój ojciec, imam Nusee Jaema.

Nie ukrywam zaskoczenia. Nusee Jaema, choć rzadko fotografowany, ostatnio często pojawia się w mediach jako umiarkowany głos dalekiego południa, szanowany zarówno przez swych muzułmańskich wyznawców, jak i przez buddystów. Niektórzy wierzą nawet, że sam jeden powstrzymuje rebelię, przynajmniej na razie. Wiem, że mieszka w mieście Songai Kolok.

— Jestem detektyw Sonchai Jitpleecheep — przedstawię się — ale wy przecież już to wiecie.

— Usiądźmy — proponuje imam i opada z gracją na jeden z dywaników, podkulając stopy. Jego syn i ja robimy to samo.

— Nie obawiaj się, proszę — mówi Mustafa.

Imam unosi rękę.

— Wybacz memu synowi, on myśli o tym Amerykaninie, Mitchu Turnerze. — Zwraca się do Mustafy: — Czcigodny detektyw nie czuje lęku. Ma przenikliwą intuicję, a poza tym jesteśmy tylko we trzech. — A potem do mnie: — Poprosiliś my pozostałych, żeby nas zostawili w spokoju. Obawiam się, że zbyt wielu muzułmanów w jednym pomieszczeniu może w dzisiejszych czasach wywołać u buddysty gęsią skórę. Czyż nie tak, detektywie? — Wzruszam ramionami. Obserwuje mnie przez chwilę. — Dziękuję Allahowi, że zesłał nam dzisiaj tego człowieka. — Jego syn rzuca mu szybkie spojrzenie. — Przejdźmy do rzeczy, jak lubią mówić Amerykanie. Dlaczego się tu znaleźliśmy? Dlaczego zaprosiliśmy cię do nas? Mustafo, opowiedz detektywowi o wszystkim.

W obecności ojca Mustafy zrobił się nieśmiały. Szuka słów.

— Jak wiesz, Songai Kolok leży na granicy z Malezją, gdzie produkuje się komponenty do połowy komputerów wytwarzanych na świecie. — Rzut oka na starca. — Pod-

słuchiwaliśmy tego Amerykanina. Śledziliśmy go aż do Bangkoku.

Imam wzdycha.

— Taka już jest natura młodych, że zaczynają od końca. Od początku, Mustafo, jeśli łaska.

Patrzę, jak młody człowiek zbiera się w sobie.

— Znaliśmy Mitcha Turnera — zaczyna. — Wszyscy w Songai Kolok go znali. Na tym polegał jego problem. I nasz także. — Niemal oczekuje, że ojciec znowu mu przerwie, lecz obaj tylko wbijają we mnie wzrok. Czy rozumiem? Czy jestem dość inteligentny? Na tyle, żeby mogli mi zaufać?

Starzec pokasłuje.

— Nie powinniśmy chyba zanudzać tak wnikliwego człowieka nieistotnymi szczegółami. Czy wystarczy, jeżeli powiem, że moi ludzie zwrócili mi uwagę na niego, gdy tylko pojawił się w mieście?

— Mój ojciec zorganizował siatkę wywiadowczą — oznajmia z dumą Mustafa. — To było konieczne.

— Domyśliliście się jego profesji — podsuwam. — I za pewne nie wszyscy w waszym miasteczku byli życzliwie usposobieni wobec *faranga* szpiega.

— No właśnie — odpowiada imam z ulgą w głosie. — Dla mnie i moich zwolenników był źródłem wielkiego niepokoju. Czy resztę odgadniesz sam?

— Wieść się rozeszła po okolicy, potem dotarła do Malezji, a może nawet dalej, do Indonezji?

Imam skłania nisko głowę.

— Nie mogę kontrolować wszystkich młodych ludzi w Azji Południowo-Wschodniej. Docierało do nas wiele próśb, część z nich uprzejmych, inne stanowiły zawołowane żądanie czy wręcz groźby...

— Mielicie pomóc go zlikwidować?

— Tak. A przy tej eskalacji przemocy w naszej części kraju, z czym władze próbują sobie radzić dosyć ostrymi środkami, coraz trudniej było go ochraniać.

— To wyście go ochraniali?

— No a któżby inny? — odpowiada posepnie. — Jego ludzie nie potrafią ochronić nawet swoich drapaczy chmur.

Zaskakuje mnie ta ostra ironia. Przyglądam się starcowi uważnie.

— Obawialiście się reakcji władz, gdyby został zamordowany?

— Bądźmy szczerzy, on był z CIA i wyglądał dokładnie tak, jak każdy z naszych młodych fanatyków wyobraża sobie aroganckiego amerykańskiego agresora. Gdyby zabito go na południu, Waszyngton natychmiast zacząłby wywierać presję na Tajlandię. Byliśmy przerażeni wizją internetowego ścięcia. Ciśnienie znów by wzrosło, represje również, i ten złowrogi krąg zaciskałby się dopóty, dopóki w końcu nie pozamykano by nas w obozach. Bardzo się tego obawiałem. Gdy wczoraj dotarła do nas wiadomość, że został zamordowany — nie tylko ty umiesz przekupić recepcjonistę, detektywie Sonchai — wiedziałem, że muszę przyjechać do Krung Thep i rozeznaczyć się w sytuacji.

Mój wzrok wędruje ku Mustafie: oto poważny, żarliwy młody człowiek, oddany swej misji bez wgłębiania się w kłopotliwe subtelnosci. Trudno bardziej się różnić niż on i jego ojciec. Starzec z łatwością czyta w moich myślach.

— O tak, mojego syna także kusi świat w czarno-białych barwach. Oczywiście każdy, kto wkracza do tego tunelu, jest przekonany, że stoi po stronie bieli. Czyż nie tak, Mustafie?

— Zawsze byłem ci posłuszny, ojcze.

— Posłuszeństwo bez zrozumienia. A kiedy umrę, czy nie zapomnisz mojej mądrości?

Mustafa odwraca wzrok, potem patrzy na mnie. Podziw dla ojca jest pewnie najbardziej ludzkim uczuciem tego surowego młodzieńca.

— Czy masz w ogóle pojęcie — mówi — jak bardzo większość muzułmanów pragnęła, żeby administracja Stanów Zjednoczonych nie wydurnała się i nie zachęcała do działa-

nia fundamentalistów? Sytuacja mojego ojca jest bardzo trudna.

— Czego ode mnie chcecie? — pytam. — Właściwie powinienem was zabrać na przesłuchanie, bo wygląda na to, że sporo wiecie na temat ofiary zbrodni.

Mustafa lekko sztywnieje, lecz jego ojca to nie porusza. W starych oczach pojawia się iskierka wesołości.

— To z pewnością popsułoby kamuflaż twojego pułkownika, nieprawdaż? Przecież sprawczynią jest jedna z waszych pracownic.

— Rozumiem. — Kiwam głową. — Chcecie mieć tylko pewność, że nikt nie oskarży muzułmanów?

— Czyż nie byłoby to rozwiązanie uczciwe i zgodne z prawdą?

Wolałbym grać w ulubioną grę każdego gliny, pod nazwą „Ja tu zadaję pytania”, ale działa tu impuls wyższego rzędu. Przyjmuję wyzwanie starego i patrzę mu prosto w oczy.

— Tak, byłoby — zgadzam się.

— A człowiek tak prawy jak ty chciałby mieć pewność, że sprawiedliwości stało się zadość?

Rozkładam z egzaltacją ręce.

— Przecież wiecie, że nie ode mnie to zależy.

— Twojego pułkownika znają w całym kraju — mówi Mustafa, poprawiając się na swoim dywaniku. — Jest wyjątkowo przebiegły. Jeżeli jego plan się nie powiedzie, z pewnością zacznie oskarżać nas. On nie wie, co to moralność.

— Jeśli tak zrobi, nic na to nie poradzę.

— Ale mógłbyś nas ostrzec — mówi Mustafa. — Żebyśmy zdążyli się przygotować.

Długie milczenie. Imam wpatruje się we mnie z niesłabnącą koncentracją.

— Chcemy, żebyś odwiedził nas na południu. — Wykonuje dziwny gest prawą dłonią, jakby głaskał jakieś niewidzialne stworzenie. — Musisz wiedzieć, że znaleźliśmy Turnera naprawdę dobrze. Przybył tutaj, żeby szpiegować muzuł-

manów, to oczywiste. Teraz nie żyje. Samo to już wystarczy Amerykanom za pretekst, żeby uprowadzić niektórych z moich ludzi na przesłuchanie gdzieś w nieznane, być może torturować, żeby zmarnować wiele lat życia niewinnym ojcom i mężom, od których zależy byt ich rodzin. Nie mogę po prostu czekać na to beczynn timer. — Przygląda mi się bacznie.

— Rozumiem. I po to właśnie przyjechaliście? Uważasz, że wystarczy się zjawić w Krung Thep, zwabić mnie tutaj i przeciągnąć na waszą stronę w imię Boga, w którego nie wierzę?

Stary imam się krzywi.

— Nie w imię Allaha. Wszystko jedno, jakim imieniem go nazwiesz. Rozumiem, że w języku twego proroka, Buddy, jesteś istotą przebudzoną. To nie pozwala ci się stać narzędziem poważnego skalania, które wielu ludzi może przypłacić życiem. Dla ciebie jest to niemożliwością. Nie zniósłbyś nawet myśli o tych niezliczonych żywotach w cierpieniu, które czekałyby cię zgodnie z zasadami twojej wiary. Chcemy, żebyś przyjechał do nas, do Songai Kolok; jestem pewien, że twój pułkownik nie będzie miał nic przeciwko temu. Nie długo zjawi się u was CIA i chyba przydałoby wam się trochę rozeznania, zgodzisz się ze mną?

— Ale co wy będziecie z tego mieli?

— Twoją uczciwość. Nam samym nie udało się przekonać Amerykanów, że nie tylko nie zabiliśmy pana Mitcha Turnera, ale wręcz staraliśmy się uratować mu życie. Co innego buddyjski policjant, który brał udział w śledztwie i sporządził pisemny raport...

— Którym można pomachać przed nosem mediom albo sędziemu?

Imam zaskakuje mnie szerokim uśmiechem.

— Czyż nie tak wygrywa się wojny w dzisiejszym świecie? I przecież nagromadzisz dzięki temu wiele zasług.

— Dużo wiesz o buddyzmie.

— Jestem Tajem. Moja matka była buddystką i nawróciła się dopiero pod naciskiem ojca. Nie jestem fanatykiem. Wykształceni duchowni wiedzą, że islam nie pojawił się nagle znikąd. Nosi ślady różnych wpływów, wśród nich bez wątpienia także buddyjskich i bramińskich. Jest najmłodszą z wielkich religii, dlatego postrzegamy go jako doskonałą ścieżkę duchową, równie starą jak sama ludzkość.

Któż by nie poczuł wzruszenia: chudy jak patyk starzec, który zapewne nienawidzi Bangkoku ze wszystkim, co on sobą reprezentuje, wybrał się wraz z synem i grupą uczniów na pielgrzymkę w poszukiwaniu pokoju. Porusza przenikliwość, z jaką rozumie polityczne implikacje śmierci Turnera. Naiwność, z jaką stawia wszystko na kartę pobieżnej oceny mojego charakteru. Ale na tym nie koniec.

— Powiedzcie mi dokładnie, jak blisko znaleźcie Mitcha Turnera? — pytam.

Mustafa patrzy na ojca. Spodziewali się tego pytania.

— Poprosiliśmy go, żeby wyjechał, tylko raz — odpowiada stary imam, wzdychając. — Niestety nasza wizyta w jego mieszkaniu przyniosła odwrotny efekt. Zachodnie umysły są dzikie i nieprzewidywalne, pozbawione środka ciężkości. Potem odwiedził mnie kilka razy i starałem się dać mu tyle pocieszenia, ile można dać niewiernemu. Wy, buddyści, macie swoją nirwanę, my mamy Allaha, nawet prawdziwi chrześcijanie mają coś w rodzaju duchowej ścieżki, choć naszpikowanej tymi ich dziecinnymi cudami. Ale co począć z takimi produktami kapitalizmu jak Turner? To są ludzkie dusze na zawsze zamknięte przed Bogiem. Słyszysz, jak krzyczą w udręce, nawet w chwili gdy spuszczają na nas bomby, ci młodzi ludzie nie mają pojęcia, kim są naprawdę. Myślą, że zabijają innych, a zabijają samych siebie. Ostrzegłem Turnera przed jego własnym pragnieniem śmierci, ale spora część jego tożsamości już została unicestwiona. Był chodzącym zbiorem artykułów z pierwszych stron gazet.

Zapadło drugie milczenie.

— Teraz lepiej to rozumiem — mówię w końcu. — Do chodzenie wykaże, że go znaliście, że cię odwiedzał, że mogliście go podsłuchiwać. Masz rację, nie wygląda to za dobrze.

— Jedź — nalega Mustafa z takim napięciem w głosie, że przez chwilę myślę, że mam jechać natychmiast. — Jedź do Songai Kolok. Wiemy, jaki jesteś: skomplikowany, ale szczerzy. Poważnie traktujesz swój buddyzm. Jeśli zawczasu napiszesz raport oczyszczający nas z podejrzeń, później trudno będzie komuś innemu go podważyć.

— Ale jak mam uzasadnić napisanie raportu, skoro sprawa jest już zamknięta?

— Twój pułkownik nie zdoła oszukać CIA — ciągnie zniecierpliwiony. — Oczywiście nie wiemy, jaką dokładnie spreparował przykrywkę, ale jest pewne, że to stek kłamstw. Amerykanie przyślą wkrótce agentów, a wszyscy wiedzą, jacy są nieuczciwi. Ludzie, którzy napadają na inne kraje pod fałszywymi pretekstami, nie cofną się przed niczym. Na Zachodzie jest wielu takich, którzy robią interesy na wojnach z islamem.

Kręcę głową, spoglądając to na jednego, to na drugiego.

— A więc teraz jest to także mój problem?

Może mi się przywidziało, ale przez usta starego imama chyba przemknął uśmiech.

11

Mam na uszach słuchawki i słucham Radia Korek, zastanawiając się jednocześnie, co zrobić z czcigodnym imamem i jego synem. Jestem bliski zatelefonowania do Vikorna, który polecił na kilka dni do swego domu w Chiang Mai. Podtekst: żeby побыć trochę z czwartą *mia noi*, czyli żoną, zwawą młodą kobietą, która nie daje sobie wciskać bzdur i nie chce też urodzić staremu gangsterowi dzieci — to wręcz rewolucja, z jaką Vikorn nie miał do czynienia jeszcze nigdy w życiu. Wracam myślą do Pisita, który trajkoce mi do ucha, jacy to my, Tajowie, wciąż jesteśmy zabobonni. Wyładowuje swą furię na *moordu*, zawodowym jasnowidzu i astrologu, którego ma wyraźnie w głębokiej pogardzie.

Pisit: Weźmy na przykład ten najnowszy pęd do kupowania przepowiedni wyników totolotka.

Jasnowidz: Tak?

Pisit: Przecież to jest żalosne. Tajowie wydają więcej na te ulotki, których pełno w każdym kiosku, niż na pornografię.

Jasnowidz: Czy chodzi panu o to, że pornografia to jakaś wyższa kategoria zabobonu?

Pisit: Chodzi mi o to, że pornografia w ogóle nie jest zabobonem. W innych krajach kioski zarabiają na uczciwej ludz-

kiej chuci, a nie na bzdurach rodem ze średniowiecza. Czy pan się jakoś udziela w tych przepowiedniach?

Jasnowidz: Nie, nie mam odpowiednich kwalifikacji.

Pisit: Ohoho, to w pańskiej profesji istnieje nawet specjalizacja w przepowiadaniu wygranych numerów totolotka?

Jasnowidz: Tak, można tak powiedzieć.

Pisit: A czy może nam pan zdradzić, jaki jest współczynnik trafności tych wróżb?

Jasnowidz: To zależy. Niektórzy uzyskują wysoki stopień dokładności, potrafią zwiększyć szansę na wygraną nawet o pięćdziesiąt procent.

Pisit: I wystarczy w tym celu popatrzeć w kryształową kulę?

Jasnowidz: No nie całkiem. Po prostu daje się łapówkę operatorowi loterii, a potem zarabia się na sprzedaży tych informacji wydawcom ulotek. Na użytek publiczności trzeba to podać w formie średniowiecznych bzdur, jak pan to ujął, i regulować odsetek trafień, inaczej ktoś mógłby nabrać podejrzeń. To dużo mniej ryzykowne niż przekupienie operatora i natychmiastowa wygrana kilka dni później. W taki sposób wpadło już wielu.

W końcu zbieram się na odwagę i dzwonię do Vikorna, który nie znosi, gdy mu się w jego azylu zawraca głowę sprawami służbowymi. Słucha mnie jednak uważnie i słyszę zmianę w jego głosie, gdy pyta:

— Nusee Jaema naprawdę się w to zaangażował?

— Tak. Zna go pan?

— Oczywiście. To najbardziej wpływowy imam wśród tych umiarkowanych. Stworzył siatkę, którą kieruje jego syn. Na dobrą sprawę to spacer po linie — jeżeli będzie wspólnie pracował z nami, jego ludzie mogą to uznać za zdradę; jeśli nie będzie, może zostać potraktowany jako wichrzyciel.

— Co to za siatka?

— Informacyjna. Jedź tam, Sonchai, zorientuj się co i jak.

Wydawałoby się, że to nic takiego, po prostu podróż na pograżone w ciemności południe. Jednak gdy rano wracam do baru, mój niepokój wzbudza — nie po raz pierwszy — e-mail, który znajduję w swojej skrzynce:

Michael James Smith, urodzony w Queens, Nowy Jork. Ubezpieczenie numer 873 97 4506; zawód: prawnik; stan cywilny: rozwiedziony (pięciokrotnie); dzieci: troje; sytuacja materialna: zamożny; karalność: niekarany, kilkakrotnie uniknął skazania za nadużywanie środków odurzających, dzięki pomocy drogiego adwokata. Służba wojskowa: udział w wojnie w Indochinach, 1969-70, w randze majora; odznaczony (Brązowa Gwiazda i Purpurowe Serce). W marcu/kwietniu 1988 prawdopodobnie odbył detoks z powodu alkoholizmu. Aktywny członek organizacji „Weterani przeciwko wojnie”.

E-mail przysłała mi niejaka Kimberly Jones, agentka specjalna FBI, która współpracowała ze mną przy sprawie z kobrai. Nadal cieszę się karmiczną nagrodą, która spotyka mnie za odmowę pójścia z nią do łóżka (pomimo całej kampanii pogroźek, przekupstwa, pochlebstw i awantur z jej strony). Nagroda polega na tym, że Kimberly została moją dozgonną przyjaciółką. (Natomiast karmiczną cenę też nadal płacę, gdyż ona wcale nie zrezygnowała i ten e-mail jest jednym z nielicznych wolnych od seksualnych aluzji, od deklaracji nieustającego pożądania oraz od legendarnej furii, właściwej odrzuconym kobietom). Jestem teraz jej dłużnikiem, Kimberly bowiem nabrała tajskich zwyczajów do tego stopnia, że stawia własne uczucia ponad abstrakcyjnym służbowym obowiązkiem i wykorzystała właśnie bazę danych FBI, by zdobyć dla mnie nielegalnie te cenne dane Michaela Jamesa Smitha, prawnika, weterana Wietnamu i byłego klienta tajskich prostytutek (w każdym razie na pewno jednej, co najmniej raz) i ojca co najmniej czwórki dzieci, nie trójki. Moja komórka dzwoni jeszcze w trakcie czytania.

— Dostałeś?
— Tak.
— Właśnie czytasz, prawda?
— Tak. Skąd wiedziałaś?
— Miłosna intuicja. I jak się czujesz?
— Jestem przerażony.
— Perspektywą kontaktu?
— Nie wiem.
— Powiesz mamie?
— Nie wiem.
— To ja się tyle napracowałam, ryzykując własną karierę, tylko po to, żebyś mógł wyprawić te swoje tajskie brewerie i rozmyślać o tym przez następne trzy życia?
— Chcę ci podziękować. Zrobiłaś dla mnie coś, czego nikt inny by nie zrobił.
— Podziękuj mi swoim ciałem, jak tam następnym razem przyjadę.
— Dobrze.
Milczenie.
— Czy to znaczyło „tak”?
— Tak. Jak mógłbym odmówić?
— Ale przecież nie chcesz.
— Nie bądźże *takim farangiem*. Mam dług, więc go spłcę, a ty będziesz miała przyjemność.
— Przynikasz? — pyta szeptem.
— Przynikam.
— Czy ty masz w ogóle pojęcie, jak mnie to podnieciło? I jak ja teraz mam zasnąć?
— Dzięki.
— Rozłączam się, Sonchai. Coś mi się dzieje z głową, nie wiem co.
— Możesz powiedzieć: z sercem.
— Masz rację. Z sercem. Powiedziałam. Cześć.
Rozłącza się, a ja zostaję sam na sam z Michałem Jamesem Smithem, Supermanem, który pewnej pięknej nocy

przyjechał z wojny, by znaleźć swoje przeznaczenie czekające na niego za barem w Pat Pong. Człowiekiem, którego mitologizowałem na długo przed poznaniem jego nazwiska. Gnojkiem, którego bękartem jestem ja.

To szok, że on się rzeczywiście nazywa Mikę Smith. Wyciągnąłem to z matki po trzydziestu latach żebrania i marudzenia, ale byłem wtedy pewien, że kłamie. Kimberly musiało wystarczyć nazwisko, Wietnam i przybliżony wiek, plus jeszcze prawdopodobieństwo, że został prawnikiem i urodził się w Queens. Wcałe jej o to nie prosiłem, widocznie rozmyślała nad tym od kilku miesięcy i w końcu zdecydowała się zaryzykować. W kraju *farangów* to chyba wiele znaczy, prawda?

I co teraz? Gdy zastanawiam się nad tym nurtującym mnie pytaniem, przychodzi kolejny e-mail. Znów od Kimberly.

Trochę mnie zaskoczyłeś. Chyba tak naprawdę nie zdawałam sobie sprawy, ile to dla ciebie znaczy. Nie napisałam ci wszystkiego, ale skoro mamy zostać kochankami, muszę ci ujawnić tę ostatnią rzecz. Bądź ostrożny i staraj się zacierać ślady: mikesmith@GravelSpearsandBailey.com.

Ach, ta natychmiastowość współczesnych środków komunikacji! Chyba wolałbym żyć w epoce żaglowców, gdy listy wędrowały z kontynentu na kontynent całymi miesiącami i można było spokojnie umrzeć na cholera albo udar, zanim się człowiek dowiedział, jak korespondent na drugim końcu świata potraktował jego serce. No, ale mamy dwudziesty pierwszy wiek, a kiedy wejdiesz między wrony, musisz krakać jak i one. Kilka kliknięć i mam na ekranie naszą standardową reklamówkę Old Man's Club. Dopisuję tylko u dołu „Pozdrowienia od Nong Jitpleecheep i twego kochającego syna Sonchai” i puszczam to do supermana alias mego biologicznego ojca. Jest to zapewne wiadomość z rodzaju tych, których mężczyzna w średnim wieku, mający

wiele tajemnic, z pewnością wolałby nie otrzymywać w porannej poczcie. Pewnie się nigdy do nas nie odezwie.

Dzwonię do matki i mówię jej o e-mailu od Kimberly, nie wyjawiając na razie, że właśnie zrobiłem nieodwracalny krok i już do niego napisałem.

Długo milczy, w końcu szepcze:

— Ona naprawdę wydobyla te dane z FBI?

— Tak.

— Sonchai, minęły trzydzieści trzy lata. Ja nie wiem, czy to udźwignę. — Stłumiony dźwięk, który może oznaczać wszystko... ale chyba nie niekontrolowany szloch? A jednak nagle odkłada słuchawkę, a to do niej niepodobne.

Znowu zostałem z nim sam na sam. Bohater i opój, uznany prawnik, kiepski mąż, nieobecny ojciec (w każdym razie w moim przypadku). Zagubiona dusza?

Znowu dzwoni moja komórka.

— Czy możesz mi powiedzieć, co właściwie zamierzasz z tym zrobić?

Przyznaję się, że wysłałem supermanowi jej internetową wersję „Witaj Żeglarzu” z naszym nazwiskiem w dopisku. Westchnienie.

— Zgubiłeś swojego magicznego zółwia czy co, Sonchai? Mogłeś to skonsultować ze mną. Już w ogóle mnie nie szanujesz?

— On jest moim ojcem.

Znów rzuca słuchawką, a ja wzruszam ramionami. Dzwonię do Bangkok Airways i dowiaduję się, że jest dziewięć lotów dziennie do Hat Yai i tylko dwa tygodniowo do Songai Kolok. Rezerwuję bilet do Hat Yai.

12

Dla Państwa wiadomości:

W luźnym tłumaczeniu pełna nazwa naszej stolicy brzmi:
„Wielkie miasto aniołów, zbiornica boskich klejnotów, niezdo-
bryta wielka kraina, wspaniałe i sławne królestwo, królew-
ska i zachwycająca stolica dziewięciu szlacheńskich klejnotów,
najwyższa monarsza siedziba i znamienity pałac, boskie
schronienie i miejsce, w którym żyją inkarnowane dusze.

Fonetycznie idzie to tak: *Krung Thep mahanakhon bowon
rattanakosin mahintara ayuthaya mahadilok popnopparat
ratchathani burirrom-udomratchaniwet mahasathan amonpi-
man-avatansathrisakkathatityavisnukamprasit.*

W ogóle nie ma w tym słowa „Bangkok”.



Południe

13

Podczas lotu na południe siedzę obok dwóch młodych seksturystów, którzy zaśmiewają się z dobrze mi znanych sytuacji.

— Więc zapłaciłem jej grzywnę barową i zabrałem ją do hotelu na całą noc, a rano, jak poszedłem do kibla, *wyobrażasztosobie*, zobaczyłem, że ona kuciała na sedesie, bo były ślady stóp na desce.

Ta akurat historia zawsze mnie irytuje. Ilustruje przepaść kulturową, ale nie dlatego, że dziewczęta kucają, tylko dlatego, że *farangom* wydaje się to takie ważne i szokujące. Coś mi się widzi, że kibel jest w centrum uwagi ludzi Zachodu, tak jak u nas Budda, co? Nie mogłem się powstrzymać i wtrąciłem się do rozmowy.

— Ostatnie badania wykazały, że ludzie, którzy robią to w kucki, chorują na raka okrężnicy rzadziej albo wcale — mówię do młodego kolesia koło mnie (przepaska na głowie, ćwiek w nosie, szorty trzy czwarte, koszulka).

— Naprawdę? — Śle mi zdumione spojrzenie.

— No pewnie; wy tam wszyscy też niedługo będziecie kucać. Trochę to potrwa, zanim się przyzwyczaiacie, będzie kucanie zbiorowe, każdy będzie musiał przejść specjalny kurs, ukażą się ilustrowane poradniki „Nauka kucania

srebrnosiwą bawół o drugich rogach, nagie dzieci bawią się w strumieniu, zieleń trawy kojarzy się ze stołem bilardowym, na wodnistych polach pokazują się pierwsze kielki drugiego zbioru ryżu w tym roku; wszystko zwija się od skwaru. Na południe od Hat Yai krajobraz zmienia się drastycznie, lecz nie ze względu na geografę. Nagle pracujące na polach kobiety mają na głowie muzułmańskie chusty i noszą długie spódnice. Wiele jest w czerni od stóp do głów. W naturze naszych kobiet nie leży zakrywanie twarzy ani pruderia, ale wniosek jest jednoznaczny: to inny kraj. Mężczyźni także noszą muzułmańskie nakrycia głowy — albo mycki, tak bardzo przypominające jarmułki ich hebrajskich braci, albo

w weekend", w talk-show zaproszeni goście będą to demonstrować na żywo, roześle się misjonarzy do innych krajów...

— Eee?

Czyż uniwersalna edukacja nie jest czymś wspaniałym? Odwracam głowę, żeby popatrzeć przez okno na nieważkie białe kłaczki na niebieskim niebie, wciąż poirytowany, a po chwili przypomina mi się monsieur Truffaut, który w latach mojej młodości wynajął matkę na kilka miesięcy i zabrał nas do Paryża. W jego mieszkaniu w *cinquieme arrondissement* była właśnie kucana ubikacja i matka bardzo za to szanowała i jego, i Francuzów w ogóle. Oboje wolimy kucanie i jeśli chcesz wiedzieć, *farangu*, nigdy w życiu nie mieliśmy żadnych zaburzeń jelitowych.

W Hat Yai biorę taksówkę na dworzec kolejowy.

Pociąg: nasz tabor kupiliśmy chyba od Brytyjczyków w okresie rozkwitu imperium. Wyobrażam sobie, jak jakiś Anglik z epoki edwardiańskiej, w samodzielnym ubraniu, siedzi gdzieś w Midlands i kalkuluje, że jeśli zrezygnuje z tapicerki, będzie mógł upchnąć więcej tubylców na jednym siedzeniu. Po półgodzinie listwy ławki wrzynają mi się w tyłek, który na pewno przypomina teraz furtkę.

Sceneria: małe czarne ptaszki o kształcie skrzypiec śpiewają unisono na drutach telegraficznych, przez pole brnie

(zwyczajne czarne półbuty, czarne spodnie i biała koszula, jak zwykle). Spaceruję po mieście i wczuwam się w atmosferę. Najbardziej podoba mi się komenda policji. To okazały, nawet majestatyczny budynek otoczony murem, do którego od zewnętrznej strony przylepiło się ze trzysta bambusowych chatek, a w każdej siedzi jedna albo dwie dziewczyny. Te chatki to nie burdele, bo są na to za małe. Dziewczęta udają, że sprzedają jedzenie i napoje, niektóre mają nawet małe lodówki z piwem, ale jest jasne, o co tu naprawdę chodzi. Większość dziewczyn to nie miejscowe muzułmanki, raczej buddystki z całej Tajlandii, szczególnie z ubogiej północy, które zdecydowały się zagospodarować tę niszę rynkową.

89

te chusty w kształcie odwróconej doniczki, przylegające do głowy. Jest wczesny wieczór, tuż przed zachodem słońca i krzyki niewidzialnych muezinów wzywających wiernych do niewidzialnych wiejskich meczetów naprzykrzają się w nadciągającym zmierzchu. Mam duszę na ramieniu i to się tak szybko nie zmieni, bo tutaj może się zdarzyć wszystko.

Pociąg dojeżdża do Songai Kolok już o zmroku. Instykt mi podpowiada, żeby przed spotkaniem z Mustafą rozejrzeć się po mieście.

Wygląda na to, że co drugi dom oferuje pokoje do wynajęcia. Bawię się chwilę pomysłem, żeby wziąć kwatery w którymś z bardziej ruderowatych, przez pamięć o dawnych czasach (mógłbym napisać encyklopedię melin, w jakich przemieszkivaliśmy z Nong za oceanem, gdy wędrowała od klienta do klienta), ale rezygnuję z tego. Będę miał przecież na karku muzułmańskiego przewodnika, wybieram więc hotel, który wygląda na największy i najlepszy. Nazwę, Gracious Palace, wypisano po tajsku, malajsku i angielsku, a hotel jest wielki, drogi, obskurny, zbyt jasno oświetlony i kiepski, wszystko w jednym. W recepcji wręczają mi ręczniki, mydło i trzy kondomy. Przynajmniej nie można powiedzieć, żeby lekceważyli AIDS.

Pół godziny później jestem już po prysznicu i przebrany

Nie zarabiają tutaj tyle, co na rynku *farangów* w Bangkoku, ale interes jest pewniejszy. Co weekend i niemal w każdy inny dzień tygodnia przekraczają granicę hordy pobożnych młodych muzułmanów z Malezji, pozostawiając swą pobożność po tamtej stronie. Przybywają drogimi jeepami z napędem na cztery koła, na tanich motocyklach Hondy, autobusami i furgonetkami. Niektórzy nawet na rowerach albo pieszo. W tej chwili na przykład miasto jest ich pełne. Dziewczeta nauczyły się malajskiego i przyjmują zapłatę w ringgitach. Młodzi mężczyźni siedzą lub stoją w każdej z chatek, pomrukując z zadowolenia, podczas gdy kobiety roztaczają przed nimi swe wdzięki. W pewnym sensie są bardziej cywilizowani od *farangów*. Nie przyjeżdżają tylko w celach łóżkowych — chcą pełnej rozpusty, włącznie z alkoholem i dyskoteką z karaoke w przepastnej hali. Pora na seks przychodzi na sam koniec, jeśli są jeszcze dość trzeźwi.

Okiem profesjonalisty dostrzegam elegancką piękność; zazwyczaj nie widuje się takich poza Krung Thep. Taksuje mnie, mrużąc nieznacznie oczy, widzi ubranie w tajskim stylu i odrzuca jako źródło zarobku. To, że taka kobieta pracuje w takim miejscu, wiele mi mówi. Choć nie tak wiele jak sama komenda policji. Nikt obeznany z Azją nie będzie wątpił w to, że tutejsi gliniarze biorą od dziewcząt dolę od każdej chatki ustawionej pod policyjnym murem.

W miarę spaceru zaczynam się orientować coraz lepiej. Handel ciałem jest wszechobecny, opiera się na nim cała gospodarka miasta; poza tym tak naprawdę niczego tu nie ma. Myślę o Mustafie, o tym, jaki to dla niego afront, jaka tortura dla jego czystej duszy, gdy chodzi po tym mieście dzień po dniu. W każdym hotelowym holu, w każdej kafejce, restauracji, na każdym rogu, widać grupki kobiet między dwudziestką a trzydziestką. Ich spojrzenia zazwyczaj mnie omijają, ponieważ wyspecjalizowały się w Malajach; w większości jednak wydają się podatne na perswazję (gdybym zmiękł). Miasto zupełnie nie wygląda na kolebkę muzuł-

mańskiego fanatyzmu; myślę, że kaznodziejów z Al-Kaidy po prostu by tutaj wyśmiano i nawet sam Mahomet nie namówiłby miejscowych do dżihadu — ponieważ oni już są w muzułmańskim niebie.

Próbuję wyobrazić sobie *faranga*, Mitcha Turnera, kręcącego się po tym mieście przez wiele miesięcy z rzędu. Wygląda na to, że bryknął stąd na Soi Kauboi co najmniej raz. Rozumiem go, bo miasto jest małe i klaustrofobiczne, a jedyną rozrywkę zapewniają prostytutki.

Kątem oka dostrzegam młodego muzułmanina, który wyciąga telefon komórkowy i coś do niego mówi. Czy przywiódziało mi się, że mimowolnie ruszył podbródkiem w moją stronę? Dzwonię ze swojej komórki do Mustafy: zajęte. Dla prawidłowo wyszkolonego policjanta nie byłby to żaden dowód, ale dla kierującego się intuicją gliny z Trzeciego Świata sprawa jest niemal pewna.

Gdy młody człowiek chowa telefon, dzwonię do Mustafy ponownie: linia jest wolna.

— Sonchai, gdzie jesteś?

— Przecież wiesz.

Pauza.

— Zaraz tam będę.

Zjawia się po kwadransie, piechotą. Zaczynam go teraz postrzegać w kontekście, w jego kontekście — młodego, poważnego muzułmanina. Chcę zaobserwować, jak reaguje na prostytutki, na których opiera się gospodarka miasta: to jego miasto i jego gospodarka. Ale on niemal ich nie zauważa. Wyobraźnię zaprzęta mu misja. Idzie, wysoki i wyprostowany jak ojciec, patrząc ponuro przed siebie. Trudno odmówić piękna jego oddaniu dla Allaha — żaden poważny mediator temu nie zaprzeczy — nam jednak Budda dał Środkową Drogę, a w drodze Mustafy nie widać złotego środka. Gdyby nie powściągnęła go ręka ojca, wyczyściłby to miasto jedną bombą, nawet się nad tym nie zastanawiając. Nie składamy sobie *wai*, pod nieobecność starego imama

zachowujemy wzajemną neutralność, jak połączeni chwilowo wspólnym celem wrogowie, którzy potem znów wrócą do odwiecznej waśni.

— Mam klucz — mówi, nie patrząc na mnie, i sięga do kieszeni.

— Nie na ulicy, Mustafo — ostrzegam. Prowadzę go do kawiarni, gdzie zamawiam 7-Up, a on pije wodę. Czuje się tutaj źle, chociaż w kafejce nie podają alkoholu. Myślę, że czułby się źle w każdym miejscu, którego celem jest podsyć wzajemnej sympatii między ludźmi. Widzę to w dręcząco niejasnej i nieuchwytniej wizji sprzed wielu stuleci: nawet wtedy ograniczała go ta sama sztywność poglądów, swego rodzaju tunelowa wizja. Buddyzm już wtedy był dla niego zbyt subtelny i pozostało tak do dziś. Dla przebudzonego umysłu Buddy każde pragnienie jest obmierzłym wypaczeniem, nawet pragnienie Boga. Mustafa to jedna z tych trawionych pasją dusz, jakby stworzonych specjalnie dla islamu, religii wojny.

— Rozluźnij się — radzę mu. — Otwórz umysł. Potrzebuję informacji.

— Jakich informacji? — Jest spłoszony, przybiera postawę obronną. Uważa, że nasze spotkanie ma określony początek, środek i koniec. Nie ma nawet pojęcia, jak bardzo zachodnie jest takie osobliwie ciasne spojrzenie na rzeczywistość.

— Na przykład adres.

Mruży oczy.

— Chciałem ci pokazać, ale uparłeś się, żeby przyjść tutaj.

— W porządku. Za moment mi pokażesz, gdzie mieszkał Mitch Turner. Ale to przyszłość, Mustafo. Pozostańmy w teraźniejszości. Podoba ci się to miejsce?

Rozgląda się, wzrusza ramionami.

— Kafejka jakich wiele.

Nie potrafię przeniknąć jego myśli. Ale byłem kiedyś jego nauczycielem i kochał mnie z taką samą pasją, zawzięcie i ślepo.

— Powiem ci coś, Mustafo: jesteś rewelacyjny w tym, co robisz. Naprawdę nie jest tak łatwo, nawet w tak małym mieście jak to, śledzić kogoś i wiedzieć, gdzie jest w każdym momencie. Ale twoi ludzie deptali mi po piętach od samego przyjazdu i nie zauważyłem tego, dopóki jeden nie wyciągnął komórki, a nawet wtedy to było tylko przeczucie.

— I co z tego? Mój ojciec musi wiedzieć, co się dzieje; mówiłem ci o tym już w Krung Thep. To jego siatka, nie moja. On twierdzi... — Przerzywa, bojąc się powiedzieć zbyt wiele.

— Co takiego? Powiedz.

— Twierdzi, że nie ma w dzisiejszym świecie większego zagrożenia niż umiarkowani muzułmanie. Fanatycy nienawidzą nas, bo uważają nas za heretyków i tchórze, a Zachód nienawidzi nas za to, że mamy moralność, którą on dawno utracił — wielu *farangów* nawraca się na islam, szczególnie w Ameryce. Muszę chronić ojca.

— A więc kierujesz siatką, którą on zmontował?

— Tak.

— No to prawdopodobnie nikt na świecie nie wie o Mitchu Turnerze więcej od ciebie. W każdym razie o tym Turnerze, który mieszkał w Songai Kolok przez ileś tam miesięcy.

— Ponad osiem. — Chwyta moje spojrzenie i pozwala sobie na cień uśmiechu. — Osiem miesięcy i dwa tygodnie.

— I twoi ludzie wszędzie za nim chodzili, prawda?

— Słyszałeś, co mówił ojciec, staraliśmy się utrzymać go przy życiu. Musieliśmy mieć go na oku przez cały czas, inaczej się nie dało.

— Wiedział o tym?

Przeczący ruch głową.

— Był wyjątkowo głupi. — Spogląda mi w oczy. — Nie, to nieodpowiednie słowa, ale był typowym *farangiem*, zagubionym, pomieszany, ciągniętym w tysiąc kierunków naraz, jak człowiek opętany przez demony. Tak go absorbowala

własna osoba, że prawie nie dostrzegał świata na zewnątrz. Mógłbym puścić za nim dziesięciu ludzi i nadal niczego by nie zauważył. Jak to *farang*, myślał, że tylko on jeden zajmuje się szpiegowaniem. Po pierwszym miesiącu zszedł na manowce. Z Bangkoku przyjeżdżała do niego dziwka, zaczął brać narkotyki. Miał kiepski czas, zdawało mu się, że się nawraca, wtedy właśnie odwiedził mojego ojca. Ale to była tylko taka zachodnia psychoza. Czemu *farangom* się wydaje, że Bóg kocha wariatów? Allah kocha ludzi ze stali!

— Dziwka? Znasz nazwisko?

— Nie. Nie zdążyliśmy się dowiedzieć, nigdy nie zostawała dłużej.

— Nie zrobiliście zdjęcia?

— Nie.

— Dlaczego?

— Nie było potrzeby. Miał jej zdjęcie w swoim pokoju. Gdybyś się nie upierał przy tej kawiarni, już mógłbyś na nie patrzeć.

Och, Mustafu, mam ochotę powiedzieć, nic a nic się nie zmieniłeś.

— Przeszukiwaliście regularnie jego mieszkanie?

— Nieregularnie. — Pytanie trochę go spłoszyło.

— Posłuchaj, Mustafu — mówię. Patrzy mi w oczy. — Jeśli mam przeprowadzić porządne śledztwo i sporządzić przekonujący raport, musisz mi powiedzieć o wszystkim.

— Jeden z naszych fachowców od elektroniki z tamtej strony granicy dał nam takie urządzenie, które rejestrowało uderzenia w klawisze jego komputera — odpowiada z wahaniem. — Musieliśmy się oczywiście dostać do jego mieszkania, żeby je zamontować, a potem usunąć.

Z trudem powściągam uśmiech i pewną ulgę sprawia mi cień uśmiechu również na jego twarzy. Jednak natychmiast się opanowuje.

Mówię dalej, nie przestając uśmiechać się z podziwem:

— I to urządzenie zapisało, w które klawisze uderzał na

początku, za każdym razem gdy wchodził do sieci, tak? Dlatego zamontowaliście je tylko na krótko. Dostaliście się do bazy danych CIA?

— Nie na wszystkich poziomach. Po wejściu jest jeszcze kilka stopni dostępu. Nie wyszliśmy poza poziom plotek. — Spozrzega moje uniesione brwi. — Tak to nazwaliśmy, bo tym się właśnie zajmowali. Kompletne bzdury, oni uwielbiają gadać o takich pierdołach.

Zamierzałem zaczekać z oglądaniem mieszkania Turnera do rana, ale w tym mieście poza pójściem z kimś do łóżka niewiele jest do roboty, a poza tym sprawa zaczęła mnie wciągać. Myślę o moim wielkim, lecz syfiastym hotelu i postanawiam trzymać się Mustafy.

Okazuje się, że mieszkanie Turnera jest tuż za rogiem; mieści się w pięciopiętrowym domu niedaleko komisariatu. Kiedy tam wchodzimy, portier, który mieszka i pracuje w niewielkim pokoju z łóżkiem, telewizorem i widokiem na drzwi frontowe, na widok Mustafy odwraca z posępną miną głowę.

— Buddysta. Jeden z waszych — wyjaśnia Mustafa.

— Zastraszylesz go, żeby dał klucz?

— Nic mu nie zrobiłem. — Milczy chwilę. — Nie musiałem.

Gdy docieramy na ostatnie piętro, ciężko dyszę i ociekam potem w nocnej duchocie. Mustafy ta wspinaczka w ogóle nie zmęczyła. Po wejściu do mieszkania natychmiast uderza mnie widok z okna na budynek policji z jego ogrodzeniem, pod którym jest aż gęsto od młodych mężczyzn i kobiet. Dochodzi stamtąd kakofonia dźwięków, jakie wydają setki tanich odtwarzaczy, wyrzucających z siebie mieszankę tajskiego i malajskiego popu.

Zerkam na Mustafę, który wskazuje głową sypialnię. Najpierw spostrzegam stosik książek, a po chwili — tak, jest tutaj — na honorowym miejscu obok łóżka, w srebrnej ramce: fotografia Chanyi.

Zrobione chyba w Stanach, bo dziewczyna ma na sobie puchową kurtkę i wygląda na tak zziębniętą, jak tylko może być Tajka przy tych północnych temperaturach. Wygląda jednak na dość szczęśliwą, a ten jej niesamowity uśmiech rozświetla wszystko. Chociaż pod kurtką nie widać jej figury, jest oczywiste, że w oko kamery patrzy wyjątkowo atrakcyjna kobieta. Jak się tak zastanowić, to fotografia ma w sobie coś niezwykłego. Myślę, że zrobił ją człowiek zakochany.

Cóż za niesamowitych ćwiczeń percepcji doświadczam, zupełnie jak z podręcznika buddysty. Odtwarzam w myśli tę chwilę, kiedy Chanya poderwała w barze posepnego, tępego ciężarowca szlajającego się z dziwkami i podstawiam w jego miejsce inteligentnego, wykształconego, wrażliwego mężczyznę, który już ją znał i najwyraźniej adorował. „Jestem strasznie samotny — powiedział jej. — Pięknie dziś wyglądasz”. Dlaczego więc go zabiła? Dlaczego tak okaleczyła, obdarła ze skóry? Spoglądam w oczy Mustafy, ale zaszły mgłą. Nic go nie obchodzi miłosne życie *faranga*. Zastanawiam się, co robi w tych wilgotnych momentach, których doświadczają przecież nawet fanatycy. Czy oni wszyscy odrzucają te doznania, czekając na raj?

— Wiesz, kim ona jest? — pytam go.

Wzrusza ramionami. Jakie to ma znaczenie? Po prostu jakaś dziwka z miasta, obchodząca go tyle co zeszłoroczny śnieg. Nie jest częścią wojny, którą toczy. Pozwalam sobie na luksus przyglądania się przez chwilę jej twarzy (ten uśmiech) — nie ma mowy, żeby Mustafa wejrzał w moje serce, które, przyznaję, odrobinę się ścisnęło. Otwieram ramkę, wydaję fotografię i chowam ją do kieszeni.

Skoro nie mogę rozwiązać tajemnicy zdjęcia, oglądam książki na nocnym stoliku. *Przygody Hucka*, czarna Biblia, biografia Roberta Hanssena — agenta FBI, który szpiegował dla Rosjan — pióra Normana Mailera i Lawrence'a Schillera, angielski przekład *Piekle* Dantego, Koran po angielsku, *Encyklopedia pajęczaków* oraz *Problemy identyfikacji i klasy-*

fikacji pajęczaków azjatyckich. Przerzucam barwne tablice: luminescencja skorpionów w świetle ultrafioletowym. Spoglądam pytająco na Mustafę.

— Kolekcjonował je, zapomniałem ci powiedzieć — mówi. — Początkowo myśleliśmy, że naprawdę jest szalony. Podpatrywaliśmy, jak się czai w ciemnych uliczkach z taką małą siecią i butelką.

Reszta książek jest po japońsku, obaj nic z nich nie rozumiemy. W jednej są ilustracje, litografie samurajów w pojedynku na te swoje słynne zakrzywione miecze. Przeglądając książkę, orientuję się, że jest to rodzaj podręcznika, ze zdjęciami różnych mieczy i diagramami objaśniającymi proces ich wytwarzania.

— Znał biegle japoński — wyjaśnia Mustafa. — To chyba była jego główna specjalność, dzięki której przyjęli go do CIA. Przyjaźnił się z Japończykami.

Mustafa w końcu daje wyraz swemu zniesmaczeniu, które narasta w nim chwili od wejścia do tego mieszkania.

— I takie dzieci jak ten tutaj chcą przewodzić światu? — pyta retorycznie. — Spójrz na te książki, spójrz na jego życie. Trzydziestojednoletni nastolatek, smarkacz znający kulturę z półek w supermarketach. Tu samuraje z Japonii, tam dziwka z Bangkoku, tu trochę chrześcijaństwa, tam odrobina islamu — jeśli akurat nie polował na pająki albo nie palił opium. — Wygląda, jakby chciał splunąć.

— Palił opium?

Mruczy coś pod nosem, już nic nie powie.

Chodzę za nim po mieszkaniu, gdy rozgląda się wzdłuż kątów. Terrarium znajdujemy na półce pod ścianą w drugiej sypialni. Mustafa zagląda tam i kręci głową.

— Nikt ich nie karmił.

Ja też zaglądam do prostokątnego, szklanego pojemnika: wysuszone zwłoki włochatych ptaszników, samicy skorpiona z młodymi na grzbiecie, innych martwych pajaków w sieciach, jakby po jakimś kataklizmie.

Mustafa znajduje w kredensie tanią lunetę, można taką kupić w supermarkecie. Wymiana spojrzeń między nami to klasyczny przykład telepatii. Gdyby Mitch Turner potrzebował dobrej lunety, załatwiłby sobie najnowocześniejszy model przez CIA. Do czego więc używał tej kiepskiej?

— Do podglądania, co się dzieje w okolicy komendy — burczy Mustafa.

W mieszkaniu nie ma już żadnych znaczących śladów, niczego, co wyjaśniałoby gwałtowną śmierć Turnera. Zauważam, że nie ma tu laptopa, ale Mustafa wyjaśnia, że gdy Amerykanin wychodził na dłużej z mieszkania, zawsze zabierał komputer, prawdopodobnie stosując się do rozkazu, żeby umieszczać go w sejfie bankowym albo jakimś innym bezpiecznym miejscu. Chyba nic więcej już dzisiaj tutaj nie zdziałamy, wychodzimy więc z mieszkania i Mustafa zamyka drzwi na klucz.

Na zewnątrz kwitnie nocne życie. W całym mieście słychać muzykę z dyskotek, mrugają neony tanich hoteli. Mijamy wysokiego, barczystego Malaja, który prowadzi do swego hotelu aż trzy dziewczyny. Zerkam na Mustafę, on jednak wrócił już do tej swojej przestrzeni, w której odcina się od najbardziej nieznośnych aspektów rzeczywistości. Ciekawe, czy w ogóle je zauważył, te trzy bardzo atrakcyjne dziewczyny, które wyraźnie świetnie się bawiły. Przez pryzmat swych przesądów widziałby je zapewne jako wcielenie zła, uwodzicielskie emisariuszki szatana. Jednak ten Malaj i jego dziewczęta będą zabawiać się wesoło przez kilka następnych godzin, a potem wszyscy zasną, zadowoleni, snem sprawiedliwych. Nie tłumaczę Mustafie, że kobiety w branży często lubią pracować wspólnie — być może nawet traktują jako bonus to, że dostają więcej za mniejszy wysiłek. Poza tym fajnie jest móc pogadać z przyjaciółką we własnym języku w trakcie obsługi klienta. Dla dziewcząt ze wsi porbrzmiewa w tym echo zbiorów ryżu, gdy każdy musi się udzielać, gdy sporo się gawędzi i flirtuje, i opowiada kawały



dla zabicia czasu, aż w końcu można prawie nie myśleć o tym, co robią ręce. Wyobrażam sobie wielkiego, czarnego Malaja, rozciągniętego na wznak niczym pole ryżowe, podczas gdy dziewczyny obrabiają go i dyskutują ponad jego erekcją o kursie bahta do dolara. Żal mi Mustafy, który tak stanowczo odrzuca ten prosty taniec życia i jego radości. Jednocześnie zastanawiam się, jak korzystał z tego wszystkiego Mitch Turner, zagubiony amerykański szpieg.

W kafejkach nie ma już wolnych miejsc, nie ma gdzie spokojnie porozmawiać, lądujemy więc w holu hotelu Gracious Palace, który zamienił się tymczasem w poczekalnię gigantycznego burdelu. Wszystkie sofy zajęte są przez dziewczyny, do których podchodzą wciąż nowi ciemnoskórzy, młodzi *mężczyźni* z cienkim wąsikiem. Różnią się bardzo od *farangów* tym, że targu dobijają szybko, zazwyczaj w kilka minut. Żadnych tam romantycznych wstępów, to biznes w stylu azjatyckim. Kobięcie to odpowiada, bo dzięki temu zdąży może obsłużyć tej nocy więcej niż jednego klienta. Część par od razu kieruje się do wind, większość jednak wychodzi na ulicę w poszukiwaniu dyskoteki, gdzie młody fircyk będzie się popisował swą biegłością w karaoke przy aplauzie wpatrzonej weń z podziwem damy.

Mustafa nie chce na to patrzeć, znajdujemy więc wolny stolik w kącie. Musi mi jeszcze wyjaśnić to i owo, milcząc więc wyczekująco.

— Pewnie się zastanawiasz, dlaczego zajęliśmy się akurat tym człowiekiem, skoro takich jak on są w Tajlandii setki? — pyta w końcu.

— Tak.

— W pełni może ci to wyjaśnić tylko mój ojciec. Według niego *farang* Mitch Turner był fascynującym produktem Zachodu. Mówił, że tak samo jak agencje wywiadowcze rozbierają bomby, żeby zobaczyć, jak są skonstruowane, my powinniśmy wejrzeć w duszę tej dziwnej ryby, tej ludzkiej bomby, i także poznać jej konstrukcję. W końcu on sam siebie nie wymyślił, był produktem swojej kultury.

— Ta jego naiwność, pomieszanie, brak centrum?

— Wszystko razem, lecz ojca interesowała najbardziej udreka jego duszy. Musisz zrozumieć, że chociaż jest bardzo uczony, rzadko spotyka *farangów*, a już na pewno nie amerykańskich szpiegów. Mój ojciec jest wielkim imamem, a to oznacza znawcę dusz. Mitch Turner bardzo go zainteresował. Przed poznaniem go ojciec chyba wątpił, czy *farang* w ogóle ma duszę. Kiedy przekonał się, w jakim pomieszaniu tkwi Turner — nazwał to „wielkim wyciem udreki” we wnętrzu tego człowieka — uznał, że teraz już rozumie, dlaczego Zachód jest taki, jaki jest. — Przez jego twarz przemknął cień uśmiechu. — Zupełnie jakby złamał jakiś kod i mógł już swobodnie czytać w duszy człowieka Zachodu. — Patrząc mi w oczy, kontynuuje: — Powiedział mi, że nigdy by nie przypuścił, że człowiek może w ogóle żyć, funkcjonować, cierpiąc takie katusze. — Podekscytowany, po raz pierwszy dzieli się ze mną swą pasją: — Ojciec powiedział też, że bez wojny Ameryka popadłaby w kompletny zamęt i dla przetrwania musiałaby się zmienić w państwo policyjne, ponieważ ludzie utracili tam ze szczeniem jakąkolwiek wewnętrzną strukturę. Amerykanów nie da się nigdy pokonać na wojnie, natomiast pokój jest dla nich nie do zniesienia.

— Twój ojciec doszedł do takich wniosków na podstawie obserwacji jednego człowieka?

— A czemu nie? Prawdziwa wiedza pochodzi od Allaha i nie wymaga metod naukowych, jedynie podpowiedzi, wskazówki, za którą może podążyć duch.

Gdy mówi, spostrzegam, że przygląda się otoczeniu, zupełnie go nie widząc, jakby oglądał przedstawienie w nieznanym sobie języku. Ja jednak nie potrafię pohamować profesjonalnego zainteresowania tym, co się dzieje w hotelowym holu: młodymi mężczyznami, którzy podchodzą do kobiet; ironicznymi uśmiechami tych ostatnich; mieszanką męskiej nieśmiałości, odwagi, arogancji, natarczywości i oczekiwania; dziewcząt, próbujących odgadnąć w trakcie negocjacji, który

okaże się dobrym kochankiem; obopólną ulgą z dobitego targu, będącą niemal czymś w rodzaju orgazmu; raptowną zmianą w języku ciała, gdy przytuleni idą do wind albo wychodzą w noc. Wiem, że Mustafa, jeśli dostrzeże w ogóle coś ciekawego, to co najwyżej wszechobecny grzech, który prędzej czy później zostanie i tak wypleniony przez Allaha — wraz z całą gamą różnych innych zachowań, dla mnie po prostu ludzkich.

Kiedy oznajmiam mu, że idę spać, natychmiast zrywa się z miejsca, jak ktoś, kto skończył właśnie wykonywać brudne zajęcie.

14

Po powrocie do pokoju popełniłem błąd, wypijając kilka piw z podręcznego barku. Piwo Singha zważyło mnie z nóg, a teraz obudziłem się z wyschniętym gardłem i bólem głowy. (Kiedy przyjeżdżasz do nas na wakacje, *farangu*, pij klostera albo heinekena, są czyściej warzone). Najgorsze jest to, iż jestem w pełni przytomny, a kiedy sięgam po pilota, żeby włączyć telewizor, widzę na wyświetlaczu, że jest czwarta trzynaste rano. Leżąc na łóżku, przypominam sobie sen, w którym przyszła do mnie Chanya. Rodzaj światła, wyraz jej twarzy, cała atmosfera tego snu, mówią mi, że próbowała się ze mną jakoś skomunikować, lecz nie odbieram treści jej przekazu. Czasem rozmawialiśmy o buddyzmie. Ona również praktykowała medytację, poza tym mieliśmy bardzo podobną przeszłość i często spekulowaliśmy, że musieliśmy się znać w poprzednich żywotach, i to najpewniej w wielu. Wstydziliśmy się to powiedzieć, ale oboje się zastanawialiśmy, czy nie jesteśmy czasem duchowymi przyjaciółmi z rodzaju tych, z którymi ma się związek życie po życiu. Tego rodzaju przyjaźń przeradza się w pełny związek tylko przy bardzo pomyślnej karmie; w sumie byłaby to przecież najlepsza życiowa sytuacja, na drugim miejscu po oświeceniu. Częściej jednak opiekujemy się sobą nawzajem z dystansu, niczym

aniołowie stróże. Czuję, że teraz właśnie ja opiekuję się nią, chociaż we śnie wyglądało, że jest odwrotnie. Niespokojny wkładani jakieś ubranie i schodzę do holu.

Wszystkie dziewczyny zniknęły, poza pięcioma, które wciąż wysiadują na sofach. Ze strzępów ich rozmowy wynika, że tylko dwie złapały tej nocy klientów; trzy pozostałe nie miały szczęścia i narzekają na zbyt dużą konkurencję w mieście — po prostu nie starcza mężczyzn dla takiej masy dziewcząt. Recepcjonista śpi na krześle, podłożywszy ręce pod złożoną na blacie głowę. Budzę go. Wzdryga się gwałtownie i ponuro odmawia, kiedy go proszę o możliwość skorzystania z centrum biznesowego, gdzie jest dostęp do Internetu. Chcę mu zapłacić, lecz nadal kręci głową. Centrum otwierają dopiero o dziewiątej. Jestem w nieustępliwym nastroju i bawię się chwilę pomysłem postraszenia go jakąś policyjną akcją, ale nie tak się gra w tę grę. Próbuję więc go zmiękczyć, opowiadam kawał, ponownie proponuję pieniądze i wreszcie godzi się wpuścić mnie za kontuar i skorzystać z sieci w komputerze recepcji.

Zależy mi tak bardzo na sprawdzeniu poczty, bo może odpisał mi Superman. Przeglądam listę nowych wiadomości i czuję tępy ból w sercu, bo nie ma niczego od Mike'a Smitha — chociaż przy jedenastogodzinnej różnicy czasu nie jest to wcale dziwne. Przez kilka minut czytam e-maile służbowe (kolejna banda niesfornych staruszków, którzy tak świetnie się bawili przed pół rokiem, że chcą przyjechać znów na Boże Narodzenie) i dopiero wtedy zauważam nowego nadawcę: chanya@yahoo.com.

Wiadomość jest bardzo krótka: Sonchai, to jest pamiętnik, o którym ci mówiłam.

Z kolei sam załącznik ma ponad pięćset kilobajtów, to niemal powieść — i oczywiście po tajsku. Zaczynam czytać i jestem pod wrażeniem jasności i prostoty tekstu.

Tak może

pisać tylko szlachetna dusza. Wciąga mnie to całkowicie i kiedy recepcjonista zaczyna się burzyć, muszę zapłacić mu

ponownie, tym razem za zgodę na wydrukowanie całego pamiętnika. Zabieram tekst na górę i resztę nocy spędzam na czytaniu. Gdy później, rano, spotykam się z Mustafą w hotelowym holu, pieką mnie oczy.

Na ulicy, po drodze do mieszkania Turnera, dzwoni komórka Mustafy; właściwie nie tyle dzwoni, ile wibruje cicho w kieszeni, a on natychmiast ją wyławia, mówi kilka słów w lokalnym dialekcie i wyłącza.

— Już tutaj są — oznajmia.

— Kto?

— A jak myślisz?

Skrećmy za róg ulicy, przy której mieszkał Turner, i młody muźmanin wskazuje głową budynek. Właśnie wchodzi do niego dwóch *farangów* w tropikalnych kremowych garniturach, białych koszulach i krawatach.

— Rozumiesz teraz, o czym mówiłem? — pyta Mustafa. — To bardziej arogancja niż głupota. Równie dobrze mogliby sobie napisać na plecach CIA, ale nawet im nie przyjdzie do głowy, że jesteśmy dość inteligentni, by ich rozszyfrować.

Może i ma rację, ale i tak musimy odłożyć oględziny mieszkania na później. Niepewni, co robić dalej, podchodzimy bliżej i znajdujemy kawiarnię z widokiem na wejście do budynku. Ja zamawiam 7-Up, a Mustafa wodę, jak zwykle. Obaj jesteśmy ciekawi,)&farangi w garniturkach poradzili sobie z dozorcą kamienicy.

Wygląda na to, że wcale sobie nie poradzili. Po paru minutach wychodzą, najwyraźniej zmartwieni, z marsowymi minami. Mustafa spogląda na mnie z niejaką bezczelnością: / *co teraz chcesz zrobić, gliniarzu?*

— Obserwuj — mówię. Podchodzę do drzwi kafejki i wołam do tamtych dwóch:

— Czy można panom w czymś pomóc? — Zatrzymują się w pół kroku, nieco zaskoczeni, ale zadowoleni, że spotkali w tej dziurze kogoś, kto płynnie mówi po angielsku. —

Wyglądacie koledzy na trochę zagubionych — dodaję z uśmiechem, jaki powinien towarzyszyć takiej wypowiedzi. (Waham się, jakim akcentem się posłużyć, amerykańskim czy angielskim — bo potrafię obydwoma. Zasadniczo używa się angielskiego w rozmowie z Amerykaninem i odwrotnie; wygląda na to, że obie te kultury wywierają na siebie dość skuteczny nacisk. Decyduję się jednak na amerykański, zabarwiony nutą Imigranta Entuzjasty — a oni łapią w jednej chwili, że mają przed sobą posiadacza zielonej karty. Nic lepszego nie mogło im się tutaj przytrafić).

Zaczynają mówić. Wszyscy odgrywamy teraz Sympatycznego Amerykanina za Granicą, owo szczególne przedstawienie, w którym wyższość kultury *farangów*, głupota tubylczej ludności, kiepski poziom tutejszej opieki zdrowotnej i żałosna jakość kanalizacji wyrażane są podświadomie, tak że nikomu nie przechodzi przez usta ani jedno politycznie niepoprawne słowo. Za pomocą kilku podstawowych kwestii tworzę postać krajowca — buddysty, nie muzułmanina — który przyjechał ze Stanów na wakacje i pogardza swym rodzinnym miastem. Mustafa zrejterował w psychologiczny półmrok i rzuca mi co jakiś czas wrogie spojrzenie.

Rozmawiamy o duperelach, a ja tymczasem przyglądam się obu Amerykanom. Ten starszy jest po pięćdziesiątce, szczupły i żyłasty, wysportowany wojskowy, króciutko ostrzyżony, a jego wąskie usta zdradzają inteligencję człowieka bezwzględniego. I jeszcze coś, do czego jakoś nie mogę dotrzeć. Coś nie całkiem amerykańskiego. Nie całkiem ludzkiego. Czy to cię zaskoczy, *farangu*, że dziesięć procent istot, jakie widzisz na co dzień w ludzkiej postaci, to w ogóle nie ludzie? Jest tak od setek lat: to imigranci z innych światów, załatwiający tutaj własne sprawy. Można ich nazwać Siłami Specjalnymi z Tamtej Strony. Ostateczne starcie nastąpi już niedługo.

Ten drugi jest młodszy, ale chyba starszy, niż na to wygląda. Mnie, człowiekowi z tropików, te blond włosy i toporna

nordycka twarz — znacie tę linię szczęki z rysunków satyrycznych — mówią, że mam do czynienia z siedemnastolatkiem, ale facet na pewno ma dobrze po dwudziestce.

I nagle to ja jestem kluczem tych dwóch Amerykanów do ich pogoni za szczęściem. Szerokie uśmiechy, ohydna parodia orientalnej pokory i uległości — gdy przedstawiają się jak należy, ściskają dłoń, wchodzą do kafejki i siadają przy stoliku. Mają na szczęście tyle rozumu, żeby okazywać uprzejmość.

— No więc tak jak mówiłem — wciąż mam na twarzy ten przyklejony uśmiech — to właściwie taka moja podróż do własnych korzeni. Urodziłem się tutaj, ale rodzice na szczęście przenieśli się do Stanów, gdy jeszcze byłem mały.

Młodszy nie potrafi się oprzeć porywowi patriotyzmu i uśmiecha się szczerze, starszy zaś tylko kiwa głową.

Zamawiają colę. Język ich ciał wskazuje, że gotowi są odpuścić sobie Mustafę, który siedzi milcząco, jakby spowity niewidzialnym czadorem, i najwyraźniej działa im na nerwy.

Improwizuję w trakcie konwersacji:

— Mam chęć pozwiedzać południe, może przejadę się tym pociągiem przez dżunglę, o którym piszą w przewodnikach. To może być fajna sprawa.

— O, naprawdę? — odpowiadają uprzejmie, ale popatrując po sobie.

— Tak. A wy, co tutaj robicie? Też się wybieracie na południe czy właśnie stamtąd wracacie?

Znów wymieniają spojrzenia.

— Nie, my nie zwiedzamy, przyjechaliśmy właściwie w interesach.

— Naprawdę? Do takiej dziury? Nie musicie mówić, ale ciekawi mnie, co za interesy mogą tu robić Amerykanie. Przecież tutaj są, kurczę blade, sami muzułmanie. No, chyba że w nocy, wtedy jest sam seks, cha, cha.

Głupawo się uśmiechają.

— Dopiero przyjechaliśmy — mówi starszy. — Samolot

z Bangkoku do Hat Yai i cztery godziny taksówką. Szczerze mówiąc, nie wiemy, czego się spodziewać, jesteśmy tu pierwszy raz. Właściwie to szukamy kolegi.

— Ach tak. Amerykanina?

— Zgadza się. Zastanawiam się, czy moglibyśmy... eee... — To znak dla Mustafy, żeby się zmył, ale on ani myśli. Wymiana spojrzeń i starszy kiwa głową. — Powiemy panu. Trochę się o niego niepokoiśmy. Od tygodnia nie ma z nim kontaktu; to muzułmańskie miasto, a po nim od razu widać, że jest Amerykaninem, więc...

— O, to kiepska sprawa. — Kręcę głową poważnie za troskany. — Okropna historia.

— No, jeszcze nie wiadomo, czy taka okropna, ale za stanawiamy się... — W obecności Mustafy jakoś trudno jest im wyartykułować, nad czym się zastanawiają.

— Czy mam rację, że ten wasz kolega mieszka w tym domu naprzeciwko? — pytam. — Przed chwilą stamtąd właśnie wyszliście, prawda?

— Zgadza się. Właśnie się zastanawiamy, czy może znalazłby się jakiś nieformalny sposób, żeby obejrzeć jego mieszkanie, niekoniecznie z udziałem policji; po prostu chcielibyśmy sprawdzić, czy coś tu nie śmierdzi.

— Nieformalny? — Marszczę brwi, przechylam głowę. Chrzążą.

— No tak, wie pan, nie znamy waszych zwyczajów i w żadnym razie nie chcielibyśmy nikogo obrazić, ale gdyby znalazł się sposób, żeby jakaś osoba porozmawiała z tym dozorcą... Pan jest tutejszy, zna pan język... Może dozorca ma klucz od tego mieszkania? Chcemy się tylko upewnić, że nic się nie stało...

Wciąż marszczę brwi, jakbym nic nie rozumiał, ale dodałem do tego lekki poblask Pazerności Trzeciego Świata.

— Oczywiście chętnie panu zapłacimy za stracony czas — mówi starszy.

— I to dobrze zapłacimy — dodaje młodszy. — Na-

prawdę nam zależy, żeby rzucić okiem na to mieszkanie, że tak powiem. — Wciąż patrzę pytająco. — To się panu opłaci, zapewniam pana.

— Nie chcę waszych pieniędzy — mówię z uśmiechem. — Podejźmy tam teraz i zobaczymy, co się da zrobić, dobrze? — Marszczę w skupieniu czoło. — Aha, na wszelki wypadek, gdyby jakaś władza się zainteresowała, musiałbym jednak wiedzieć, kim jesteście. Macie może przy sobie paszporty?

— Paszporty? Jasne.

— Czy mógłbym tylko rzucić okiem na wizy?

Pojawiają się dwa niebieskie paszporty z orłem na okładce. Widzę, że mają białe wizy biznesowe. Starszy nazywa się Hudson, a młody blondyn Bright. Oddaję im paszporty.

— Czym się zajmujecie? — pytam. — Pracujecie w Tajlandii?

Opowiadanie wspólnej fikcyjnej historyjki idzie im całkiem gładko. Okazuje się, że są menedżerami w branży telekomunikacyjnej, raczej w infrastrukturze niż w marketingu. Mitch Turner natomiast siedzi tu na miejscu, żeby się zorientować w ogólnej sytuacji politycznej w rejonie przygranicznym. Nikt nie będzie inwestował w urządzenia przemysłowe na terenie zagrożonym terrorystyczną rewoltą.

— Więc wasz przyjaciel jest po prostu szpiegiem przemysłowym?

Słowo „szpieg” wcale ich nie rusza. Nie żaden szpieg, tylko przednia straż, mająca zapewnić wykonanie projektu.

— Rozumiem — mówię. — I waszym zdaniem miejscowi muzułmanie mogli nabrać do niego niechęci?

Zasepili się, chyba trafiłem w czuły punkt.

— To byłoby najgorsze, ale przyczyn może być wiele. Może miał zapaść i leży w łóżku? Albo potrafił go samochód? Dopóki nie zobaczymy jego mieszkania, trudno nawet snuć jakieś przypuszczenia.

Całą czwórką wchodzimy do budynku. Mustafa prowadzi

mnie do stróżówki i po chwili wracamy triumfalnie z kluczem w ręce.

— Tutaj pieniądze mogą wszystko — wyjaśniam.

Wspinamy się po schodach, spoceni od tropikalnego skwaru i za chwilę rozglądamy się już po mieszkaniu Turnera. Jest jasne, że go tutaj nie ma. Amerykanie szukają czegoś innego — przypuszczam, że laptopa — i niewiele poza tym ich interesuje. Przyglądamy się z Mustafą, jak buszują w szafie. Zauważają pustą srebrną ramkę, ale nie wzbudza ich ciekawości. W końcu ten starszy, Hudson, rzuca mi uśmiech.

— No cóż, nie ma go — mówi. — I nie ma śladów, żeby opuścił mieszkanie w pośpiechu.

Mustafa jednak zajął stanowisko przy drzwiach i blokuje wyjście. Minę ma dość złowrogą.

— Widziałem, że coś zwędzili — szepce do mnie po tajsku. — Chyba znaleźli to w szafie w sypialni.

Zajmuję pozycję obok niego i odgrywając rozczerowanie przemieszane z konsternacją, patrzę w oczy Hudsonowi.

— No dobra, panowie — mówię. — Widzieliśmy, że coś zabraliście.

Wymieniają się spojrzeniami.

— Chyba nie możemy tego zrobić — mówi Bright, ten młodszy. Na jego twarzy maluje się wyraz powściąganego triumfu: oto Clark Kent zdjął przebranie. Hudson wydaje się mniej pewny siebie. Chyba mnie przejrzał, w każdym razie na tyle, żeby mieć wątpliwości.

— Przyprowadziłem was tutaj w dobrej wierze — mówię. — Nie pozwolę wam niczego stąd ukraść.

— Wie pan... — zaczyna Bright, ale Hudson ucisza go gestem.

— Pracujemy dla rządu — oznajmia rzeczowym tonem. — Dla rządu Stanów Zjednoczonych.

Bright bada moją reakcję: czy to mi wystarczy?

— Udowodnijcie to.

— Nie mamy jak — mówi. — Musi nam pan uwierzyć na słowo.

— Ach tak? No cóż, Królewska Policja Tajska może na to patrzeć inaczej. — Pokazuję im legitymację służbową. Bright okazuje konsternację w sposób typowy dla rasy kaukaskiej: robi się czerwony, jego usta układają się w dziwne kształty i wciąż zerka na Hudsona, który studiuje moją legitymację. — Proszę niczego nie wynosić z tego pokoju.

Hudson i Bright wznoszą oczy do nieba, co oznacza, że nie wiem, z kim mam do czynienia (czyli: *z najpotężniejszym... i tak dalej...*), więc teraz gram Wściekłego Taję. Moja mina, nagle cyniczna i zła, komunikuje, że rozpoczęła się właśnie Zemsta Trzeciego Świata: jasne, możecie na nas napaść, ale co dalej? Będzie wam coraz trudniej łyknąć tę żabę i jestem pewny, że nie chcielibyście spędzić w tajskim więzieniu nawet tygodnia, a tym bardziej roku (a coś takiego chodzi mi po głowie). Groźba wpadnięcia w bagno otrzeźwia Hudsona, który szturcha Brighta, a ten odbiera sygnał, wyjmując coś z kieszeni i wręcza to mnie. (*/ tak to odzyskam, gdy tylko skopie ci tyłek ktoś, kto zrozumie, kim jesteśmy*). Niestety, za cholere nie wiem, co to jest. Ma owalny, wydłużony kształt, jakieś siedem centymetrów długości, dwa szerokości i centymetr grubości, jest plastikowe, szare i gładkie, z napisem na jednym końcu: SONY MICRO VAULT.

W napiętej atmosferze wyprowadzam ludzi z CIA z mieszkania. Obaj panowie muszą patrzeć, jak ciemnoskóry muzułmanin Mustafa zamyka drzwi na klucz z miną właściciela. Jest dla mnie jasne, że ten gest go obciąża i jego ojciec z pewnością by sobie tego nie życzył, ale jednocześnie krzyżuje to szyki naszej dwójce szpiegów. Wychodzimy na ulicę, gdzie przemożny skwar i muzułmańskie ubiory powodują jeszcze większy zamęt w ich głowach. Odchodzą, nie mówiąc nawet „do widzenia”.

15

Jest pora lunchu, lecz nasze upodobania smakowe się różnią. Mustafa zostawia mnie więc samego i idzie do muzułmańskiej restauracji, a ja szukam tajskiej kantyny, znanej ze swego ostrego *grataa rawn*, skwierczącej mieszanki morskiej fauny. Właściwie mógłbym pójść z Mustafą na tę jego jagnięcinę, ale chcę trochę побыć w samotności. Czekaając na *grataa rawn*, wyjmuję zdjęcie Chanyi. Pewnie, że wołałbym, żeby to była prosta sprawa, taka, jaka się wydawała na początku: irracjonalny wybuch agresji u zestresowanej dziwki. W tej chwili jednak stała się nieskończenie skomplikowana i nieskończenie nieprzenikniona. Naprawdę nie mam pojęcia, co się właściwie dzieje i dokąd nas to wszystko doprowadzi.

Kiedy Mustafa podjeżdża pod restaurację półciężarówką, jestem w dość podłym nastroju. Auto ma napęd na cztery koła, a z tyłu siedzą trzej młodzi ludzie. Z wybrzuszeń pod ich ubraniami wnioskuję, że to uzbrojona ochrona. Siadamy z Mustafą z przodu, koło kierowcy, a ochroniarze, z twarzami osłoniętymi chustami przed pyłem, podskakują na ławeczce na otwartej pacy.

Szosa prowadzi z miasta na północny wschód i wkrótce z utwardzonej zmienia się w polny trakt. Nie ma klimatyzacji,

jedziemy więc z otwartymi oknami. Tutaj jest zawsze o kilka stopni cieplej niż w Bangkoku; może to niewiele, ale gdy żyje się już na granicy tego, co toleruje ludzki organizm, różnica jest olbrzymia. Kiedy zwalniamy na nierównej drodze, czuję się, jakbym jechał w ruchomym piecu. Zieleń wokół jest jednak bardzo bujna, nawet jak na Tajlandię, bo deszcze padają tu o wiele częściej. Kiedy kierowca w końcu zatrzymuje auto i wysiadamy, intensywność ciszy uderza nas wszystkich. Telepaliliśmy się w hałaśliwym wehikule przez ponad pół godziny, a nagle słyszymy tylko pojedynczą cykadę, której starcza energii na pocieranie odnóżami.

Mustafa kiwa na mnie i ruszam za nim ścieżką, prowadzącą do cichej doliny, w której stoi tylko duży drewniany dom na palach i niewielki meczet, też z drewna, ukształtowanego jakimś sposobem tak, żeby zbudować kopułę. Każe mi zaczekać z ochroniarzami, a sam idzie zobaczyć się z ojcem. Po chwili wraca z radosną miną i prowadzi mnie schodami na górę. Stary imam wita mnie z właściwą sobie gościnnością i z ogniem w czarnych oczach. Siadamy na matach i pijemy miętową herbatę. Mój raport jest krótki, lecz miły jego uszom. Oczywiście, biorąc pod uwagę fotografię Chanyi w sypialni Mitcha Turnera w Songai Kolok, żaden odpowiedzialny policjant nie zaprzeczy konkluzji, że to ona zabiła Turnera z jakichś powodów. Znali się, poszła do jego hotelu, gdy przyjechał do Bangkoku, i cokolwiek się tam działo, tylko ona wyszła stamtąd żywa.

Imam obserwuje bacznie moją twarz, gdy mówię.

— A jednak twojemu pułkownikowi jakoś dziwnie zależy, żeby chronić tę prostytutkę. Dlaczego? — pyta.

— Jest cenioną pracownicą, a w tym zawodzie takie rzeczy czasami się zdarzają. Myślę, że Vikorn chce po prostu chronić klub i jego reputację.

— Sporządzisz ten raport na piśmie?

— Bez zgody zwierzchnika nie mogę.

Milczenie. Mustafa jest zły.

W końcu znów odzywa się stary imam.
— Czy ostrzeżesz nas, jeśli pułkownik Vikorn zmieni zdanie pod presją Amerykanów?
— Tak — odpowiadam. — Przychodzi mi do głowy strzał z dystansu. Wstydzę się zadać to pytanie ze względu na jego mistyczny charakter, ale w końcu co tam.
— Czy imię Don Buri coś wam mówi?
Puste spojrzenia.
Rozmowa skończona. Wracam do miasta ciężarówką, z Mustafą, który zmaga się z jakąś karmiczną obsesją i milczy przez całą drogę. Na koniec ledwie wydusza z siebie „do widzenia”.
Wracam do hotelu i z sercem w gardle dzwonię do Vikorna.
— Prawie już tutaj skończyłem — mówię i opowiadam mu o Hudsonie i Brighcie, o zdjęciu Chanyi.
— No i co?
— Jestem przekonany, że to ona go zabiła.
— Masz jeszcze coś do powiedzenia? — pyta zniecierpliwiony.
— To oznacza, że to nie muzułmanie.
Następuje chwila ciszy.
— Mam nadzieję, że nie wyskoczysz znowu z tym swoim krwawiącym sercem?
— To nie krwawiące serce, tylko praktyczna polityka. Jeżeli oskarżymy Al-Kaidę, może to mieć poważne skutki tutaj, na południu.
Kontynuuje jeszcze bardziej niecierpliwie:
— Nikt nie oskarża Al-Kaidy. Sam przecież spisywałeś zeznanie Chanyi, do cholery. Działała w obronie własnej.
— Znała go jeszcze ze Stanów. Miał w mieszkaniu jej zdjęcie. Przysłała mi swój pamiętnik, który pisała w Ameryce. Byli kochankami od dawna.
Dłuższa pauza.
— Lepiej już wracaj.

— Chyba powinienem napisać raport...

— Nie.

— Ale jeżeli CIA się dowie, że oni się znali, pańska historyjka się nie utrzyma i zacznie pan oskarżać muzulmanów. To przecież pański plan „B”, nie mam racji?

— Wracaj do Bangkoku.

— Jeżeli Amerykanie zaczną na nas naciskać i rząd zrobi coś głupiego, tutaj może się zacząć wojna.

— Ludzie i tak umierają, wojna nie wojna. Na południu zawsze jest niespokojnie. Nie chcesz uratować Chanyi?

— Nie chcę być odpowiedzialny za wybuch rebelii.

— To powiedz Buddzie, że to wszystko moja wina. Po słuszeństwo to część Ośmiorakiej Ścieżki; czasami chyba o tym zapominasz. A teraz słuchaj uważnie: nie będzie żadnego raportu.



16

Odrodzenie, *farangu* (na wypadek gdybyś się zastanawiał):
Stoisz na pięknym balkonie pod rozgwieżdżonym niebem;
słysząc boską muzykę, tak absolutnie doskonałą, że niemal
nie do zniesienia. I nagle dzieje się coś strasznego: magiczne
dźwięki zmieniają się w ohydny kakofonię. Co to się stało?
Czy umierasz? No cóż, można tak powiedzieć. Ten straszny
odgłos, to pierwszy krzyk noworodka: twój. Urodziłeś się
znów w ludzkim ciele, nieoddzielonym od wszystkich grzesz-
nych występków popełnionych w poprzednim życiu. I teraz
będziesz musiał strawić kolejnych siedemdziesiąt lat na
przedzieraniu się z powrotem ku boskiej muzyce. Nic dziw-
nego, że płaczemy.



General Zinna

17

Przyjmij moje pokorne przeprosiny, *farangu*. Zamierzałem w drodze powrotnej do Krung Thep przeczytać ponownie pamiętnik Chanyi i podzielić się nim z tobą (szczerze), ale poczucie obowiązku — i ambicja — kazały mi to odłożyć na później. A teraz, gdy rozpakowywałem się w mojej norze nad rzeką o szóstej rano (lot z południa był opóźniony i znalazłem się w domu dopiero po północy), zadzwoniła moja komórka. Była to asystentka Vikorna, straszliwa pani porucznik Manhatsirikit, zwana nie całkiem niefortunnie Manny.

— Pułkownika nie ma i nie mam z nim kontaktu — mówi Manny — więc będziesz musiał sam się tym zająć. To chyba jakiś sympatyczny trans osiemset osiem w Sheratonie przy Sukhunwit. Dyrektor robi w portki ze strachu przed prasą, więc jedź tam zaraz. Weź kogoś ze sobą.

— Dlaczego ja?

— Bo podejrzewam, że to Archiwum X.

— Zinna?

— Czy musisz być taki niedyskretny przez telefon?

Wzywam Lęka, wrywając go z głębokiego snu uporczywym dzwonieniem na komórkę. Jest jednak pełen szacunku i gdy dochodzi do siebie, każe mu czekać przed blokiem, bo podjadę po niego taksówką.

Dyrektor Sheratona, elegancki, lecz rozdrażniony Austriak, już na nas czeka. To jeden z tych Europejczyków, którzy większość swego czasu w tym ludzkim ciele spędzają na zmuszaniu kosmyka włosów do zakrycia łysiny — poprzednim razem był kobietą: próżną, francuską snobką, i jak to często bywa po zmianie płci w kolejnej inkarnacji, trudno mu się przystosować; w poprzednim życiu problem łysiny w ogóle nie istniał, wręcz przeciwnie, miał — czy raczej miała — wtedy przepiękne, bujne włosy aż do samej śmierci.

Dyrektor kieruje nas do windy, którą wjeżdżamy na jedno z najwyższych pięter, gdzie mieszczą się same apartamenty. Otwiera kluczem pokój 2506 i wchodzimy do środka.

— Pokojówka znalazła go dzisiaj rano, kiedy przyszła po brudne naczynia z wczorajszej kolacji — wyjaśnia. — Nikt nie odpowiadał na pukanie, więc myślała, że pokój jest pusty. Od tamtej pory nikt tu nie wchodził.

W pokoju Lek spogląda na zwłoki i pada na kolana, by złożyć *wai* przed Buddą i pomodlić się, żeby nas nie splamiła ta śmierć albo złe fatum. Dyrektor patrzy na to zdumiony. Mówię mu, żeby zaczekał na zewnątrz.

Japończyk, w eleganckim sportowym ubraniu, leży na boku na kanapie, z wszystko mówiącą dziurą w czole. Zauważam, że zaczęło się stężenie pośmiertne, lecz zapomniałem, jaki ma dokładnie związek z czasem zgonu. Lek także nie pamięta, chociaż jest świeżo po akademii. Rozpinam guziki koszuli, by sprawdzić, czy nie ma jakichś innych ran — choć doskonale wiem, że nie ma.

— Nawet nie draśnięty — mówię, głównie do siebie. Oczywiście jest, że nie znajdziemy tu żadnych innych śladów, więc nie ma sensu tracić czasu. Wołam dyrektora.

— Zabity przez zawodowca — informuję go. — Jedna mała kulka między oczy. Od kiedy u was mieszkał?

— Nie mieszkał u nas. Musiał go zaprosić gość z tego pokoju, który oczywiście już zniknął. Dlaczego, u diabła ciężkiego, musieli wybrać akurat mój hotel?

Dzwoni moja komórka. To Vikora.

— Co ty tam robisz?

— Mam zabójstwo w hotelu...

— Wiem, gdzie jesteś. Zmywaj się stamtąd.

— Ale Manny uważa, że to Archiwum X. Zinna.

— Dlatego właśnie masz wyjść. To haczyk, prowokacja i nie zamierzam połykać tej przynęty. Niech się tym, kurwa, zajmie wojsko. W ogóle nie chcę, żeby ktoś wiedział, że tam byłeś. Załatwię go milczeniem, dopóki nie wymyślę czegoś lepszego. — Pomimo tej powściągliwej strategii widać, że aż kipi z wściekłości.

— Aha. — Nieco zbity z tropu, przyglądam się ponownie zwłokom. — A więc to wizytówka generała?

— Daje nam po prostu do zrozumienia, że znów jest w grze po tym sądzie wojskowym.

Kątem oka dostrzegam, jak Lek ćwiczy pozycje przed wysokim lustrem naprzeciwko kanapy. Potrafi stać na jednej nodze, a drugą z niezwykłą elegancją naciągać ścięgno wyimaginowanego haku. Żałuję teraz, że wpuściłem z powrotem dyrektora.

— Kim jest ten truposz? — pytam.

Pułkownik stęka.

— Ofiara to japoński dziennikarz śledczy, mieszkający w Bangkoku. Pracuje dla japońskich obrońców środowiska, poluje na dowody niszczenia dżungli tropikalnej przez Japończyków. Ostatnio tropił tajsko-japońską korporację, która zmusza wieśniaków w Isaan do opuszczania gospodarstw, bo chce tam sadzić eukaliptusy. Eukaliptusy wysysają wody gruntowe i niszczą wszystkie inne formy roślinności, ziemia wyjaławia się na całe pokolenia, ale rosną bardzo szybko i dostarczają Japończykom materiału na jednorazowe pałeczki. Czemu nie mogą używać plastikowych? Nie mam, kurwa, pojęcia. Jakby tak Chińczycy używali drewnianych jednorazówek, na świecie nie byłoby już ani jednego drzewa.

— A co ma do tego Zinna?

— Nasz drogi pan generał posiada trzydzieści pięć procent udziałów w Tajsko-Japońskiej Korporacji Zalesiania i Rekultywacji Prowincji Isaan. To jego ludzie zastraszają chłopów.

— Nigdy dotąd nie robił tego na pana terenie.

— Ten mały kutas się popisuje, łamie wszelkie zasady. Wywinął się od wyroku i teraz chce mi pokazać, że wszystko może. — Pułkownik aż się krztusi z oburzenia.

— I pozwoli mu pan się z tego wywinąć?

— Nie będę się z nim brał za łby z powodu jednego głupiego trupa. On właśnie dokładnie tego by chciał. — Chwila milczenia, przerywanego tylko jego smoczym od dechem. — Węża można zawsze oskórować na wiele sposobów.

— Co mam powiedzieć dyrektorowi?

— Że sprawa nie będzie nagłośniona. To mu powinno wystarczyć.

Chowam telefon i patrzę w pełne niepokoju oczy dyrektora.

— Już załatwione — mówię. Przygląda się mojej minie, chce się upewnić, że mam na myśli to, czego najbardziej by pragnął.

— A co będzie z ciałem? — pyta z wyraźną ulgą.

— Zabiorą je później specjaliści z wojska.

— Z wojska? Dlaczego wojsko ma się tym zajmować?

— Bo my nie chcemy, a oni nie będą mogli się wykręcić. Ktoś ich zawiadomi. Proszę się nie martwić, to tylko takie zabawne, typowo tajskie przepychanki.

— Ile się panu należy?

— Nie biorę pieniędzy. Niech je pan zatrzyma dla wojskowych.

— Popatrz, Sonchai — mówi Lek, gdy zbieramy się do wyjścia. Zostawiłem koszulę nieboszczyka rozpiętą i chłopak rozchyła ją ponownie. — Przyznaj, że to najpiękniejszy tatuaż, jaki w życiu widziałeś. Jest po prostu genialny.

Przyglądam się tatuazowi, którego w pośpiechu nie zauważyłem. To prawda, że jest znakomicie wykonany, kolory są zarazem subtelne i żywe. Na dobrą sprawę to małe arcydzieło.

— Szczerze mówiąc, nigdy nie widziałem piękniejszego — mówi Lek.

W taksówce, w drodze do komendy, kiedy stoimy w korku na skrzyżowaniu Petburri Road i Soi 39 (po drugiej stronie szyby tlenek węgla z domieszką powietrza), Lek mówi:

— Czy wiesz, że według buddyzmu na początku świata były trzy ludzkie istoty?

— Tak.

— Mężczyzna, kobieta i *katoil*

— Zgadza się.

— I każdy z nas był wiele razy każdym z tych trojga, przez wiele tysięcy lat?

— To prawda.

— Ale *katoi* zawsze jest samotnikiem.

— *Katoi* jest mocnym ogniwem cyklu — odpowiadam najłagodniej, jak umiem.

— Co to jest trans osiemset osiem?

— Morderstwo, kochany. T osiemset osiem to numer standardowej dokumentacji zabójstwa. Vikorn nazwał ją kiedyś trans osiemset osiem i tak się u nas przyjęło.

W komisariacie Manny (ma zaledwie metr pięćdziesiąt wzrostu, jest prawie czarnoskóra i żywa jak skorpion) swym najsurowszym tonem każe mi iść do Vikorna.

— Jego nie zabieraj — mówi, nie wstając zza biurka i pokazując podbródkiem Lęka, po czym dodaje, patrząc na mnie znacząco: — Stary oglądał zdjęcia Raviego.

Blednę, lecz nic nie odpowiadam.

Na górze stoję na gołych deskach podłogi i pukam do drzwi.

— Czego? — słychać ze środka.

— To ja.

— Wchodź, kurwa, wchodź.

Wchodzę chyłkiem, na wypadek gdyby pułkownik wymachiwał pistoletem, co często towarzyszy jego napadom wściekłości. I rzeczywiście wyjął broń, leży na biurku, ale oznaki są jeszcze gorsze. Jedno ponadczasowe spotkanie naszych spojrzeń mówi mi, że znów odgrywał taśmę ze starymi wspomnieniami, babrał się w nich. Obok pistoletu stoi prawie pusta butelka ryżowej whisky Mekong i leży album fotografii ukazujących syna pułkownika, Ravięgo, w najważniejszych chwilach jego życia. Dominuje w tym zestawie zdjęcie zwłok Ravięgo.

Ta historia ma fundamentalne znaczenie dla mitologii naszego Okręgu 8. Nikt z nas wtedy jeszcze tu nie pracował, lecz znamy na pamięć każdą chwilę. Rzut oka na wybrane fotografie wystarczy, byś pojął wszystko swym bystrym umysłem, *farangu*.

Zdjęcie pierwsze: Ravi jako niemowlak. Vikorn, mąż czterech żon i ojciec ośmiu córek, trzyma chłopczyka tak, jakby uchwycił właśnie sam sens życia.

Zdjęcie drugie: Ravi pięcioletek gra w ogrodzie w dziecięcego golfa z rozkochanym w nim pułkownikiem.

Zdjęcie trzecie: Ravi w wieku lat szesnastu; widać wszystkie oznaki rozpuszczonego bachora (uśmiezek, złoty rolex, motocykl Yamaha V MAX, przepiękna dziewczyna, którą właśnie niszczył narkotykami, alkoholem i seksem; stary filuje na nich lubieżnie, udając trzeciego).

Zdjęcie czwarte: Ravi dwudziestoparoletni, w sportowym wdzianku od Gucciego, stoi przed swoim czerwonym ferrari w wiejskiej posiadłości Vikorna w Chiang Mai.

Zdjęcie piąte: Ravi nieboszczyk, trafiony w pierś, koszula nasiąka świeżą, różową krwią z płuc.

Rozruchy w maju 1992 wybuchły niespodziewanie dla wszystkich. Wyglądało to na kolejny wojskowy zamach stanu (od czasów pierwszej konstytucji z roku 1932 mieliśmy ich trzynaście, z czego dziewięć udanych), lecz nagle w narodzie zaszła jakaś przemiana. Generał Suchinda, nasz ówczesny premier miesiąca, kompletnie się pomylił: zgnębieni ludzie maszerowali właśnie w imię demokracji. Kilka pocisków miało załatwić sprawę. Rozkaz padł z samej góry. Zinna, wtedy jeszcze pułkownik, był jednym z tych oficerów, którzy wierzyli w osobisty przykład. (Być może wątpił, że jego ludzie zaczną strzelać do swoich rodaków). Wycelował z dużego pistoletu i strzelił w momencie wydawania rozkazu żołnierzom. W tej niebuddyjskiej krwawej jatce zginęło pięćdziesiąt osób. Zaraz potem w atmosferze skandalu przyszła demokracja, ale Ravi chyba w ogóle nie zamierzał uczestniczyć w marszu; demonstranci blokowali ulice i musiał po prostu zostawić swoje ferrari; padł ofiarą ich szału. (Autopsja wykazała obecność białego proszku, blokującego przewody nosowe Raviego; zmarł z na wpół opróżnioną butelką johnny walkera w ręce i miał wysokie stężenie alkoholu we krwi).

W raporcie komisji badającej przebieg rozruchów nie ma wzmianki na temat Raviego, lecz każdy Taj doskonale rozumiał, jakie myśli chodziły Zinnie po głowie, gdy wybierał swój jeden, jedyny cel. Ravi, musicie to wiedzieć, wyglądał jak dziecko bogacza, nawet z daleka. Zinna nie wiedział być może, kto to jest, lecz wiedział doskonale, kim jest, i wedle wszelkich zasad feudalizmu powinien był powstrzymać się od strzału. Generał był jednak żołnierzem-gangsterem, który awansował z dołów społecznych i przy swym krewkim usposobieniu traktował wszystkich jednakowo, dlatego strzelił do tego aroganckiego, rozwydrzonego, pijanego i naćpanego produktu systemu, któremu sam służył. A może Zinna faktycznie rozpoznał syna swego największego rywala? Vikorn mocno w to wierzy, bo generał kupił sobie patent oficerski dzięki zyskom z handlu narkotykami. Tylko sam Zinna wie,

o czym myślał, pociągając za spust, jest jednak pewne, że tym fatalnym strzałem rozpoczął wojnę na całe życie. Nie spodziewaną konsekwencją całej historii było raptowne nawrócenie się Vikorna na demokrację. Uzmysłowił sobie, że jedynym kijem, którym można przetrząść grzbiet armii, jest naród.

Było w tej wojnie wiele bitew i potyczek, bo Zinna to przeciwnik nie byle jaki. Vikorn uznał w ubiegłym roku, wzorem wielkich powieściopisarzy, że prawdę najlepiej można wyrazić poprzez fikcję, i pewnego dnia wysypał ciężarówkę kostek morfiny w posiadłości Zinny w Chiang Mai, po czym dał znać szefowi miejscowej policji. Skandal niemal pogrążył generała, jednak z właściwą sobie odpornością bronił się zaciekle podczas procesu, prezentując nagranie z zamontowanej w posiadłości kamery. Na filmie widać było wjeżdżającą na pole ciężarówkę i dwóch młodych mężczyzn w wysokich, wiązanych czarnych butach, którzy otworzyli klapę z tyłu i wysypali na ziemię stos szarych cegiełek. Na zbliżeniach wyszło na jaw, że buty nie są wojskowe, lecz policyjne.

Vikorn, gdy tylko zrozumiał, że Zinna wyjdzie z opresji cało, zmienił taktykę. Zamiast reżyserować upadek generała samodzielnie, obiecał sto tysięcy dolarów nagrody i awans każdemu z policjantów Okręgu 8. Do tego powierzył pieczę nad aktami sprawy (jeżeli można je nazwać aktami, w tym śledztwie bowiem niczego nigdy się nie zapisuje) jednemu ze swych zaufanych podwładnych, nakazując mu nad nimi pracować, gdy tylko nie będzie miał pilniejszych spraw na głowie. W tym wypadku wybór owego podwładnego okazał się wyjątkowo trafiony — ale skąd Vikorn wiedział, że wśród moich najtajniejszych brudnych myśli kryje się marzenie o awansie?

— On nasrał na moim podwórku. — W oczach Vikorna płonie gniew.

— Zachował się bardzo nieładnie.

- Nie wstawiaj mi tutaj farangowskiej gadki.
 - Przepraszam.
 - Czy ty rozumiesz, co to oznacza?
 - Zapewne nie dostrzegam wszystkich subtelności.
 - Zapewne nie dostrzegasz, kurwa, istoty problemu. Czy przyszedłbyś do mojego domu i wywalił mi na perski dywan gówno słonia?
 - Na jaki dywan?
 - Nie ma już gorszej zniewagi. Nikt, powtarzam, nikt, nawet te twoje wypierdki z armii, tak nie postępuje. To podstawowa zasada; bez tego mielibyśmy po prostu...
 - Anarchię?
- Patrzy na mnie niewidzącym wzrokiem. Ślepa furia to w tym wypadku nie przerośnięta. Nagle podchodzi do biurka, bierze pistolet i przygląda mu się ciekawie, jakby niepewny, jaką zbrodnię zamierza nim popełnić, a potem odkłada go bardzo ostrożnie na blat obok fotografii. Oddycham z ulgą, bo widywałem to już nieraz: biała gorączka powoli, lecz zdecydowanie ustępuje pod presją herkulesowej determinacji, by wykorzystać do celów odwetowych intelekt. Znowu na mnie patrzy; wzrok ma wciąż przygniony, lecz już bystrzejszy.
- Tak, anarchia. Czy *tefarangi* naprawdę sądzą, że nasze społeczeństwo przetrwałoby choć chwilę bez jakichś reguł? To, że nie zostały one spisane, nie oznacza jeszcze, że jesteśmy menelami tego świata. Żaden *jao por* nie oznacza terenu innego *jao por*. To się po prostu nie zdarza. W ten sposób wrócimy do epoki kamiennej.
 - Rozumiem.
 - Rozumiesz; to dobrze. I tylko o to, kurwa, chodzi, tak? W całym, kurwa, wszechświecie gwiazdy świecą i planety krążą tylko wtedy, gdy Sonchai Jitpleecheep coś zrozumie.
 - Ja nie...
 - Co ty nie? To tobie właśnie powierzyłem Archiwum X i to ty właśnie miałeś mnie uchronić przed czymś takim.
 - Co takiego? Nigdy mi pan nie mówił, że mam pana

chronić przed prowokacjami Zinny. Miałem tylko wypatrywać sposobności...

— Czy nie rozumiesz, że teraz muszę mu odpłacić?! — wrzeszczy. — Że muszę postąpić jeszcze gorzej niż on wobec mnie?

Powstrzymuję się, żeby nie powiedzieć: „To niezbyt buddyjskie podejście”. Zdyszany, lecz już panując nad sobą, mówi:

— Zдай mi raport. Ile mieliśmy dużych spraw z narkotykami od czasu, gdy Zinna odpadł?

— Tylko dwie. W obu wypadkach udaremniony eksport do Europy.

— No i?

— Pierwsza, to była drobna przemytniczka. Przyznała się do winy. Nic nie wskazuje na Zinnę—to była heroina, nie morfina.

— A druga?

Spogląda na mnie tak, że aż mi się jaja kurczą.

— Przepraszam, ale zapomniałem się dowiedzieć.

— Co takiego?

— Byłem rozproszony. Przyprowadzili go kilka dni temu, wyglądał na cięższy kaliber, ale skoncentrowaliśmy się wtedy na tym *farangu* Chanyi, a potem pojechałem na południe.

Oczy pułkownika ciskają gromy.

— Mamy jeszcze ten towar?

— Jest u chłopaków z laboratorium.

— Morfina czy heroina?

— Wygląda na morfinę.

— No to zajmij się tym wreszcie! Chcę wiedzieć, skąd jest ta morfina. Wiem, że on po procesie wy dostał ten mój towar od wojska.

Wychodzę z wysokim *wai*.

Na korytarzu dokonuję bieżącej naprawy mojej psyche po Vikornowej napaści. Spójrzcie na to w ten sposób: pułkow-

nikowi wystarczy konsultacja z własną psychiką, żeby domyślić się, jak postąpi Zinna. Gdyby to generał podrzucił sto kilogramów morfiny na ziemi Vikorna, co zrobiłby ten ostatni? Czy dobrze słyszę? „Oczywiście sprzedałby ten towar”? A więc w wypadku (nie tak znów nieprawdopodobnym, jak to już wiemy), gdyby Zinna wyplątał się jednak z pułapki, czy przepuściłby sposobność zarobienia dwudziestu milionów dolarów na towarze, dostarczoną mu w takiej obfitości, i to za darmo, gratis, za friko, przez największego wroga? Czy ranny byk szarżuje na czerwoną płachtę? Siadam za biurkiem i dzwonię do sierżanta Ruamsantiaha.

— Chodzi mi o tego *faranga* z morfiną, z zeszłego tygodnia. Jak on się nazywał?

— Buckle. Charles Buckle, ale przedstawia się jako Chaz.

— Pułkownik bardzo się interesuje tą sprawą.

— A to dlaczego?

— Dlatego, że to morfina. Ostatnio rzadko się ją spotyka.

— Prawie wcale. Przerabia się ją na heroinę, zanim jeszcze opuści Złoty Trójkąt.

— No właśnie.

Chwila milczenia i nagle mówi:

— No jasne! Ależ cwaniak z tego starego sukinsyna! On po prostu wiedział, że jeśli Zinna się wykręci od wyroku, to potem namówi swoich koleśków z armii, żeby mu odsprzedali towar i go wyeksportuje, zgadłem? I teraz Zinna musi się pozbyć ponad stu kilogramów morfiny, i to jak najszybciej, zanim ktoś go nakryje. Dlatego nie zdąży jej przerobić, bo wszystkie wytwórnie heroiny są na północy.

Nie komentuję tego.

— W takim razie — ciągnie sierżant — jeżeli złapiemy w tej chwili kogoś z morfiną, jest prawie pewne, że to kurier Zinny?

— Zgadza się.

— Niesamowite. Nigdy bym na coś takiego nie wpadł. — Milczy chwilę i dodaje: — Dokładnie tak, jak mówią: Jeżeli

chodzi o Vikorna, to najgroźniejszy jest zawsze jego plan awaryjny.

— Bardzo słusznie.

Sierżant aż kipi teraz entuzjazmem, bąbelki wrzenia znaczą jego słowa, gdy mówi:

— Sam sprawdzę tego Buckle'a, jest w celi na dole. Oddzwonię do ciebie za parę minut.

— Świetnie.

Zanim wróci nasz poczciwy sierżant, *farangu*, posłuchaj, jak wyglądało aresztowanie Buckle'a. Przeprowadzono je chyba dzień przed zabiciem Mitcha Turnera przez Chanę.

18

Retrospekcja: Spędzałem właśnie spokojny poranek, krzątając się po Old Man's Club, gdy zadzwoniła moja komórka. Usłyszałem porucznik Manhatsirikit, będącą w zupełnie nieośniewającym nastroju.

— Przyjedź tu zaraz.

Wziąłem szybki prysznic i złapałem taksówkę, tylko po to, żeby dowiedzieć się na miejscu, że to nie strzelanina ani nie śledztwo wydziału zwalczania przestępczości (nasze biuro antykorupcyjne, postrach wszystkich), tylko robota tłumacza. Jestem w komisariacie jedynym, który przyzwocie mówi po angielsku, więc ciągną mnie zawsze, gdy trzeba przestraszyć jakiegoś *faranga*. (Tudno przekazać subtelne elementy takiego zastraszania, gdy sprawca nie rozumie ani słowa po naszemu). Ale ten koleś jest nietypowy: ogolona czaszka, różowa jak zadek szarżującego barana, okrągłe, tłuste oblicze buchające neolityczną furia, małe oczka, uszy naszpikowane żelastwem jak poduszczyk ze szpilkami, krótkie i niebywale muskularne nogi i ręce, zmarszczone czoło typowe dla umysłowo ograniczonych, na obu przedramionach tatuaże głoszące jego miłość do mamusi (na lewym) i do Denise (na prawym, w kolorze indygo, od łokcia po przegub) oraz ślady po nakłuciach na wszystkich głównych żyłach. Na surowym,

drewnianym stole w równie surowym pokoju przesłuchań: dwie walizki, a w nich owinięte w folię szare klocki, piętnaście centymetrów na dziesięć. Ruamsantiah wręczył mi brytyjski paszport wystawiony na Charlesa Valentine'a Buckle'a. Następnie wyjaśnił, że Buckle został zatrzymany w swoim hotelu, podczas wspólnej operacji policji z celnikami. Ktoś dał cynk, facet nie miał szans.

— Powiedz mi tylko, czy on naprawdę jest taki głupi, na jakiego wygląda — polecił mi sierżant.

— A jeśli jest?

— To zacznijmy lepiej szukać tej Denise.

Ruamsantiah słynie w okręgu ze swego intuicyjnego podejścia do egzekwowania prawa. Ja osobiście preferuję bardziej uporządkowane metody śledztwa, z wyraźnie określonymi etapami ujawniania prawdy. Niemniej w założeniach sierżanta, że ten worek testosteronu:

1. Jest zbyt głupi, żeby samemu zorganizować zakup, transport i eksport morfiny o wartości pół miliona dolarów;
2. Wobec powyższego musi znajdować się pod kontrolą kogoś o wyższym poziomie intelektualnym, a jego tatuaże i postawa *macho* niewolnika sugerują, że może to być kobieta;
3. Która prawdopodobnie może mieć na imię Denise, trudno znaleźć logiczną lukę. Zauważyłem z podziwem, że tatuaż z Denise jest ciemniejszy i świeższy od tego drugiego, co również potwierdzało hipotezę sierżanta. I faktycznie, im dłużej na niego patrzyłem, tym bardziej byłem przekonany — podobnie jak Ruamsantiah — że gość nie potrafi wykonać ruchu bez Denise. Było jasne, że to ona.

— Jego komórka? — zapytałem.

Ruamsantiah wyjął z szuflady biurka dość stary model siemensa i podał mi go. Udało mi się, nie bez pewnej dumy, zlokalizować na karcie sim jego książkę adresową oraz listę

ostatnio wybieranych numerów i odebranych telefonów. (Nie da się pracować z dziwkami, *farangu*, jeśli się nie potrafi obsługiwać telefonu komórkowego). W spisie rozmów przeważał jeden numer, najwyraźniej innej komórki. W książce adresowej przypisano mu pojedynczą literę „D”. Różowy Kokos obserwował mnie z narastającą wściekłością, wyrażającą się w postaci strumyków potu spływających po twarzy i ogolonym łbie, zupełnie jakby właśnie przeżył tropikalną ulewę. (Co jakiś czas docierała do mnie nieprzyjemna woń, charakterystyczna dla konsumentów produktów nabiałowych — nie cuchnie się tak od jedzenia owoców).

— D znaczy Denise, tak? — zapytałem go. Nie był to, w moim przekonaniu, żaden przebłysk śledczego geniuszu, lecz Charles Buckle był wyraźnie pod wrażeniem.

— Tak — burknął i nagle zacisnął dziwnie usta, jakby się przeląkł, że powiedział za dużo.

— To co, sprawdzimy, czy jeszcze śpi?

Wybrałem numer i po dwunastu sygnałach usłyszałem brytyjski akcent osoby wyrwanej z bezdennej otchłani snu:

— Rany boskie, Chaz, czego ty znowu chcesz, do cholery?

— Dzień dobry — odpowiedziałem. — Tu Królewska Policja Tajska, a Chaz spędzi resztę życia w więzieniu, zakładając oczywiście, że uniknie wyroku śmierci. Chcielibyśmy zadać pani kilka pytań, dotyczących...

Ani sierżant, ani ja nie byliśmy przygotowani na coś takiego. Ludzie aresztowani w Tajlandii rzadko kiedy rzucają się na policjantów z przyczyn kulturowych: ci ostatni mogą ich po prostu zastrzelić. I w rzeczy samej, gdy tylko Chaz rzucił się na mnie, zupełnie nie zważając na dzielący nas szeroki stół, Ruamsantiah zerwał się z krzesła, sięgając po zatknięty za pas służbowy rewolwer, lecz Chaz, zupełnie oszalały, dał szczupaka przez stół, w daremnej acz rycerskiej próbie uchronienia obiektu ze swego prawego przedramienia przed wplątaniem w międzynarodowy handel narkotykami. Stół jednak przesunął się razem z nim (podczas gdy ja wraz

z krzesłem wylądowałem na podłodze), upodabniając się do jakiejś czworonogiej naziemnej tratwy, na której samotny żeglarz podjął odważną wyprawę poprzez pokój przesłuchań; Ruamsantiah wycelował w Chaza z rewolweru, a ja przeto-czyłem się na bok, upuszczając siemensa, który rozpadł się na kilka elementów. Walizki poleciały za mną na podłogę, a kilka paczek rozerwało się, podnosząc cenę mojej koszuli khaki i czarnych spodni o jakieś pięćdziesiąt tysięcy dolarów, gdy wytarzałem się w ich zawartości. Sądzę, że Ruamsantiah nie oparłby się pokusie zamknięcia sprawy za pomocą kuli wpakowanej w Różowego Kokosa, gdyby nie to, że ów kokos sam doświadczył gwałtownego kontaktu ze ścianą, a jego właściciel leżał z jękiem wśród pozostałości stołu. Ten kiepskiej jakości mebel z Trzeciego Świata rozleciał się od zderzenia za ścianą, w przeciwieństwie do solidnej łepetyny z pierwszego świata, która ucierpiała tylko tyle, że drastycznie wzrosło jej zaróżowienie. Sierżant jednakże wciąż zmagał się z dręczącym każdego gliniarza w podobnych okolicznościach dylematem: zastrzelić gnoja czy tylko spuścić mu porządny łomot?

W końcu, z wahaniem, lecz pamiętając o gigantycznej papierkowej robocie, która jest nieuchronną konsekwencją każdej śmierci *faranga* w naszym areszcie, sierżant otworzył drzwi pokoju przesłuchań i wezwał pomoc. Po chwili pokój pełen był żwawych i silnych młodych ludzi w wysokich, czarnych wiązanych butach, wyraźnie szukających lekarstwa na nudę. Kokos właśnie zaczynał skowyczeć, gdy opuściłem pokój, niosąc w obu rękach części telefonu komórkowego światowej klasy przemytnika narkotyków.

Musiałem pójść do toalety, oczyścić z pyłu koszulę i spodnie, i przy okazji zadumać się nad kruchością wszystkiego, do czego ludzie przywiązują taką wartość: oto ten szary proszek, dla którego ryzykują swe życie i wolność, zmienił się teraz w bezwartościowy pył, pokrywający posadzkę w kiblu starego komisariatu. Jedyłą stałą w życiu jest zmiana.

Zastanawiałem się także, co by się stało, gdybym przed pójściem do domu i wzięciem prysznic spotkał któregoś z naszych szkolonych psów z sekcji narkotyków. Dla takiego zwierzaka morfina jest oczywiście najcenniejszym artykułem na świecie, ponieważ bez niej byłby zwyczajnym bezrobotnym psiskiem, niepewnym, skąd weźmie swój następny posiłek. Żaden z uczestników wojny przeciwko narkotykom nie ma w sobie tyle entuzjazmu do walki co nasze węszące psy.

Technicy na dole byli zanadto zajęci swoimi zmaganiem z MP3 (przerobić WAV na MP3 to żaden problem, powiedzieli, ale zamiana formatu Windows Media Player na MP3 to poważne wyzwanie) i nie mogli zająć się od razu moją kartą sim. Stwierdzili poza tym, że wrzaski dochodzące z pokoju przesłuchań dowodzą, iż przyznanie się do winy nastąpi już wkrótce, więc po co ten pośpiech. Odezwią się, jak skończą.

Zaszedłem jeszcze do kantyny, na śniadanie z dużą ilością chili, popite 7-Up, a gdy wróciłem na górę, krzyki z pokoju przesłuchań już ucichły.

U szczytu schodów spotkałem jednego z młodych policjantów w wysokich butach, który oznajmił mi, że Kokos zamierza się przyznać. Tak im się w każdym razie wydawało. Po wejściu do pokoju ucieszyłem się, nie widząc krwi, siniaków ani wybitych zębów, a jednak ich działania okazały się zdumiewająco skuteczne. Neolityczna furia wyparowała, a tłusta twarz zwiotczała pod wpływem wyczerpania i rezygnacji, ujawniając duszę pięciolatka tęskniącego do mamy. Chaz Buckle leżał na wznak pod ścianą, z poduszką podłożoną troskliwie pod głowę. Większość guzików z jego koszuli poodpadała i mogłem się przekonać, jaką gratkę stanowił dla artystów tatuażu, niektórych bardziej utalentowanych, innych mniej, lecz wszystkich z wyraźnym upodobaniem do standardowego indygo.

Zapytałem go, czy chce się przyznać, a on oblizał wargi i pokiwał głową. Gdy dźwignęliśmy go z podłogi i posadziliś-

my na krześle, ukazała się książka telefoniczna, na której leżał. W tej części świata książka telefoniczna to najlepszy przyjaciel przesłuchującego. Wetknięta pomiędzy but a zło-
czyńcę, zapobiega powstawaniu śladów użycia przemocy, nie osłabiając jednocześnie skuteczności działania buta. Ruamsantiah pokręcił z podziwem głową.

— Twarda sztuka, trzeba mu to przyznać. Pracowali nad nim przez cały ten czas, kiedy byłeś na śniadaniu, i złamali go dopiero przed chwilą. W życiu czegoś takiego nie widzia-
łem, ma niesamowitą odporność na ból. Skubany brzydał, zupełnie jakby był z betonu.

Dopiero gdy to powiedział, spostrzegłem, że wszyscy mło-
dzi funkcjonariusze są spoceni, a kilku wciąż ciężko dyszy.

Ktoś przyniósł dyktafon, żeby nagrać zeznanie Chaza po
angielsku wraz z moim równoległym tłumaczeniem na tajski. Buckle wykazał się chwalebna lakonicznością (On: „Ja to
zrobiłem”. Ja: „Co zrobiłeś?”. On: „Przemyślałem draż”), do tego stopnia, że Ruamsantiah zasugerował, żebym mu
powiedział, że jeśli nie wymyśli jakichś przekonujących szcze-
gółów, czeka go następna runda, tym razem bez książki
telefonicznej. Chaz chyba nawet chciał współpracować, lecz
nawiedziła go jakaś mistyczna moc, zdolna odpędzić strach.

— Co się stało z komórką tego kretyna? — spytała Ruam-

Wyjaśniłem, że potrwa chwilę, zanim nasi rozmówciani
w muzyce mądrale odzyskają numer telefonu Denise z jej
karty sim.

— Sam to załatwię — rzekł sierżant i ruszył do drzwi.
Tymczasem dwunastu młodych ludzi zaczęło już łakomie
oblizywać wargi. Nie byłem pewien, jak długo utrzymam ich
na wodzy; a może nie byłem pewien, czy chcę ich utrzymać.
Możliwe, że gdyby tak spuścili Chazowi porządny łomot,
gdy jeszcze się nie pozbierał po tym pierwszym, dojrzałby
światło i zmniejszył swój wyrok, ujawniając nam szczegóły
przemytnicznej siatki Denise. Z drugiej strony, gdybym użył

swego wpływu i uchronił go przed dalszym biciem, niemal na pewno czekał go wyrok śmierci. I wówczas ten człowiek, którego największym przestępstwem było IQ na poziomie temperatury pokojowej, zgniłby w celi śmierci, a mózg całego przedsięwzięcia, Denise, pozostałaby na wolności. Właściwie rozumiane prawo karmy jest bardziej skomplikowane od przepowiadania pogody, ale na szczęście przed interwencją w przeznaczenie tego człowieka uchronił mnie triumfalny powrót sierżanta, który po prostu, jak mi oznajmił, pozbił część telefonu do kupy i zmontował go na nowo. I w rzeczy samej, komórka zaczęła działać, bo w tym momencie odebrała wiadomość tekstową: „Chaz, gdzie ty jesteś, do kurwy nędzy? I co się tam wyprawia???”.

Sprawdziłem, że SMS przyszedł z komórki Denise. Ruamsantiah popatrywał to na telefon, to na Chaza, aż w końcu skinął głową. Wcisnąłem klawisz oddzwania. Tym razem już po kilku sygnałach odezwał się ostrożny głos:

— Słucham?

— To znowu ja — powiedziałem. — Chaz jest na komisariacie w Bangkoku i dostaje manto. Znaleźliśmy przy nim dwie walizki z dziewięćdziesięciopięcioprocentową morfiną, którą, jak zeznał, zamierzał przemycić za granicę. Wskazał ciebie jako swoją współniczkę...

mnie zaatakować, ale tym razem wszyscy byli na posterunku. Dwóch policjantów usiadło na nim, a inni przytrzymali go za ręce. Usłyszałem ton pogardy w głosie Denise:

— Daj sobie spokój, chłopcze. Mój Chaz nie sprzedałby mnie za całą herbatę Chin. Pierdolcie się z taką amator szczyzną, i tyle.

Rozłączyła się, pozostawiając mnie w oszołomieniu. Kiedy wybrałem numer ponownie, było zajęte.

Popatrzyłem w zamyśleniu na Chaza. Jeżeli dotąd miałem jeszcze wątpliwości co do pochopnych konkluzji Ruamsan-

tiaha, że to Denise stoi za tym wszystkim, to teraz się one rozwiały. Jednakże nasze dowody przeciwko niej, jakkolwiek intuicyjnie nie do odparcia, mogły zostać łatwo obalone przez dobrego prawnika. Właściwie to nawet kiepski prawnik mógłby je łatwo wykpić przed sądem, ponieważ składały się wyłącznie z tatuażu na prawym przedramieniu Kokosa. Nawet tajski sąd zawahałby się przed skazaniem jej na śmierć tylko na tej podstawie.

Obaj z sierżantem wzruszyliśmy ramionami. Ruamsantiahowi było chyba nawet żal tego wielkiego różowego dziecka, który najpewniej w końcu miał uniknąć stryczka (ponieważ był różowy — a nie brązowy — król w końcu go ułaskawi po kilku dziesiątkach lat w celi śmierci), ale i tak zostanie przemielony przez nasz system więzienniczy, aż zmieni się w bezzębny cień człowieka. No cóż, na razie niewiele można było na to poradzić.

— Może tymczasem sprawdźmy chociaż, czy to faktycznie jest morfina w tych walizkach — zaproponowałem. Sierżant zamrugał gwałtownie. A cóż by to mogło być innego?

No i na tym stanęło, ponieważ następnego dnia, zanim w ogóle zdążyłem się zastanowić nad związkiem znalezionej morfiny z generałem Zinną, wyskoczył problem z Mitchem Turnerem, a potem moja podróż na południe, do Songai Kolok.

Koniec retrospekcji, *farangu*.

19

Ruamsantiah, wciąż zszokowany przebiegłością Vikorna, oddzwania w końcu, lekko zadyszany.

— Właśnie byłem u niego w celi.

— I jak z nim?

— Kiepsko. Naprawdę kiepsko. Strażnik musiał go zakuć.

— Wycofanie?

— Deprawacja z dodatkami. Jest bardzo silny, walił głową o kraty.

— W nastroju do przesłuchania?

— Być może, z niewielką pomocą. Ty będziesz musiał to zrobić, bo ten bydlak po tajsku ani w ząb.

— Pójdę do niego. Czy przyszły już jego dane ze Scotland Yardu? Muszę to przeczytać, zanim zacznę z nim gadać.

— Dostałem faks, ale nie przeczytałem, bo jest po angielsku. Zaraz ci go podeślę.

Po kilku minutach zjawia się przysłany przez sierżanta młody konstabl z informacjami na temat Buckle'a z Anglii. Chaz zaczął od poprawczaka, po czym rozpoczął pięcioletnią, średnio udaną karierę włamywacza, zakończoną wyrokiem więzienia. W pierdлу uzależnił się od heroiny i rozpoczął naukę zawodu jako drobny handlarz. Po pierwszej poważnej wpadce stopniowo doskonalił swój *modus operandi* i jest

obecnie podejrzany o przemyt na dużą skalę z Azji Południowo-Wschodniej do Wielkiej Brytanii *via* Amsterdam, z pomocą dobrze zorganizowanej siatki. Podobno odczuwa poważną niechęć do powrotu do więzienia, czego efektem jest zwiększona ostrożność w prowadzeniu interesów. Pomimo przejścia licznych detoksów nie potrafił odzwyczaić się od ćpania.

Spotykam Ruamsantiaha na schodach do aresztu i razem ze strażnikiem idziemy do celi numer cztery. Okazuje się, że klawisz, wyjątkowo powodowany współczuciem, zamiast tradycyjnych łańcuchów użył szpitalnych, wyściełanych pasów. Zaglądamy do środka przez kraty. Chaz jest w kiepskim stanie, trzęsie się i pojękuje, na czole ma brzydkie rozcięcia i sińce.

— Samookaleczenie — zastrzega się strażnik.

— Dostał coś?

— Tylko głupiego jasia.

Strażnik znajduje klucz, wiszący na długim jak wieczność, lśniącym chromowanym łańcuchu, i otwiera drzwi. Wchodzimy z sierżantem do celi, której ściany ociekają totalną rozpaczą jednego człowieka.

— Chaz — mówię. Przebłysk rozpoznania i powrót do mimowolnej trzęsawki. — Może będziemy mogli ci pomóc.

Znów moment przytomności, ale to już nie jest ten sam człowiek, którego przesłuchiwałem w zeszłym tygodniu. Udamremnione dążenia ukazują nam nasze najciemniejsze miejsca, najgłębsze lęki, naszą tchórzliwą naturę.

— Denise nie wy dostała cię stąd tak, jak obiecywała, co, Chaz? — Odgrywam Zatrokanego Ojca z dużą dozą sacharyny i tylko odrobiną groźby. On gapi się we mnie, po czym znów zwiesza głowę, roztrzęsiony, rozedrgany.

— Ty przecież nie jesteś zwyczajnym kurierem, Chaz. Jesteś zawodowcem, prawda? Widziałem twoją charakterystykę, nie jesteś jednym z tych tępych mułów, których pełno się snuje po Ko Samui i Patayi, czekając, aż ktoś ich wyko-

rzysta, tych innych brzydkich wytatuowanych tępaków, gotowych zaryzykować wszystko za działkę. Byłeś prawą ręką szefowej, jej kochankiem, prawda? Nie musiałeś się bać takiej dupereli jak aresztowanie, bo twoja szefowa jest taka bogata, taka wpływowa, ma takie plecy, że wydobędzie cię z każdej opresji, kiedy tylko zechce. Dlatego właśnie odważyłeś się skoczyć mi do gardła, pamiętasz? To jest Tajlandia i wystarczy dać łapówkę technikom z laboratorium — rzucić im trochę grosza, jak to się mówi — i znowu będziesz sobie spacerował po ulicach, i brał najlepszy towar, jaki jest na rynku. Taki był plan, omawialiście go mnóstwo razy, mówiła ci, jaki jesteś dla niej wyjątkowy, jak jest świetnie ustawiona, było tak, prawda? Ale ty jesteś zbyt doświadczony, żeby jej uwierzyć na słowo. Chciałeś więcej, chciałeś, żeby ci pokazała swoje dojścia, udowodniła, jakie ma układy. Byłeś na Wschodzie tyle razy, że doskonale wiesz, co tutaj znaczy mieć układy. Z twojego paszportu wynika, że w ciągu ostatnich pięciu lat przyjeżdżałeś tu dwadzieścia pięć razy. Układy to bogactwo, władza, szczęście; układy to absolutnie wszystko. I nawet Denise, jeśli by ich nie miała, byłaby tylko kolejnym zagubionym *farangiem*. Więc powiedz nam teraz, Chaz, kto to jest ten jej człowiek?

Tym razem nawet nie podnosi głowy. Kiwam na Ruamsantiaha, który wyjmuje z kieszeni małą, foliową torebkę, wypełnioną czymś białym.

— Chaz — mówię cicho. Mruga oczami, które skupiają się na torebeczce w lewej dłoni sierżanta, a potem znów wracają do wgapienia się w pępek. — Mogę ci ulżyć w cierpieniu. — Wreszcie zyskuję jego uwagę. W oczach pojawia się błaganie. — W porządku, Chaz, możesz mi zaufać, jestem policjantem, cha, cha. Nie, poważnie, daję ci na to słowo. Zrobimy to łagodnie, będziemy powoli redukować dawkę z dnia na dzień, aż w końcu staniesz się czysty. Może nawet znajdzie się trochę metadonu. To bardzo humanitarne z naszej strony, nie sądzisz?

Przełyka ślinę, otwiera usta, wpatruje się w pakiecik, zamyka usta.

— Nie mogę skończyć tak nagle. To mnie zabija — szepcze. Nasze spojrzenia się spotykają. To wyznanie płynące z głębi duszy. On po prostu nie daje rady. Naprawdę nie jest w stanie. Strasznie by chciał odgrywać *macho*, odpornego na wszelkie słabości, ale smok narkotyku jest zbyt potężny.

— Oczywiście za to będziesz musiał nam pomóc przyskrzynić tę sukę i jej dostawcę.

Patrzy spod oka, kiwa głową i nagle wybucha szlochem. Szepcze płacząco:

— Dajcie mi działkę, powiem wszystko, co chcecie wiedzieć.

Wymieniamy z sierżantem spojrzenia.

— Skombinuj jakiś sprzęt — mówię. — Tylko niech będzie wysterylizowany.

Sierżant wyrusza na poszukiwanie strzykawki, lampki oliwnej i reszty akcesoriów, a ja tymczasem używam wobec zatrzymanego Kojącego Głosu:

— Ty jesteś tylko płotką, Chaz, mułem, marionetką. Wyko rzystała cię, a potem zostawiła na pastwę losu. Ale Denise tak naprawdę też nie jest żadną grubą rybą. Jest zwyczajnym, pokreconym *farangiem* w średnim wieku, i tyle. Niczym nie porusza, niczym nie trzęsie, tylko kręci się wokół stołu z wywieszonym językiem. I może zbiera większe okruchy niż ty, ale to i tak tylko okruchy. Dlatego że tutaj handel należy do miejscowych, tak czy nie? Wśród *farangów* nie ma *jaopor*, Chaz, nie ma wielkich szefów, wszyscy oni są Tajami, ale przecież ty to wiesz. Więc powiedz mi teraz, kogo wyciągnęła z rękawa Denise, żeby cię przekonać o swoich układach, dzięki którym miałeś być bezpieczny? W tej grze inaczej się nie da, jeśli taki mądry gość jak ty ma podjąć ryzyko. Nawet jeżeli ją bzykałeś, to i tak musiała ci zaprezentować jakiś dowód, zgadza się?

Ruamsantiah wrócił z jednorazową strzykawką, jeszcze w sterylnym opakowaniu, z małą lampką oliwną i arkusikiem

folii aluminiowej. Kładzie to wszystko na stole w kącie celi, a Chaz obserwuje go z napięciem. Po chwili obok strzykawki ląduje torebka z działką. Teraz obaj patrzymy pytająco na Chaza.

- Generał armii tajskiej — mówi zdławionym głosem.
 - Nazwisko?
 - Zinna.
 - Powiedz mi coś więcej o tym generale. Ile razy się z nim spotkałeś?
 - Tylko raz.
 - Wystarczyło, że pokazała ci go ten jeden raz i to cię przekonało, że jest koszerna? — Skinienie głową. — Musiał zrobić na tobie duże wrażenie.
 - Przyszedł w mundurze, z obstawą żołnierzy.
 - Gdzie się spotkaliście?
 - Skąd mam to wiedzieć? Gdzieś mnie zawiozła, nie zwracałem uwagi.
 - Opisz to miejsce.
 - Wielki dom, trzy piętra, duży teren, psy, małpy. Tłumaczę, a Ruamsantiah patrzy na mnie.
 - On mówi o Khun Mu.
 - Chaz Buckle rozpoznaje tę nazwę.
 - Mhm, Mu, tak mówili.
 - Kiwam głową.
 - Dasz radę pichcić sam, Chaz, czy przysłać ci kogoś do pomocy?
 - Poradzę sobie.
- Patrzę, jak sierżant przesuwa stół do miejsca, w którym Chaz przytwierdzony jest do krat za kostki i przeguby, a następnie uwalnia mu ręce. Chaz natychmiast pochyla się nad stołem, oddziera pasek folii i zaczyna wysypywać z torebki działkę, obojętny na wszelkie ludzkie emocje, łącznie z własnym wstydem. Zostawiam go z sierżantem.

20

W korku na skrzyżowaniu Asok i Sukhunwit — w tej czarnej dziurze, gdzie gubi się czas — proszę kierowcę, żeby wyłączył CD z tajskim popem, bo obaj z Lekiem chcemy posłuchać Radia Korek. Pisit zaprosił nie kogo innego jak moją matkę, ze wszystkimi jej talentami najślawniejszej i najbardziej wygadanej eksprostitutki w Tajlandii.

Nadeszły smutne czasy dla rozwiązłości, *farangu*. Nasz rząd przechodzi akurat kolejną fazę purytańską i postanowił wprowadzić wcześniejszą godzinę policyjną. Od przyszłego miesiąca wszystkie bary mają być zamykane o północy. Przemysł uciech cielesnych oczywiście dostaje szalu, całe Soi Kauboi jest w stanie mobilizacji, nie przepuszczą żadnego *faranga*, jeśli nie podpisze petycji. Pierwszym gościem Pisita jest *katoi*, która pracuje w barach. Lek słucha jak zahipnotyzowany.

Katoi oznajmia głębokim głosem, że zamierza zaskarżyć rząd o zwrot kosztów swojej operacji i zrujnowanie życia. Kazała sobie obciąć wszystko wyłącznie z powodów komercyjnych. Dorastała jako chłopiec w Isikiert, jednym z najuboższych regionów w najuboższej części północnego wschodu, razem z pięcioma siostrami i bratem. Jej matka oślepla od zaćmy, ojciec zrujnował sobie zdrowie, pracując na polu

ryżowym w tropikalnym upale po dwanaście godzin na dobę, wszystkie siostry mają dzieci, zrobione przez pijanych Tajów, którzy nie płacą na ich utrzymanie, a poza tym i tak żadna z nich nie zrobiłaby kariery na rynku ciał w Bangkoku ze względów estetycznych. Jej jedyny brat cierpi na zespół Downa i wymaga stałej opieki. Będąc najatrakcyjniejszą z rodzeństwa, została wybrana (jednogłośnie) jako ta, która rozwiąże finansowe problemy rodziny w wielkim mieście. Pożyczając, gdzie się dało, i poświęcając wszystko, co mieli, zdołali zgromadzić tyle, że wystarczyło na operację, która zmieniła ją w jedną z najseksowniejszych dziwek w branży. Była to jednorazowa inwestycja wysokiego ryzyka, która po bolesnym okresie przejściowym zaczyna wreszcie przynosić godziwe zyski, a tu nagle rząd sabotuje całą gałąź gospodarki przez te idiotyzmy z wcześniejszym zamykaniem. Każdy doskonale wie, że najlepszy interes robi się pomiędzy północą a drugą w nocy, kiedy opory klientów zostały już odpowiednio zmiękczone alkoholem i zabiegami na wpół nagich młodych kobiet (albo *katoi*). Co to za maniak tam na górze wpadł na ten genialny pomysł? Oczywiście ubodzy nic a nic ich nie obchodzą. Jeśli nie będzie mogła wysłać do domu gotówki, czy pan minister spraw wewnętrznych zaopiekuje się jej rodziną?

Pisit zwraca się teraz do mojej matki, której nie trzeba zachęcać dwa razy.

Nong: Rząd nie tylko morduje kurę znoszącą złote jaja, ale rujnuje także jedyny system dystrybucji bogactwa, jakim dysponuje nasze feudalne społeczeństwo. Ten rząd postradał rozsądek. Czy oni naprawdę uważają, że możemy się wzbogacić, stając się tak sterylni jak Zachód? Byłam w Paryżu, na Florydzie, w Londynie, w Monachium — te miejsca to istne muzea nawiedzane przez duchy. Prawda jest taka, że ludzie z Isaan od ponad trzech dziesięcioleci utrzymują się przy życiu dzięki tej odrobinie gotówki, jaką wysyłają im córki pracujące w Bangkoku. Jest całe mnóst-

wo miasteczek, dróg, sklepów, gospodarstw, bawołów wodnych, samochodów, motocykli, warsztatów, które wdzięczą swoje istnienie naszym pracującym dziewczętom. Te odważne młode kobiety są samą esencją żeńskiego geniuszu, utrzymującego, karmiącego, czczącego życie poprzez życie. Są również, ze swoim nieegoistycznym oddaniem i poświęceniem, kwintesencją tajskiej wielkoduszności. Nie żądają pomocy ani wdzięczności, nie oczekują podziwu; już całe lata temu zrezygnowały z domagania się szacunku, ale to one właśnie są solą tego kraju.

Pisit: Do jakiego stopnia, pani zdaniem, na taką postawę rządu wpływają zachodnie media?

Nong: No cóż, muszę stwierdzić, że nie wiem, co by tu miały do filmowania zachodnie stacje telewizyjne, gdyby nie było burdeli. Oczywiście, że wpływa to na rząd, ale tu bardziej chodzi o to, że stacje starają się o zwiększenie oglądalności, a nie o to, żeby nas zrozumieć. Mamy tu do czynienia z taką namiastką zachodniej moralności. I co można na to poradzić?

Pisit: Czy te restrykcje zapowiadają koniec przemysłu seksualnego w Tajlandii?

Nong: Nie sądzę. Przecież to wszystko jest nielegalne od niemal stu lat i proszę spojrzeć, co osiągnęliśmy. Ostatnio sporo inwestują też ludzie z Zachodu, ponieważ potencjalny zysk z dobrze prosperującego baru go-go jest moim zdaniem dużo wyższy niż inwestycja, dajmy na to, w General Motors. Nasze dziewczęta biorą za godzinę mniej niż w większości krajów, a jednocześnie są jednymi z najbardziej poszukiwanych kobiet na świecie. Stawki właściwie u nas nie wzrosły, w sensie realnym, odkąd ja byłam czynna zawodowo.

Serce mi rośnie, kiedy słyszę, jak moja matka posługuje się po mistrzowsku słownictwem zarezerwowanym zwykle dla klas rządzących. Taksówkarz odwraca głowę.

— To pana matka? Musiała nieźle szaleć w młodości.

— Może pan sobie włączyć z powrotem ten tajski pop —
odpowiadam.

Kiedy korek wreszcie znika, Lek mówi:

— Widziałeś te nowe rzeczy od Saint-Laurenta? Są w Emporium, niektóre sukienki są niesamowite.

— Jakoś w tym roku nie nadażam za modą.

— Ale i tak najlepsze kolory mają nadal Armani i Versace.

— Tak, Włosi mają świetne oko do kolorów.

— Ale ja mimo wszystko wolę japońskich projektantów.

Na przykład Junya Watanabe ma w tym sezonie zupełnie niezemskie rzeczy. Satyna i welwet, same stłumione szarości. W pierwszej chwili szok, rozumiesz, a potem widzisz, jaka to perfekcja. I co, rozmawiałeś z matką?

Przełykam i zerkam z ukosa na te jego kruczoczarne włosy, na bijącą z jego ciała aurę młodości, na maślany poblask wysokich policzków, na wciąż obecną w oczach niewinność. Przetrawiam tę sprawę w myślach od wielu dni, zastanawiając się, czy mojej matce na stare lata nie odebrało rozumu. Zapoznanie tego anioła z Fatimą wydaje się niemal wbrew naturze. I nagle kilk: inicjacja, oto właściwe słowo. Matka ma rację, jak zwykle. Fatima nie tylko będzie dla niego dobra, ale wręcz jest właśnie tą osobą, której mu potrzeba, by nabrał doświadczenia i przetrwał. Poza tym Fatima jest bardzo bogata. Jeśli się zdecyduje go adoptować, będzie ustawiony na całe życie.

— Właśnie niedawno wspomniała o pewnej znajomej, która jakoś nie przysłała mi do głowy w związku twoją sprawą. Nie widziałem jej od ponad roku, ale odnajdę ją bez problemu. I zobaczymy, co da się zrobić.

Lek promienieje uszczęśliwiony i rzuca mi jedno z tych swoich omdlewających spojrzeń.

— Przypomnij mi jeszcze raz, dokąd to my jedziemy?

— Do Khun Mu, Lek.

21

Jeżeli się zabierze ubogą tajska dziewczynę z jej wioski i obsypie pieniędzmi, to czego będzie pragnęła w trzeciej kolejności, gdy już dostanie trzypiętrowy dom jak lukrowany tort weselny i mercedesa z bajerami? Mebli w żrących kolorach, w stylu Ludwika XV, to więcej niż pewne. Przy tym natężeniu światła nawet beż wydaje się krzykliwy, a zielony dywan robi wrażenie kortu tenisowego, jednak Khun Mu jakoś wkomponowuje się w wystrój wnętrza.

Słówko na temat Mu. Jej mąż, Savian „Joey” Sonkan, zanim zastrzelił go Vikorn, lubił się przechwalać, że wydał więcej pieniędzy na kształtowanie jej ciała niż na dom z garażem na pięć samochodów. Jednak prawda jest taka, że Mu zaczęła rzeźbić swoje ciało, zanim go w ogóle poznała. Była, jak to nazywają, późno rozwinięta. Większość jej przyjaciółek z wioski w Isaan pojechała pracować w wielkim mieście w wieku lat osiemnastu i przyjeżdżały czasem na święta, żeby się pochwalić, ile to zarabiają na głupich *farangach*, którzy wynajmują ich ciała po zawrotnych cenach. (Za to, co taki facet potrafił wydać w barach przez noc, można było kupić dorosłego bawołu). Przez całe lata te historie zupełnie nie działały na Mu, aż pewnego dnia ukradła schowane pod łóżkiem rodziców rodzinne oszczędności i wydała wszystko

na silikonowe implanty piersi i nową garderobę, po czym uciekła do Krung Thep zarabiać i odkładać na kupkę. Traf chciał, że odnalazła swoje przeznaczenie nie u boku mężczyzny z Zachodu (którzy, pomimo zapewnień jej konsultantów, potrafili się jednak oprzeć twardym piersiom i różowym pończoszkom), lecz przy miejscowym *jao por* — młodym baronie narkotykowym, któremu spodobała się kobieta mająca równie kiepski gust jak jego własny.

Joey nie tylko handlował narkotykami — on z nimi mieszkał na co dzień. Gdy mój pułkownik go załatwił, znaleźliśmy całe szafy wypełnione *yaa baa*, małżeński materac wypchany heroiną i bele gandzi w garażu. Vikorn, który już dawno nie angażował się w strzelaniny z desperatami i wolałby pójść na jakiś układ (powiedzmy siedemdziesiąt procent podatku od dochodów Joeya brutto), w ogóle nie zamierzał go zabijać, ale niestety kolejną pasją Joeya, po narkotykach i kształtowaniu ciała żony, były filmy akcji, im brutalniejsze, tym lepiej. Chciał zginąć jak Al Pacino w *Człowieku z blizną* i po latach prowokacji Vikorn w końcu spełnił jego życzenie.

Mój nieżyjący partner Pichai uczestniczył w obławie, podobnie jak ja i połowa policjantów z Okręgu 8., nie wspominając już o licznych stacjach telewizyjnych. Joey pojawił się nieuzbrojony na balkonie swojej sypialni, obrażając męskość Vikorna i prowokując go do konfrontacji, a pułkownik tymczasem przykleknął za policyjną furgonetką z karabinem myśliwskim z celownikiem na podczerwień i strzelił, zanim Joey zdążył wyrecytować regulamin pojedynku. Być może Savian Sonkan oczekiwał właśnie takiej nieczystej gry, bo ustawił się na samej krawędzi balkonu, dzięki czemu jego upadek wyglądał bardzo efektownie w telewizji, łącznie z saltem do tyłu przed finałowym walnięciem o ziemię. Po kilku minutach zjawiała się na balkonie Mu, machając plisowaną chusteczką w stylu Ludwika XV i uśmiechając się do kamer. Wyjaśniła rozpromieniona, że nie ma żalu ani pretensji. Bądź co bądź dom i samochody należały teraz do niej,

nie wspominając już o meblach. Kilka godzin później, na komisariacie, odkryliśmy ku naszemu zdumieniu, że ta głupawa kochanica gangstera, prawie analfabetka, miała fenomenalną pamięć. Była też najwyraźniej nieustraszona i podała nam listę trzystu dwudziestu jeden kontrahentów swego męża (zresztą listę bardzo wybiórczą, bo nie było na niej ani jednego gliniarza), przy czym nie schodził jej z twarzy przymilny uśmiech i nie przestawała celować w nas swymi piramidami. Nie trzeba jej było zbytnio zachęcać (no cóż, mówiąc ściśle, dostała obietnicę uniknięcia wyroku skazującego), żeby zaświadczyła, że Joey miał jednak przy sobie ukrytą broń i Vikorn mówi prawdę, utrzymując, że działał w obronie własnej — co pozwoliło nam uciszyć media, rozdzierające szaty nad całą sprawą. Była również lepszą negocjatorką od swego nieboszczyka męża. Przed opuszczeniem komisariatu oznajmiła Vikornowi, że jej życie nie jest teraz warte złamanego grosza **i jeśli** nie zapewnimy jej dożywotniej ochrony, to już jest w zasadzie trupem, gdyż podała nam ową listę nazwisk.

— Potrzebujesz pieniędzy — odparł na to pułkownik.

— No właśnie.

— Okay — rzekł Vikorn, a Mu potraktowała to jedno cudzoziemskie słowo jako zgodę na kontynuowanie handlu z wojskiem. Pozwolił jej także zatrzymać w domu około dziesięciu procent narkotyków. Reszta i tak w zupełności wystarczyła do rytualnej fotografii, na której Vikorn stoi uśmiechnięty w mundurze pułkownika policji przy stole zawałonym heroiną, morfiną, metą i gandzią, której wartość rynkowa wystarczyłaby na zakup floty samolotów pasażerskich.

Działo się to wszystko przed kilkoma laty. Nadal co jakiś czas konsultujemy się z Mu. Vikorn sam jest niezłym negocjatorem, a układ polegał między innymi na tym, że ona pozostanie naszą informatorką; szczególnie interesował nas Zinna, który był głównym dostawcą Joeya. Żeby jej nie narażać, ograniczamy nasze wizyty do jednej rocznie, przy zachowaniu pełnej anonimowości.

Czas i pieniądze pokazały, że Mu z natury nie jest bynajmniej dziwką ani kryminalistką, lecz autentyczną ekscentryczką. Pomimo zagrożenia nie zgodziła się porzucić posiadłości, zmieniając ją w schronisko dla bezpańskich psów oraz małp. Mu karmi je osobiście trzy razy dziennie, najczęściej odziana w oślepiająco różowy fartuch, z wyjątkiem rocznicy śmierci męża, kiedy odziewa się na fiołkowo, w ulubionym kolorze Joeya (jeden z rolls-royce'ów też jest fiołkowy). Uzbrojeni i umundurowani (na fiołkowo) ochroniarze są wszędzie i nieustannie patrolują teren posiadłości. Jest nawet budka wartownika, gdzie musimy się wylegitymować, a także kamera cyfrowa, dzięki której Mu przyjrzała się naszym twarzom, zanim nas wpuściła.

Stoimy teraz w pokoju przyjąć na dywanie zielonym jak kort tenisowy, a ona siedzi na lśniącej, beżowej, pięciomiejscowej kanapie, głaszcząc młodą i bardzo senną suczkę dalmatyńczyka. Tak się składa, że wiem, że Mu nie ma stałego kochanka, chyba że któregoś ze strażników, w co bardzo wątpię. Jest niczym zakonnica miliarderka, zakochana w zwierzętach. Samotność rozpuściła całą jej pewność siebie. Emocje — smutek i radość, i znów smutek — pojawiają się na jej twarzy jak u dziecka.

Lek jest wyraźnie w szoku na widok kiczowatego wystroju wnętrza i stoi jak wrośnięty w ziemię.

— Pamiętam cię — mówi Mu. — Jesteś mieszańcem, byłeś przy strzelaninie. Czy to ty zabiłeś mojego męża?

— Wiesz przecież, że zrobił to pułkownik Vikorn.

— Ach, tak. W każdym razie wziął to na siebie na użytek mediów, ale to bardzo przebiegły człowiek. Całkiem możliwe, że to ty albo któryś z twoich kolegów pociągnęliście za spust. — Nic nie odpowiadam. — Chcielibyście go zobażyć? — Pokasłuję. — Chodźcie, wiem, że będziecie za chwyceni. — Kładzie dalmatynkę na jednym z wyściełanych krzeseł i spogląda na Lęka. — Czy piękny chłopczyk idzie z nami?

Joey jest w przyległym pokoju. Zabalsamowany *d l'americaine* w charakterystycznej dla siebie pozie, siedzi w dyrektorskim fotelu z komórką przy uchu i cygarem w drugiej ręce, ubrany w rozpiętą pod szyją koszulę od Gucciego i marynarkę, eleganckie spodnie od YSL i wielobarwne papucie. Jego szeroki uśmiech, wręcz żrący w swej intensywności, pasuje znakomicie do klimatu domu. Mu, zgrabnie mieszając kultury, otoczyła go złotymi wizerunkami Buddy w różnych pozycjach i wszędzie migocą elektryczne imitacje świec wotywnych. Wystrój pokoju to standardowy styl tego domu, a dominuje barwa... już wiecie. Mu przed wejściem do sanktuarium przebrała się w fioletowy fartuch. Mam niepokojące poczucie, że pod spodem jest tylko chirurgicznie zmodyfikowane, nagie ciało.

Jej wypielegnowana dłoń podfruwa do ust.

— Wiesz, za każdym razem gdy myślę o tym dniu, czuję się okropnie — mówi.

— Myśmy naprawdę tego nie chcieli — odpowiadam. — Vikorn byłby się dogadał z Joeyem, ale on koniecznie chciał umrzeć.

— Wiem. Ale później. Na komendzie. Uważaliście mnie za głupią i naiwną, typową dziewczynę z prowincji, kompletnie zdezorientowaną w wielkim mieście.

— Wręcz przeciwnie. Zrobiłaś na nas wszystkich spore wrażenie.

— Naprawdę? — Niedowierzający śmiech. — Nie próbuj mi kadzić, detektywie. Wiem, że śmialiście się ze mnie za moimi plecami.

— Dlaczego mielibyśmy się śmiać?

— Przez ten głupi silikon, oczywiście. Joey wciąż był tak zajęty zarabianiem pieniędzy, że nawet nie pomyślał o tym, że można to poprawić. Spójrzcie.

Rozchyła fartuch i oto są. Lek po raz pierwszy okazuje zainteresowanie sprawą. Czuję, że spadnie jej kamień z serca, jeśli podążę za jej wskazówką i zbadam je bliżej, chociaż już

widzę, o co chodzi. Sztywny silikon zniknął, zastąpiony bez wątplenia woreczkami z solanką albo kolagenem. Donoszę, że w efekcie piersi poddają się przyjemnie naciskowi, kołyszą się i podskakują pięknie, i właściwie nie można ich odróżnić od prawdziwych, chociaż purysta mógłby się pewnie przy-
czepić, że należą do kobiety o dziesięć lat młodszej.

— Czy ja też mogę? — pyta Lek. Mu kiwa z uśmiechem głową. Młody człowiek z wielką rewerencją ujmuje piersi w dłonie, jakby przyglądał się jakiemuś wytworowi sztuki, którego posiadaczem sam się niedługo stanie. — Są niesa mowite.

— To prawda — mówię. — Są wspaniałe. Na pewno jest z nich bardzo dumna.

— Jestem — potwierdza Mu i zapina fartuch, zerkając spod oka na Joeya. — No więc, co byście chcieli wiedzieć? Vikorn przysyła tu kogoś mniej więcej raz na rok, ale ja ostatnio prawie wypadłam z obiegu.

— Chcesz rozmawiać przy Joeyu? — pytam.

— Oczywiście, że nie. Chodźmy na górę, chcę zajrzeć do moich zwierząt.

Sypialnia jest tak wielka, że wygląda jak ekspozycja w sklepie meblowym. Wszystko okropnie kiczowate. Moje udręczone oko spoczywa przez moment optymizmu na skromnej półce z książkami. Jestem pod wrażeniem, bo wszystkie są buddyjskie, lecz po chwili serce we mnie zamiera, ponieważ wszystkie noszą ten sam tytuł.

Przysiadamy skromnie na siedzisku pod oknem, chyba jej ulubionym miejscu w domu, i wyglądamy na dziedziniec, gdzie jedna z małp ujeżdża doga arlekina. Jedzie sobie na psie zupełnie jak dżokej i nawet pogania go długą łapą. Wszystko przebiega dobrze — psa chyba nawet cieszy przywilej transportowania przedstawiciela wyższego gatunku z miejsca na miejsce — lecz nagle inna małpa, chyba szympan, trochę starsza i sprytniejsza, też ma ochotę się przejechać.

— To Vikorn — wyjaśnia Mu.

Pierwszą myślą Vikorna jest uczepienie się ogona, co ma ten skutek, że pies się zatrzymuje. Małpa wskakuje mu na grzbiet obok tej pierwszej, a inne gromadzą się wokół. Mu od czasu do czasu wymienia cicho ich imiona. Wygląda na to, że ma tu cały Okręg 8.

Potem kolejno nazywa psy. Wszystkie to znani handlarze narkotyków.

— W taki sposób zapamiętuję ludzi — mówi. — Myślę o tym, którego z moich psów dana osoba najbardziej przy pomina. Oczywiście to nie dotyczy policjantów, bo oni muszą być małpami. Małpy są sprytniejsze, ale niezbyt szczęśliwe. Ciągłe są z nimi jakieś problemy, ale psy są raczej zadowolone, dopóki któraś z małp im nie dokuczy.

— Czy któryś z psów ma na imię Denise? — pytam.

— Denise? — Patrzy na mnie z ukosa, po czym wskazuje na sukę buldoga. — Tak, to właśnie ona. Chciałbyś coś o niej wiedzieć?

— Jeżeli to możliwe.

— Czy masz oficjalną zgodę? — pyta z wahaniem. — Vikorn obiecał, że utrzyma mnie przy życiu.

— Podjęliśmy odpowiednie środki ostrożności; przyjechaliliśmy taksówką. Na pewno nikt nas nie śledził.

Podenerwowana, wstaje po małą torebkę od Chanel i duże lustro w srebrnej ramce. Bez cienia skrepowania otwiera torebkę i wyjmuje srebrne pudrko, mogące służyć do przechowywania narkotyku, wysypuje kreskę białego proszku na lustro, kształtuje ją żyletką, nachyla się, przyciska lewe nozdrze lewym palcem wskazującym i wciąga przez prawe, zmienia nozdrze, wstaje, odkłada torebkę i lustro na stolik obok, wszystko to w jednym nieprzerwanym ruchu. Widząc spojrzenie Lęka, wyjaśnia:

— To na nerwy.

Zerka teraz na mnie i wzdycha.

— Dzisiaj jest w branży więcej *kobiet farangów* niż kiedyś. Denise działa już od jakiegoś czasu. Początkowo była płotką,

lekką zwariowaną. Wywiad brytyjski, MI6, śledził ją w Ko Samui i Phuket. Nigdy nie przemyślała sama, używała mężczyzn jako mułów, taka odmiana zwykłej metody. Wszyscy ci mężczyźni to byli skapciani biali faceci, Angole i Australijczycy, odmóżdzeni plażowi menele, lubiący się obżerać. Ponad połowa z nich została złapana, dlatego reputacja Denise mocno ucierpiała i nikt znający się na rzeczy już nie chciał dla niej nosić towaru. Potem udało się jej jakoś złapać kontakty w armii i zaczęła na nowo. Ale najpierw musiała przekonać kurierów, że ma odpowiednie układy w Tajlandii. Jeden z ludzi Zinny mi ją przedstawił.

— I zaaranżowałaś jej spotkania uwiarygadniające?

— Można to tak określić. — Mu się uśmiecha. — Stała się bardzo ostrożna w doborze mężczyzn. Nadal byli głupi, ale z większym doświadczeniem. Już nie menele, raczej ludzie robiący w branży we własnych krajach, zazwyczaj po odsiadce, ale przynajmniej wiedzieli co i jak. Ostatni, Chaz Buckle, orientował się dobrze w sprawach Tajlandii i w działaniu całego systemu. Widział, że najlepszy sposób na opuszczenie kraju z walizką pełną towaru zapewnia mu przekucie człowieka w armii albo policji.

— Był jej kochankiem?

— Tak. Zazwyczaj tak jest. Ona w ten sposób traktuje seks, chyba to właśnie ją kręci.

— On ma na ręce wytatuowane jej imię.

Wzruszenie ramion.

— Tatuaż to nic nadzwyczajnego, to samo co koszulka z napisem. Ale kto wie, może coś między nimi było na poważnie. W końcu to ona przedstawiła go Zinnie osobiście.

— A dlaczego Zinna na to poszedł?

Nasze spojrzenia się spotykają.

— Ponieważ nagle stał się posiadaczem stu kilogramów morfiny, które musiał szybko upłynnić. Na pewno wiesz, skąd się wziął ten towar; to ta morfina, którą podrzucił mu Vikorn, żeby go zrobić w sąd wojskowy. Zinna musiał się

zająć, przecież wiesz.

tego natychmiast pozbyć, bo wiedział, że Vikorn nadal na niego poluje. Potrzebował kurierów, biorących po dwadzieścia, trzydzieści kilo na jeden raz, a tego się nie da przeprowadzić z amatorami; to muszą być ludzie, którzy wiedzą, co robią. A tacy ludzie żądają bezpieczeństwa. Chcą mieć pewność, że jest w Tajlandii ktoś, kto im zapewni spokojne opuszczenie kraju. Znają doskonale ten numer, że poświęca się drobnego kuriera, który wpada po to, żeby odwrócić uwagę od głównego transportu.

— To spotkanie odbyło się tutaj?

— Tak. To neutralny teren.

— Czy Zinna przyszedł z obstawą?

— No pewnie, to było całe przedstawienie. *Farang Buckle* był pod wrażeniem. — Mu wygląda przez okno i znów odwraca się do mnie.

— Dziękuję — mówię. — To właśnie chciałem wiedzieć.

Uśmiecha się uprzejmie i wstaje, żeby nas odprowadzić. Widać, że to maksimum ryzyka, na jakie mogła się zdobyć. Rozmowa skończona. Na zewnątrz, na imponującym kolumnowym ganku, Mu przygląda się Lekowi.

— Naprawdę dasz radę się nim zaopiekować? — pyta mnie. — Jest aż za piękny, za niewinny. — Wyciąga rękę i głaszcze go po włosach, jakby był psem. — Biedne słoneczko, jeszcze cię nikt nie zranił. Mam nadzieję, że przetrwasz.

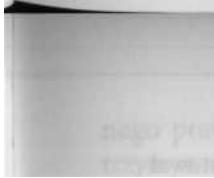
W drodze powrotnej Lek panuje nad sobą, dopóki może, i w końcu wybucha:

— To kiedy się spotkam z tą Fatimą?

— Muszę ją najpierw przygotować. Może nie będzie chciała wziąć na siebie odpowiedzialności. Daj mi jeszcze tydzień. — Zmiękczam słowa uśmiechem. — Mam mnóstwo

musieli przyskrzynić Zinnę, jeżeli nie chcą narazić na szwank własnej kariery. Tym razem nie będzie dziwnych zakulisowych rozgrywek jak ostatnio. Dlatego siedzę przy biurku i sporządzam listę w punktach, z rodzaju tych, których gliniarze mojego pokroju nigdy nie sporządzają.

157



22

Czuję się całkiem dobrze, *farangu*. Właściwie czuję się *Jakfarang*. Prawdę powiedziawszy, nie pamiętam tak starannie przygotowanej sprawy, bez żadnych słabych punktów, wszystko do końca według zasad policyjnej sztuki. Przyznam, że wołałbym nie działać w ten sposób zbyt często, bo strasznie pochłania czas i energię (Chodzi o to, że w dziewięciu przypadkach na dziesięć wie się „kto zabił”, i odpowiednio do tego gromadzi się dowody — to jedna z tych skutecznych azjatyckich technik, które będziecie musieli sobie przyswoić, bo konkurencja globalna się nasila i nie możecie chyba pozwolić, żeby wasza policja miała mniejszą wykrywalność na statystycznego gliniarza, no nie? Szczególnie teraz, gdy odpuściliście sobie rządy prawa w tych przypadkach, gdy okazują się one nieskuteczne), ale tym razem Vikorn chce zrobić wszystko przepisowo. Dowody przeciekną do mediów i ogłosimy też wszystko w Internecie, tak że sędziowie będą

Dowody w sprawie:

1. Narkotyki. Nie ulega kwestii, że Buckle transportował morfinę, chłopcy z laboratorium przeprowadzili wszelkie możliwe testy, a Ruamsantiah rozmawiał z nimi dziś rano. Czy to morfina? A czy Dalajlama jest buddystą? Cieszą się, że będzie o tym w prasie, raport ma być gotowy wieczorem.

2. Chaz Buckle, przy odrobinie chemicznej zachęty, jest gotów podpisać swe coraz bardziej szczegółowe zeznania na temat operacji Denise i jej powiązań z Zinną.

3. Khun Mu, dzięki gwarancji bezpieczeństwa od Vikorna i odpowiedniej sumie pieniędzy, o której on nie chce mówić (która ma jednak zapewnić jej nową tożsamość i nowe życie na tym samym poziomie; przypuszczam, że właściciela zmieni tu dobrze ponad milion dolarów), zaświadczy w sądzie, że spotkanie Zinny z Denise i Chazem Buckle'em faktycznie miało miejsce w jej posiadłości.

Teraz muszę jeszcze tylko znaleźć Denise i młócić ją przez tydzień, aż zdecyduje się wyznać wszystko, co wie na temat Zinny, w zamian za poważne obniżenie wyroku, który w przeciwnym razie byłby wyrokiem śmierci. Trudno to przeprowadzić zgrabniej i bardziej satysfakcjonująco i muszę tutaj przyznać, *farangu*, że wasz system ma też czasami swoje plusy. (Awansie, oto nadchodzi).

Tyle tylko, że dzwoni moja komórka i mam znów jeden z tych ponurych wglądów w najbliższą przyszłość. Na wyświetlaczu widzę, że to Ruamsantiah.

— Musimy wypuścić Chaza Buckle'a — mówi przygnębiony.

— Co takiego?

— Chłopcy z laboratorium stwierdzili jednak, że ten jego proszek to tylko cukier puder. Poprzednie badanie wykonywali zanieczyszczonymi narzędziami i to ich zmyliło.

— Zinna im zapłacił?

— A czy jest inne wyjaśnienie? Przysłał tu jakiegoś waż-

nego prawnika, który oznajmił, że nie mamy prawa przetrzymywać Buckle'a. Potem dyrektor policji zadzwonił do Vikorna i kazał go wypuścić.

— Jak Vikorn to przyjął?

— Siedzi u siebie i wymachuje pistoletem.

Kończę rozmowę, biorę głęboki oddech i dzwonię do pułkownika.

— Słyszałeś już? — pyta Vikorn.

— Tak. Musimy go wypuścić.

— Czy masz pojęcie, co to robi z moją twarzą?

— Tak.

— Stanę się pośmiewiskiem.

— Niekoniecznie. Możemy zlecić drugie badanie towaru, może nawet w jakiejś agencji *farangów* za granicą.

— No to będziemy mieli dwie sprzeczne ekspertyzy. To mu wystarczy, żeby się wywinąć.

— Nie może pan się teraz poddać.

— Tajowie śmieją się z przegranych, a ja właśnie na takiego wyszedłem. Wrobiłem Zinnę, wykręcił się. Złapałem jego kuriera, wyciągnął go.

Cóż mam powiedzieć? To wszystko prawda.

— Uważaj na siebie, on jeszcze nie skończył — mówi Yikorn przybity i rozłącza się.

Wieczorem jestem znów w barze. Noc jest spokojna i zastanawiam się, czyby nie zamknąć wcześniej, gdy dzwoni telefon. To pułkownik z dzielnicy Klong Toey. Wygląda na to, że właśnie wyłowili z rzeki krępego, muskularnego, wyjątkowo brzydkiego i wytatuowanego *faranga*. Ktoś im powiedział, że mogę coś o tym wiedzieć. Dzwonię do Lęka, żeby podjechał po mnie taksówką.

23

Na skrzyżowaniu Ratchadapisek i Ramy IV Lek mówi:

— Jeszcze nigdy nie byłem w Klong Toey. Rzeczywiście jest tam tak źle, jak mówią?

— Raczej tak.

— I nie boisz się jechać w takie miejsce po nocy, tylko we dwóch?

— Jesteśmy gliniarzami, Lek.

— Wiem. Nie pytałem ze względu na siebie, z tobą czuję się bezpieczny. Jesteś dla mnie jak Budda, sama twoja obecność rozprasza lęk.

— Nie powinienes tak mówić.

— Bo to niemęskie, gliniarzowi nie wypada? Ale ja ciebie kocham za to, co dla mnie robisz, nie oszukam głosu serca. — Wzdycham. — Czy mógłbyś mi powiedzieć, kiedy się spotkamy z moją Starszą Siostrą?

— Jak będziemy gotowi. Ty i ja.

Prawda jest taka, że wciąż nie mogę się zdobyć na to, żeby przedstawić Lęka Fatimie. Za każdym razem gdy podnoszę słuchawkę, żeby do niej zadzwonić, mam wizję, jak pożera tego dzieciaka żywcem.

— Posłuchaj, Lek, pamiętasz, jak mówiłeś mi niedawno, że ścieżka *katoi* to najtrudniejsza, najbardziej samotna z dróg, jakimi może podążać człowiek?

— Ja jej nie wybrałem, tylko ten duch, który uratował mi życie.

— To prawda. I być może ten duch wybrał także Fatimę, ale muszę być tego pewien. Czuję się, jakbym trzymał w rękach twoje życie.

Lek wyciąga rękę, która przez moment spoczywa na moim kolanie.

— Budda obdarzy cię za to oświeceniem. Jesteś tak rozwinięty, że prawie dotarłeś do celu.

— Nie czuję się rozwinięty. Czuję się, jakbym psuł młodego człowieka.

Lek się uśmiecha.

— To właśnie pokazuje, jaki jesteś święty. Przecież muszę podążać moją ścieżką, prawda? Rozmawiamy tu o moim przeznaczeniu. O mojej karmie. O moim losie.

— Zgadza się.

— Pożyczysz mi pieniądze na kolagenowe implanty po śladków i piersi?

— No... chyba tak. — Ciężko wzdycham.

Slumsy Klong Toey: najcięższa przestępczość w romantycznym wydaniu. Emocjonalnym centrum jest tutaj *talat* (targowisko), akr zielonych parasoli i brezentowych plandek. Na szalach ubogich kobiet leżą przywiedłe papryczki chili; w drewnianych klatkach gderają kaczki; tłoczą się martwe lub żywe kurczęta; wszelkie gatunki krabów odgrywają pantomimę agonii w plastikowych miskach lub ledwie zipią w upale (słodko- i słonowodne, miękkie i w skorupach); masarnie na wolnym powietrzu ćwiartują całe bawoły; można tu kupić chlebowce, ananasy, pomarańcze; duriany, grejpfruty, sztuki taniej bawełny, dowolne narzędzie potrzebne złotej rączce z Trzeciego Świata (z tak kiepskiej stali, że zużywają się po godzinie, sam toczę wojnę szczególnie ze śrubokrętami, które gną się, jakby były cynowe — doprowa-

dziłyby cię do szalu, *farangu*) i tak dalej. Stoi tu także trochę bud z blachy falistej (koszmarny sen każdego architekta), połączonych na zapleczu chwiejnymi podestami, które aż proszą się o scenę pościgu, jednak większość otaczających plac budynków to dwupiętrowe domy ze sklepami w chińskim stylu. Chodnik przed nimi podpowiada, czym tam się handluje: leżą tu całe góry silników samochodowych ociekających czarnym olejem; stoją wyprężone dumnie przewody klimatyzacyjne wszelkich typów; przed sklepem ze sprzętem stereo leżą stosy pirackich CD, a przejście tarasują najnowszej generacji radiomagnetofony tranzystorowe. *Farangów* się tutaj nie spotyka (albo nie wiedzą o bazarze, albo wiedzą i wolą trzymać się z daleka); ten płynący powoli, brązowy tłum jest tak swojski jak sałatka *somtam* z zielonej papai, zwyczajny jak ryż. Lokalizacja: dzielnica Klong Toey obejmuje główny port na rzece Chao Phraya, gdzie rozładowuje się statki od niepamiętnych czasów. (Istnieją stare sepiowe zdjęcia naszych antenatów w tradycyjnych czarnych spodniach trzy czwarte, nagich do pasa, o długich czarnych włosach związanych z tyłu w imponujący koński ogon, jak rozładowują towary ręcznie w niemożliwym upale — wielu zniszczonych przez twoje opium, *farangu*). Kilka ulic dalej: duży ładny pawilon urzędu celnego i kompleks budynków należących do Zarządu Portów Tajlandii. Rzeka jest niewiele szersza niż na rzut kamieniem. Wielu mieszkańców tego rojnego rejonu miasta wzniosło na przeciwległym brzegu domy na palach. Średniowieczni przewoźnicy w prostych, ręcznie skleconych łodziach transportują ludzi na drugą stronę za dwadzieścia bahtów od kursu (silnik yamahy, fala dziobowa jak w motorówce milionera). Krótko mówiąc, wszyscy wiedzą, że głównym biznesem jest tutaj farmacja, bo chyba nie ma w Tajlandii drugiego takiego miejsca, gdzie dealerzy, macherzy, ćpuni, gliniarze i celnicy byłiby tak dogodnie wymieszani na przestrzeni niecałych trzech kilometrów kwadratowych nadrzecznej dzielnicy, wyjątkowo

sprzyjającej prowadzeniu wszelkich interesów. Różne uboczne branże, typu tanie kredyty, wykup długów, wymuszenia i tym podobne, też ulokowały tutaj swe główne siedziby. Zaskoczony jestem, że pułkownik Bumgrad w ogóle tak się przejął zwyczajnym T808. Obawiałem się jego nieprzyjaznej postawy, gdyż jest jednym z licznych wrogów Vikorna; jednak gdy wysiedliśmy z Lekiem z taksówki, był uroczy i sympatyczny.

Położyli Chaza Buckle'a pod kocem na nabrzeżu. Policijną motorówkę zacumowano pomiędzy dwoma wielkimi kontenerowcami. Widok przesłaniają ze wszystkich stron wysokie dzioby, porzewiałe rufy i żelazne kładki. Słabo oświetlone przejścia giną w nieprzeniknionych portowych cieniach. Bumgrad kiwa mi głową i odchylam koc: pojedynczy strzał w tył głowy, rana wylotowa wyrwała mu lewe oko. Ocieka wodą, bo spędził jakiś czas w rzece, ale zamordowano go niedawno. Gdybym nawet nie rozpoznał zmasakrowanej twarzy, tatuaże identyfikują go wystarczająco.

— Jeszcze nie przejrzelśmy jego kieszeni — mruczy Bumgrad. — Pomyśleliśmy, że może sam będziesz chciał to zrobić.

Pochyliłam się nad ciałem i zaraz odskakuję, bo z ust wypęłza mu mały, ślepy węgorz. Kieszenie spodni aż falują. Lek zakrywa dłonią usta. Rozpinam koszulę i widzę, że żołądek też jest w nieustannym ruchu. Słychać cichy mlask i z pępka wyłania się ślepa biała główka z pyszczkiem pełnym maleńkich ząbków. Oglądam się do tyłu — czy to ma być jakiś dowcip? — ale Bumgrad i jego ludzie zniknęli w czerni portowych labiryntów. Lek cofa się, tłumiąc jęk obrzydzenia. Malutkie węgorze ryją w zwłokach, usiłując odnaleźć powrotną drogę do rzeki. Ja także cofam się kilka kroków.

Krzyk dziwki od strony dziobu kontenerowca — marynarze to rynek specjalistyczny, którego z matką nie tykamy — a potem cisza, zakłócona tylko stukotem podkutych obcasów. Z ciemności wyłania się niska, krępa postać

w mundurze, prosta jak kij, o szerokiej piersi, i idzie ku nam, lecz zatrzymuje się w kręgu światła rzucanym przez lampę zwisającą ze statku na kablu. Wstaje powoli, składam dłonie w *wai* i podnoszę je do ust.

— Dobry wieczór, generale Zinna — mówię, bacząc, by utrzymać ukłon.

Generał nie odpowiada, lecz podchodzi do zwłok i patrzy na nie z góry.

— Ktoś się wykazał współczuciem — szepce barytonem. — Najpierw go zabili, a dopiero potem wpuścili do tyłka węgorze. Nie czuł, jak wyżerają mu flaki. Wątpię, żebym potrafił okazać taką powściągliwość wobec kogoś, kto mnie naprawdę wkurzył. Rozumiesz, co mówię? — Unosi rękę i pstryka palcami. Słychać tupot butów i z cienia wyłania się biegiem kilkunastu młodych, ostrzyżonych po wojskowemu mężczyzn w czarnych podkoszulkach. Ustawiają się w dwu szeregu. Generał ruchem głowy wskazuje im zwłoki i dwóch podchodzi, by poświecić latarkami na brzuch Chaza, po rządnie już wyjedzony przez wijące się białe robale. Generał wyjmuje z flaków trupa jednego węgorza, rozgniata go zręcznie o słupek cumowniczy i powraca do mnie.

Wsuwa mi do kieszeni martwego robala i mówi ledwie słyszalnym głosem:

— Powiedz pułkownikowi Vikornowi, że posunął się za daleko. Chciał mnie zrobić, wywinąłem się i teraz towar należy do mnie. Nie ma drugiego razu. Urwę mu jaja tak czy inaczej. — Obrzucając pogardliwym spojrzeniem Lęka: — Tego twojego pedałka też dopadnę.

Odwraca się i odchodzi razem ze swoją obstawą. Zostajemy sami w portowych mrokach, z trupem pełnym wygłodniałych robaków. Dziewczyna na dziobie statku, jakby wyczuwając, że teren jest znów czysty, krzyczy z imponującym profesjonalizmem, żeby jej żeglarz mógł poczuć się silny, drapieżny, niezrównany, czarujący i napalony. Wygląda na to, że odbywa się tam sekretna imprezka, bo słychać krzyki

i śmiech kilku innych dziewczyn, żartujących wulgarnie po tajsku, podczas gdy ich mężczyźni odzywają się po chińsku. Zza burty wychylają się trzy kobiece twarze i natychmiast znikają.

Nagle zapada cisza, w której da się słyszeć miękkie stąpanie dużego szczura. Gdzieś dalej ktoś przepływa rzekę długorufową łodzią. Postanawiam uratować resztki godności człowieka, którego niedawno przesłuchiwałem, ale nie jest to łatwe. Ciało jest ciężkie i nieporęczne, jak to zwłoki. Chwytam go za przeguby i daję znak Lekowi, żeby mi pomógł, a potem ciągnę go na skraj nabrzeża, obracam i próbuję zepchnąć. Lek zgina się w pasie, udając elegancko, że nie udało mu się chwycić trupa za nogi. Pocę się w nocnej duchocie i doświadczam irracjonalnego oporu przed kontaktem z węgorzami, które nie przerywają uczt. Przystawiam stopę do jego barku, tuż przy szyi i aplikuję potężne pchnięcie. Chaz Buckle rozkłada szeroko ręce i zsuwa się do rzeki z wyjątkowo dyskretnym pluskiem, a ostatnim obrazem jego osoby w moich oczach są tatuaże „Mama” i „Denise”.

Sięgam do kieszeni i rzucam za nim do wody martwego robala od Zinny. Gdzie jest Lek? Martwieję na sekundę (doświadczam wizji gwałtu i upokorzenia z rąk ludzi Zinny), zaraz jednak spostrzegam go trochę dalej; stoi w kręgu światła.

Najbardziej klasyczny z naszych klasycznych tańców wywodzi się z indyjskiej Ramajany, w której bóg Wisznu odradza się jako Rama i walczy ze złem o życie swej narzeczonej Sity. Lek odgrywa Sitę, która błaga na kolanach swego pana i mistrza, żeby uwierzył w jej wiekuiście wierność.

Otoczam go ramieniem i odchodzimy.

- Nazwał mnie pedałem!
- Nie przejmuj się tym.
- Nie jestem pedałem, tylko tancerzem.
- Przecież wiem.

Patrzy na mnie wielkimi orzechowymi oczami, bezlitosny w swym zaufaniu, miłości i oczekiwaniu.

Kiedy mijamy tamto miejsce, słyszymy kotłowanie ryb i robaków, karmiących się ofiarą T808. Przeżywam moment udreki, gdy widzę, jak jego ciało rozpada się na wiele komponentów, rozbiegających się w przestrzeń poprzez noc. Złożony problem, który nazywał się Chaz Buckle, został w końcu rozwiązany.

24

Wygląda jednak na to, że inne złożone problemy też rozpadają się tej brutalnej nocy na prochy i duszę. Ledwie Lek wysiadł przy swoim blokowisku, dzwoni do mnie na komórkę porucznik Manhatsirikit.

— Pułkownik jest w domu Khun Mu. Lepiej zaraz tam jedź.

Niewiele więcej trzeba dodawać, *farangu*, ponad to, czego się domyśliłeś. Wszystkie psy i małpy w domu Khun Mu są martwe (wypatroszone), strażnicy wybici do nogi, strzałami w głowę. Khun Mu, naga, została posadzona na zabalsamowanym ciele Joeya w obscenicznej pozie, z poderżniętym gardłem. A na wielkim łożu w sypialni leży tłusta kobieta, *farang*, po czterdziestce, w samych szortach, rozplątana od kroku aż po pierś.

— Denise? — pytam Vikorna.

Potwierdza skinieniem.

— Mieszkała w Phuket, w domu za milion dolarów z widokiem na Morze Andamańskie. Uprowadził ją i przywiózł tutaj tylko po to, żeby pokazać, na co go stać. — Kręci z niedowierzaniem głową. — Tylko po to, żeby nam pokazać. — Spogląda na mnie. — Wszyscy nasi świadkowie nie żyją.

Pułkownik podchodzi do kanapy przy oknie i siada na niej ciężko.

— Walczyliśmy z nim na zasadzie symetrii — mówi — i w tym właśnie problem. Nie przebijemy go w przemocy. Na Buddę, przecież to armia. — Zerka na mnie. — Wybacz, Sonchai, ale odbieram ci tę sprawę.

— Ma pan kogoś lepszego?

— Tu trzeba subtelności, kobiecej ręki.

— Manny? Ona w ogóle nie jest subtelna.

Wzruszenie ramion; bez komentarza. Siedzi skulony, skurczony w sobie, żywa ilustracja porażki, pojawiły się nawet łzy w oczach. Ogarnia mnie fala współczucia, ale... zaraz, zaraz! Coś w tym pokazie rozpacz, frustracji, marnoty, niemal zgrzybiałości, jest nazbyt wyraziste.

— Ktoś już opracował plan C, czy tak? — pytam.

Patrzy na mnie niewidzącym wzrokiem, jakby nie miał pojęcia, o czym mówię.

Nazajutrz na komendzie okazuje się, że Vikorn spędził poranek na oglądaniu w telewizji wiadomości ze świata, chociaż odbiornik w jego gabinecie zazwyczaj jest nastawiony na losowanie tajskiej loterii (pułkownik rządzi największym syndykatem gier hazardowych). Idę tam i zastaję go z wzrokiem wlepionym w ekran. Wygląda na to, że w jakiejś wiosce na Jawie doszło do zamachu terrorystycznego, zabito pięciu indonezyjskich Hindusów, dwudziestu rannych leży w szpitalu. Sprawcami są muzułmańscy ekstremiści, to pewne, ponieważ jeden z nich zginął w wybuchu. Znaleziono fragmenty jego mycki i brody, kilka palców, nogę i inne części ciała. Przewiduje się, że wkrótce zostanie ustalona jego tożsamość, a co za tym idzie, będzie wiadomo, która z radykalnych grup jest odpowiedzialna za zamach. Agencje wywiadowcze z Zachodu są oczywiście zainteresowane i aż się pałą do udzielenia pomocy w śledztwie.

Nie mam pojęcia, dlaczego Vikorn, którego trudno nazwać obywatelem świata (nie wiem, czy umie pokazać Francję na mapie), tak się tym zainteresował, lecz kiedy pokaszuję, by zaznaczyć swoją obecność, unosi rękę. Transmisja na żywo się kończy, pułkownik bierze telefon i ku mojemu zaskoczeniu prosi porucznik Manhatsirikit, żeby mu zarezerwowała bilet na najbliższy lot do Dżakarty. Gdy on będzie w drodze na lotnisko, ona ma mu załatwić spotkanie z kimś ważnym z indonezyjskiej policji w celu „wzajemnie korzystnej wymiany informacji”. Gapię się z otwartymi ustami na jego krzątanie. Od początku mojej pracy w Okręgu 8. pułkownik ani razu nie opuścił świętej ziemi tajskiej. Zjawia się Manny i patrzy na mnie spode łba, a potem informuje Vikorna, że znalazła tłumacza i że osoba ta, mówiąca płynnie językiem, którym się tam mówi (Vikorn uparcie nazywa go „indonezyjskim”, ale my z Manny mamy wątpliwości), będzie na niego czekać na lotnisku. Manny wychodzi, a on patrzy na zegarek. Dziewiętnasta.

— Idziemy jeść — oznajmia i daje przez komórkę sygnał swemu kierowcy.

Siedzimy z tyłu bentleya, z głośników ryczy *Walkiña*, kierowca ma jak zwykle przylepiony do twarzy wyniosły uśmiezek, a pułkownik kładzie mi rękę na ramieniu.

— Musisz zapomnieć o wczorajszej nocy. To się w ogóle nie wydarzyło. Skoncentruj się na sprawie Mitcha Turnera.

— Niech mi pan chociaż powie, na czym polega plan C.

— Nie chciałbyś tego wiedzieć. Poza tym jest ściśle tajny.

Wręcz trudno mi uwierzyć w szczodrość mojej duszy. Właściwie bardzo się cieszę, że on wciąż walczy z Zinną, chociaż ominął mnie awans (i sto tysięcy dolarów). Nie odpuszczę mu jednak tak łatwo, bo mimo wszystko doznałem dość poważnego zawodu. Wyglądam przez okno bentleya, pędzimy po Ramy IV.

— Przez chwilę już myślałem, że się pan starzeje.
Rzuca mi niechętnie spojrzenie.

— Myślisz, że tylko o to chodzi? O prymitywną wendetę pomiędzy dwoma starymi ludźmi? — Pochyla się i daje mi kuksańca w brzuch. — To, co robię, żeby powstrzymać Zinnę, robię nie tylko dla Ravięgo. Również dla mojego kraju. Jeżeli pozwolimy armii przejąć handel narkotykami, to wzbogacą się generałowie. Bogatym generałom przychodzą do głowy różne pomysły i zamachy stanu, na tym polegał właśnie problem z handlem opium. I ani się obejrzymy, a znów będziemy mieli rządy wojskowych. A co generałowie tajskiej armii wiedzą o gospodarce światowej, prawach człowieka, rządach prawa, należyтым traktowaniu kobiet i w ogóle o dwudziestym pierwszym wieku? Pomyśl o tym, jak będziesz następnym razem głosował w mniej czy bardziej demokratycznych wyborach. Tajska policja może nie jest najlepsza na świecie, ale to jednak nie wojsko. Pozwalamy na wolne wybory. Żaden *farang* tego nie zrozumie, ale po tobie spodziewam się czegoś więcej.

Wcale jeszcze nie skończył. W rzeczy samej szturcha mnie między żebra.

— Kto wie, ten kraj pod rządami demokracji może nawet tak rozkwitnąć, że zacznie zasługiwać na tak wyrafinowanych obywateli jak ty. Ale jeżeli tak się stanie, to właśnie dlatego, że takie kanale jak ja utrzymają armijne ryje z daleka od koryta, a nie dzięki temu, że jakiś niedorobiony mnich uratował kilka psów z ulicy.

Kręcę ze zdumieniem głową. On zawsze ma na wszystko odpowiedź. Szczególnie denerwujące jest to, jak zręcznie użył słowa „nedorobiony”, po tajsku to słowo ma dokładnie ten sam posmak wyniosłej pretensji i to właśnie ja używam podobnych słów, kiedy chcę go zdenerwować. Kto mu powiedział, że może mówić „nedorobiony” i ujdzie mu to na sucho?

Popadam na dłuższą chwilę w zadumę. Kierowca zatrzymuje samochód na początku Pat Pongu, naszej najbardziej

szacownej — i sławnej — dzielnicy czerwonych latarni. Nie ma szans, żeby limuzyna przebiła się o tej godzinie przez zatłoczoną ulicę. Wsiadamy z Vikornem i idziemy pieszo, a kierowca tymczasem odprowadza samochód. Pułkownik jest w cywilu i wygląda jak zwyczajny Taj, nieco za niski według standardów zachodnich, nie do odróżnienia od innych pracujących na tej ulicy Tajów, którzy są co do jednego alfonsami. Ego Vikorna jednak najwyraźniej wcale nie cierpi, kiedy młody turysta w podkoszulku na ramiączkach i w szortach, z ćwiekiem w nosie i szpilą w brwi, pyta go, gdzie są występy z ping-pongiem. Pułkownik zatrzymuje się w pół kroku i z uśmiechem wyrażającym głęboką zachłanność i sympatyczną lubieżność pokazuje mały szyld na górnym tarasie: *Dziewczęta, taniec na rurce, ping-pong, banany...*

— Super — mówi młody *farang*, naśladowując uśmiech Vikorna.

— Bzyku, bzyku — mówi Vikorn, szczerząc głupawo zęby.

Ulicę wypełnia tłum, nie tylko napalonych białych mężczyzn, lecz także zachłannych białych kobiet, bo na stoiskach z odzieżą można tu kupić podróbki lub kradzione ciuchy od najlepszych projektantów. Jeśli się zerwie zasłonę konwencjonalnej moralności — i spojrzy oczami medytującego — to twarze tych kobiet nie różnią się tak bardzo w ekspresji od twarzy mężczyzn.

— Dżinsy od Tommy'ego Bahama za dwieście bahtów, to zaledwie trzy funty z kawałkiem! — Wytrzeszcz oczu. — W Stoke Newington nie dostaniesz za to dżinu z tonikiem.

— Widzisz tę podróbkę rolexa? Sekundnik chodzi bez przeskoków, gładko jak w prawdziwym! I tylko dziesięć funtów. — Przygląda mu się z niedowierzaniem. — Mogłybyśmy kupić kilka i sprzedać, nawet po stówie byłoby tanio.

— Powiedziałaabyś, że to podroby?

— Musiałabym — odpowiada kobieta po namyśle — przecież wszyscy się dowiedzą, że byliśmy w Tajlandii.

— Ale nie muszą wiedzieć, ile taki zegarek kosztuje w Pat

Pong, no nie? Mogłyśmy przecież kupić po dziewięćdziesiąt i zarobić tylko dychę.

Kiwa w zamyśleniu głową.

— Nie muszą wiedzieć.

Princess Club jest w bocznej *soi*, wypełnionej zbitą cizbą ludzi. Musimy precyzyjnie się między dużymi kaukaskimi ciałami, a potem do baru, w którym także jest tłoczno. *Mamasan* natychmiast poznaje Vikorna i jej twarz przybiera zupełnie inny wyraz niż głupio groźna mina, którą zachowuje dla klientów. Pułkownik jest dla niej nie tylko bardzo bogatym właścicielem klubu, lecz też jest suwerenem, dzięki któremu ona, jej stara matka i nastoletni syn zapewnione mają pożywienie, mieszkanie i godność. Ich relacja jest skomplikowana i wykracza poza sferę materialną. (Nawet gdy odejdzie na emeryturę, on nadal będzie jej zapewniał jedzenie i poczucie dumy — ta więź działa w obie strony). *Mamasan* robi *wai* z lekkim dygiem; on z uśmiechem skłania głowę; ponad morzem różowych od alkoholu pysków, wpatrzonych w większości w dziewczęta na scenie, nastąpiło spotkanie ludzkich twarzy.

To, czy dziewczętom wolno w danym klubie tańczyć topless (lub nago), zależy całkowicie od widzimisię pułkownika policji zawiadującego daną ulicą. Ta ulica nie należy do Vikorna, ale nikt się nie będzie wtrącał się do jego baru, toteż dziewczyny tutaj tańczą topless. Kiedy schodzą ze sceny, by wmieszać się w tłum klientów, nie zawracają sobie głowy zakładaniem biustonosza, lecz mimo to w pełni kontrolują sytuację. To aż dziwne, że ci młodzi, podpici *farangowie* o wyglądzie dzikusów z tatuażami i kolczykami, którzy mogliby równie dobrze być barbarzyńcami w przededniu najazdu na starożytny Rzym, nie odważają się dotknąć tych jakże--przecież--kuszących młodych gruczołów piersiowych, które kołyszają się i drżą tuż przed ich oczami — w każdym razie nie

bez zezwolenia ich właścicielek, a to kosztuje zawsze kilka drinków.

Mamasan pokazuje na sufit i udaje nam się przecisnąć przez te dzikie hordy aż na koniec baru, po czym wchodzimy schodami na drugie piętro, gdzie w pokoju recepcyjnym przygotowano dla Vikorna kolację. Siadamy na podłodze, krzyżując nogi, tak jak nas obu nauczono od dziecka, przy niskim stole zastawionym już jedzeniem. Jest *yam met ma-muang himaphaan* (bulwy ignamu z nerkowcami), *naam phrik num* (danie z pomocy z chili i sosem z oberżyny), *miang kham* (imbir, szalotki, fistaszki, wiórki kokosowe, limonka, suszone krewetki), whisky Mekong z *chut* (lód, połówki limonek i coś do rozcieńczenia) i trochę *phat-phet* (mocno przyprawione danie z woka).

Ledwie usiedliśmy, zjawiają się dwie tancerki, ubrane już w koszulki i biustonosze, i pytają, czego byśmy się napili oprócz whisky. Vikorn każe podać kilka piw, a potem schłodzone białe wino z Nowej Zelandii. (To przeze mnie. Nauczyłem go pić wino i teraz nie potrafi zjeść bez niego posiłku). Pomiędzy kęsami pytam go, czy wie, jak właściwie zginął Mitch Turner.

Patrzy na mnie jak na opóźnionego w rozwoju, który wymaga pomocy.

— A jakie to ma znaczenie, jak on zginął? Przecież to teatr, nie rzeczywistość. *Farangi* odpuścili sobie rzeczywistość, gdy wynaleźli demokrację, a potem jeszcze dodali do tego telewizję. Liczy się to, co możemy powiedzieć światu. Załatwmy sprawę jak należy i wszyscy będą żyli długo i szczęśliwie. — Rozkłada ręce, pokazując, jak tragicznie nieprzewidywalne potrafi być życie dla tych, którzy nie potrafią nim manipulować.

Dziewczęta wracają z zielonym curry z chili i butelką wina w aluminiowym kubelku z lodem, mieszanką warzyw z woka, *tom yam*, chińskim kapuśniakiem, ostrą sałatką z kaczki, papryczkami „mysia kupka”) i skrawkami *kaiyang* (kurczak z grilla).

— Jak w takim razie załatwimy tę sprawę, żeby było jak należy? — pytam, upokorzony, zły i rozsmakowany w jedzeniu, wszystko naraz.

Pułkownik wykonuje lewą ręką gest, który można by uznać za obsceniczny, gdyby nie znało się kraju jego pochodzenia. On tymczasem po prostu łaskocze ręką rybę — taki sposób łapania ryb był ulubionym sportem jego dzieciństwa. Wymaga on niesamowitej cierpliwości — samo zbliżenie się do ryby na tyle, żeby ją można było polaskotać, to dopiero początek. Głupcy próbują chwycić od razu i ryba się wyslizguje; tylko cierpliwi potrafią wytrwać dość długo, żeby ją zahipnotyzować i dopiero wtedy pochwycić. Trzeba do tego serca tak zimnego jak rybie.

— Więc co mam zrobić? — pytam.

— Tylko się skoncentruj. Nasi przyjaciele z CIA już wkrótce się odezwą. Przestrzegaj przepisów drogowych i trzyj głowę na kłódkę, chyba że chcesz, żeby zaciągnęli Chanę do Guantanamo.

— Nie zrobiliby tego.

— A czemu nie? Turner był ich agentem, śledził muzułmanów. Został zamordowany. Przez nią. Są zdolni zamknąć ją tam, żeby gniła do końca życia albo do obłędu.

Patrzy na mnie swym Przeszywającym Wzrokiem. Wiem, że gra teraz w trójwymiarowe szachy i daje mi mata na każdym poziomie. Czegoś jednak ode mnie potrzebuje, stąd ta kolacja.

— Jeżeli będziesz grzecznym chłopczykiem i ograniczysz się do sprawy Mitcha Turnera, powiem ci, w jaki sposób mój wyjazd o Indonezji ochroni Chanę. — Jego bezwzględność mnie szokuje. Nachyla się ku mnie. — Myślisz, że jesteś taki sprytny? Kochasz się w tym kurwizjonie, od kiedy w ogóle zaczęła u nas pracować. Ja to wiem, twoja matka to wie i ona też to wie, bez dwóch zdań, i reszta dziewcząt też.

Strategicznie wybieram milczenie. Po chwili uznaję, że dobrze wybrałem czas i metodę zagrywki, i mówię:

— A jak tam się miewa *mia noil*
— Która mianowicie? — pyta z udawaną obojętnością.
— Czwarta, ta, która mieszka w pańskim domu w Chiang Mai.

— Ach, ona. — Marszczy brwi. — Ma się świetnie.

Przez moment moja głupota każe mi sądzić, że trafiłem w czuły punkt, ale to przecież jest Vikorn, pułkownik policji — on nie ma czegoś takiego. Rzuca mi uśmiech i rozpoczyna znakomitą parodię swej lubej, doskonale naśladowując jej skrzekliwy głos, gdy wpada w złość:

Ty cholero, oddałam ci najlepsze lata mojego życia, a ty w ogóle tego nie szanujesz, trzymasz mnie tutaj w tej dziurze zabitej dechami, a mogłabym mieszkać w Bangkoku. Po co mnie w ogóle brałeś, jako trofeum myśliwskie? Nie pieprzyłeś mnie od miesiąca, moje ciało marnieje, już wolalabym pójść do branży, niż być twoją osobistą własnością. Co ty sobie myślisz, że to jakieś zasrane średniowiecze? Dlaczego nie dajesz mi chociaż jakiejś przyzwoitej kasy? Tylko dlatego, że nie chcę ci rodzić dzieci, skazałeś mnie na to wygnanie od wszystkich i wszystkiego, co kocham, jakby ci jeszcze było mało bachorów. Masz więcej szmalu niż dwudziestu Chińczyków, przecież wiem. Poderwę sobie któregoś ochroniarza i będę się z nim puszczać, zobaczysz! Jestem młodą kobietą, a ty jesteś żalonym starym pierdołą, któremu nawet nie staje. Zrobię sobie tatuaż na tyłku i kolczyk w cipce i na pewno nie będę cię pytać o zdanie. Jak będę chciała, to mężczyźni będą pęłzać u moich stóp, jak będę chciała, to...

Nie wytrzymuję. Zwijam się i krztuszę ze śmiechu. Jest tak, jakby siedziała razem z nami przy stole.

W bentleyu, w drodze powrotnej do komendy, Vikorn niezwykle czule jak na siebie poklepuje mnie po ramieniu. Z kieszonki w drzwiach po swojej stronie wyjmuję małą torbę i podaje mi ją. Zaglądam do środka. To pistolet maszynowy Heckler & Koch. Przetykam ślinę.

— Tak na wszelki wypadek — mówi pułkownik. — Miej go przy sobie, szczególnie w nocy. Weź jeszcze to. — Wręcza mi kartkę, numerem. — Wrzuć go sobie w automatyczne wybieranie, żebyś mógł zadzwonić jednym kliknięciem. Nikt nie odbierze, ale poślę chłopaków, żeby cię znaleźli, więc siedź albo w domu, albo w klubie. Nic się nie będzie działo, dopóki nie wrócę z Indonezji.

— Zinna?

— To, co nazywasz planem C... obawiam się, że może mu się nie spodobać. — Vikorn zmusza się, żeby zniknął z jego twarzy chytry uśmieszek. W lusterku wstecznym napotyka wzrok kierowcy, który tłumi śmiech.

25

Tak słyszałem: Pewnego dnia wierny Ananda zapytał najświetniejszego z ludzi. — Jak to jest, mistrzu, że widzimy w zwierzętach uosobienie wszystkich bogów — srogość Kali w tygrysie, siłę i wytrwałość Ganesia w słoniu, spryt i przebiegłość Hanumana w małpie — lecz żadne zwierzę nie uosabia samego Buddy? Tathagata przyjrzał się światu swym wszechwiedzącym okiem i opisał Anandzie zwierzę, żyjące na innym kontynencie, wielkości małpy, mające tylko trzy palce u każdej łapy, które potrafi całymi tygodniami zwisać do góry nogami z gałęzi drzewa. Żywi się liśćmi odrzuconymi przez inne ssaki, ma tak powolny metabolizm, że każdy posiłek trawi przez miesiąc, znosi bez skargi ból i poniżenie, i jest wręcz organicznie niezdolne do nienawiści. Powiedz mi, *farangu*, czyż może być pewniejszy dowód oświecenia niż ten, że człowiek mający wszechświat u swych stóp wybrał na swój zwierzęcy odpowiednik leniwca trójpalczastego? Skoro Budda tak całkowicie pozbył się ego, to czemu nie miałbym sobie z tym poradzić?

Innymi słowy, nagle poczułem się całkowicie oczyszczony ze splamienia, jakim jest ambicja. Pracowałem nad tym przez cały weekend, medytowałem, by osiągnąć spokój, pływałem

w oceanie bez wybrzeży, jak długo się dało — i wypaliłem także kilka skrętów. Walka była ciężka, ale osiągnąłem skutek. Nie, nie chcę już awansu, nie chcę stu tysięcy dolarów, niech ona je sobie weźmie (ta suka). Jeśli chce splamić swoją duszę, służąc nikczemnej (i w gruncie rzeczy irracjonalnej) zemście, to trudno, ale niech lepiej pamięta o karmie. W następnym życiu porucznik Manhatsirikit będzie złotą rybką w moim akwariium. (Wciąż mnie boli, że ona jest bliżej niego i jest sprytniejsza ode mnie: tak bardzo chciałbym wiedzieć, jak wygląda ten plan C!).

Wracam do klubu i nie mając już nic lepszego do roboty, dzwonię do Fatimy.

— Kochanie, tyle czasu minęło — mówi swym śpiewnym głosem.

— Przykro mi.

— Już zaczęłam myśleć, że się mnie wstydzisz.

— Nigdy w życiu. Jesteś ostatnio jakoś poza moim filmem.

Czuję się zastraszoney.

— Nie kłam, kochanie. Ciebie nic nie zastraszy. Ale na pewno czegoś chcesz ode mnie, prawda?

Objaśniam jej mój plan związany z Lekiem. Chwilowe zawahanie Fatimy właściwie mnie cieszy.

— Starsza Siostra? Ja? Wiesz, nigdy tego jeszcze nie robiłam. Nie chciałam. To trudna ścieżka. — Chichot. — Zgodzę się, jeśli mnie będziesz błagał na kolanach, i to w kobiecych ciuchach.

— Nie mogę cię błagać, bo sam nie wiem, czy to dobry pomysł.

— Nie mów *Jakfarang*, kochanie; tu nie chodzi o pomysły. Albo nasz młody Lek ma to w naturze, albo nie. Jeżeli ma, a wygląda na to, że tak, to nie powstrzyma go i cała armia. Przyprawdź go do mnie. Jak tylko go zobaczę, będę wiedziała, co zrobić.

- Kiedy?
- Teraz.
- Jest po północy.
- Wyobrażasz sobie lepszy moment?

Wzywam Lęka, który aż sapie z przerażenia i eskcytacji. Bierzemy taksówkę do Soi 39, gdzie w jednym z najbardziej prestiżowych osiedli miasta Fatima ma apartament na poddaszu trzypiętrowego domu. Po drodze widzę Lęka jej oczami; jest, cholera, aż nazbyt piękny, żeby mógł się uchronić.

Fatima, nieślubny syn barowej dziewczyny z Karen i czarnego amerykańskiego żołnierza, jest wysoka i czekoladowo-brązowa. Jest oczywiście czarująca w swym ulubionym kimonie (karmazynowe z szeroką białą szarfą); ma podłużną, tragiczną twarz, brzuch jak tarka do prania, długie pięknie wypielęgnowane dłonie, zbyt wyzywający makijaż i oczy, które widziały już najgłębszą głębię upadku i osamotnienia. Stoi w drzwiach, utrzymując Lęka na odległość wyciągniętej ręki; ja już się stałem nieważnym widzem. Jak wyjaśnić komuś duchowo niewidomemu to niebywałe wydarzenie, gdy opiekuńczy duch Lęka rozpoznaje ową pradawną duszę? Fatima opiera się o framugę; za jej plecami widać kolekcję rzadkich dzieł sztuki, w większości bezcennych przedmiotów z nefrytu; stoją na postumentach, między którymi prowadzi droga do panoramicznego okna z widokiem na światła miasta i żółty księżyc.

— Och, Buddo — mówi, nie puszczając dłoni Lęka. Pokaszuję. — Możesz nas teraz zostawić samych — szepce chrapliwie, wciąż wpatrując się w chłopaka.

Wracam do swojej nory, ale nie mogę zasnąć. Od dziecka żyłem i pracowałem w heteroseksualnym dziale handlu seksem. Widziałem wszystko, co mogą ze sobą robić mężczyzna i kobieta, i żadna z tych rzeczy nie dorównuje intensywności działań *katoi*. Chcę już przestać się martwić o Lęka i o to, co z nim może zrobić Fatima. Będzie się teraz musiał pod-

porządkować skomplikowanym zasadom swego nowego świata. Dla kontrastu, zabójstwo Mitcha Turnera wydaje mi się tajemnicą łatwiejszą do przeniknięcia, niemal pospolitą — lecz wcale przez to nie mniej pociągającą. Wyjmuję gruby plik kartek formatu A4, zabrane z Songai Kolok i zaczynam czytać od nowa dziennik Chanyi.

IV

Dziennik Chanyi

26

Chanya tak rozpoczyna swój pamiętnik: *Są dwie Chanye. Pierwsza jest czysta, szlachetna i świeci niczym złoto. Druga pieprzy się za pieniądze. Dlatego dziwki wpadają w obłąd.*

Odnosi się do siebie w trzeciej osobie; to dopuszczalna forma w mówionym i pisanym tajskim, bardzo powszechna wśród niższych klas: *Chanya zawsze marzyła o wyjeździe do Saharat Amerika.*

Zastanawiałem się poważnie, czyby nie przetłumaczyć całego tekstu dla ciebie, *farangu*, słowo w słowo, lecz jego styl nie pasował do reszty opowieści, a wiem, jak bardzo cenisz sobie spójność (frustrowało mnie także to, że nie mógłbym wtrącać własnych komentarzy), wybrałem więc opcję impresyjnej relacji z rodzaju tych, nad którymi ubolewają prawdziwi badacze. Może tak być?

Sen o Ameryce zainfekował jej duszę za pośrednictwem telewizora jeszcze w dzieciństwie. Poczynając od Empire State Building i Wielkiego Kanionu, jej umysł zgromadził mnóstwo podobnych obrazów narodu o genialnym talencie do autoreklamy. Pewnego pięknego dnia, gdy odłożyła już tyle pieniędzy, że mogła dać rodzicom na utrzymanie na

kilka miesięcy i zapłacić chesne za studia siostry, kiedy kupiła działkę w rodzinnej wiosce niedaleko Surin, gdzie po powrocie zamierzała zbudować wymarzony dom, gdy kupiła laptopa z tajskim edytorem tekstu — skontaktowała się z gangiem mającym opinię uczciwego i wiarygodnego. Stawki mieli wysokie — prawie piętnaście tysięcy dolarów — ale usługa była całościowa, włącznie z prawdziwym tajskim paszportem, prawdziwą wizą wjazdową do Stanów, biletem powrotnym ważnym przez rok, człowiekiem, który pilotował ją aż do biura imigracyjnego w Nowym Jorku (żeby w kluczowym momencie czegoś nie wykręciła i nie sknociła całej operacji), a na końcu czekał ją pokój i praca w salonie masażu w Teksasie.

W zamian za półroczną pracę w salonie masażu gang zredukował opłatę do pięciu tysięcy dolarów. Spłacała to oczywiście dzięki zwiększeniu obrotów salonu, który z kolei pokrywał wydatki gangu. Przez pierwsze miesiące zarabiała własne pieniądze na napiwkach i numerach na boku, potrafiła to robić, ale nie karmiła się złudzeniami. Spożytkowała ten czas na doskonalenie angielskiego, poszerzenie swej wiedzy o amerykańskich mężczyznach i zorientowanie się, w którym z miast może najwięcej zarobić w swoim zawodzie.

Plan miała taki, że dojdzie do szczytu w tej grze w kraju, w którym zarobki były największe, a gdy po kilku latach skończy, wciąż jeszcze nie przekroczy trzydziestki. Osiądzie sobie w nowym domu z garażem i szerokoekranowym telewizorem udekorowanym fotografiami z cyklu „Chanya w Ameryce”. Zyska twarz w swojej wiosce, wszyscy będą z niej dumni. Zostanie królową i będzie wychwalana za to, jak zadbała o rodzinę. Może nawet urodzi dziecko? W przeciwieństwie do wielu przyjaciółek nie zaszła w ciążę z tajskim kochankiem w wieku lat osiemnastu. Pociągała ją natomiast najnowsza moda posiadania dziecka półkrwi *faranga*, gdyż takie dzieci według ostatnich trendów uważano za ładniejsze od tajskich, no i miały jaśniejszą skórę. Nie zależało jej wszakże na małżeństwie, chociaż chętnie wzięłaby udział

w buddyjskiej ceremonii. Wiedziała dość na temat *farangów*, by nie oczekiwać, że utrzyma takiego mężczyznę przy sobie. Należało się raczej spodziewać, że facet zniknie tego dnia, w którym dowie się o jej ciąży, co bardzo jej odpowiadało. Obowiązkiem męża jest zapewnienie żonie utrzymania, ale skoro ona ma pieniądze, to po co jej mąż? Potrzeby seksualne mogła zaspokoić w każdej chwili, choć nieprzerwanie praktykowała medytację buddyjską i zamierzała jeszcze bardziej poświęcić się praktyce po zakończeniu kariery zawodowej. Na emeryturze chciała właściwie skończyć z seksem raz na zawsze. Od dawna już nie sprawiał jej radości i nie myślała już o nim inaczej, jak w kategoriach swojej profesji. Jak się tak dobrze zastanowić, nie była nawet pewna, czy odczuwała kiedykolwiek namiętność do mężczyzny. Seks był nudny. Serce biło jej szybciej tylko w momencie zapłaty.

Poprosiła o miejsce przy oknie w samolocie Thai Airways 747 i jej pierwszym obrazem Ameryki było wybrzeże Nowej Anglii. Gang zdecydował, że polecą na zachód, z międzylądowaniem na Heathrow w Londynie, toteż przez większą część podróży na zewnątrz było ciemno, bo uciekali przed słońcem. Teraz jednak słońce ich dogoniło i wybrzeże Nowej Anglii wyglądało osiem tysięcy stóp w dół równie dziewiczo jak wówczas, gdy lądowali na nim Pielgrzymi. Nie miała pojęcia, że Ameryka może być taka fantastyczna w swym naturalnym pięknie, i zaskoczeniem jest dla niej widok owej akwamaryny, która rozlewa się leniwie na poszarpaną linię skał, odbijających poranne słońce niczym iskrzące się diamenty. Jeszcze nigdy nie wyjeżdżała z Tajlandii, nie widziała północnych krajobrazów. Obraz jest nieskalanie czysty.

Wielka chwila nadchodzi, gdy Chanya staje przed okienkiem biura imigracyjnego i wysoki, surowy *farang* w mun-

durze dokładnie przegląda jej paszport. Pilot z gangu stoi w równoległej kolejce, obserwuje, gotów przyjść w sukurs, jeśli jej puszcza nerwy. (*Och, przepraszam, pan, moja siostra, ona bardzo denerwuje, ja zabieram i ona posiedzi sobie tam, uspokoi*).

Lecz nerwy jej nie zawodzą: *Chanya ujeżdża smoka. Chanya to kobieta z jajami*.

Teraz dopiero widać, jaki sens ma wybór odpowiedniej mafii i ogólnie mówiąc, świadomość własnych działań. Mnóstwo dziewcząt wpada właśnie na tym etapie, ponieważ mają kiepsko podrobiony paszport albo coś jest nie w porządku z wizą. U tych koleśków to nie wchodzi w grę. Choć urzędnik naprawdę gra ostro (przewierca ją spojrzeniem swych niebieskich oczu i widać, że wie doskonale, z kim ma do czynienia, ona jednak spokojnie wytrzymuje jego wzrok), nie ma się do czego przyczepić i musi ją przepuścić. Teraz z kolei celnicy bardzo chcą przeszukać jej bagaże, bo przecież przyleciała z Bangkoku. Na tym etapie również niejedna dziewczyna wpadła w poważne tarapaty, bo okazało się, że gang coś podrzucił do jej walizki, chcąc upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Ale ta grupa tak nie robi. Celnik ogląda dokładniej tylko jej używanego laptopa, którego kupiła w Bangkoku głównie po to, żeby komunikować się pocztą elektroniczną z przyjaciółmi i siostrą na uniwersytecie Chulalongkorn, ale również dlatego, że zamierza w Ameryce prowadzić dziennik. Celnik ją przepuszcza i nagle oto znalazła się *na tej ziemi*. W tym pogańskim kraju, gdzie nie ma posagu Buddy, przed którym można by złożyć *wai*, Chanya zwraca się w kierunku Tajlandii i dotyka złożonymi dłońmi czoła. Tłumacząc dosłownie z tajskiego: *Ameryko, powiedz Chanyi dzień dobry*.

Razem ze swym pilotem wsiada do autobusu wahadłowego, który zawozi ich na następny samolot, do El Paso. Mężczyzna czeka z nią na odprawę, potem znika. Na lotnisku

w El Paso odbiera ją kolejny pilot, już nie Taj, lecz Teksaszczyk. Czerwony na twarzy i łysy, ma brzydką cerę i czuć od niego kwaśną woń, ale po sposobie, w jaki szacuje jej wdzięki i rozmawia o interesach, widać, że to fachowiec. Po drodze tłumaczy jej, że dzięki różnicy czasu będzie wypoczęta i świeża w środku nocy, a więc będzie mogła zacząć pracę na najtrudniejszej zmianie, przed świtem. Powinna się teraz przespać. Facet pomija milczeniem fakt, że Chanya jest pierwszą Azjatką zatrudnioną w tym akurat przybytku.

Pierwszym hiszpańskim słowem, którego się uczy, jest *coño*, czyli „cipa”. Kobiety z branży używają go często, również w Tajlandii, ale Meksykanki z salonu powtarzają je niemal bez przerwy. Kontrapunktuje każdą ich wypowiedź i brzmi w ich ustach niebywale plugawo. Większość z nich jest dwujęzyczna, lecz wolą mówić po hiszpańsku niż po angielsku. Mają rodziny po drugiej stronie granicy i chyba wszystkie się znają z Ciudad Juarez, gdzie zostawiły chłopaków i mężów, pracujących na najniższych szczeblach handlu narkotykami. Chanya przygotowała się wewnętrznie na kontakt z najróżniejszymi rodzajami mężczyzn, z którymi przyjdzie jej pracować, ale nie przewidziała, że problemem mogą być inne kobiety. Od razu widzi, że to kwestia kulturowa, lecz zupełnie nie ma pojęcia, co z tym począć. Wychowywali ją ubodzy, lecz gorliwi wyznawcy buddyzmu therawady i sama nigdy nie naruszyła żadnej z jego zasad, poza jedną. Budda zaleca, żeby znajdować sobie „właściwe zatrudnienie”. Chanya zdecydowała się zrezygnować z przestrzegania tej zasady, ponieważ prostytutka przynosiła większe dochody niż jakkolwiek inna praca, dzięki czemu łatwiej było dotrzymać innych buddyjskich zaleceń, takich jak okazywanie szacunku rodzicom. W tajskim rozumieniu tego zalecenia oznaczało to utrzymywanie ich, jeśli są zbyt starzy lub zbyt ubodzy, by utrzymać się samodzielnie.

Do tego dochodziła materialna pomoc rodzeństwu do czasu, kiedy samo będzie mogło pracować — co mogło się w zasadzie odwlekać w nieskończoność. Chanya nigdy nie kradnie, prawie nigdy nie kłamie, pielęgnuje dobre myśli i dobroć wobec innych, nie bierze narkotyków, na tym etapie swego życia nie pije też zbyt wiele alkoholu, stara się widzieć w ludziach — włączając w to własnych klientów — ich najlepsze strony. A także — co w sumie najważniejsze — stara się utrzymywać umysł maksymalnie wolny od splamień. Wszystko to razem, w połączeniu z jej fizyczną atrakcyjnością i rewelacyjną figurą, doprowadza koleżanki z salonu do szału, szczególnie że coraz więcej mężczyzn domaga się jej usług.

Po tygodniu Chanya dochodzi do pierwszego znaczącego wniosku: Tutejsze dziwki to demony. Innymi słowy są niepodatne na współczucie czy jakąkolwiek inną buddyjską metodę zbawienia. Po śmierci wrócą do piekieł, z których się wydostały, i spędzą tam tysiące lat, zanim ponownie uzyskają ludzkie ciało, które prawdopodobnie i tak wykorzystają znów w zły sposób. „Współczucie idioty”, tak się określa w doktrynie buddyjskiej etap nowicjusza. Chanya ma to stadium już dawno za sobą. Otacza się więc nieprzeniknioną mentalną tarczą, która wygląda na dystansowanie się od innych, lecz zapewnia jej nieco szacunku z ich strony. Demony postrzeżały ją dotąd jako istotę kruchą i żalną, łakomy kasek, wiszący na samym końcu łańcucha pokarmowego. Przekonują się jednak, że jest kimś innym, należy do całkowicie odmiennego gatunku człowieka. *Cono*. Dziewczyna nie interesuje się zupełnie ich religią, która chyba ma dla nich duże znaczenie, lecz w jej oczach jest barbarzyńskim produktem jednego z niższych piekieł, przepełnionym udręką i cierpieniem. Jest drogą donikąd. *Chanya ma gdzieś te demony*.

Po niecałym miesiącu zaczynają się pojawiać propozycje małżeństwa. Bawi ją to, że teksański mężczyzna zaleca się w sposób, który byłby natychmiast rozpoznawalny na Wschodzie. Opowiada o swoim bogactwie, obwozi po swoich „włoś-

ciach" niczym ptak puszący się upierzeniem i traktuje jak księżniczkę w klatce. Niektórzy mieli nawet tyle oleju w głowie, że udawali pokorę: „Ach, wiesz, tak naprawdę to nie jestem taki znów bogaty, to tylko skromny mająteczek, ale jeżeli jakaś kobitka zwiąże się ze mną na stałe, no to prędzej czy później dostanie połowę. Jakoś tam sobie radzę, rozumiesz, no nie?”.

Najwyraźniej granicę pomiędzy małżeństwem a prostytutką równie trudno było wyznaczyć w Stanach, jak w Tajlandii. Niektóre z teksańskich posiadłości były zaiste ogromne, Chanya jednakże wątpiła, by ich właściciele rzeczywiście zamierzali się dzielić z kimś swym majątkiem. Jej sława rosła i coraz większa liczba czerwonych mężczyzn z dżungli (jest wciąż Tajką z krwi i kości i dla niej wszystko, co nie jest miastem czy ewentualnie przedmieściem, to dżungla) parkowała przed salonem masażu swe jeepy z napędem na cztery koła. Szef podwyższył jej stawkę o połowę i powiedział, że pięć tysięcy dolarów spłaci w trzy miesiące zamiast w pół roku, a potem będzie mogła odejść. Był doświadczonym fachowcem i rozumiał, że Chanyi nie da się utrzymać, jest zbyt gorącym towarem. Wcześniej czy później zjawiliby się federalni, zaczęliby dokładniej sprawdzać jej paszport, być może sięgnęliby do bazy dowodów tożsamości w Tajlandii, w której przechowywane są odciski palców.

Małżeństwo, postanawia Chanya, nie jest wykluczone. Przenika jednak tych mężczyzn na wskroś. Dostrzega nikczemność pod zewnętrznym urokiem, dostrzega ich wizję przyszłości opartą na niepodważalnej dominacji — ponieważ jest Azjatką, po której oczekują łagodności i chęci dogadania swemu panu. Ona natomiast, jeśli szuka w ogóle w mężczyźnie czegoś szczególnego, to tajskiego upodobania do zabawy. Pieniądze są istotne, ale jeżeli nie jest zabawnie, to życie nie ma sensu. Czasami śmieje się i żartuje z klientami, ale ogólnie nie jest wcale wesoła, nie w towarzystwie Meksykanek, w których narasta zabójcza wściekłość wobec jej

osoby. Szef także to spostrzega i sugeruje, żeby odeszła zaraz po upływie umówionych trzech miesięcy. Te kobiety mają podle układy, a w El Paso wszystko się może zdarzyć. Być może nawet powinna odejść wcześniej. Szef znów podnosi jej wynagrodzenie i w rekordowym czasie dwóch miesięcy od przyjazdu Chanya jest wolna.

Dla takiej kobiety odpowiednim miejscem jest Las Vegas. Wiedziała o tym już w Bangkoku. Ogląda miasto po raz pierwszy z okien autobusu i rozpoznaje znajome wibracje. Dzięki kontaktom z tajską mafią w Ameryce bez problemu znajduje pracę w największej agencji. Firma jest tak doskonale zorganizowana, w stylu amerykańskim, że prowadzi nawet kursy przygotowawcze. Chanya siedzi więc w sali konferencyjnej dużego hotelu wraz z pięćdziesięcioma innymi młodymi kobietami, w większości niebiałymi.

Słyszała często, jak mówi się o prostytucji jako gałęzi gospodarki, lecz nigdy jeszcze nie doświadczyła tego w praktyce. Stojąca przed nowo przybyłymi platynowa blondynka jest majstersztykiem nowoczesnej chirurgii: poprawiany biust, brzuch, nos, lifting twarzy — wszystko, co trzeba. Ma jednak ponad czterdziestkę, przekroczyła granicę zawodowej aktywności i przesunięto ją widocznie do sfery zarządzania kadrami. Chirurgia nie mogła jednak zmienić jej głosu, szorstkiego jak papier ścierny i twardego jak stal.

— Działamy dokładnie według podanej procedury. Nie chcę nawet słyszeć, że któraś z was coś pokręciła, więc jeśli macie trudności z przyswajaniem albo z angielskim, to długopis i kartka do ręki, i notujemy.

1. Klient przybywa do Vegas. Słyszał o naszej firmie i po drodze z lotniska pyta taksówkarza, jak można się z nami skontaktować.

2. Taksówkarz ma nasze karnety, takie jak ten (z jednej strony półnaga azjatycka dziewczyna w jaskrawym kolorze, z drugiej numer telefonu). Zwróćcie uwagę na kod cyfrowy — każdy karnet ma własny numer.

3. Klient dzwoni do nas i dyspozytorka prosi go o podanie kodu. W ten sposób upewniamy się, że to prawdziwy klient, a nie gliniarz. Oznacza to również dolę dla taksówkarza.

4. Klient wyszczególnia swoje upodobania, czyli: rasę, wielkość piersi, wzrost, rodzaj stosunku — normalny czy anal, czy tylko laska, czy ręczna robota, usługi specjalne i tak dalej.

5. Dyspozytorka zapisuje namiary hotelu klienta i dzwoni do jego pokoju, żeby sprawdzić, czy faktycznie tam mieszka.

6. Jeżeli tak, podaje mu cenę i zazwyczaj mówi, że dziewczyna będzie u niego za dwadzieścia minut.

7. Dyspozytorka dzwoni do dziewczyny na komórkę i podaje jej namiary klienta. Dzwoni także do któregoś z naszych ochroniarzy, żeby się spotkał z dziewczyną w holu hotelowym. To bardzo ważne. Nie wolno wam iść do pokoju klienta ani nawet do niego dzwonić, dopóki nie pojawi się ochroniarz. Musicie sobie wbić numer komórki ochroniarza w autow wybieranie w waszej komórce, żeby w razie problemów móc go wezwać jednym kliknięciem. Powinien się zjawić w ciągu kilku minut.

8. Po skontaktowaniu się z ochroniarzem dzwonicie do klienta z hotelowego telefonu, żeby zszedł na dół. Nie idziecie bezpośrednio do jego pokoju.

9. Klient mówi, jak jest ubrany. Oboje z ochroniarzem obserwujecie go, gdy się pojawi, ale ochroniarz się nie ujawnia. Witacie się z klientem, możecie powiedzieć do niego „kochanie” albo „słodziutki”, ale poza tym żadnych czułych słówek.

10. Klient zabiera was do pokoju. Musi od razu zapłacić podstawową stawkę, dwieście dolarów. Nie wolno wam nawet ruszyć palcem, dopóki nie schowacie gotówki.

11. Teraz prosicie go, żeby wyjął kutasa. To bardzo ważne, bo jeśli to glina w cywilu, to go nie wyjmie. Jeśli odmówi, wychodzicie z pokoju. Jeżeli wyjmie, możecie nad nim przez chwilę popracować.

12. Mówicie mu, żeby się położył na łóżku, kiedy będzie się rozbierał. Następnie, gdy już się pogapił, wyjaśnacie, że cena podana przez agencję obejmuje tylko spotkanie i rozebranie się. Za więcej trzeba zapłacić osobno. Możecie ustalić własne stawki za każdą usługę, począwszy od ręcznej roboty, a skończywszy na analu. Ile za co weźmiecie, to wasza sprawa. Oczywiście te młodsze i najatrakcyjniejsze mogą wziąć najwięcej. Tak czy inaczej radzimy niczego nie rozpoczynać, dopóki nie dostaniecie kasy do ręki.

13. Reszta to już sprawa waszej inwencji, ale zawsze używajcie prezerwatywy przy seksie oralnym, pochwowym i analnym. Od czasu do czasu będziemy wam podstawić kogoś dla kontroli. Każda, która osobiście nie wręczy klientowi kondoma, natychmiast wylatuje z pracy.

14. Eleganckie pożegnanie zawsze jest mile widziane. Starajcie się być miłe przez cały czas, ale końcówka jest szczególnie ważna, bo daje szansę na powtórkę. Ze stałym klientem sprawa jest dużo prostsza, a poza tym ma się już wtedy pewność, że to nie glina.

Chanya początkowo czuje się w Las Vegas o wiele mniej wyalienowana niż w El Paso. Tutaj pracuje w branży mnóstwo Azjatek — Japonki, Koreanki, Wietnamki, Chinki, Tajki, Filipinki, Malajki, Hinduski, Pakistanki — przedstawicielki niemal każdej z azjatyckich ras. I nie ma znaczenia, że są mniej popularne od blondynek, ponieważ pracy starcza dla wszystkich. Mężczyźni w Vegas to wyłącznie turyści z innych miast i stanów — cała Nevada jest jak drzwi wahadłowe, co tydzień zmieniają tu właściciela miliony dolarów. Każdy z klientów ma takie samo wygłodniałe, wilgotne, wyczekujące

spojrzenie człowieka, który się wyrwał ze swego więzienia na tydzień lub dwa... albo na dzień, albo na godzinę.

Pozostałe kobiety to niemal wyłącznie obywatelki amerykańskie. Część urodziła się w Stanach, część to imigrantki, które po jakimś czasie uzyskały obywatelstwo i ogólnie biorąc, zachowują się jak rodowite Amerykanki. Właściwie wszystkie biorą narkotyki. Białe dziewczyny utrzymują — i być może to prawda — że to narkotyki (głównie koka, crack i meta, czasem heroina) przywiodły je do branży na samym początku. Duże potrzeby wymagały dużych pieniędzy. Azjatki i czarnoskóre mówią z kolei, że to prostytutka wpędziła je w ćpanie. Wszystkie jednak zgadzają się co do jednego: w Ameryce nie da się przetrwać w tej branży bez jakiegoś sztucznego napędu. Chanya dość szybko się przekonuje, co mają na myśli. Mężczyźni prawie nigdy nie pytają jej o imię, nie ma żarcików i przekomarzania się — jest jeszcze mniej wesoło niż w Teksasie. Dla niej to zupełnie bezsensowne, bo powlekanie całego procederu warstwą nie-szczęścia wcale nie zmniejsza jego popularności. Wręcz przeciwnie, to właśnie purytańska monotonia powszedniego dnia pracy popycha tych ludzi do szukania ulgi w weekendowych wypadach do Las Vegas. To nie są szarżujące byki, lecz raczej krowy czekające pokornie na wieczorne dojenie.

Chanya pracuje jak przy taśmie produkcyjnej, choć rzeczywiście świetnie zarabia. I tego właśnie ci mężczyźni oczekują. Oni naprawdę chcą doznać rozczarowania — ledwie zdążyli włożyć po wszystkim spodnie, już widać, że zaczynają sobie samym tłumaczyć, jak jest im przykro i głupio, jak bardzo postarają się poprawić na przyszłość i jeszcze kupią żonie nową sukienkę. Atrakcyjność i świetna figura dziewczyny to dla nich niewielka nagroda; są tak spłoszeni i nakręceni, że nawet tego nie zauważają.

Chanya zaczyna regularnie popijać, zazwyczaj kilka tequili po zakończeniu sesji, żeby się nie urznąć. Pracuje przez ponad pół roku i udaje jej się odłożyć trzydzieści tysięcy

dolarów. Potem dostaje telefon od przyjaciółki z Bangkoku i wsiada w autobus do Waszyngtonu. Wan przybyła do Ameryki niedługo po niej i znalazła robotę w jednym z hoteli w stolicy, gdzie branża jest naprawdę dobrze prowadzona. Przy hotelu jest sauna i salon masażu, w którym znajdzie się dla Chanyi praca.

Po tygodniu w Waszyngtonie Chanya uświadamia sobie, że trafiła do rajku dla dziwek. Wan pracuje w pięciogwiazdkowym hotelu, a to oznacza, że zatrzymują się tutaj dyplomaci, ważni sekretarze, szefowie ochrony i temu podobni. Zanim jednak Chanya zdażyła postarać się o pracę, przyjaciółka przedstawia ją tajskiemu dyplomacie nazwiskiem Thanee. Jest to mężczyzna po czterdziestce, o jasnej skórze, najwyraźniej o chińskim pochodzeniu, który należy do kręgu kilkunastu najbogatszych rodzin kontrolujących Tajlandię. Chanya zna jego nazwisko, gdyż często pojawia się w mediach w Bangkoku. Patriarcha rodu, który już ledwie trzyma się przy życiu, zarobił wielkie pieniądze na handlu opium, gdy był on jeszcze legalny, czy też półlegalny, natomiast jego najstarszy syn wykazał się autentycznym biznesowym geniuszem i zainwestował swoją część rodzinnej fortuny najpierw w elektronikę, a potem w telekomunikację. Thanee to drugi wnuk, którego nie pociąga robienie interesów, ale za to ma smykałkę do dyplomacji. Przy jego układach jasne było, że prędzej czy później wyląduje na cieplej posadce w Waszyngtonie. Jest członkiem stałej grupy lobbystów, zabiegających o korzyści dla tajskiej gospodarki — czy też raczej dla tajskich prominentów.

Negocjacje trwają bardzo krótko i dobijają targu, wymieniając zaledwie uprzejme uśmiechy. Wan znajduje jakąś wymówkę i po pięciu minutach zostawia ich samych. Spotkanie mężczyzny, który rozumie, skąd przybyła, i mówi jej ojczywym językiem, stanowi dla Chanyi taką ulgę, że prawie zapomina o regułach swego zawodu.

Z pójściem do łóżka nie ma pośpiechu. Thanee zabierają do tajskiej restauracji w okolicach Chinatown i zachęca do zamawiania ulubionych dań. Sam zamawia butelkę białego wina do sałatki z krewetek i butelkę czerwonego do kaczki. Rozśmiesza ją kilkoma tajskimi kawałami, lecz jego wyrafinowanie ją onieśmiela. Nie tylko mówi perfektnie po angielsku, lecz jest tak gładki w obejściu, że wywołuje podziw, a nawet przestrasza kelnerów. Jest mistrzem w obu kulturach i Chanę aż zatyka z podziwu. Najlepsze zaś jest to, że rozumieją się oboje doskonale; z tym facetem nie będzie żadnych niewczesnych napadów namiętności ani obietnic małżeństwa. Wróć do jego apartamentu w spacerowym tajskim tempie i ich prywatne spotkanie rozpocznie się od powolnego masażu, który ona mu robi z użyciem aromatycznych olejków, po czym stopniowo zacznie się rozwijać intymność. On nie będzie wywierał żadnej presji, lecz zaczeka na sygnał od niej, że jest gotowa. Ona zostanie na noc, zjedzą razem śniadanie i może jeszcze raz będą uprawiać seks, zanim on jej hojnie zapłaci. Ona pozwoli sobie na zakochanie się w nim, lecz będzie ten proces w pełni kontrolować. W tajskim systemie klasowym są tak daleko od siebie, że dalej już się nie da, toteż żadne z nich nie zamierza dopuścić do siebie niemądrych oczekiwań. Z drugiej jednak strony przy następnym spotkaniu powitają się nawzajem z uczuciem i niejaką ulgą. W Waszyngtonie Chanya z pewnością będzie jedną z jego *mia noi*, czyli mniejszych żon.

I tak to właśnie się toczy, tyle że staje się jego ulubioną *mia noi*. W rzeczy samej dowiaduje się od Wan, że kilka dni po ich pierwszym spotkaniu odsunął wszystkie pozostałe.

Pierwsza żona Thanee, Khun Toi, jest głową rodziny, większość czasu spędza w Tajlandii z dwójką dzieci i tylko z rzadka pojawia się w Waszyngtonie. Wie oczywiście o różnych *mia noi* swego męża i roześmiałaby się w nos każdemu, kto by twierdził, że Thanee jest jej wierny. Wykształcona na Zachodzie i na swój tajski sposób nie mniej wyzwolona od

dzisiaj przytulila. Zaciąga go do łóżka w tym momencie, gdy ja tu siedzę i piszę. Zmusi go, żeby jej opowiedział, jaka Chanya jest w łóżku, co on każe jej robić. No cóż, kochanie, robimy wszystko.

196

tamtejszych kobiet, także ma w Bangkoku stałego kochanka, o którym Thanee wszystko wie. Niewykluczone, że przy następnych odwiedzinach mąż przedstawi jej Chanę. Wszyscy znają zasady: Chanya okaże Khun Toi wielkie poważanie, a ta w rewanżu będzie darzyć dziewczynę dobrym uczuciem.

I tak to właśnie się dzieje. Khun Toi zostaje w Waszyngtonie przez dziesięć dni, cudownie się dogadują z Chaną

1 chodzą razem na zakupy. Khun Toi kupuje Chanę sukienki i bluzeczki najlepszych marek; dziewczyna znosi torby z zakupami do czekającej limuzyny. Pod koniec pobytu Khun Toi tłumaczy mężowi, jak to teraz będzie: Chanya jest nazbyt piękna i wartościowa, żeby zostawić ją na łasce lokalnego handlu płatną miłością. Thanee ma jej płacić regularną miesięczną pensję, żeby starczyło jej na życie i ładne stroje i żeby mogła mu towarzyszyć przy tych nielicznych towarzyskich okazjach, gdy Amerykanie nie będą zanadto skonfundowani. Będzie też zapraszana na jego spotkania w gronie samych Azjatów. Nie zamieszkają razem, a Chanya będzie zachowywała maksymalną dyskrecję, odwiedzając go w apartamencie. Żeby uprościć sytuację, powinien dać jej klucz. Ona z kolei ma się poświęcić tylko jemu i nie spotykać się z innymi klientami. To przede wszystkim zmniejszy ryzyko zarażenia, którym Khun Toi martwiła się już od dłuższego czasu. Ona sama ostatnio uprawia z nim seks niezbyt często, ale nie chciałaby, żeby zachorował i umarł.

— I trzy czwarte tego, co zarobię, będę posyłał rodzicom — mówi Thanee do Chanę w obecności Khun Toi. Wszyscy się śmieją, w tajskim stylu.

Chanya myśli, że Khun Toi być może podnieca to, że aranżuje swemu mężowi bzykanie na boku. Czulam jej woń, gdy mnie

obliczenia.

Chanya rozumie ten podświadomy przekaz i uzmysławia sobie ze smutkiem, że jest jedynym luksusem, na jaki pozwala sobie w Waszyngtonie Thanee. On zaś widzi, że ona zro-

197

Thanee początkowo jest bardzo ostrożny i nie ujawnia Chanyi niczego ze swych spraw zawodowych; docierają do niej tylko okruchy podczas rozmów nowego kochanka z jego kolegami. Jednakże, choć skończyła edukację w wieku lat dwunastu i nigdy w życiu nie rozmyślała o geopolityce, szybko łapie, o co chodzi. Jest zarazem zdumiona i przerażona nieoficjalnym obrazem owej *Saharat Ameńka*, do której udało jej się dostać dzięki takiemu nakładowi czasu i wysiłku. Zdaniem Thanee i jego chińskich kolegów jedyne supermocarstwo na świecie i jego gospodarka są anachroniczne, zakorkowane, nazbyt fiskalne i ręcznie sterowane, opancerzone bardziej niż tyranozaur i zbyt ograniczone w myśleniu, by móc się jakoś imponująco rozwinąć. Współczesne Chiny to kraj, który istnieje od roku 1949 i właśnie wkroczył w okres dzikiej przedsiębiorczości, i rozgrabiania państwowego majątku. Kraj, który cieszy się odpowiednią równowagą pomiędzy korupcją i porządkiem prawnym, co pozwala najsilniejszym i najbardziej przebojowym biznesmenom przedrzeć się przez gąszcz biurokracji, gdy jednocześnie zwykli obywatele trzymani są w ryzach. Przypomina to złote czasy Rockefellerów, Josepha Kennedy'ego i Ala Capone. Chiny są także blisko związane z Tajlandią. Kiedy zakończy się obecny etap budowy dróg w Laosie, zaistnieje bezpośrednie połączenie lądowe pomiędzy Pekinem i Szanghajem a Bangkokiem. Thanee i jego najbliżsi partnerzy, zarówno Tajowie, jak i Chińczycy, są tym wyraźnie bardzo podekscytowani. Chiny zdominowały już gospodarkę Azji Południowo-Wschodniej, a za dwadzieścia lat będą pierwszą potęgą gospodarczą globu i najważniejszym krajem na świecie dla każdego z mieszkańców Tajlandii. Przy dwóch miliardach urodzonych kapitalistów chiński potencjał jest wprost nie do

zumiała. Być może celowo pozwolił jej podsłuchać część rozmów, jest przecież inteligentny i przebiegły.

Budowanie kariery wymaga jednak planowania, a w przypadku Azjatów nieustannego biesiadowania. Thanee spędza większość wieczorów w mieście, odziany w smoking. Rzadko kiedy może zabrać ją ze sobą, ale na wszelki wypadek kupił jej trzy wieczorowe stroje. Chanya wzbudza sensację w długiej sukni, z upiętym wysoko lśniącym warkoczem czarnych włosów, z kupionym przez niego złotym naszyjnikiem błyszczącym na brązowej skórze i kolczykami z oprawionych w złoto pereł. Spostrzega, że niejedyn Chińczyk i Taj chętnie odziedziczyłby ją po wyjeździe Thanee. I pewnie tak by się stało, gdyby on sam nie zdecydował się na pewne dziwne posunięcie.

Chanya uważa, że będzie się do końca życia zastanawiać, czemu właściwie Thanee przedstawił ją temu *farangowi*. Przez pewien czas tak właśnie będzie nazywała tego wysokiego, muskularnego i raczej mało przystojnego mężczyznę: ten *farang*. Prawdopodobnie dlatego, że odkąd się nią zajął, właściwie wcale nie spotyka innych białych mężczyzn. Dlaczego Thanee zabrał ją na lunch z *farangiem* w 7 Duck na Massachusetts Avenue (wiklina i poduchy, *pasta* z owocami morza, którym przydałoby się więcej chili) właśnie tego dnia, gdy jej oznajmił, że przenoszą go do Pekinu i za dwa miesiące wyjeżdża? Czasami myśli, że mogła to być złośliwość, nie wobec niej, lecz wobec *faranga*. Subtelna zemsta dyplomaty z Azji, który nie mógł nie dostrzegać, że przy całej swej ogładzie, uroku osobistym, inteligencji i perfekcyjnej angielszczyźnie, wciąż nie jest postrzegany jako równy Amerykanom, którym wydaje się, że rządzą światem? Jeśli tak było, to świadczy tylko o złym geniuszu Thanee, bo przecież każdy mógłby przewidzieć, jak ciężko *farang* może się zadurzyć w Chanyi.

Mitch Turner przez cały lunch w ogóle nie może oderwać od niej wzroku. W końcu staje się to kłopotliwe i Thanee wykazuje oznaki irytacji, lecz zbyt subtelne, by Turner je dostrzegł. Chanya wciąż musi opuszczać wzrok, żeby jej spojrzenie nie skrzyżowało się ze spojrzeniem *faranga*. Czasami dość obcesowo przechodzi na tajski w nadziei, że on się obrazi, ale Amerykanin jakby tego nie zauważał. Jego błękitne oczy po prostu wbijają się w jej skórę i nie potrafi nad tym zapanować.

Zresztą nic w tym dziwnego. Chanya jest w Waszyngtonie już od pięciu miesięcy i przez większość tego czasu utrzymywał ją Thanee, a on nie należy do ludzi żałujących kobiecie pieniędzy na kosmetyki czy ciuchy. Dziś ma na sobie płowy kostium od Chanel, a jej śmietankowobrazowej skórze bardzo służą wizyty w salonach piękności, gdzie najlepsi wizażystki potrafią podkreślić głębię tajemnicy w orientalnych oczach. Do tego wszystkiego jej naturalna poza przekonuje wszystkich, że ona również jest młodą pracownicą dyplomacji, produktem najlepszych uczelni. Nikt jej nie weźmie za wsiową dziewczynę, której pierwsza praca polegała na pilnowaniu bawołów na pastwisku; ktoś taki nie potrafiłby emanować tym wdziękiem i rozluźnieniem, budzącym niemal poczucie zagrożenia. Tak właśnie określi to Mitch Turner, później, gdy już się lepiej poznają. Przez cały lunch czuł się przez nią zagrożony!

Tymczasem jednak tego dnia ratuje ją neopurytanizm. Turner zazwyczaj pozwala sobie tylko na półgodzinną przerwę na lunch, a tym razem trwa to już ponad godzinę. Kiedy udaje mu się nie wybałuszać na nią oczu, prowadzi z Thanee jakąś tajemniczą rozmowę, za której tokiem ona nie nadaża. I w końcu Turner musi już wracać do biura.

Thanee i Chanya wymieniają między sobą oznaki ulgi, niedostrzegalne dla nie-Taja, zaraz po wyjściu *faranga* zamawiają szampana (Mitch Turner oczywiście nie pije podczas lunchu, a przy innych okazjach też niewiele) i po raz

tysięczny zaczynają się powoli wzajemnie uwodzić. Gdy w końcu docierają do jego apartamentu, ona natychmiast przebiera się w łazience w szlafrok, żeby rozpocząć masaż. Gdy wraca, zastaje go na kanapie, też w szlafroku. Thanee wręcza jej pudełko wyłożone czerwonym aksamitem. W środku jest wisiorek z Buddą na ciężkim złotym łańcuchu. Chanya wyjmuje go i widzi, że łańcuch jest dość topornej roboty i niezbyt piękny. To dwudziestotrzykaratowe złoto; wart jest może z pięć tysięcy dolarów. Figurka Buddy jest ze złota z nefrytem i kosztowała pewnie dwukrotnie więcej. Wisior właściwie jej się nie podoba, jest zbyt ciężki i pretensjonalny, ale nie o to chodzi. Thanee w ten sposób ją zabezpiecza, typowo po tajsku. Złoto stanowi jej polisę, w Stanach czy gdziekolwiek indziej. Gdyby się kiedyś znalazła w kłopotach, może je sprzedać lub zastawić. Innymi słowy Thanee się z nią żegna. I Chanya po raz pierwszy w życiu płacze z powodu mężczyzny. Jednakże szybko dochodzi do siebie; tylko nieznaczna sztywność wokół ust świadczy o tym, jak ciężko walczy o zapanowanie nad sobą.

On stara się ją pocieszyć i kocha się z nią tak, jak nigdy dotąd. Jego czułość mówi wszystko. On także ją kocha, nawet bardziej, niż odważyła się podejrzewać, oboje jednak doskonale wiedzą, że nie istnieje taka bezludna wyspa, na której mogliby się skryć. Zasady feudalnej tajskiej piramidy wyryte są głęboko w ich sercach. On nie mógłby jej zabrać do Pekinu, ponieważ ich intymny związek zostałby wtedy ujawniony w taki sposób, że jego pierwsza żona straciłaby twarz, a na Wschodzie zachowanie twarzy jest rzeczą najważniejszą. Mogą jedynie po raz ostatni obdarować się rozkoszą i starają się wyciągnąć z tego maksimum wrażeń. Thanee nie zgadza się na pożegnanie na lotnisku, a ona to rozumie. Wieść o jego przenosinach już się rozniosła i dziennikarze na pewno będą na niego czekać. Lotnisko to nie miejsce dla *mia noi*.

My, Tajowie, nie bardzo się lubujemy w mimowolnym podkreśnianiu emocji poprzez te skurcze mięśni twarzy, które tak uwielbiacie wy na Zachodzie. Thanee i Chanya żegnają się po raz ostatni na parkingu pod jego apartamentowcem. Jego kierowca, również Taj, odwiezie ją do domu. Przy ostatnim pocałunku mają suche oczy i poważne twarze. Oboje wiedzą, że nie spotkają się już nigdy.

Dokładnie w chwili, kiedy jego samolot wznosi się w powietrze, Mitch Turner dzwoni do jej mieszkania, gdzie Chanya ogląda telewizję.

— Witaj — mówi suchym, nienaturalnie wysokim głosem. — Nie przeszkadza ci, że dzwonię? Pewnie się nie spodziewałaś, że się jeszcze odezwę, ale... obito mi się właśnie o uszy, że Thanee wyjechał, no i... pomyślałem, że może jesteś trochę przybita. Nie wiem, czy nie masz czegoś ciekawszego do roboty, ale jeżeli nie, to... przyszło mi do głowy, że może bym cię... zaprosił na drinka albo poszlibyśmy coś zjeść? Jeżeli o mnie chodzi, byłbym zachwycony.

— Spadaj — odpowiada Chanya i odkłada słuchawkę. Wraca do oglądania *Simpsonów*, bo od niedawna zaczyna powoli rozumieć gry słowne, jakimi naszpikowany jest ten serial.

Farang naprawdę jest nieustraszony. Nie można powiedzieć, że za nią łązi, jest na to za mądry, ale starannie wybiera chwile, w których się jej pokazuje. Thanee powiedział, że Mitch Turner jest agentem CIA, a oficjalnie pracownikiem administracji waszyngtońskiej, który zajmuje się grupami lobbystów i kontaktami z różnymi dygnitarzami. Chanya zastanawia się, czy on przypadkiem nie nadużywa przywilejów właściwych jego profesji, gdyż okazje, przy których niemal dosłownie wpadają na siebie, są jakieś dziwne i tajemnicze. W Tajlandii mężczyzna w stanie zwyczajnej żądz (to jej określenie; Mitch Turner zapewne tak by tego nie

nazwał) z pewnością zacząłby prędzej czy później posługiwać się groźbami. Turner natomiast miał dostęp do bazy danych CIA i mógł bez problemu sprawdzić jej paszport i wizę, a potem zagrozić deportacją, gdyby nie dostał od niej tego, czego chciał. Chanya przyznaje mu kilka punktów za to, że tego nie zrobił. W rzeczy samej zachowuje się jak zakochany dżentelmen. Spokojna wytrwałość, starannie wybierane stoliki w jej ulubionych kafejkach, kolejny telefon:

— Chciałem tylko zapytać, czy wszystko w porządku. Nic ci nie grozi, naprawdę. Mam spadać?

— Nie, nie ma sprawy. Przepraszam, że tak powiedziałam. Dzięki, że zadzwoniłeś.

— Może innym razem, jak już go sobie odpuścisz?

— Może.

Chanya odkłada słuchawkę z nikłym uśmiechem. Ten romantyczny *farang* myśli, że ona sprząta po Thanee i w pewnym sensie tak jest. Ale można sprzątać na różne sposoby. Kiedy się dorastało w ubogiej chłopskiej rodzinie, tęsknota za ukochanym stanowi raczej luksus i Chanya ma z tym problem. Thanee zapłacił czynsz za jej mieszkanie za trzy miesiące z góry, a oprócz złota i wspaniałych strojów dał jej dodatkowo dziesięć tysięcy dolarów. Do tego ma jeszcze trzydzieści tysięcy zarobione w Las Vegas. Jednak pieniądze kiedyś się wyczerpią i znowu wróci do punktu startowego, przynajmniej jeśli chodzi o robienie fortuny w *Saharata Ameryka*. Tydzień po wyjeździe Thanee dzwoni więc do Wan i pyta, czy w saunie w jej hotelu nie znalazłaby się praca.

Wan umawia ją na rozmowę ze swoim szefem, Chińczykiem z Hongkongu, który natychmiast dostrzega potencjał dziewczyny. Samson Yip sprawdza tylko, czy ona rozumie, że tutaj są Stany, a nie Azja, a już na pewno nie Tajlandia: federalni są wszędzie, a pracujące w saunach i salonach masażu kobiety ze Wschodu cieszą się ich szczególnym zainteresowaniem. Niektórzy z mężczyzn przychodzących na masaż to agenci FBI, którzy próbują go na czymś przyła-

pac. Najmniejsze skojarzenie jej pracy z uprawianiem nierządu będzie katastrofą nie tylko dla Chanyi, lecz także dla niego, Samsona Yipa. Yip jest niski i gruby i nie podziela oporów Chanyi przed obnoszeniem się ze złotem. Ma łańcuch jeszcze grubszy niż ten, który dał jej Thanee, i o wiele brzydszy. Jako Tajka dobrze rozumie sposób myślenia Chińczyka. Jest bezwzględny i zachłanny, ale uczciwy, nie będzie próbował jej oszukać. Ona w rewanżu też nie powinna kombinować, jeżeli chce zostać w Stanach. *Rozumiemy się? No to dobrze, tak ma być.*

Ponad połowa mężczyzn przychodzących do sauny i na masaże to cudzoziemcy. Niektórzy z nich to wyrafinowani Europejczycy, głównie Włosi i Francuzi, z którymi możliwy jest pewien poziom porozumienia. Wielu jest też Azjatów, Chińczyków i Japończyków, którzy też, mówiąc ogólnie, potrafią grać w tę grę. Samson Yip tłumaczy jej, że w takich wypadkach może posunąć się nieco dalej. Natomiast z Amerykanami absolutnie nie ma o tym mowy bez jego osobistego przyzwolenia.

Już po tygodniu Samson Yip widzi, że niepotrzebnie strzępił sobie język: Chanya jest zbyt inteligentna, żeby wykonać fałszywy ruch. Przestrzega ją więc tylko, żeby nie zabierała klientów do swojego mieszkania. Ma to robić w hotelu, przy czym pokoje zmieniają się codziennie, a czasem co kilka godzin, żeby nie widywano jej zbyt często w jednym miejscu. Niektórzy z pracowników hotelu wiedzą oczywiście, o co chodzi, lecz on potrafi zapewnić sobie ich dyskrecję.

Po dwóch tygodniach Yip podwaja jej godzinową stawkę, a po miesiącu Chanya zostaje pierwszą gwiazdą jego firmy. Nie chodzi tylko o atrakcyjność i wdzięk; przez trzy miesiące spędzone z Thanee jej naturalny talent nabrał jeszcze poloru. Szczególnie dyplomaci cenią sobie pewną subtelność w jej podejściu i czarujący sposób prowadzenia konwersacji. Wszystkim mężczyznom podoba się to, że przy niej czują się

wyjątkowi, jakby nie byli z prostytutką, tylko spotkali akurat w saunie kobietę swego życia.

Dlatego Chanya doznaje szoku, kiedy pewnego dnia na masaż całego ciała przychodzi Mitch Turner. Była bardzo ostrożna, ciągle się upewniała, czy jej nie śledzi, kiedy wchodziła do hotelu lub z niego wychodziła. Różnica pomiędzy FBI i CIA nie jest dla niej całkowicie jasna. Turner nie pokazywał się ani nie odzywał od trzech tygodni, uznała więc, że namiętność już z niego wyparowała, że jego umysł znalazł sobie nową obsesję, jak to zazwyczaj bywa z tymi nieudacznymi Amerykanami. I nagle oto jest tutaj, leży na stole do masażu z białym ręcznikiem owiniętym wokół łądźwi i czeka na nią.

Chanya zachowuje się, jakby go nie znała, traktuje go tak jak każdego innego klienta, jednak bardzo uważa, żeby nie zrobić czegoś, co mógłby opacznie zrozumieć. W sensie technicznym jej umiejętności masażystki znacznie się poprawiły, choć prawdę mówiąc, nie można by jej nazwać fachowcem w tej dziedzinie. W tym konkretnym wypadku starannie omija górne partie ud i pośladki. Nie może nie docenić jego wspaniałej muskulatury, za którą stoi zapewne wiele godzin wyciskania żelastwa. Nie rozmawiają na tematy osobiste i zachowują się, jakby się nie znali, aż do momentu, kiedy po półgodzinie masażu Chanya prosi go, żeby się odwrócił na plecy. Ich spojrzenia się spotykają. Ona odwraca twarz, woli mówić w powietrze.

- Dlaczego tu przyszedłeś?
- Bo szaleję za tobą.
- Nie przychodź już więcej.
- Jak miałbym się powstrzymać?
- To ja zniknę, wyjadę do innego miasta.
- Znajdę cię.
- Wrócę do Tajlandii.
- Znajdę cię.
- Utnę ci kutasa, jak będziesz spał.



— Jakież to typowo tajskie.

Nie przyszło jej do głowy, że Azja Południowo-Wschodnia jest mu doskonale znana.

Po skończonym masażu, gdy Turner już sobie poszedł, Samson Yip wzywa ją do swego biura. Pyta o jej ostatniego klienta. Chanya mówi mu wszystko, co wie, zgodnie z prawdą. Yip ma ponurą minę, jest niemal wstrząśnięty.

— Wiedział wszystko — mówi. — Niech to szlag, znał nawet numery pokoi w hotelu. Musi być z FBI albo z CIA. Może mi zamknąć budę, jeśli nie zrobisz tego, czego on chce. Ale ty decydujesz; możesz zwać albo możesz się z nim spotkać. On się upiera, że chce tylko lepiej cię poznać, czasami zabrać gdzieś na kolację, żadnego seksu, masz tylko dać mu szansę. Jest taki pokręcony, że kto wie, może mówi prawdę. I co z tym zrobisz?

— Powiedz mu, że pójde z nim raz na kolację. Nic więcej. O seksie nie ma mowy. Jeżeli będzie próbował czegoś więcej, ucieknę albo niech mnie deportuje, trudno. To już od niego zależy.

Yip kiwa głową, na jego wielkim owalnym obliczu z wieloma podbródkami pojawia się wyraz zastanowienia.

— Powiedz mi tylko jedną rzecz — mówi. — Przecież ten facet wygląda na porządnego Amerykanina, ma dobrą pracę, a takie kobiety jak ty przyjeżdżają tu specjalnie po to, żeby złapać takiego męża. Dlaczego ty go właściwie odrzucasz?

Chanya patrzy mu w twarz i widzi tylko pieniądze, zachłanność, głupotę.

— Bo jestem kurwą — odpowiada.

Yip kiwa ponownie głową, nie jest w końcu idiotą. Sprawdzają tylko jej spryt.

— Masz rację. Tacy nie potrafią zapomnieć ani wybaczyć. Namietność się skończy po kilku miesiącach, a potem będzie cię tym torturował do końca życia.

— Jeszcze gorzej, będzie torturował siebie.

Chińczyk mruczy coś pod nosem. Pracuje z dziwkami przez całe życie, lecz wciąż nie przestaje go zadziwiać to, że wystarczy im jeden rzut oka na mężczyznę i już czytają w nim jak w otwartej księdze.

Mitch Turner zabiera ją do tajskiej restauracji w Adams--Morgan, w pobliżu Columbia Road. Chanya jest pod wrażeniem, myślała bowiem, że wybierze inny modny tajski lokal, gdzie podają rozcieńczone chili, a jedzenie w zasadzie nie ma smaku. Ta knajpa natomiast jest niedroga i uczęszczana przez Tajów. Jedzenie mają tu niezłe, choć oczywiście nie umywa się do żarcia z ulicznych stoisk w Bangkoku. Jednym z kelnerów jest młody Japończyk i Chanya przez cały wieczór nie może się pozbyć wrażenia, że Turner przyszedł z nią tutaj, żeby się popisać. Kiedy go pozna lepiej, zrewiduje ten pogląd, ale na razie takie odnosi wrażenie. Jest Amerykaninem z krwi i kości, mógłby się chęlnie, że nie potrzebuje paszportu, ale jego swoboda i oczywiste opanowanie z japońską etykietą jeszcze wzmagają jej podziw. Podoba jej się respekt, z jakim odnosi się do zwyczajów młodego kelnera, łącznie z wymianą tradycyjnych ukłonów. Niewielu *farangów* stać na taką kurtuazję. Chanya obdarza go za to jednym ze swych najpiękniejszych uśmiechów. Jest zachwycony jak uczeń. Nie musi nawet spać z tym mężczyzną, żeby mieć go w garści — już się bezpiecznie tam zagnieździł.

Farang prawie nie pije, co jest dla niej niejakim rozczarowaniem. Przy Thanee zasmakowała w picciu wina do kolacji, poza tym alkohol z pewnością rozpuściłby nieco to napięcie, które wisi w powietrzu. Niestety, on się chyba tego obawia. Chanya zadowala się więc kieliszkiem wina, a Turner pije wodę mineralną.

Kolejna niespodzianka: niezłe się z nim gawędzi. Nie jest tak dobry jak Thanee, który potrafił czarująco rozprawiać



Obańkach mydlanych; Turner opowiada jej o Waszyngtonie i o innych rzeczach z pewnym skrępowaniem — ale nie ma w tym tej ciężkości, której się obawiała. Ona w rewanżu zwierza mu się z entuzjazmem neofitki ze swojej sympatii dla *Simpsonów*. On się uśmiecha. Wyraźnie jednak widać, że pomijanie w rozmowie spraw zawodowych stanowi jego drugą naturę. Kiedy kolacja dobiega już końca, Turner przechodzi wreszcie do rzeczy.

— Jest mi przykro, że postraszyłem Yipa — mówi. — Byłem zdesperowany. Zrobiłaś to, na czym mi zależało, poszłaś ze mną na kolację, a ja dotrzymuję słowa — powie ci to każdy, kto mnie zna. Już więcej nie będę cię nachodził. Jeśli następnym razem poproszę cię o spotkanie, a ty odmówisz, pogodzę się z tym. Chciałbym cię jeszcze tylko poprosić o jedną drobną rzecz. Przeczytaj to. — Wręcza jej pakiecik o rozmiarach książki, który zauważyła już wcześniej. — To po tajsku. Jeżeli nie masz czasu, to przeczytaj chociaż Nowy Testament, szczególnie ewangelie.

Chanya przygląda się paczce kompletnie zaskoczona.

Turner odwozi ją do domu i mówi na koniec:

— Nie chcę iść z tobą do łóżka. Nie przed ślubem. Chciałbym się tylko z tobą spotykać raz na jakiś czas. — Uśmiech podszyty bólem. — Chcę się do ciebie zalecać. Jestem bardzo staromodny.

Patrzy na niego, z książką w jednej ręce i torebką od Chanel w drugiej. Przyznaje w duchu, że przez całą minutę kusiła ją perspektywa prostego, bezpiecznego, czystego i w pełni moralnego życia z silnym, uczciwym, pobożnym człowiekiem, który jej nigdy nie porzuci, który będzie dbał o nią i o dzieci i z którym będzie się żyło długo i szczęśliwie. I nagle uświadamia sobie, że myśli o brazylijskim serialu, a nie o prawdziwym życiu. Nierealność tej sytuacji wynika bez wątpienia z momentu, który on wybrał. Czy oświadczenie się na pierwszej randce także należy do amerykańskiej kultury?

Po namyśle dochodzi do wniosku, że jest to związek bardzo niebezpieczny dla jednego z nich. Może się tylko domyślać, że to ona będzie ofiarą, choćby dlatego, że jest nielegalną imigrantką. Musi jednakże przyznać, że to on zwyciężył w tej pierwszej rundzie. Nie odmówi mu kolejnego spotkania. Jedno tylko będzie musiał zrozumieć.

— Nie ma mowy, żebym się mogła do ciebie zbliżyć bez seksu. Nieważne, co myśli o tym twój Bóg. Musisz mu powiedzieć: skoro chcę się zalecać do tajskiej dziewczyny, musi być seks. I to mnóstwo, aż będzie wyciekał uszami.

Odwraca się i rusza do windy, ignorując jego zboląłą minę. Postanawia nie machać mu na pożegnanie, zresztą szybko zniknął za betonowym filarem. Naciska guzik windy i nagle nieruchomieje. Dobiega ją głos Homera Simpsona:

— Chanya, hej Chanya, mam bilety na mecz Springfield Isotopes w następną sobotę, idziesz ze mną?

Odwraca się szybko, szuka go wzrokiem na parkingu, ale zniknął. Aż otworzyła usta ze zdumienia. To nie zwyczajne naśladownictwo w wykonaniu amatora, ale doskonała, profesjonalna parodia, absolutnie niezwykła.

Po drodze do mieszkania myśli tak:

Chanya tym razem złowiła dziwną rybę. Dwadzieścia minut z nim w łóżku i będzie już wiedziała wszystko. Z jego twarzą nie jest aż tak źle, ale on się jej wstydzi. Chciałby być ładniutkim amerykańskim chłopcem. To coś nierealnego, jak na filmie. Ameryka jest cała jak na filmie. A może mu nie staje?

To by dopiero była katastrofa, poślubić mężczyznę tylko po to, żeby się okazało, że jest bezużyteczny w łóżku. Ale dlaczego w ogóle zdecydowała znów się z nim spotkać? Finansowo radzi sobie świetnie w saunie i mogłaby się puszczać z mnóstwem Azjatów z korpusu dyplomatycznego, których poznała dzięki Thanee, którzy wciąż do niej wydzwaniają i z których każdy rozumiałby ją o wiele lepiej od

tego *faranga*. Karma to rzecz zbyt skomplikowana, żeby w ogóle się nadawała do jakichkolwiek analiz.

W mieszkaniu kładzie nieodpakowaną Biblię na stole i zapomina o całej sprawie.

Kim więc jest Mitch Turner? Chanya byłaby zaskoczona, słysząc, ilu ludzi zadawało już sobie to pytanie. Po pierwszej kolacji dociera do niej, że nie powiedział jej o sobie ani słowa. Nawet ta Biblia w tajskim przekładzie, która mogłaby być miłym, intymnym gestem głęboko wierzącego mężczyzny, okazała się sztuczką, czymś innym, niż się wydawało, jakby pobożność też stała się częścią tej gry.

Turner odzywa się ponownie dopiero po trzech tygodniach. Tym razem zapraszają do Iron Hearth koło Dupont Circle. Tu nie podaje się chili, to romantyczna knajpa z jaginięciną, pięknie nakrytymi stołami i buzującym kominkiem. Czy nie rozumiał, że zastawia na siebie pułapkę? W takiej restauracji należy napić się wina. Turner wybiera ze znawstwem czerwone z Napa Valley i Chanyi ono smakuje, jednak on sam pociąga z kieliszka ledwie kilka łyków. W połowie posiłku butelka jest opróżniona w trzech czwartych. Chanya odstawia kieliszek i wpatruje się w niego znacząco. Niemal wszystko wypła sama, ale jest tylko lekko wstawiona. Turner skrzepowany wypija trzy łyki i to wszystko. Ona nadal się w niego wpatruje. On znów bierze kieliszek i wypija jeszcze trochę. Ona nie spuszcza go z oka, dopóki nie wypłł do dna. Wyraźnie zadowolona, pozwala kelnerowi wlać resztę z butelki do swego kieliszka.

— Czy widział pan kiedykolwiek w życiu piękniejsze stworzenie? — Mitch Turner, poczerwieniały na twarzy, zwraca się nagle z tym pytaniem do kelnera, który rzuca Chanyi zdumione spojrzenie.

Rezygnują z deseru. W taksówce, przez całą drogę do jej mieszkania, musi się bronić przed jego natarczywością. Za-

chłanne, silne, złaknione dłonie są wszędzie. Kiedy mu grozi, że dostanie w twarz, on się śmieje.

— Wycieka mi uszami, Marge — szepce w rewelacyjnej i niesamowitej parodii Homera Simpsona.

W mieszkaniu ona steruje nim jak na dziwkę przystało: najpierw wspólny prysznic, podczas którego starannie obmywa jego intymne miejsca zimną wodą, bez widocznych skutków dla imponującej erekcji. On pomrukuje cicho, polewa jej piersi mydłem w płynie i próbuje napisać w pianie swoje imię. W łóżku nabiera życia i to jest dla niej zupełnym zaskoczeniem.

Właściwie jest niesamowity. Po dwudziestu pięciu minutach wciąż się w niej porusza, a ona wygina się pod nim i podryguje, wytrzymując to głównie dzięki profesjonalnej dumie. Lecz gdy ją pyta, bardzo czule i z francuskim akcentem: „Czy doszłaś, kochanie?“, jest zmuszona przyznać (jako prawdomówna buddystka), niemal bez tchu:

— Tak, trzy razy.

— Ja też. — Parska śmiechem i nie przestaje jej ujeżdżać. Po czwartym orgazmie Chanya przypomina sobie o chrześcijańskiej Biblii. Może jednak warto ją przeczytać?

Nawet gdy wreszcie skończył i po prysznicu leżą obok siebie, magia tego jednego kieliszka wina nie przestaje działać. Mitch Turner zaczyna się wywnętrzać jak dzieciak, opowiada jej o swoim życiu (chodził do chrześcijańskiej szkoły o surowych zasadach w Arkansas, studiował w Japonii), a potem przechodzi do waszyngtońskich plotek wyjątkowo zjadliwego gatunku.

Okazuje się, że był wychowywany przez ortodoksyjnych południowych baptystów, a jego ojciec był senatorem. Ma siostrę, z którą są bardzo blisko, i dwóch braci, niemal miliarderów z branży telekomunikacyjnej. Ale najbardziej przykuwa jej uwagę i wprawia w podziw jego repertuar głosów i akcentów, jego niesamowity talent parodystyczny.

Wciela się w różne postacie z taką precyzją, jak gdyby wręcz zamieszkiwały w jego ciele. Chanya słucha z otwartymi ustami, porażona niezwykłością tego przedstawienia. Kiedy Turner wychodzi, pozostaje jej tylko kręcić głową ze zdumienia. Zaiste, dziwna ryba.

Chanya przyznaje się w swym dzienniku do pewnej bezwzględności, jeśli chodzi o Mitcha Turnera i alkohol. Widziała wielokrotnie, jak to działa, jaką niezwykłą powoduje metamorfozę. Turner ma trzydzieści dwa lata, a gdy wypije, staje się nagle o połowę młodszy. Ten tajemniczy proces sprawia, że nie można z nim wprawdzie wyjść do miasta, lecz za to w domu zmienia się w wielkiego, napalonego nastolatka o kilkunastu różnych osobowościach, wyjątkowo rozrywkowego. Chanya trzyma już teraz zawsze na podorędziu butelkę czerwonego wina. Rytuał nigdy nie zawodzi. Turner zjawia się pełen winy, spięty, poważny, milkliwy, dziwnie tajemniczy i daje do zrozumienia, że nie wie, jak długo jeszcze będzie mógł żyć z nią w grzechu. Ona nalewa mu wina i po kilku minutach cała dorosła osobowość złazi z niego jak skóra; zmienia się w wielkiego, gaworzącego i tulącego się dzieciaka. A po seksie musi się nieodmiennie wylądować psychologicznie. Problem polega jednak na tym, że to wylądowanie składa się z różnych, coraz bardziej sprzecznych ze sobą historii. W niektórych wariantach jego biografii ukochana siostra na przykład znika, a w jej miejsce pojawia się ukochany, lecz nieobliczalny brat, którego Mitch nieustannie musi ratować przed upadkiem. Jego matka czasami staje się katoliczką z Chicago, ojciec z kolei nikczemnikiem, który porzucił rodzinę, gdy Mitch miał cztery lata. (Do swej dzisiejszej pozycji doszedł dzięki własnym talentom i stypendiom państwowym). Kiedy indziej znów ojciec jest dyplomata rezydującym przez lata w Japonii; stąd u Mitcha biegła znajomość japońskiego.

Zwyczajna kobieta dostrzegłaby w tym może niebezpieczne sygnały, lecz doświadczona prostytutka przywykła do słuchania mężczyzn, którzy płaczą się w zeznaniach. Chanya dochodzi do wniosku, że on ma żonę i dzieci, a ją uważa za nie dość inteligentną, by mogła zauważyć te wszystkie sprzeczności. Śmieszy ją, że uprzedzenia aż tak bardzo fałszują jej obraz w jego oczach, lecz jednocześnie musi przyznać, że wyczekuje kolejnych spotkań, okazji do obserwowania zmian w jego osobowości, tego wyjątkowego seksu, a przede wszystkim tej niezwykle śmiesznej, szalonej, dziecinnej paplaniny wieloma głosami, która jej skromnym zdaniem czyni zeń niemal geniusza. Poznała przecież w życiu całe mnóstwo mężczyzn, lecz żaden z nich nie potrafił jej tak rozbawić. To prawda, że to śmiech zdumienia i niedowierzania, ale czy nie tak właśnie zakochany mężczyzna powinien działać na kobietę? Nie śmiała się tak ani razu od wyjazdu z Tajlandii.

Bezstronna, buddyjska część jej osoby dostrzega jednocześnie, że jego zależność od niej zaczyna budzić niepokój. Dwukrotnie już mówił, że czuje się jak nowo narodzony, a mówiąc ściśle, jakby urodził się po raz pierwszy. Teraz, gdy poznał już radość i śmiech w tajskim stylu, zrozumiał, jak kompletnie spieprzone było jego dzieciństwo (sam to tak określił). A może to tylko takie amerykańskie bajdurzenie?

Fascynuje ją, do jakiego stopnia nie docenił jej inteligencji, i bawi się przyłapywaniem go na kolejnych, coraz bardziej rażących sprzecznościach.

— Mitch, powiedz mi wreszcie prawdę. Czy twój ojciec rzeczywiście był senatorem?

— Tata? No pewnie, i to jednym z najwybitniejszych. Prawdziwy szczerzy Amerykanin z zasadami, któremu można powierzyć majątek, żonę, wszystko.

Chanya spogląda na jego kieliszek. Ostatnio sprytnie zwiększyła dawkę. Kupiła dwa wielkie, baniaste kielichy do wina, w których mieści się prawie pół butelki. Nalała mu może kwartę czerwonego *napa* i wypił już jedną trzecią.

Turner się uśmiecha. Wie dobrze, że ona czeka, aż wypije więcej i przejdzie swą metamorfozę. Leciutko już wstawiony, pociąga łyce. Ona też się uśmiecha. On wypija duży łyk. Myśli oczywiście o seksie, którym się będą wkrótce cieszyć (kolejny maraton, to pewne), ona tymczasem wyczekuje zafascynowana kolejnej przemiany osobowości. Jeszcze kilka łyków i zaczyna się. Rumieniec na jego twarzy, nowy błysk w oku.

— Więc jaki był naprawdę twój ojciec?

— Sukinsyn jakich mało, dwudziestoczworokaratowy gnojek — odpowiada Homer Simpson.

Chanya zgina się wpół na kanapie. To dramatyczny przeskok świadomości, totalny i rażący, który wydarza się bez ostrzeżenia czy „przepraszam”. W jej oczach to najdosłowniejsza ilustracja buddyjskiej prawdy, która powiada, że nie istnieje jedna osobowość, lecz milion stanów świadomości. Jednostka, rozumiejąc je właściwie, może wybrać dowolny z nich w dowolnej chwili, choć naprawdę oświeceni nie wybierają żadnego.

— Gnojek? — Zaśmiewa się tak, że ledwie wykrztusiła to słowo.

Jej śmiech — śmiech pięknej kobiety, której czar w jego oczach urósł do mitycznych wręcz rozmiarów — jest bardzo zaraźliwy. Ona wyraźnie to widzi. (Cała reszta może być nieprawdziwa, ale jego obsesja na jej punkcie jest autentyczna — chyba że już straciła swą zdolność czytania w męskich sercach). Siada koło niej na kanapie, a ona wciąż się zarykuje; to śmiech płynący z głębi trzewi.

— Masz pojęcie, mój stary kiedyś wyłączył telewizor, bo pokazywali, jak dwa psy się pieprzą!

Znów atak śmiechu, aż zsunęła się na podłogę i nie przestaje się zwijać przez dobrych pięć minut. Ale czy to prawda? Z czego tak naprawdę się śmieją: z rzeczywistości czy z jego występu? Być może wszystkie te sprzeczności były zamierzone, być może chciał się przekonać, czy ona zagra

w tę dziwną grę według jego reguł. Przez chwilę wydaje się jej, że rozumiała: to odmiana gry, którą uprawiają dość często mężczyźni odwiedzający prostytutki, a jej zadaniem jest wejść w tłumiony od dawna świat dzieciństwa, jedyny, w którym on czuje się żywy. Jakby dla potwierdzenia tych podejrzeń Mitch rozpoczyna pięciominutowe przedstawienie, rozweselając ją do łez parodiowaniem kolejnych postaci telewizyjnych, które przychodzą jej do głowy.

Jednak w połowie zabawy on nagle poważnieje. Tego jeszcze nie było, ale od teraz zacznie się powtarzać coraz częściej: gdzieś w jego umyśle otworzyła się jakaś dziura, przełyka nerwowo ślinę, a jego mina wyraża skomplikowaną mieszaninę emocji — trudno powiedzieć, czy to poczucie winy, zranienia, czy zwykły dobrze znany lęk. On jednak niczego jej nie wyjaśnia, czyżby nie zauważył własnej zmiany nastroju? Chanya bierze ze stolika kieliszek i podaje mu, a Mitch pije łączywie, do dna. Po kilku sekundach rozbawienie powraca. Ona stara się omijać w rozmowie drażliwe tematy i pozwala mu się rozebrać. Postanawia już nigdy nie pytać o jego rodziców.

Co tak naprawdę ją w nim pociąga poza tym zaśmiewaniem się do rozpuku i seksualnymi maratonami? Dlaczego zadaje się akurat z nim, gdy mogłaby zarabiać takie same pieniądze od dziesiątek innych klientów? Zrozumie to każda dziwka: ten mężczyzna podzielił się z nią swoim głębokim powikłaniem. Chanya przez dziesięć lat kontaktów z mężczyznami poznała tylko smak aż nadto prostej transakcji handlowej: pasteryzowanej i ograniczonej w czasie płatnej miłości, wyjątkowo pasującej do współczesnego Zachodu, gdyby tylko chciał zmienić swe przesycone hipokryzją prawa. W jej przekonaniu to dopiero Mitch Turner tak naprawdę wprowadził ją w *Saharat Amerika*. Kto wie, może to nawet miłość wywołuje uśmiech na jej twarzy, kiedy on staje przed lustrem, podziwiając swoje tricepsy i martwiąc się, że zaniedbał ostatnio wizyty w siłowni. U kogoś przystojnego taka

próżność byłaby krepująca, lecz w przypadku Turnera stanowi o jego uroku. Jest jak kobieta, stara się nieustannie coś ulepszać. Przez długi czas zamierzał sobie zrobić rozbudowany tatuaż na plecach, ale nie znalazł w Stanach dobrego artysty, tu wszystkie tatuaże są jakieś ponure. Kiedy pojedzie znowu do Japonii, musi tam znaleźć prawdziwego mistrza. Japoński tatuaż — *horimono* — to autentyczna sztuka, niektóre są naprawdę przepiękne. Może pewnego dnia zbierze się na odwagę i spędzi w Japonii cały miesiąc, żeby dać sobie zrobić *horimono* na całym ciele.

Chanya jeden jedyny raz odwiedza go w jego mieszkaniu (Turner starannie strzeże swego bezpieczeństwa) i stwierdza, że odbija ono dokładnie osobowość właściciela. Na pierwszy rzut oka wszystko wydaje się pod kontrolą, każda rzecz jest na swoim miejscu, jak gdyby całe gospodarstwo trwało w stanie nieustannej gotowości bojowej. Potem znajduje ogromne terrarium pełne wielkich, włochatych, egzotycznych pajaków, w jego sypialni natomiast całą ścianę pokrywają zdjęcia nagich, wymyślnie wytatuowanych Azjatek. Pornosy jednak nie niepokoją jej tak bardzo jak te pająki. Czy to normalne hobby u dorosłego *farangal*

Ktoregoś wieczoru, gdy sama popadła w nastrój lekkiej wrogości do mężczyzn (problemy w saunie i reprimenda od Samsona Yipa), Chanya łamie własne zasady i przyciska Mitcha do muru. Temat: najbardziej rażąca sprzeczność w jego opowieściach.

— Mitch, zejdź choć na chwilę do poziomu Chanyi, dobrze? Twój ojciec był senatorem, porzucił cię, gdy byłeś mały, czy zginął w wypadku samochodowym, jak miałeś dwanaście lat? Powiedz wreszcie prawdę.

Jego umysł pracuje naprawdę błyskawicznie.

— Wszystko jest prawdą. Człowiek, którego nazywam moim ojcem, ten senator, był właściwie moim ojczymem; mama wyszła za niego, kiedy tata nas zostawił. Odszedł, jak

byłem mały, ale zginął w wypadku, gdy miałem dwanaście lat, tylko że wtedy nikt z rodziny nie widywał go już od ośmiu.

— No a twoja mama? Baptistka z Teksasu czy katoliczka z Chicago?

— Mama? Jedno i drugie. Urodziła się w Chicago jako katoliczka, ale gdy wyszła za senatora, nawróciła się na baptyzm. On postawił tylko ten jeden warunek, ale to przez ciebie dzięki temu małżeństwu przeskoczyła o kilka szczebli w górę na drabinie społecznej.

— A twoja ukochana siostra Alice?

Twarz Turnera chmurzy się na chwilę, szybko zmienia temat.

— Naprawdę chcesz coś wiedzieć o moim dzieciństwie? To było piekło, zwyczajnie i po prostu. Coś jakby obóz koncentracyjny, celowe, zaplanowane, małosłowne tortury. Dlaczego znów zaczęłaś ten temat? Przecież wiesz, że mnie to drażni.

— Dobrze już, dobrze. A czemu uczysz się japońskiego?

Po tym pytaniu Turner znów marszczy czoło i nie odpowiada przez kilka minut. Chanya przypuszcza, że zмага się z kolejnym ze swych niesamowitych i bardzo zachodnich demonów, i czeka cierpliwie. W końcu słyszy:

— Pewien człowiek, weteran drugiej wojny, zapoznał mnie z japońską pornografią.

Ona otwiera usta ze zdumienia. On wyjaśnia.

Japończycy, zarówno wówczas, jak i teraz, dalece wyprzedzili Zachód w tej istotnej dziedzinie życia. Mitch Turner dzięki owemu weteranowi stał się koneserem gatunku już w wieku lat trzynastu. Razem ze swym najlepszym kumplem zgromadzili bibliotekę czasopism, zamawianych pocztą z całego świata. Prowadząc intensywne analityczne badania, potwierdzili ponad wszelką wątpliwość, że japońska kontrola jakości bije pozostałe na głowę, podobnie zresztą jak w wielu innych branżach. Przy oglądaniu zdjęć prawie się czuło fakturę ciał tych dziewczyn, niemal słyszało się ich jęki. Kiedy

się przetrzucili na wideo, różnica stała się jeszcze wyraźniej -
sza. Patrząc na artystyczne tatuaże, na pełne świeżej inwencji
sytuacje, jakże dalekie od zachodniego schematu kobiety —
nastolatki w szkolnym mundurku, na wielką różnorodność
odmian S&M, można było zrozumieć, dlaczego gospodarka
Japonii ma się tak dobrze. Turner oglądał z coraz większym
znanstwem kolejne nagie i artystycznie wytatuowane młode
kobiety leżące na kanapach i łóżkach od Fukoki po Sapporo.

— To dlaczego właściwie poszedłeś do... no wiesz... do
Firmy?

Mitch Turner nagle się uśmiecha.

— Potrzebowali szpiegów dobrze znających japoński. Po
dejrzeniu wtedy, że Japończycy stworzyli specjalny pro
gram rządowy, żeby wykraść nam tajemnice przemysłowe.
W zdawaniu egzaminów jestem mistrzem, więc przeszedłem
cały proces rekrutacji bez najmniejszego problemu. — Pro
tekcjonalny uśmiech. — Wiesz, że mam fotograficzną pamięć
i IQ sto sześćdziesiąt pięć, poziom geniusza?

— Więc mógłbyś być, kim zechcesz? — Świadoma pro
wokacyjności tego pytania, celowo patrzy mu prosto w oczy;
to jest wyzwanie. Obserwuje uważnie jego konsternację, aż
w końcu Turner postanawia obrać nowy kierunek. Roz
promienia się całkiem przekonująco i mówi:

— Odkąd się poznaliśmy, chyba nie mógłbym już bez
ciebie żyć. Jesteś jedyną kobietą na świecie, która mnie
rozumie.

Jednak alkohol już wyparowuje, metamorfoza zaczyna się
odwracać i zaraz znowu zapanuje nad nim poczucie winy
i odpowiedzialności. Chanya uznaje, że zdąży jeszcze zadać
jedno, niewinne pytanie:

— To pewnie bzykałeś się w tej Japonii na potęgę, co?

Za późno, reakcja chemiczna już uległa odwróceniu.
Okrywa go nieprzenikniona Zewnętrzna Powłoka, niczym
warstwa rdzy, chroniącej ten dziwny wewnętrzny rdzeń
przed dalszą oksydacją.

— Wcale nie.

— Dlaczego?

Wzruszanie ramion, w którym nagle jest pogarda, nawet obrzydzenie.

— Są jeszcze inne rzeczy, Chanyu, które można robić podczas tego naszego krótkiego pobytu na Ziemi. Mam nadzieję, że kiedyś to zrozumiesz. Bardzo bym chciał, żebyś przeczytała tę Biblię ode mnie. Ile ci jestem winien za dzisiejszy masaż?

Już do tego przywykła. Na koniec każdej sesji, nawet jeśli spędzili razem całą noc, on nagle zaczyna udawać, że przyszedł do niej tylko na masaż, bez żadnego seksu i koniecznie chce płacić. Nauczyła się w to grać, więc odpowiada:

— Za masaż? Pięćset dolarów. — Kiedy już wręczył jej nowiutkie banknoty, które za każdym razem wybiera chyba z bankomatu specjalnie dla niej, ona pyta: — Kiedy cię znów zobaczę?

Mitch Turner z poważną miną kręci głową.

— Nie wiem. Nie wiem, czy w ogóle powinniśmy to ciągnąć. To nie jest dobre ani dla ciebie, ani dla mnie, a ja jednak powinienem pamiętać, że w jakiś sposób odpowiadam za to, co się dzieje z twoją duszą. Myślę, że przez jakiś czas nie będziemy się widywać.

Ona przytakuje z odpowiednią miną, wyrażającą smutną akceptację. Wie, że Turner i tak zadzwoni jutro lub pojutrze, ale czy on także o tym wie? Jak bardzo się zagubił pomiędzy swymi dwoma umysłami?

Na to pytanie nie uda jej się odpowiedzieć aż do momentu, kiedy będzie za późno. Jest przecież całkiem sama w wielkim obcym kraju i chociaż taka twarda, w jej sercu także czasem się otwiera przepaść osamotnienia. Kiedyś bez zastanowienia zadzwoniła do niego do pracy, żeby mu opowiedzieć odcinek *Simpsonów*, w którym Marge robi sobie implanty piersi.

Miała jego numer, bo uparł się kiedyś po pijaku, żeby jej dać swoją wizytówkę. („Chcę, żebyś do mnie dzwoniła co godzinę, chcę słyszeć twój głos, chcę rozmawiać z tobą o świństwach całymi dniami”. Oczywiście nie była taka głupia, żeby to robić, kiedy był w pracy i trzeźwy). Teraz uzmysłowiła sobie nagle, co robi. Czeką, wstrzymując oddech, niepewna jego reakcji. Może posunęła się za daleko i teraz Mitch już naprawdę z nią zerwie? Długie milczenie i wreszcie:

— Marge wcale nie chciała mieć implantów, tylko w szpitalu coś im się popieprzyło. — Milczy chwilę. — Zapraszam cię na lunch. Dokąd byś chciała pójść?

— Jake's Chili Bowl?

— To lokal dla czarnych, lepiej nie.

— No tak, masz rację.

— Coś ci powiem. Zrób się na bizneswoman, włóż jakiś kostium i pójdziemy do Hawk and Dove na Kapitolu. Będę mówił, że jesteś z tajskiej delegacji ekologicznej. Przyjechali akurat na dwa tygodnie przekonywać Amerykanów, żeby nie kupowali od Tajlandii tylu bogactw naturalnych. Jak ktoś do nas podejdzie pogadać, będziemy improwizować.

Chanya nie miała okazji poczuć się jak człowiek od wyjazdu Thanee. Dopóki Turner nie wymienił nazwy restauracji, w której była dwukrotnie z poprzednim kochankiem, nie zdawała sobie nawet sprawy, jak bardzo tęskni za odgrywaniem roli członkini egzotycznej delegacji handlowej. Thanee kupił jej biznesowy kostium w amerykańskim stylu (spodnie, nie spódnica), który wkłada teraz dla Mitcha Turnera. Do tego wisiołek z Buddą na ciężkim złotym łańcuchu, którego nie nosiła jeszcze poza domem. Upięte wysoko włosy, zręczny makijaż, którego nauczyła się w salonach piękności, czarne szpilki i poważna mina (Thanee nauczył ją robić Posepnego Amerykanina, tłumacząc, że z taką twarzą najlepiej się załatwia sprawy w Stanach), w połączeniu z surowym kostiumem i ekstrawaganckim orientalnym złotem, nadają jej wygląd nie tyle lobbyстки, ile osoby z kręgów tajskiej arystokracji.

Kontekst zawsze ma magiczną moc. Siedząc w Hawk and Dove na wysokim stołku obok Mitcha Turnera, który w godzinach pracy jest niezmiennie posepny, Chanya widzi, że personel obsługujący kongresmanów bierze ją za jakąś bardzo ważną zagraniczną osobę i traktuje z respektem, do którego tęskniła nieświadomie jej dusza. Dochodzi więc do wniosku, że kocha ten lokal i wymusi na Turnerze częstsze w nim wizyty jako zapłatę za pogłębienie ich intymnego związku. Na razie jednak Mitch Turner jest trochę podłamany; sam nie rozumie, jakim sposobem zdobył się na przyście z nią właśnie tutaj. Przecież to oczywiste, że wśród gości muszą znajdować się jej klienci!

Chanya rozgląda się po sali z miną bezstronnego obserwatora. Nie, nie obsługiwała na pewno żadnego z obecnych tu mężczyzn. Mitch Turner nieco szarzeje na twarzy i zamawia butelkę wina.

Chanya nie rozpisuje się szerzej w swoim dzienniku na temat tego lunchu, nie opowiada, jak to się stało, że zaraz potem wylądowali w jej mieszkaniu, gdzie odprawili zwyczajowy rytuał. Jednakże efekt, jaki to spotkanie wywarło na Mitchu Turnerze, jest niespodziewany. W łóżku, już po wszystkim, wciąż pod działaniem swego specyfiku, Turner rozważa, czy nie byłoby mądrze przedstawić ją rodzicom. Chanya nie pyta, którą z fikcyjnych — jak przypuszcza — par małżeńskich ma konkretnie na myśli. Najwyraźniej to jakaś odmiana ich tradycyjnej gry. Nastrój jest lekki i swobodny, więc całkiem ją to zaskoczyło.

— To nie jest dobry pomysł, Mitch — odpowiada. — Wiesz, jaką reputację mają tajskie kobiety.

— Ale tak świetnie się spisałaś podczas tego lunchu... — mówi zamyślony. — Powiedziałbym im, że przyjechałaś służbowo, w interesach. Nie zorientują się. Prędzej czy później i tak będziesz musiała ich poznać.

— Nie będę.

Obserwowanie, jak w jego umyśle otwiera się przepaść, napawa ją lekkim przerażeniem. Chyba tylko u dzieci występują tak gwałtowne zmiany nastroju. Twarz wykrzywia mu natychmiast grymas wściekłości. Ale o który ze światów tu chodzi? O których rodzicach jest mowa? Senator i siostra zniknęli z horyzontu już dość dawno; według najnowszej wersji wychowywała go ekscentryczna ciotka.

— Czy to znaczy, że za mnie nie wyjdiesz?

Niedowierzenie w jego głosie mówi jej wszystko: Co, ten kurwizson z Trzeciego Świata chce stracić swoją życiową szansę?

— Nie chcę o tym rozmawiać.

— Ale ja chcę, Chanyu. Przykro mi, że to mówię, ale ja już tak dłużej nie mogę, naprawdę nie mogę. Ty chyba nie rozumiesz, jak wiele ciągle ryzykuję. Nawet jeszcze nie zaczęłaś czytać tej Biblii ode mnie.

— Dobrze, przeczytam Biblię i potem porozmawiamy — mówi, żeby go uciszyć.

Chanya nie bardzo rozumie, dlaczego przeczytanie Biblii ma być wstępnym warunkiem rozmowy o małżeństwie — w końcu on też się ani trochę nie zainteresował buddyzmem — jednak koniecznie chce coś poradzić na ten jego ponury nastrój. Po raz pierwszy przyznaje w duchu, że alkohol chyba jednak nie wpływa na tego *faranga* tak bardzo korzystnie.

Po jego wyjściu Chanya zmusza się do przeczytania czterech ewangelii w tajskim przekładzie, a potem zabiera się do Księgi Rodzaju, lecz nie potrafi się już skupić. Z ręką na sercu może powiedzieć, że nigdy w życiu nie czytała ani nie słyszała tak infantylnych bzdur. Wygląda na to, że chrześcijaństwo to religia cudów, w której ślepi odzyskują wzrok, kulawi nagle zaczynają normalnie chodzić, umarli ożywają, a jakby tego było mało, ten tajemniczy facet, który mówi samymi zagadkami, jakimś sposobem wstaje z grobu i chodzi po świecie cały podziurawiony po swoim ukrzyżowaniu. A ten

ich Bóg (oczywiście obowiązkowo mężczyzna), który to wszystko zapoczątkował? Co za palant, najpierw sam sadi te dwa drzewa w raju, a potem zabrania Adamowi i Ewie jeść z nich owoce! W jej odbiorze cała ta książka to jakby poszerzony świat fantazji Mitcha Turnera. To już woli oglądać *Simpsonów*.

Zmęczona już protekcyjnym traktowaniem, wyklada Turnerowi bez ogródek, ale i bez kpiny swoją ocenę chrześcijańskiej Biblii, i czeka na jego reakcję. On robi kilka dziwnych min, marszczy brwi i w końcu mówi:

— Właściwie to masz chyba rację. Chrześcijaństwo to kompletna bzdura. Ale zrozum, mam zamiar zająć się kiedyś polityką, a w tym kraju nie da się służyć ogółowi, nie przynależąc do jakiegoś kościoła. Pokazałaś mi, ile mam jeszcze do zrobienia, i dziękuję ci za to.

Ona z marszem na czole zadaje mu pytanie, które nie przysłoby jej do głowy przed przyjazdem do Waszyngtonu.

— Chciałbyś kiedyś kandydować na prezydenta?

Twarz mu tężeje, jakby odkryła głęboko skrywaną prawdę, o której się nie rozmawia. Potem uśmiecha się pobłaźliwie, ale nie odpowiada.

Jakoś przestało ją to bawić. Ten człowiek to istna gmatwanina wybiegów i sztuczek; jego umysł — szybki jak błyskawica, lecz odłączony od ciała — wyrzuca z siebie wyjaśnienia, które zmieniają się jak w kalejdoskopie. Może faktycznie polityka to jedyna profesja, w której mógłby się sprawdzić?

Chanya pisze w dzienniku, że ich związek od tego momentu zaczyna się rozpadać. Spostrzegła, że alkohol źle na niego wpływa, coraz częściej brzydko się upija, więc przestała go częstować winem. On z kolei sam zaczął popijać w domu, po raz pierwszy w życiu (jak twierdzi). Męczy ją zaostarzający się konflikt i nawet przestała zapisywać treść rozmów, z wyjąt-

kiem jednej, kiedy to Mitch Turner staje w obronie feminizmu.

— W takim razie u was wszystkie kobiety są mężczyznami — mówi Chanya. — W tym kraju mieszkają sami mężczyźni, tylko że połowa z nich ma cipki, a druga połowa kutasy. Kobiety chodzą jak mężczyźni, mówią jak mężczyźni, wyzywają się od głupich pizd i suk, zupełnie jakby były facetami. Inaczej rzecz ujmując, dwieście osiemdziesiąt milionów ludzi szuka czegoś miękkiego do bzykania.—Błyska olśniewającym uśmiechem. — Nic dziwnego, że tak dobrze u was zarabiam.

On się zżyma, zastanawia nad sposobem poprowadzenia tej dyskusji. (Ona uważa, że Mitch już sobie buduje swą przyszłą osobowość polityczną).

Cicho i z przekonaniem odpowiada:

— Kobiety wywalczyły sobie niezależność. Może co nieco przesadzają, ale ich zdaniem były tak bardzo zdominowane przez mężczyzn, że graniczyło to z niewolnictwem.

— Za to teraz są niewolnicami waszego systemu, który też wcale ich nie kocha i źle traktuje, po prostu chce je tylko wyruchać. Harują całymi dniami w biurach, tylko praca, praca, praca, po to, żeby ktoś inny się wzbogacił. Po pracy są wykończone, ale i tak rozglądają się za mężczyznami. I gdzie tu niby coś się polepszyło?

— Ale ty się prostytuujesz z mężczyznami, więc też jesteś niewolnicą pieniędzy.

— Dla ciebie słowo „pieniądze” ma znaczenie amerykańskie. A dla mnie tajskie.

— A jakie jest to tajskie znaczenie?

— Wolność. Numer trwa godzinę, może dwie i jakbym chciała, mogę żyć za te pieniądze przez cały tydzień. Nie jestem zdominowana przez mężczyzn ani przez system. Jestem wolna.

— Prostytucja to prostytucja. Pracujesz tak samo jak inne.

— Przecież ty sam sobie zaprzeczasz. Właśnie powie działałeś, że pracuję tak samo jak inne.

— Tak, ale sprzedajesz swoje ciało. Czy tak robi dobra buddystka?

— Nie rozumiesz. Sprzedaję tylko część mojego ciała, wcale nie najważniejszą. Nikomu to nie szkodzi, no, może trochę mojej karmie. Nie krzywdzę nikogo. Ty prostytutujesz swój umysł, a to umysł jest siedzibą Buddy. — Grozi mu palcem. — Robisz coś naprawdę złego. Nie powinno się tak traktować własnego umysłu.

— Jak traktować? Mam mózg i używam go do pracy, gdzie tu prostytutka?

— Thanee powiedział mi, że w Waszyngtonie wielu takich fachowców jak ty nie zgadza się z prezydentem, z jego sposobem rządzenia. Jest bardzo niebezpieczny, przez niego cały świat może znienawidzić Amerykę. Sam mi mówiłeś, że musiał sobie podzielić świat na dobry i zły, bo potrafi zliczyć tylko do dwóch. A jednak pracujesz dla niego i używasz swojego umysłu do konstruowania planów, które mogą zagrozić światu. To jest dopiero prostytutka. Gromadzisz bardzo złą karmę, kto wie, czy nie odrodzisz się jako kałuch.

Mitch Turner wybucha śmiechem. Chyba podoba mu się zwariowana prostota jej argumentacji.

Chanya jest w kropce, nie wie, co ma zrobić z tym facetem.

Jej zdaniem ta historia zakończy się tak, jak się one zazwyczaj kończą: oboje pójną osobnymi drogami, ona być może będzie musiała opuścić Waszyngton, a po kilku miesiącach wróci do Tajlandii, bo poszło jej naprawdę świetnie i zarobiła już dość pieniędzy na spokojne życie. Tyle że data tej ostatniej rozmowy to 10 września 2001 roku.

Ciekawa rzecz, bo tego właśnie dnia, zmęczona i zgnębiona sprzeczką, zapisuje w dzienniku przeżycie z rodzaju tych, które trafiają się każdemu, kto przebywa długo za granicą. Na rogu Pennsylvania Avenue i Dziewiątej Ulicy nagle

dopadają nostalgia za rodzinnym krajem. Jej postawa radykalnie się zmienia.

Od samego początku robiła na niej wrażenie pewna cecha Amerykanów, nawet tych najpośledniejszych: ich sposób chodzenia. Nawet zwyczajni menele chodzą tu energicznym krokiem, z całkowitą pewnością celu, do którego zmierzają, zupełnie inaczej niż Tajowie w Bangkoku czy Surinie, gdzie kolektywnej świadomości nie przeniknęła jeszcze taka potrzeba celu i kierunku. Chanya poznała już ten kraj całkiem *nieźle*, a podczas tego procesu wykiełkował w niej powoli załamek zrozumienia.

Przecież oni wcale nie wiedzą, dokąd idą; potrafią tylko wyglądać tak, jakby wiedzieli. Chodzą żwawym krokiem, bo są w strachu. Pogania ich od środka jakiś demon. Chanya nie będzie nigdy tak chodziła.

Przez chwilę czuje, że zrozumiała już wszystko na temat *Saharat Amerika*; towarzyszy temu postanowienie powrotu do Tajlandii — raczej prędzej niż później. Nie chce wychodzić za mąż za przerażonego człowieka, który do perfekcji opanował sztukę podążania donikąd z takim zapalem i determinacją. Przyznanie się do utraty kierunku wydaje się jej o wiele bliższe oświeceniowi i uczciwsze. A nawet bardziej dorosłe.

Mitch Turner dzwoni do niej nazajutrz około piętnastej, gdy cały kraj jest w stanie wrzenia. Gra nieskazitelnego, odpowiedzialnego profesjonalistę, bo tej osobowości używa w godzinach pracy.

— Będziesz musiała wyjechać — mówi. Wie oczywiście, że ona jest nielegalną imigrantką, sprawdził co trzeba w bazie danych CIA, być może nawet zna jej kontakty w Tajlandii. — Nie wiem, cholera, do czego to wszystko doprowadzi, ale

teraz będą sprawdzali każdego z zagranicznym paszportem na zachód od Berlina. Już coś się przebąkuje o aresztowaniach bez nakazu. Możesz paść ofiarą bałaganu, który ci zmarnuje kilka ładnych lat życia.

Nie trzeba jej tego powtarzać dwa razy. Chanya wsiada do samolotu, gdy tylko linie lotnicze wznawiają komunikację. Dwudziestego drugiego września jest już w swojej rodzinnej wiosce niedaleko Surinu, przy granicy z Kambodżą. Pierwszym luksusowym przedmiotem, jaki sobie kupuje, jest telewizor Sony z płaskim ekranem, w którym na okrągło pokazywane są na wszystkich kanałach obrazy samolotów wbijających się w dwie wieże.

I to jest koniec dziennika Chanyi, *farangu*.

I

V

Al-Kaida

27

Wczesnym popołudniem docieram do Soi Kauboi i otwieram bar. Bardzo chcę się zobaczyć z Lekiem po jego spotkaniu z Fatimą, lecz najpierw muszę porozmawiać z Nong o dzienniku Chanyi.

Zaraz po zapaleniu światła składam *wai* przed Buddą. Ważną rzeczą jest stałe uzupełnianie zapasu alkoholu. Większość klientów pije klostera, singhę lub heinekena, no a dziewczyny oczywiście połowę zarobku czerpią z damskich drinków, który to fakt nie umyka nigdy uwadze mojej matki. Zostawiła mi kartkę, żebym zaraz po przyjsciu zamówił w hurtowni klostera i tequilę. Tequila to nie problem, zawsze możemy kupić parę butelek w detalu, ale klostera jest w lodówce niebezpiecznie mało.

Patrzę na posąg Buddy i rozumiem w końcu, skąd się wzięło moje rozdrażnienie. Na ołtarzyku przed małą ludzką figurką nie ma kwiatów. Wychodzę, znajduję uliczną kwiatciarkę i kupuję kilka girland nagietków. (W Tajlandii, dokądkolwiek pojechać, zawsze znajdzie się jakiś stragan z kwietnymi girlandami do ofiarowania Buddzie. W kraju zamieszkanym przez sześćdziesiąt pięć milionów hazardzistów moźecie na to postawić każde pieniądze). Gdy tylko posąg tonie już w kwiatkach, zapalam wiązkę kadzideł, które matka

trzyma pod ladą, składam w skupieniu trzykrotne *wai*, wtykam kadzidła do miseczki z piaskiem i proszę Buddę, żeby przywrócił nam pomyślność. Ledwie skończyłem, wchodzi matka z naręczem nagietków.

— Wczoraj miałam tyle roboty, że zapomniałam o nim — wyjaśnia spoza góry kwiatów. Nic nie mówię, tylko patrzę, jak się przygląda girlandom, którymi właśnie go obwiesiłam. — Och, teraz na pewno już nam wybaczy. — Rozpromienia się. — Tak, tak, niedługo znów nam się zacznie szczęścić. I jak ci poszło w Songai Kolok?

Krzywię się i proszę ją, żeby usiadła przy którymś stoliku. Mówię matce o dzienniku Chanyi i o najważniejszym: że znała Mitcha Turnera w Stanach. Miała z nim namiętny romans. Nong chwyta w lot, co to oznacza.

— Myślisz, że są jakieś dowody ich znajomości? Na pewno. Jak Amerykanie zaczną śledztwo, dokopią się, że spotykał się z Tajką w Waszyngtonie. I chociaż przyjechała na lewym paszporcie, w końcu ustalą jej prawdziwe na zwisko.

— Ano właśnie.

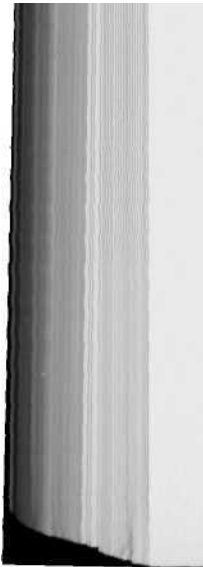
Patrzę na Buddę z kwaśną miną. Ile naręczy kwiatów musi jeszcze dostać, zanim wybaczy nam zaniechanie? Nong podąża za moim spojrzeniem, podchodzi do posągu, zapala kadzidło i składa *wai*, bardziej pobożne od mojego.

— Na pewno nie pokłoniłeś się jak należy — beszta mnie. — Teraz już będzie dobrze.

Z mojej komórki płynie *Satisfaction*. To Vikorn chce wiedzieć, co zdziałalem w Songai Kolok.

— Przyjedź tutaj — rzuca i rozłącza się.

W publicznej części komendy tłoczy się stała kolekcja ludzkich typów: żebracy, dziwki, mnisi, żony skarżące się na brutalnych mężów, mężowie skarżący się na kłamliwe żony, które ich okradają, zagubione dzieci, wariaci, sadyści, biedacy. Wszyscy tutaj są biedakami. Korytarz Vikorna jest jednak pusty, podobnie jak jego gabinet, jeśli nie liczyć



gospodarza. Wysłuchuje mojej relacji o dzienniku Chanyi i o agentach CIA Hudsonie i Brighcie, którzy zjawili się w Songai Kolok. Pułkownik wstaje i przechadza się z rękami w kieszeniach.

— Spójrz na to w ten sposób — mówi. — Masz talent naukowca i co najmniej doktorat z jakiejś obrzydliwie skomplikowanej specjalności. Jeszcze w latach studenckich, kierując się idealizmem, postanawiasz służyć swemu krajowi, pracując w CIA. Oni cię chętnie przyjmują. Dziesięć lat później nie jesteś już naiwnym studentem. Twoi koledzy z uczelni zarabiają dwa razy więcej i świetnie się bawią za świetne pieniądze. Ludzie o wiele od ciebie głębsi zostali potentatami, miliardarami w przemyśle, możliwe, że już mogą spokojnie przestać pracować. Oni nie zamartwiają się tym, co robią, i tym, co muszą ukrywać przed żonami i dziećmi; nie myślą o tym, że w każdej chwili może przyjść rozkaz z góry i będą musieli się palcować, żeby spędzić cztery czy pięć lat życia w jakiejś straszliwej dziurze w rodzaju Songai Kolok. Oni nie muszą być co pół roku badani wykrywaczem kłamstw, nie przechodzą niezapowiedzianych testów antynarkotykowych i nikt im nie zakłada podsłuchu w telefonie. Ty natomiast jesteś w sidłach organizacji. Jediną twoją nadzieją, jedyną drogą wydostania się z tej frustrującej pułapki, jest awans. Pod pewnym względem szpiegostwo przypomina żołnierkę. Największe perspektywy awansu daje jakaś porządna, duża wojna. Od jedenastego września na awans w Agencji może liczyć tylko ten, kto przyskrzyni choć kilku ludzi Al-Kaidy. Powiedz mi, jakie wrażenie zrobili na tobie ci panowie, którzy weszli w mieszkaniu Turnera?

Mój szef jak zwykle ujawnił swój strategiczny geniusz, swoją umysłową wyższość i encyklopedyczną wręcz znajomość ludzkich słabości we wszystkich ich odmianach.

— Ten starszy, Hudson, był właśnie kimś takim — przyznaje.

— W średnim wieku, sfrustrowany, rozpaczliwie spragniony awansu, śmiertelnie znudzony drobnymi akcjami, za stanowiący się, co on właściwie robi w tej azjatyckiej dziurze, gdy powinien siedzieć za dużym biurkiem w Waszyngtonie. Ideowo wypalony.

— Tak. — To nie jest chyba odpowiedni moment, by mu wspominać o pozaziemskim pochodzeniu Hudsona.

— A ten drugi?

— Typowy społecznie niedojrzały *farang* z wielkim mniemaniem o sobie i skłonnością do wpadania w pułapki na słonie. — Chyba nie warto się zagłębiać w przeszłość tego nieszczęsnego chłopiny; ludzie zupełnie sobie nie zdają sprawy, jak nudne są w większości ich przeszłe żywoty. Jak wielu przedstawicieli naszego gatunku, przez dobrych tysiąc lat był zwierzęciem stadnym i ginął honorową śmiercią w większości wielkich bitew historii. W jego duszy nigdy nie zagościła wątpliwość, aż do chwili, gdy umierał w Da Nang, bez rąk i nóg, gdy w końcu przyszła mu do głowy myśl: Czyżby mnie oszukali?

— Hmm — mruczy pułkownik. — Wielka słabość Za chodu polega na tym, że potrafi zachęcić ludzi do lojalności wyłącznie obietnicą bogactwa. Ale cóż to jest bogactwo? Nowsza pralka, większy samochód, jeszcze ładniejszy dom? Pokarmu dla ducha zbyt wiele w tym nie ma. Zachód to nic innego jak gigantyczny supermarket, a kto by chciał umierać za supermarket? — Patrzy na mnie, a ja wzruszam ramionami. — Po prostu trzeba być ostrożnym. — Robi ten swój obsceniczny gest łaskotania ryby i szczyrzy się w uśmiechu.

Idę poszukać Lęka i dowiaduję się, że zgłosił chorobowe na dwa dni. Nikt nie wie, gdzie się podziewa. Dzwonię do Fatimy, ale ona też nie wie.

— Czy powinniśmy zacząć się martwić? — pytam.

— Jego czas nadszedł, kochanie — odpowiada. — Musiałam go wykopać z wygodnego gniazdka. Pofrunął czy nie? Tu nie ma reguł. Jeżeli przetrwa, wróci. Beze mnie już sobie nie poradzi.

— Nawet go nie szukałaś?

— Nie bądź dzieckiem, kochanie.

Ostatniej nocy znów śniłem o Chanyi. Sztuczne jezioro, takie, jakie widuje się tylko w Radżastanie, doskonały kwadrat z pływającą pośrodku na białej tratwie świątynią. Na brzegu kolejka smutnych młodych mężczyzn. Każdy z pielgrzymów jest kolejno wożony łodzią na wysepkę, gdzie może porozmawiać z rezydującym tam buddyjskim mnichem. Kiedy nadchodzi moja kolej, odkrywam, że nie potrafię spojrzeć mnichowi w oczy. W wyciągniętej ręce trzymam zdjęcie Chanyi. Budzę się spocony.

Ten sen mną wstrząsnął. Chyba sam przed sobą nie przyznawałem, jak rozpaczliwie jej pragnę, a teraz będę przeżywał te obrzydliwe katusze — jakże ciekawe, gdy przydarzają się komuś innemu. Vikorn i jego niezręczne uwagi o moim życiu emocjonalnym to jedno, ale odrzucenie przez duchowego mistrza to zupełnie co innego. Pomimo to dopiero po kilku godzinach włączam komórkę i wybieram kontakt na literę C.

— Sonchai? — mówi tym swoim tonem, który roztopia człowieka jak kostkę lodu i za który chciałoby się ją zabić, gdy go używa wobec innych mężczyzn.

— Zastanawiałem się właśnie, jak ci leci.

— Naprawdę? Przeczytałeś dziennik?

— Tak — szepczę ochryple.

— Tak naprawdę to nic ciekawego. Myślałam po prostu, że chciałbyś poznać tło, na wypadek...

— Jasne. Rozumiem. Ale mam parę pytań; chyba powinniśmy pogadać.

— Jakich pytań?

— To raczej nie na telefon, nie sądzisz?

— Bo mogą nas podsłuchiwać? To jest już tak źle?

— Możliwe; tego nie wiemy.

— Masz jakiś pomysł?

— Może coś przekąsimy?



28

Zapomnij, *farangu*. Nie opowiem ci, co się wydarzyło podczas kolacji. Wystarczy tylko powiedzieć, że zrobiłem z siebie kompletnego dupka — zgłodniałego, niezręcznego i znerwicowanego (miłość całkiem słusznie jest rodzaju żeńskiego we wszystkich odpowiedzialnych kosmologiach — zmienia przecież mężczyzn w błaznów), ale okoń gotowany na parze z limonką był wyśmienity, chłodne australijskie białe wino niezemskie, a mój bezkompromisowy pocałunek złożony na boskich wargach na dobranoc lepszy niż jedno i drugie. (Jeżeli dotąd nie wiedziała, że jestem gamoniem, to teraz już wie). Na razie niech ci tyle wystarczy, jeśli pozwolisz. A to, że ona już nie pracuje w branży, przyjmuję jako manifestację kosmicznego współczucia. Nie, oczywiście, że jej nie opowiedziałem snu.

Okolo dwudziestej drugiej wracam do Old Man's Club, gdzie rządzi matka. Nie widać jej, lecz wielu klientów marszczy znacząco nosy.

Idę za zapachem pod zadaszenie na podwórku, gdzie zastaję Nong. Na mój widok coś ukradkowo chowa, ale już jest za późno.

— Myślałem, że jesteś na diecie.

— Jestem. Owoce mogę jeść.

— Na pewno nie chodzi o owoce w ogóle, tylko o cytrusy albo coś w tym stylu. Jeszcze niedawno jadłaś tylko jabłka.

— Owoc to owoc, co za różnica?

Postanawiam rozegrać tę delikatną sytuację jak najrzęcznie i podchodzę do niej z miłym uśmiechem. Pomimo podejrzeń matka reaguje na moje czułe cmoknięcie w policzek i nie udaje jej się powstrzymać mojej lewej ręki przed wyciśnięciem żółtego kształtu na jej talerzu.

— Złodziejaszek.

Zajadam ze smakiem. Ach, durian, z tą jego niebywałą, melancholijną dekadencją, czarowną lepkością, z surową, nagą, bezwstydną, pierwotną cierpkością, z jego zwycięsko niezdrową pokusą — ech, nieważne, *farangu*, i tak nie zrozumiesz durianu, jeśli nie spędzisz tu połowy życia.

— To jest najbardziej tuczący owoc na świecie — mówię do matki. — *Farang*, który wykoncypował tę twoją dietę, pewnie w ogóle o nim nie słyszał.

— Przyszedł e-mail — odpowiada Nong z niejaką ulgą. — Napisał, że się spóźni, co najmniej jeszcze tydzień. Wy skoczyła mu jakaś sprawa w Stanach.

Niech mi Budda wybaczy, ale zupełnie zapomniałem o supermanie. Spieszę do komputera, przeczytać pocztę.

Najdrożsi Nong i Sonchai, strasznie mi przykro, ale wszystko się opóźnia. Właśnie dostałem pismo z sądu apelacyjnego, że w przyszłym tygodniu zaczną rozpatrywać jedną z moich trzech największych spraw. Reprezentuję bardzo ważnego klienta firmy i muszę tam być. Przyjadę zaraz po sprawie — naprawdę zaraz po. Torbę mam spakowaną i prosto z sądu jadę na lotnisko. Już się nie mogę doczekać spotkania z wami. Mój Boże, Nong... (Sonchai, ciebie też kocham, choć się w ogóle nie znamy).



Przetrawiam to wszystko w myślach (napisał, że mnie kocha, ale dodał, że „też”), gdy nagle wszyscy nieruchomieją, do baru wchodzi bowiem dwóch nieznajomych.

No, może nie całkiem nieznajomych. Amerykanie to społeczność plemienna, czyż nie? Pojawienie się tych dwóch robi na siedzących w barze starych wyjadaczach takie wrażenie, jakby dwóch wychodzących z puszczy Apaczów nadziało się na oddział Komanczów siedzących przy kolacji. Hudson, Bright i nasi goście, wszyscy jednocześnie podciągają spodnie. Hudson z kwaśną miną odwraca wzrok od pomarszczonych hipisów i patrzy mi w oczy.

— Witam, detektywie. Pamięta nas pan? — mówi, niemal nie poruszając ustami; twardy, posępny i namolny jak zawsze.

— Songai Kolok. Byliście wtedy biznesmenami.

— A pan mieszkał w Ameryce z zieloną kartą. Przejdźmy do rzeczy. Wie pan, po co przyszliśmy?

Prowadzę ich w milczeniu na zaplecze. Hudson marszczy nos, a Bright węszy ostentacyjnie (to smród Trzeciego Świata w całej swej krasie).

— Mamo, to są ci dwaj agenci CIA, których spotkałem w Songai Kolok, gdy udawali biznesmenów od telekomunikacji — mówię po tajsku do Nong.

Czy wspominałem już, że w naszym prymitywnym społeczeństwie wciąż istnieje coś takiego jak kurtuazja? Moją wypowiedź matka odbiera jako sygnał, że ci dwaj mężczyźni stoją na piramidzie wyżej od niej. Wstaje i składa im *wai*. Hudson chyba żałuje, że nie może uchylić kapelusza, a Bright jest skonfundowany. Też się przymierza do *wai*, lecz rezygnuje.

— To znaczy, że cię okłamali? — pyta Nong, nadal miło uśmiechnięta.

— Kłamstwo to ich praca. To szpiedzy.

— Obrzydliwość. — Uprzejme skinienie głową w stronę Hudsona. — Czy oni znają tajski?

--- Ani u/ TA h

Odwzajemniając z promiennym uśmiechem ukłon Brighta, mówi:

— Czy pułkownik o nich wie? Może się ich pozbędziemy?

— Daj spokój, mam, co za pomysł. CIA to potęga.

— Nie podoba mi się, jak ten młodszy wacha mojego duriana. Sama go chyba załatwię, jak nie przestanie. — Zwracam się do nich po angielsku: — Siadajcie panowie, proszę, mój dom jest waszym domem.

Widzę, że Bright nie jest wcale taki pewny, czy bezpiecznie można usiąść w tak cuchnącym miejscu, jednak odważnie przysuwa sobie krzesło. Hudson robi to samo. Ten drugi oczywiście nie omieszkał zauważyć, że znalazł się w obecności atrakcyjnej Tajki z jego przedziału wiekowego. (Dostrzegam w nim straszną gorycz, którą gotowy jest przetrwać i rozpuścić dla odpowiedniej kobiety, być może właśnie dla łagodnej i miłej Azjatki. Może to właśnie ona?).

— Podobasz się temu starszemu.

— Mam go uwieść i dowiedzieć się, co wie?

— Przecież jesteś na emeryturze.

— Ten młodszy faktycznie myśli, że jest niewiadomo kim, co? Napuścimy na niego którąś z dziewcząt? Na pewno mina mu trochę zrzędnie, jak mu pokażemy wideo z jego występem bez gaci.

Moja mina wyraża synowskie uwielbienie.

— To niezła myśl — mówię. — Czy dziesiątka jest nadal podłączona?

— Oczywiście, pomimo twoich purytańskich obiekcji.

Dla wyjaśnienia: kochana Nong nigdy mi nie wybaczyła, że nie zgodziłem się przystąpić do syndykatu, który nadaje przez Internet płatne porno na żywo, zazwyczaj bez wiedzy właściciela erekcji. Kiedy to wszystko odkryłem, ukryta kamera cyfrowa była już podłączona i gotowa do akcji.

— Którą poprosimy? Jaki on ma profil psychologiczny?

— Łatwo się podnieci, dobrze wypadnie na podstawowym poziomie, bez wielkiej wyobraźni, prawdopodobnie wytrzyma

całe dwadzieścia minut, jeśli zechce, na finiszu zaciśnie zęby, zatriumfuje; nienawidzi, kiedy kobieta nie ma orgazmu. Uległe się nie nadadzą, zrobi się arogancki i pogardliwy. Musi być sprytna i subtelna, i doprowadzić go do szaleństwa: *Och, mam nadzieję, że niedługo znów przyjdiesz, robię się taka napalona, kiedy nie dochodzę, mam ci następnym razem załatwić viagrę?*

— Może Nat?

— Jest dość płocha, ale zgadzam się, że ma talent — mówi Nong. — Jeśli jest w dobrym nastroju, będzie idealna. Zoba czę, gdzie się podziewa. — Po angielsku zwraca się do naszych gości: — Wybaczenie panowie, ale muszę wracać do pracy.

— Wyłożymy karty na stół — mówi Hudson suchym, neutralnym tonem, gdy matka wyszła. — Pan dysponuje informacjami na temat zniknięcia niejakiego Mitcha Turnera. Sądzymy, że zamordowano go w hotelu gdzieś w okolicy. Sądzymy także, że był wówczas z jedną z waszych pracownic. — Spogląda na Brighta. — Czy o czymś zapomniałem?

Bright patrzy mi z napięciem w oczy. (Naprawdę chce, żebym naprawdę zrozumiał, co powie).

— Proszę zrozumieć, my, Amerykanie, jesteśmy w stanie wojny i nie zostawiamy naszych poległych na polu bitwy choćby nie wiem co. To proste, prawda? Nie robimy tego. Dlatego w interesie wszystkich będzie, jeśli przestaniemy gadać o bzdetach, damy sobie spokój z całą tą konspiracją i ściemnianiem, zaczniemy współpracować i załatwimy sprawę. Winny musi stanąć przed sądem, a my i tak w końcu się dogrzebiemy do dna tej historii. — Kątem oka widzę, że Hudson się lekko krzywi. — Mam nadzieję, że mnie pan zrozumiał, detektywie?

Objawiam Uległy Lęk i Przerazenie Trzeciego Świata, gdy zjawia się uśmiechnięta Nat i pyta, czy ktoś życzy sobie czegoś do picia. Brightowi nie podoba się to zakłócenie i warczy, „wodę”, tym samym tonem Srogiego Amerykanina.

Zerka spod oka na dziewczynę. Nat jest w białej bawełnianej sukience do kolan, skromnego kroju, choć nieco przylegającej do ciała, i dobrze widać, że nie ma nic pod spodem. Bright nie taksuje jej wzrokiem, lecz trudno jest zaiste zignorować przyjemny kontrast kremowego brązu jej nóg i ramion ze śnieżną białą sukienki. Kontakt numer jeden.

— Ja proszę colę, jeśli można — odzywa się Hudson uprzejmie. (Chyba liczy na to, że wróci Nong).

Kręcę z uśmiechem głową, a Nat składa przed Hudsonem i Brightem uroczę *wai*. Bright walczy z rozproszeniem i wygrywa.

— Może detektyw zechciałby potwierdzić, że wszyscy się zgadzamy — mówi.

— Na co? — pytam z uśmiechem.

— Właśnie — wtrąca Hudson. — Też trochę się zagubiłem. Na co się zgadzamy?

Dlaczego mam wrażenie, że relacja tych dwóch partnerów nie całkiem ich satysfakcjonuje? Bright robi się... no cóż, po prostu purpurowy.

— Próbowałem tylko...

— Wiem, co próbowałaś — mówi Hudson. — Tajlandia to prawdopodobnie nasz największy sojusznik w tej części świata. Jeśli prezydent chce zrazić sobie wszystkich naszych przyjaciół, to jego sprawa, ale ty nie jesteś prezydentem. — Wydaje się, że chce coś jeszcze dodać, ale się rozmyśla. Oczekuję, że Bright wybuchnie, a może nawet zastrzeli Hudsona z magnum, ale on robi minę urażonego dzieciaka. Hudson pochyla się do przodu, patrzy mi w oczy raczej łagodnie, wręcz z pewną błagalną nutą. — Proszę posłuchać, detektywie, my już właściwie wiemy, co się wydarzyło. Pan wie, kim jesteśmy. A dlaczego tu przyjechaliśmy? Dlatego, że nasza firma nie spocznie, dopóki zniknięcie Mitcha Turnera nie zostanie do końca wyjaśnione. Do tego momentu nikt oficjalnie nie może stwierdzić, czy to przypadek między narodowego terroryzmu, jakieś lokalne przestępstwo, nie-

udany napad, czy coś w tym stylu. Rozumie pan, do czego zmierzam? Jeśli to tylko sprawa pomiędzy Turnerem i jedną z waszych dziewcząt, jeśli istnieją okoliczności łagodzące, a najpewniej tak, w końcu to był duży, silny mężczyzna... Uważamy, że zniknął w sobotę w nocy... wiemy, że był bardzo nieodporny na działanie alkoholu... w ogóle nie powinien był przyjeżdżać do Bangkoku... Ten sposób myślenia, rozumie pan? Jeżeli tylko będzie szansa zredukowania oskarżenia do zabójstwa w afekcie, może nawet w obronie własnej, postaramy się, żeby pan mógł być świadkiem w sprawie, może pójdziemy na jakiś układ. Ale musimy to wyczyścić, w ten czy inny sposób. Amerykanie bardzo lubią ład i porządek. Nie przystawimy na tej sprawie pieczętki „niewyjaśnione”, nie w samym środku wojny i nie w przypadku kogoś takiego jak Mitch Turner. Niech nam pan pomoże, to prosba.

Wraca Nat z napojami. Nachylając się nad Hudsonem, odsłania spory fragment górnej części swego ciała oczom Brighta, którego po reprimendzie od kolegi łatwiej jest już rozproszyć. Bright łapie się na tym, że się zagapił, podnosi wzrok i napotyka jej spojrzenie. Znow w czerwienieje. Kontakt numer dwa.

— Rozumiem — odpowiadam, zastanawiając się, co począć dalej. Ta sytuacja aż się prosi o talenty Vikorna. Co może wiedzieć taki niewydarzony mnich jak ja? Gramy w trójwymiarowe szachy czy w dwukarciany bluff? — Problem w tym, że sprawa nie leży w mojej gestii.

Teraz zagubił się Hudson. Nie jest idiotą i umiejętności Nat nie uszły jego uwagi. Patrzymy obaj z zainteresowaniem, jak dziewczyna nachyla się nad Brightem, by mu nalać wody. Nie ma w tym nic z kokieterii, ale robi to wyjątkowo powolnie. Noc jest gorąca, lampy na podwórku dają ostre światło. Wszyscy się pocą. Klarowna, czysta, lodowata woda wypełnia szklankę niemal kropla po kropli, szkło zachodzi mgłą. Chwila wydaje się trwać wiecznie. Nat jest bezlitosna, natomiast Bright próbuje się skupić

na szklance, żeby nie zerkać na dwie brązowe, młode piersi wiszące tuż przy jego twarzy. Kiedy Nat kończy, on rzuca jej szybkie spojrzenie i burkliwie „dziękuję”. Dziewczyna skłania się z wdziękiem, lecz z poważną miną. Kontakt numer trzy.

Farangu, załóżę się o Wall Street przeciwko tajskiemu mango, że on wróci, jeśli po nic innego, to po to, żeby zagrać kartą swej młodej męskości przeciwko wyższej randze Hudsona i odbudować sobie ego po upokarzającej reprimendzie. Hudson też tak uważa. Odwraca się z mieszaniną rozbawienia i irytacji na twarzy. (Czemu musieli mu przydzielić takiego dzieciaka?). Czeka, żebym powiedział coś więcej. Ciężko wzdycha.

— No dobrze, więc kto prowadzi sprawę? — pyta. — Ten podejrzany typek, pułkownik Vikorn? Wszyscy go znają, i to raczej nie z uczciwości.

— Kawał łajdaka — mruczy Bright, nie patrząc na kolegę. Robię potulną minę.

— Czy mam mu powiedzieć, że chcecie zawrzeć traktat?

Bright nie jest pewien, czy to sarkazm, czy tylko moja niezręczna angielszczyzna. Oscyluje pomiędzy wściekłością i pogardą, z przewagą pogardy. Hudson maskuje swą reakcję kasłaniem.

— Niech mu pan powie, że chcemy porozmawiać. Na pewno coś wspólnie wymyślimy. Bardzo by nam pomogło, gdybyśmy mogli porozmawiać z osobą, która ostatnia wi działa Mitcha Turnera przy życiu. Coś takiego naprawdę zrobiliby na nas wrażenie.

Obaj dopijają wodę kilkoma łykami i wstają. Prowadzę ich przez klub do wyjścia, nie spuszczać oczu z Brighta. Aha, trafiony — Bright omiata spojrzeniem salę, choć obiecał sobie, że tego nie zrobi. Nat oczywiście nigdzie nie widać.

Kiedy Amerykanie siedzą już bezpiecznie w taksówce, dzwonię do Vikorna. Milczy przez całą minutę i w końcu mówi:

— Jak to czujesz?
— My to Indianie, oni to kowboje. Chcą zawrzeć układ.
Na negocjacje mamy zabrać Chanę, panie pułkowniku.
Pokasływanie.
— Powiedz im, żeby jutro wieczorem przyszli do baru.
Zamkniemy lokal na czas rozmowy.
— Czy Chanya też będzie?
— Nie wiem.

W samym środku nocy dzwoni moja komórka. To Lek, nareszcie. Rozpaczliwym tonem (zupełnie jakby umierał) mówi:

— Musisz mi pomóc.

Lumpini Park (nazwa pochodzi od miejsca narodzin Buddy), nocą: miłość w najtańszym wydaniu, ale poziom zachorowań na AIDS wynosi tu podobno sześćdziesiąt procent. Ukradkowe ruchy na ławkach i na trawnikach, stłumione jęki i szepty, krzątanie dużych zwierząt w upale, reakcja jądrowa (wysoce uzależniająca, jak powiadają) pomiędzy seksem i śmiercią. W tropikalnym parku minęła już północ. Dzwonię do Lęka z komórki, żeby dowiedzieć się, gdzie dokładnie jest. Stoi samotnie na brzegu sztucznego jeziora, wpatrując się w odbicie księżyca w wodzie. Jego ciało przy dotknięciu wydaje się jakby na wpół zamrożone.

— Kazała mi tu przyjść — szepce po chwili. — Chciała, żebyś zobaczył to od najgorszej strony.

— Bardzo słusznie. Tak właśnie działa dobra Starsza Siostra.

— Jestem przerażony. Zupełnie mnie zniszczyła.

— Tylko cię sprawdza. Przed postawieniem tego wielkiego kroku musisz poznać dno. Musisz być pewien, że nie skończysz właśnie tutaj.

— Połowa tych dziwek w parku to *katoï* — wybucha. — Straciły wszystko, całe człowieczeństwo. Przesiadują na tych

ławkach i czekają na klienta jak jakieś wygłodniałe demony na żer. Niektóre mają wykwity na skórze. Obsługują taksówkarzy.

— Co ci właściwie powiedziała Fatima?

— Powiedziała, że mi pomoże, jeśli wypiję cały puchar goryczy. Że ścieżka *katoi* jest święta, że tylko *katoi* i buddowie widzą świat taki, jaki naprawdę jest. Że muszę być twardy jak stal i miękki jak powietrze.

Otaczam go ramieniem, a Lek wybucha łkaniem.

— Chyba nie mam na to siły. Ja tylko chciałem tańczyć.

— Myślisz, że taniec jest taki łatwy?

Patrzy na mnie tymi swoimi wielkimi oczami.

— Dziękuję, że przeszedłeś. To była chwila słabości. Zostanę tutaj jeszcze trochę. Muszę zobaczyć wszystko, prawda?

— Tak.

Nic więcej nie można dodać.

29

W normalnych warunkach nikt nie wybrałby Old Man's Club na miejsce tak niemiłych negocjacji, ale nic lepszego nie mamy. CIA jest tu całkowicie nieoficjalnie. Nie mają własnego biura, w hotelu nie chcemy, a komisariat w ogóle się nie nadaje. Biorę w tym udział tylko dlatego, że Vikorn potrzebuje tłumacza, na którego dyskrecji może polegać. Chanya bierze w tym udział tylko dlatego, że może uda się udowodnić, że ona tego nie zrobiła. (Cały wczorajszy dzień spędziła zamknięta z Vikornem w jego gabinecie). Moja matka jest obecna tylko dlatego, że to jej klub i w żadnym wypadku nie zgodzi się wyjść.

Choć Bright i Hudson czytali to już po wielekroć, obaj przez długą chwilę studiują zeznanie Chanyi, to, które napisałem pod dyktando Vikorna, przełożone oczywiście na angielski. Obaj w tym samym momencie patrzą na mnie, a pierwszy odzywa się młody, zapalczywy Bright. Zaskakuje mnie, że zwraca się do mnie niejako do oficjalnego tłumacza, lecz pyta o moje zdolności skromnego skryby.

— Czy był pan obecny podczas składania tego zeznania, detektywie?

— Tak.

— Czy to pan je spisywał?

— Tak.
— W obecności pułkownika Vikorna?
— Tak.
— I są to rzeczywiście słowa panny Chanyi Phongchit, wypowiedziane w owym czasie?
— Oczywiście.
— Czy nic w jej opowieści nie wydało się panu dziwne?
— Nie. Proszę pamiętać...
Lekceważące machnięcie ręką.
— Wiem, wiem, to jest Bangkok i takie rzeczy zdarzają się tutaj bez przerwy. Przejdźmy do sedna, detektywie. — Nachyla się do przodu, uda rozwiera mu ciśnienie imponujących jąder (najwyraźniej). — Detektywie, czy miał pan kiedyś stosunek seksualny?
Przez chwilę milcząc skonfundowany.
— Od czasu do czasu zdarza mi się mieć to szczęście.
— A czy miał pan to szczęście robić to od tyłu? Nie mówimy tu o tym, które części damskiej anatomii są najciekawsze, koncentrujemy się tylko na samej pozycji.
Chanya tłumy uśmiech, moja matka patrzy z marsmem na czole najpierw na mnie, a potem na pułkownika. Chyba najszybciej zrozumiała, do czego to zmierza. Pułkownik nie rozumie ani słowa.
— Tak. Nie jest to moja ulubiona...
Znów machnięcie dłonią.
— Darujmy sobie ten komentarz, detektywie. Zapytam tak: Czy kiedy zdarzyło się panu to szczęście i robił pan to właśnie w taki sposób, zauważył pan może, iż pańskie uda znajdowały się bardzo blisko tylnej części ud damy? Mówiąc bez ogródek, detektywie, jeżeli nie ma pan półmetrowego kutasa, to pańskie ciało przez większość czasu byłoby przyciśnięte do jej ciała w celu utrzymania penetracji, tak czy nie?
Serce we mnie zamiera, a moja matka odwraca głowę zde gustowana tym, jak sądzę, że ja (jej własny syn!) do spółki z pułkownikiem popełniliśmy taką gafę. Natomiast

Chanyi zupełnie to nie porusza. Vikorn każe mi przetłumaczyć dotychczasowy przebieg przesłuchania. Ku memu zdziwieniu na nim także nie robi to wrażenia i kwituje wszystko dobrodusznym uśmiechem. Muszę tu dodać, że od przybycia CIA pułkownik pilnie i bezbłędnie podtrzymuje owo wyobrażenie każdego *faranga* o gliniarzu z Trzeciego Świata — niezbyt lotnym, skorumpowanym, niekompetentnym i rozmamłanym — który ledwie nadaża za tokiem rozmowy i któremu sprawa już dawno wymknęła się spod kontroli. Swoją lewą rękę wprawił w lekkie drżenie — to taki subtelny, artystycznie wykonany akcent — a na stoliku przy jego krześle stoi na wpół opróżniona butelka whisky Mekong. Nie ogolił się dzisiaj, siwa szczecina ładnie połyskuje w świetle. Innymi słowy wystarczyło kilka zręcznych sztuczek i mistrz przeistoczył się zupełnie — jest to zdumiewające samo w sobie, gdy się pamięta, że on faktycznie jest zepsutym do cna gliną z Trzeciego Świata, tyle że z zupełnie innej parafii. Każdy głupi potrafiłby odegrać jego przeciwieństwo, natomiast do zagrania roli typa, różniącego się osobowością tylko o kilka odcieni od tego prawdziwego, trzeba, moim skromnym zdaniem, naprawdę mieć talent. Bright okazuje mu przesadne wręcz lekceważenie. Dokładnie tego się właśnie po nas spodziewał. Hudson na razie używa mowy ciała dość powściągliwie. Bright przebiega do przodu, a jego głos wznosi się triumfalną gamą, przechodząc w końcu w pisk podniecenia. — Kobieta, która chciałaby pana w tej pozycji wykastrować, nawet gdyby była umięśniona jak mistrzyni olimpijska w podnoszeniu ciężarów, musiałaby najpierw przeciąć pańskie udo, tak czy nie? — Na wypadek gdybym jeszcze nie potrafił tego ogarnąć, Bright wstaje, składa zeznanie Chanyi w wąski pasek, który ma udawać nóż, nachyla się i kilkakrotnie przejeżdża ręką za swymi pośladkami. — To jedyna pozycja, w której mężczyzna zupełnie nie musi się obawiać ataku — dodaje z triumfalnym uśmiechem — nawet gdy dama dysponuje samurajskim mieczem.

Bright siada, a ja tłumaczę całość pułkownikowi, który przyglądał się temu przedstawieniu z iskrą w oku, a teraz ku zaskoczeniu wszystkich (oprócz Chanyi) wybucha śmiechem i klaszcze w dłonie. Brightowi opada szczęka.

— Powiedz, proszę, naszym amerykańskim kolegom, że podziwiam ich inteligencję — zwraca się do mnie, sięgając lewą, lekko drżącą ręką po butelkę. Widzę, że Hudson w końcu postanowił się zainteresować Vikornem i przygląda mu się uważnie. — Jestem pewien, że dostrzegli tę oczywistą nieścisłość, gdy tylko przeczytali nasz tekst. — Łyk z drżącej szklanki. — Gdzie myśmy mieli głowy, żeby wyprodukować taką amatorszczyznę? Jak w ogóle mogliśmy się łudzić, że przechytrzymy CIA?

Tłumaczę na angielski. Bright się pogubił i zerka na Hudsona, który nie spuszcza oka z pułkownika.

— No, ale cóż mieliśmy począć, panowie? — Vikorn rozkłada ręce; bezradny stary człowiek, którego przerosły okoliczności. — Chanya, kochanie, opowiedz panom, jak to było naprawdę.

Chanya spogląda na mnie nieśmiało.

— Mam mówić po angielsku czy po tajsku? — pyta. — Mój angielski jest taki sobie.

Zaskoczył mnie taki obrót sprawy i nie wiem, co powinienem odpowiedzieć.

— Twój angielski jest świetny — mruczę z irytacją. Ona posyła mi ten swój uśmiech. Jestem zniesmaczony sobą, bo topnieję i odwzajemniam go. Chanya zaczyna mówić po tajsku, a ja tłumaczę.

— Zawsze chciałam powiedzieć prawdę na temat Mitcha, ale zostałam poinstruowana, żeby trzymać buzię na kłódkę ze względów bezpieczeństwa.

— Zgadza się — wtrąca Vikorn.

— Tamtej nocy, gdy tylko wyszliśmy z baru, Mitch stwierdził, że ktoś nas śledzi.

— Och, niemożliwe! — To Bright, który łapie się obiema

rękami za głowę i kiwa nią na boki. — Czyżby to było dwóch osobników z długimi czarnymi brodami?

— Przymknij się — rzuca Hudson i kiwa do Chanyi, żeby mówiła dalej.

— Nie widziałam wtedy, czy mają brody, bo tylko Mitch ich zauważył w tym momencie. Powiedział, że był już śledzony w Songai Kolok, że na pewno odkryli, kim jest, i może nawet jest już *fatwa* na jego życie.

— To nie do wiary, że oni próbują nam...

— Prosiłem, żebyś się przymknął. — To Hudson. Spojrzenie Brighta mówi: Jeszcze się policzymy.

— Zastanawialiśmy się, czy nie uciec, ale Mitch powiedział, że to kiepski pomysł. Najgorsze by było, gdyby dopadli nas na ulicy. Powiedział, że na pewno nie mają broni i w pokoju, w hotelu, poradziłby sobie z nimi. — Bright wciąż wytrzeszcza z niedowierzaniem oczy, trzyma się dramatycznie za głowę i kiwa na boki.

— Dobrze, już rozumiem — przerywa Chanyi Hudson. — Poszliście do jego hotelu, oni tam wpadli z co najmniej jednym nożem, pochlastali go, ucięli mu kutasa i cześć. Ty chciałaś się wmieszać do walki, ale ciebie nie chcieli skrzywdzić, więc byłaś cała we krwi, ale nic ci się nie stało. Załóżmy, że tak właśnie było. Ale w takim razie, po jaką cholere wyprodukowaliście w ogóle to zeznanie?

Tłumaczę to Vikornowi, który przejmuje pałeczkę.

— Zastanówcie się tylko, panowie. Co mówi wasz rząd na temat zagrożenia bezpieczeństwa Tajlandii przez muzułmańskich terrorystów? I jakie szkody to już wyrządziło naszemu przemysłowi turystycznemu? A gdyby pojawiła się informacja o autentycznej, okrutnej akcji terrorystów już nie na południu, ale tutaj, w Bangkoku, o ile pogorszyłoby to sprawę? Ta cała historia wykraczała poza moje kompetencje. Musiałem się porozumieć z najwyższymi szczeblami władzy, a konkretnie z ministrem spraw wewnętrznych.

Hudson wzdycha ciężko.

— Chce nam pan powiedzieć, że kazano panu zatuszować sprawę?

— Tak. A co mieli zrobić? Przecież to wszystko opierało się na zeznaniu jednej dziwki.

Chwila milczenia.

— I nic więcej nie macie?

— No, mamy jeszcze nóż. Narzędzie zbrodni.

Teraz Brightowi opadła szczeka, lecz wąskie usta Hudsona rozchyliły się tylko odrobinę.

— Ano właśnie, mieliśmy o to zapytać. Macie go tutaj?

— Jest w lodówce — mówi Chanya i wstaje, by przynieść nóż. Został starannie schowany do foliowej torebki, którą Hudson podnosi do światła. Powstrzymując uśmiech, podaje ją Brightowi, który też unosi torebkę do światła, kręci głową i oddaje koledze.

— Ja tego nadal nie kupuję — mówi Bright. — Dobrze, znaleźli na nim kilka czarnych, kędzierzawych włosów. I cze go to dowodzi?

— Jeszcze coś? — pyta Hudson Chanyę.

— Tak. Mitch walczył bardzo dzielnie i w pewnej chwili nawet odebrał im nóż.

— Naprawdę?

— Tak, a kiedy jeden z nich chciał go złapać, Mitch odciął mu dwa palce. Ale potem go jednak obezwładnili.

Hudson patrzy teraz na nią poważnie, bez uśmiechu, lecz w jego spojrzeniu coś się zmieniło.

— Macie przypadkiem te palce? Może też w lodówce?

Chanya podchodzi do lodówki i po chwili wręcza mu kolejną torebkę. Bright usiłuje podążać za tokiem myślenia kolegi, lecz Hudson nic nie mówi. Przygląda się zamrożonym palcom i podaje je Brightowi.

— A kiedy pošlemy nóż i palce do laboratorium, okaże się oczywiście, że kilka odcisków na nożu pasuje właśnie do nich, prawda?

— Jestem tego pewna.

— No i co z tego — wtrąca znów Bright — że znaleźli jakieś palce i czarne włosy. Chyba nie chcecie mi...

Tym razem Hudsonowi wystarczy zgromić go wzrokiem. Sprawa przybrała niespodziewany obrót i Bright już nie jest tak pewny swego cynizmu. Zaciska usta i odchyła się na krześle, skręcając uda: Dobra, cwaniaku, jak spieprzysz, to pogonią ci kota.

Hudson wstaje i zaprasza mnie gestem do baru.

— Niech pan poprosi też pułkownika — szepcze.

Kiwam na Vikorna, który nalewa sobie właśnie następnego drinka. Staje przy nas, nachylając się do przodu i przykładając dłoń do kręgosłupa.

— Proszę mu zadać tylko jedno pytanie — mówi Hudson. — Gdyby miał się założyć, że te palce i włosy będą miały DNA znanego muzułmańskiego terrorysty, być może niedawno zmarłego, to ile by postawił?

— Trzy miliony dolarów gotówką — odpowiada Vikorn, zapominając o bolącym krzyżu. — Zakładamy się?

— Nie — mówi powoli Hudson. — Nie mamy takich pieniędzy, zresztą wiem z góry, że przegrałbym ten zakład. — Skłania się lekko w moją stronę, zadziwiająco przyjaźnie.

— I co pan pocznie z tym swoim kolegą? — pytam możliwie najuprzejmiejszym tonem. Nie odpowiada, lecz zauważam subtelną zmianę w wyrazie jego twarzy. Nie jestem specjalistą od szyfrów, ale domyślam się, że ta mina mówi: Bright też nie chce do końca życia pracować w terenie. Półgłosem dodaje: — Czy nagranie wideo mogłoby wam pomóc?

Jako prawdziwy zawodowiec łapie moją myśl w lot i kręci głową.

— Trzymajcie je na wszelki wypadek.

— On jest z tych, co to zgrzytają zębami na ostatniej prostej — oznajmiam, nie mogąc wciąż wyjść z podziwu dla mojej matki i jej głębokiej znajomości męskiego szaleństwa.

Kąciki ust Hudsona tworzą przez chwilę uśmiech; szybko jednak pokrywa go maska zawodowej dyscypliny.

— Wystarczył jej jeden rzut oka, żeby się tego domyśliła, co?

Czuję przez skórę, że Hudson tu jeszcze wróci.

— No dobrze — mówi głośniejszym głosem, dając Brightowi znak do wyjścia — to rzeczywiście są dowody, których nie mamy prawa zignorować. Jednocześnie nasz rząd jest uczulony na ewentualne negatywne skutki ekonomiczne dla Tajlandii, gdy takie rzeczy zaczną się przedostawać do mediów. — Rzut oka na Brighta. — Szczerze mówiąc, chwilę potrwa, zanim to jakoś poukładamy. Będą spotkania na najwyższym szczeblu, do sprawy włączą się agendy bezpieczeństwa narodowego, będę się musiał stawić przed szefami połączonych sztabów, może przed samym prezydentem. Wszyscy agenci związani z tą sprawą będą na widelcu. — Uśmiech. — Mam nadzieję, że sprawa zakończy się pomyślnie.

Bright kiwa głową w zamyśleniu. Chyba zasługuje na swoje nazwisko, jest rzeczywiście „bystry”, bo jego postawa zmienia się natychmiast, w bardzo przekonujący sposób. Podaje rękę Chanyi, zwraca się do niej i do mojej matki przez „pani” i cofając się do drzwi, emanuje ogólną kurtuazją, a nawet wdzięcznością.

Po ich wyjściu rzucam się na Vikorna.

— Obciążył pan winą muzułmanów. To może oznaczać wojnę.

Kręci głową.

— Dorośnij, Sonchai. Mając na względzie twe delikatne serduszko, wskazałem na Indonezyjczyków. Twój przyjaciele w Songai Kolok są poza podejrzeniem. Powinieneś być zadowolony.

Gdy dzwonię do Mustafy, mówię mu to samo.

— No tak, ale oskarżył muzułmanów — odpowiada i rozłącza się.

30

Na wypadek gdybyś się nie domyślił, *farangu*, to już jest koniec Intrygi Głównej („Przykrywka” — pamiętasz? Ale nie się nie martw, czuję, że czeka nas jeszcze „Zakończenie”). Vikorn oczywiście wcale nie liczył na to, że ktoś uwierzy w jego bzdurną historyjkę, wiemy jednakże, jak działają agencje wywiadowcze. Wiara jest dobra dla ministrantów. Tutaj potrzebne jest tak fantastycznie skomplikowane i zarazem pociągające zamącenie sprawy, żeby nikt nie potrafił sformułować żadnych ostatecznych wniosków, ale zarazem, pracując nad nimi, uzyskał szansę na awans. (Chyba nie muszę ci tłumaczyć, jak to działa, *farangu*; przecież to wyście wymyślili tę grę, tak czy nie?). Myślę, że Chanya będzie bezpieczna przez kilkadziesiąt następnych lat, nim oni to rozgryzą. Ten Vikorn jest czasami nieprawdopodobny, co?

W konsekwencji życie toczy się teraz raczej powoli, lecz aktualnie bardzo mnie fascynuje rodzinna atmosfera, jaka zapanowała w tym tygodniu w klubie dzięki Hudsonowi i Brightowi.

Najpierw o Brighcie. Nat donosi mojej matce, która donosi mnie, że całkiem dobry z niego chłopak. Wyzwanie, jakie Nat rzuciła jego męskości, wybiło bardzo ładną dziurkę w jego „ja” i w konsekwencji rzuciło snop światła, który

ukazał nam drogiego Steve'a w zupełnie nowej perspektywie. Chłopak puścił parę natychmiast po pierwszym stosunku, na trzeciej randce i wyznał, że wcale nie jest tym wielkim, twardym, prawdziwym patriotą, na jakiego wygląda. („Nie jesteś?” — zdumiała się Nat z zaskoczoną miną; „Nie jestem” — przyznał tonem, w którym pobrzmiwała świadomość, że niektórym z jego znajomych trudno by było w to uwierzyć). *Au contraire* — jak mawiał Truffaut — ten nie-szczesny młodzik cały jest potłuczony po wyjątkowo nieładnym rozwodzie, podczas którego ona wysunęła zwyczajowy zarzut znęcania się, wyłącznie w celu zgarnięcia domu, samochodu, konta w banku i prawa do opieki nad ich małą córeczką; teraz on ma z dzieckiem ograniczony kontakt.

Obserwowaliśmy go, gdy przechodził okres schizofreniczny, kiedy to zupełnie nie wiedział, czy powinien trzymać fason, czy nie (i przy kim powinien go trzymać; ja zostałem uraczony atakiem testosteronowym, który w ciągu godziny przeszedł w smutną oklapniętą beznadzieję), jednak donoszę z radością, że dzięki tajskiej terapii chłopak już po tygodniu wrócił do rodziny człowieczej i przychodzi odtąd co wieczór, punktualnie o ósmej, płaci grzywnę barową Nat i idzie z nią na górę, gdzie ona wynagradza go orgazmem z wszystkimi bajerami. (Słyszymy ją w barze, gdy ściszamy muzykę. Bright o tym oczywiście wie od Hudsona, lecz wyleczony z dumy przez mój kraj i moje rodaczki drogi chłopczyzna pojawia się po swych bohaterskich wyczynach z promiennym uśmiechem na swej nordyckiej twarzy). Nat poprosiła, żebym zapytał Vikorna, ile zarabia taki amerykański szpieg.

Hudson to oczywiście inna para kaloszy. To historia wielowarstwowa (i wielopłaszczyznowa). Muszę się tu wykazać pokorą i przyznać, że nie znam Azjaty, który potrafiłby — albo w ogóle chciał — tak jak on utrzymywać w powietrzu słupek z nasmarowanych oliwą kul bilardowych, i to dzień po dniu. W subtelnościach mentalnego samooszustwa/ararcgji przewodzą światu. Oczywiście robi to wszystko w milczeniu

i w wielkiej tajemnicy, co z kolei stanowi niezłe wyzwanie dla mojej matki, ponieważ on zaleca się do niej tak dyskretnie, że nikt z nas nie wie, czy już to zrobili, a w zasadzie nie wiemy nawet, czy on się w ogóle zaleca. (Kiedy poruszam ten temat, Nong robi się jakaś nieskora do rozmowy, zupełnie jak nie ona. Zresztą w tej chwili to kwestia całkiem akademicka, zważywszy na bliskość wizyty Supermana. Wcale bym się nie sprzeciwił, gdyby wykorzystwała Hudsona, żeby podkreślić trochę formę dla taty — albo odwrotnie, zależnie od tego, jak ten ostatni się trzyma po tylu latach. Na razie nie wróciła jeszcze do swojej diety, co oczywiście stanowi pewną wskazówkę, choć podczas pisania trudno ją było rozszyfrować). Nie, matka zupełnie mi nie pomaga w moich studiach nad Hudsonem i muszę opierać się na tym, co uda mi się podejrzeć w tych nielicznych momentach, gdy on sam niechcący się odsłania. Spójrz tylko, może coś z tego skojarzysz, Pan Hudson:

1. Rozpromienił się kiedyś, gdy usłyszał jak Wan i Pat rozmawiają w swym ojczystym języku, którym jest laotański;
2. Gdy jeden z naszych starych wyjadaczy przypadkiem pokazał którejś nocy w barze spory worek trawki, spojrzał na niego bez przygany i oceny w oczach;
3. Uznał za konieczne kilkakrotnie porozmawiać z Viktoriem bez towarzystwa Brighta i tłumacza, co skutkowało doskonałym humorem u obu panów;
4. Ma pięćdziesiąt sześć lat;
5. Wstąpił do CIA jako dwudziestokilkulatek i po ukończeniu akademii został od razu wysłany do Laosu.

Aha, i jeszcze szósty punkt. Pewnego spokojnego wieczoru w barze, gdy przeglądałem pocztę, niepokieszony brakiem znaku życia od Supermana, Hudson nachylił się nade mną i zapytał:

— Ubijemy interes? Powiem ci coś, o czym chciałbyś wiedzieć, jeśli szepniesz swojej mamie dobre słówko o mnie.

— Odwal się — odparłem. — Nie będę alfonsem własnej matki.

— Przepraszam, wcale nie o to mi chodzi. Podziwiam ją i szanuję; sprawia, że czuję mrówki w takich miejscach, które już mi się wydawały martwe. I tak ci to powiem; posłuchaj. Czy myślisz, że Mitch Turner siedział całymi dniami w Songai Kolok i kręcił młynka palcami, nie przyczyniając się w ogóle do rozkwitu naszej wspaniałej Agencji?

— Zastanawiałem się nad tym.

— Oczywiście, że się zastanawiałeś, bo na swój szczególny sposób jesteś gliniarzem pierwszej klasy. Więc pomyśl tylko: co mają ze sobą wspólnego wszyscy członkowie tajnego świata? Jesteśmy niepohamowanymi plotkarzami, ot co. A z kim możemy poplotkować? Tylko ze sobą nawzajem. Kody dostępu to istny wrzód na dupie. Nie masz pojęcia, ile w tak zwanych informacjach wywiadowczych jest totalnego bzdziecia. Możemy już szyfrować e-maile, więc taki koleś jak Mitch Turner ma dziś dostęp do każdej bzdury, zanotowanej przez nasze wtyczki i agentów jak Azja długa i szeroka. Amerykanka napadnięta w Nepalu, pijany jankes wdał się w bijatykę w Tokio, amerykańskie dziecko porwane w Szanghaju — te go typu historie w ogóle nie powinny być elementem naszej roboty, a dostajemy tego mnóstwo w codziennej poczcie.

— I Turner czytał te wszystkie brednie? Nie wyglądał na takiego.

— Nie miał wyboru. Przesiewanie informacji należało do jego obowiązków. Musiał każdą ocenić, czy jest coś warta, czy nie, a jeśli tak, to ile ma gwiazdek. Cała ta gra tak właśnie głupio się toczy. Ponieważ są różne poziomy dostępu, faceci z doktoratami zajmują się bzdetami, które zanudziłyby nastolatka. — Pojawia się ten jego nikły uśmiech. — No i oczywiście narkotyki. Wciąż się musimy zajmować narkotykami, jakby nie było tych głupków z DE A.

Patrzę na niego, nie mając zielonego pojęcia, do czego tym razem zmierza.

Nachyla się jeszcze bliżej.

— A jak myślisz, czym zajmowała się Chanya, kiedy on leżał naćpany tym opium, które mu przynosiła? Potrzebowała tylko kodu, a on prawdopodobnie sam jej go ujawnił, kiedy był na haju. Z opium tak jest, nagle zaczynasz widzieć świat z zupełnie innej perspektywy, zmienia się dosłownie o sto osiemdziesiąt stopni. A żebyś wiedział, i ja też kiedyś próbowałem. — Przystaję klikać myszką. — To bardzo inteligentna kobieta. Bystra, wielkomijska dziewczyna; lepszej nie spotkałem. — Jego uśmiech nieco się poszerza. — Szepnij tam o mnie słówko, a powiem ci więcej.

— Mam to w nosie.

Hudson chichocze i chwytą mnie za ramię mocnym, męskim uściskiem.

— Parszywy z ciebie kłamca i uwielbiam cię za to.

Przeciwną stronę już CIA na swoją stronę, wykorzystuję okazję, żeby zadać pytanie, którego jakoś nie mogę się pozbyć:

— Czy nazwisko Don Buri coś ci mówi?

Hudson robi przekonująco zdziwioną minę i kręci głową.

Późną nocą, gdy Hudson już poszedł, a bar niemal opustoszał, z jednego z pokoi na górze wylania się Su.

— Wiesz, co to może być? — pyta mnie, gdy jestem już niemal na progu, po czym wyjmuję coś z torebki. Cofam się natychmiast do środka, a na czoło występuje mi pot ulgi i podniecenia; jest to bowiem ni mniej, ni więcej, tylko pamięć USB Sony Micro Vault. Zastanawiałeś się nad tym, prawda, *farangul* Myślałeś sobie: Gdzie jest ta cholerna pamięć USB, o którą było tyle szumu kilka rozdziałów temu, przecież to jest na pewno Bardzo Ważna Wskazówka? No cóż, niewygodna prawda jest taka, że zgubiłem to cholerstwo i szukałem go od tamtej pory bezustannie. Oczywiście Hudson z Brightem też mnie o to męczyli (*Znalazł to wreszcie? A gdzie tam. Jakież to typowe, ciemny glina z Trzeciego Świata*

gubi pamięć USB!), ale nie napisałem o tym ze zwykłego wstydu. Przewróciłem właściwie cały klub do góry nogami — a teraz najbardziej leniwa z naszych dziwek trzymała moją zgubę w ręce!

— Klient mnie posuwał tak mocno kilka godzin temu w piątce — mówi Su — że musiałam się trzymać materaca i wtedy to wypadło na podłogę. Myślałam, że będzie wibrowało, ale nie wibruje.

— Nie — potwierdzam, biorąc od niej pamięć. — Nie wibruje.

— A co to jest?

— Pamięć USB.

— Aha.

Pochyla się nade mną, gdy wsuwam pamięć do portu i klikam dwukrotnie, wstrzymując oddech. Wymieniamy z Su zdumione spojrzenia.

— To plecy mężczyzny — stwierdza, czerpiąc ze swego bogatego doświadczenia.

— Widzę.

— Muskularne. Prawdę mówiąc, bardzo fajne ciało. A co to są te zielone linie?

— Chyba siatka milimetrowa.

Klikam i klikam, ale nic więcej już tam nie ma.

31

Którejś nocy, po przepisowej godzinie drugiej, w barze jesteśmy tylko ja z Hudsonem. Jest bardziej pijany, niż się zdarzało do tej pory, ale panuje nad sobą. Siedzi na stołku i zaczyna mówić, jakby kontynuował jakąś rozmowę, prawdopodobnie z sobą samym.

— Wolność? A cóż to za kretyński plasterk na odciski? — Rzuca mi błagalne spojrzenie. — Co my właściwie chcemy sprzedać światu? Państwową religią Zachodu są tak naprawdę pieniądze. Modlimy się do nich w każdej minucie i jeszcze chcemy, cholera, żeby cała reszta istot ludzkich padła na kolana razem z nami. Wszystkie nasze wojny to wojny religijne. — Przerywa na chwilę. — Chcesz wiedzieć, dlaczego w moim wieku wciąż jeszcze siedzę w Azji? Zaledwie kilkaset kilometrów od Laosu, gdzie byłem przed trzydziestu laty? W ogóle się nie rozwinąłem, zero postępów, finansowo nic, zawodowo prawie nic, w sprawach sercowych zupełnie zero, nawet geograficznie bez zmian. Dlaczego wciąż tu siedzę?

Wzruszam ramionami.

— Z tego samego powodu, co reszta moich kolegów. Cała Azja Południowo-Wschodnia jest pełna Amerykanów, którzy nie chcą wracać do domu. Po prostu nie jesteśmy

w stanie. Dlatego że gdy patrzymy wam w oczy, widzimy coś... nie wiem, jak to nazwać. Duszę? Ludzki umysł przed fragmentacją? Coś świętego, co my, *farangi*, amputujemy nawykowo jak migdałki, ponieważ nie rozumiemy, jak to funkcjonuje? Może to ten wasz cholerny buddyzm? W każdym razie coś w was widzimy. I powiedz mi z kolei, detektywie, co ty widzisz, kiedy patrzysz w oczy/aranga? Nie potrafię odpowiedzieć, a on parska śmiechem.

— No właśnie, tak myślałem.

Trzy dni po tej rozmowie wszystko się zmieniło. Tego wieczoru Hudson z Brightem zjawili się w barze w ponurych nastrojach. Wzięli kilka piw i usiedli przy stoliku w kącie, gdzie coś do siebie szeptali. W końcu Hudson podszedł do baru, by przekazać mi najnowsze wieści.

— Zagrywka twojego pułkownika była aż za dobra. Może on jednak jest genialny, kto wie. W każdym razie przysyłają tu ważniaka.

32

Wezwano mnie na komendę i siedzę na tylnym siodełku motoroweru taksówki, słuchając Pisita. Dzisiaj wystąpił na ścieżkę wojenną przeciwko pewnej hollywoodzkiej aktorce, która rozpętała kampanię przeciwko zatrudnianiu nieletnich przez pewną fabrykę w Tajlandii. Nacisnęła dużą firmę handlującą odzieżą sportową, a firma odwołała zamówienia dla fabryki i ta musiała się zwinąć. I teraz nagle rodzice tych bezrobotnych dzieciaków nie mają z czego żyć i muszą posyłać córki w niewolę seksualną do Malezji.

Zwracam się do słuchaczy, mających jakieś rozeznanie w tych algorytmach języka angielskiego, które sprawiają, że osoby anglojęzyczne zdolne są do takiej obłudy, a także do znawców psychopatologii kruczaj w ogólności: proszę, dzwońcie do mnie na sun nung nung sun sun nung nung sun sun.

Dojeżdżamy do komendy i zdejmuję słuchawki. W tonie Vikorna, gdy mówił mi poprzedniego wieczoru o tym spotkaniu, było coś dziwnego. Prawdopodobnie pojawił się kolejny agent CIA i zapewne po to, żeby nakopać innym do dupy. W Langley zaczęli się ostro ślinić na myśl o możliwym udziale

Al-Kaidy w tej całej aferze. Sprawy nie wyglądają dzisiaj za dobrze.

Wysłanniczka CIA to wysoka, prawie metr osiemdziesiąt, szczupła, o wojskowej posturze, atrakcyjna czterdziestka, której twarz i szyja dotknięte zostały swoistym napięciem osób ogarniętych szaleństwem joggingu. Włosy ma krótkie, szpakowate i zjeżone; zastanawiam się, czy nie chodzą z Hudsonem do tego samego fryzjera. Nie traci czasu ani pieniędzy na kosmetyki; w jej higienicznej woni czuje się nutkę karbolu. Ma na sobie stalowoszary kostium z workowatymi spodniami. Znajdujemy się w gabinecie Vikorna, a czujemy się tak, jakby należał do niej.

Vikorn zrobił się malutki i pozwala jej rządzić, przynajmniej na razie. Nie spodziewał się, że to będzie kobieta (ale przypuszczam, że już montuje jakiś plan). Ona chodzi tam i z powrotem po pokoju, z rękami w kieszeniach i przemawia do nas z tym powściąganym poczuciem wyższości, jakie się czuje w kierownicze biblioteki mającej dostęp do tajnych katalogów. Hudson siedzi niezadowolony, chyba nawet przebija z niego niechęć. Brighta nie zaproszono. Nikt jej nie przerywa, a ja tłumaczę Vikornowi do ucha, żeby nie burzyć jej koncentracji. Uczono ją chyba, żeby się często uśmiechała (nie wiadomo po co), być może na tym samym kursie, na którym szkoliła się w sztukach walki.

— To są poważne dane wywiadowcze. Chciałabym panu podziękować, detektywie, a także pańskiemu pułkownikowi za dostarczenie nam tych dowodów. To nowy kierunek w działaniu Al-Kaidy; jesteśmy zaskoczeni. Element kastracji nigdy dotąd się nie pojawił, ale z ich punktu widzenia jest całkiem logiczny. — Milknie, marszczy brwi i mówi dalej: — Oczywiście może tu wchodzić w grę wątek odwetu po fiasku Abu Ghraib. Jak dziś postrzega Amerykę świat, a szczególnie rozwijające się kraje muzułmańskie? Jako swoistą karykaturę Supermana (z naciskiem na „mana”); skrajnie zmaskulinizowane społeczeństwo, ogarnięte obsesją władzy i skutecz-

ności. Jeżeli teraz zaczną ucinać nam męskie genitalia, to będzie to kolejny chwytny, brutalny i mocny sygnał dla młodych, pogrążonych w ignorancji fanatyków. Tą samą techniką zastraszania posługiwali się na przykład cesarze z dynastii Ching, obcinając genitalia jeńcom wojennym, co znacznie pogarszało morale wroga. To sprytne, bardzo sprytne. I nie możemy tego pozostawić bez odpowiedzi.

Hudson coś mruczy. Ona opiera się o ścianę i rzuca mu chłodne, lecz koleżeńskie spojrzenie, a potem zwraca się do mnie:

— Czy wszystko zostało przetłumaczone? Nie za szybko dla pana? Przykro mi, że nie mówię po tajsku, ale znam tylko arabski, hiszpański i rosyjski.

Przekładam to Vikornowi, który po raz pierwszy spogląda jej w oczy, po czym mówi do mnie:

— Zapytaj ją, na którym jest szczeblu wynagrodzenia według skali wojskowej.

Ona pozwala sobie na protekcyjny uśmiech, którym kwituje to jakże typowe dla Trzeciego Świata pytanie.

— Proszę powiedzieć pułkownikowi, że nie pracuję dla wojska.

— Wiem, kurwa, że nie pracuje dla wojska — burczy Vikorn. — Ale płacą im tak samo. Jaki ma odpowiednik stopnia wojskowego? Ciągłe nam o tym gadali w Laosie. Czy wyższy od oficera mianowanego? Jest już na skali „O”, czy nie?

Ona rzuca lodowate spojrzenie Hudsonowi.

— Szybciej będzie odpowiedzieć na pytanie — radzi jej Hudson, wbijając wzrok w podłogę.

— To już w ten sposób nie funkcjonuje — wyjaśnia nam ona. Mówi teraz wolniej i z głębszym namysłem. — Pański pułkownik odwołuje się do czasów sprzed trzydziestu lat, kiedy Agencja prowadziła tajną wojnę i wtedy rzeczywiście tabela płac była zbliżona do wojskowej. Teraz płacą nam według General Schedule, rządowej tabeli ogólnej.

— No jasne, według GS — mówi Vikorn, szukając czegoś w biurku. — Skala wojskowa też się na tym opiera, tak czy inaczej. Na którym ona jest stopniu? — Wyjmuje kartkę i zaczyna ją studiować.

Agentka przyjmuje ten ukryty atak bez wysiłku, jak zawodowy bokser przyjąłby cios amatora. Patrzy z uniesionymi brwiami na Hudsona, jako człowieka z terenu, rozumiejącego miejscowych wieśniaków.

— Nie podoba mi się, że tak sobie chodzisz po jego gabinecie — mówi Hudson. — Chce się upewnić, że rozumiesz reguły gry. Daj mu po prostu to, czego chce.

— Rozumiem — odpowiada ona, kiwając głową. I zwraca się do mnie: — Proszę mu powiedzieć, że jestem na poziomie jedenastym, jeśli to go interesuje.

Tłumaczę, a Vikorn zagląda do swojej kartki

— Który stopień? — pyta.

— Poziom jedenasty, stopień pierwszy. — Marszczy czoło, widząc, jak pułkownik sprawdza jej umiejscowienie, przesu wając palcem po swoim spisie. — GS nie jest do końca miarodajne — dodaje, przejmując kontrolę nad sytuacją poprzez pozorowanie pomocy, zgodnie z podręcznikiem. — Są dodatki za lokalizację, ryzyko, tego typu sprawy.

Vikorn spogląda na Hudsona.

— Poziom ósmy, stopień dziesiąty — wyznaje agent.

— Czyli ona startuje z czterdziestu dwóch tysięcy dziewięciuset siedemdziesięciu sześciu dolarów, przed lokalizacją, a on z czterdziestu jeden tysięcy ośmiuset ośmiu. Prawie nie ma różnicy. — Vikorn się rozpromienia.

Kiedy to przekładam, ona kręci głową i przymyka oczy, żeby nie stracić cierpliwości. Odpowiada somnambulicznym głosem (temat być może jest bliski jej sercu, chociaż pozornie wyjątkowo błahy):

— Jest pomysł, żeby zmienić tę całą taryfę, by płaca była bardziej zorientowana na rezultat, bardziej konkurencyjna, podobnie jak w sektorze prywatnym.

— Ale jest też spory opór wobec tych proponowanych zmian — mówi Hudson. — Raport BENS * nie cieszy się zbyt dużą popularnością.

— Czytałeś go od deski do deski?

— Tak. Niektóre kwestie praktyczne są trudne do rozwiązania. Na przykład, jaką miarą mierzyć w wywiadzie sukces? Największe sukcesy to te, gdy nic nie poszło źle. Jak za to nagradzać?

— To rzeczywiście problem. — Ona kręci głową.

— Widzicie — mówi Vikorn, gdy przetłumaczyłem — nic się nie zmieniło. Narzekali dokładnie na to samo w Laosie, dopóki się nie nauczyli układać z Kuomintangiem i z Hmongami. Brali tylko dziesięć procent za przerzut towaru swoimi samolotami transportowymi; dla Hmongów to było niesałowite, bo Chińczycy Chiu Chów, Wietnamczycy i Francuzi brali o wiele więcej. Dzięki CIA ich dochody wzrosły na tyle, że mogli walczyć tak długo, jak walczyli. To była jedna z najskuteczniejszych operacji CIA, kapitalizm w najlepszym wydaniu. Właściwie była to jedyna udana operacja Agencji w tym rejonie.

Tłumaczę na angielski; ona uśmiecha się lodowato.

— Potraktujmy nasze wyczyny w Laosie jako lekcję, a teraz proponuję wrócić do meritum. Czy pułkownik ma jakieś pytania?

— Zapytaj ją, czy Mitch Turner to prawdziwe imię i na zwisko zmarłego.

— Jedno z jego nazwisk — odpowiada po chwili.

Vikorn kiwa z uśmiechem głową.

— Teraz zapytaj, kim był naprawdę.

— Ścisłe tajne — pada po namyśle uprzejma odpowiedź.

Vikorn znów kiwa głową. Niezrozumiałe milczenie. Ona odwraca się do Hudsona.

* Business Executives for National Security — stowarzyszenie biznesmenów działających na rzecz poprawy bezpieczeństwa USA.

— Ludzie w tej części świata potrafią zdobyć się na subtelność — wyjaśnia ten ostatni. — Pułkownik stwierdził właśnie, że z jego punktu widzenia, który mogłabyś nazwać feudalnym kapitalizmem lub *realpolitik* — zależnie od twojego punktu widzenia — oboje jesteście kiepsko opłacanymi niewolnikami, których on mógłby kupić dziesięć razy, i zajmujemy się śledztwem w sprawie śmierci człowieka, który wjechał do kraju pod fałszywym nazwiskiem i który dla celów naszego policyjnego dochodzenia mógłby w ogóle nie istnieć. Innymi słowy, możemy bardzo niewiele.

Muszę wyrazić podziw dla jej zdolności przystosowania się do sytuacji w terenie: przysuwa sobie krzesło i siada naprzeciwko Vikorna. Nachyla się do niego z uśmiechem.

— Mitch Turner to jedno z nazwisk, którymi posługiwał się nasz NOC, czyli Nonofficial Cover Operator, nieoficjalny tajny agent, działający na południu waszego kraju, zamordowany w hotelowym pokoju i znaleziony jakimś sposobem przez obecnego tu detektywa. Nigdy go osobiście nie spotkałam. — Rzut oka na Hudsona.

— Ja też nie. Był nowy, podrzucili mi go, gdy byłem akurat przejazdem w kraju. Mieliśmy się spotkać mniej więcej w tym czasie, kiedy zginął.

— O ile zdołałam się zorientować, był świetnym agentem, może nawet zbyt dobrym. Z jego akt właściwie wynika, że lepiej by się sprawdził w robocie na miejscu, w badaniach. Miał zero odporności na alkohol, co już stwarzało zagrożenie bezpieczeństwa; poza tym często nakładały mu się na siebie różne fałszywe osobowości. Mnie przysłano tutaj nie z powodu tego zabójstwa, tylko ze względu na możliwe powiązania z Al-Kaidą, które nam tak skutecznie potwierdził pański pułkownik, dostarczając dowodów w postaci palców i włosów.

— Mieszaly mu się przykrywki? Nie wiedziałem o tym — wtrąca Hudson.

— Obawiam się, że tak. — Do mnie, jakbym coś tutaj znaczył (ale przynajmniej mówię po angielsku) mówi: — To

część ryzyka zawodowego, szczególnie u osób o słabym poczuciu tożsamości. Kiedy ktoś taki działa długo pod przykrywką, w końcu zaczyna się z nią identyfikować. Robili nawet jakieś badania na ten temat. Czasem poprzednia przykrywka nakłada się na tę nową; przecież tożsamość to w końcu tylko powtarzalność nawyków kulturowych. Turner miał także dysfunkcjonalne życie osobiste, zresztą jak każdy NOC. Oni wszyscy tęsknią do prywatności, ale jak można utrzymać prywatność, skoro się jest chodzącą tajemnicą państwową? Niektórym mniej zrównoważonym oficerom trudno jest czasem udźwignąć poświęcenia, jakich wymaga ta praca. Do tego jeszcze Turner miał tę odchyłkę religijną, co raczej mu nie pomagało. Powiedzieli mi, że wzięliśmy go do Agencji ze względu na znajomość japońskiego i wysokie IQ, ale wysoko by nie zaszedł. Był postrzegany jako słabe ogniwo i kandydat do wcześniejszej emerytury. Najłagodniej będzie powiedzieć, że miał zbyt otwarty umysł. Był intelektualistą i urodzonym liberałem; prawdopodobnie wstąpił do służby w romantycznym dążeniu do odnalezienia siebie. Poza protokołem powiem, że jego śmierć z rąk Al-Kaidy jest ważniejsza niż on sam. Czy możemy już wrócić do meritum?

— Oczywiście — odpowiada Vikorn z protekcyjnym uśmiechem.

Wysłanniczka CIA (przedstawiła mi się jako Elizabeth Hatch, ale kto ją tam wie?) dziękuje mu skinieniem głowy.

— Al-Kaida zabiła Mitcha Turnera, ponieważ zorientowała się w jego działalności — mówi — jednak nie mamy śladów wskazujących na jakiś kontakt. Podjął kilka prób zwerbowania kogoś na miejscu, ale wszystkie na darmo. Czy chodzi tu o nieudaną próbę werbunku, a może nawet porwania? A może chciał się do nich przyłączyć, a oni tego nie kupili? Kontrolowaliśmy jego korespondencję i telefony. Przechodził poważny kryzys osobisty. Musimy się dowiedzieć, co myślał, jakie naprawdę miał zamiary, minuta po minucie. Tylko wy możecie nam w tym pomóc. I mamy jeszcze to.

Imponująco spokojnym gestem wyciąga z kieszeni fotografię i wręcza ją mnie. Podskakuje, podaje zdjęcie Vikornowi, który też podskakuje. Zdjęcie przedstawia ciało Mitcha Turnera po odwróceniu go na brzuch — krwawą masę mięsa, odsłoniętego przez zdarcie skóry.

Zagrała swą kartą atutową z godną podziwu finezją, bez cienia triumfu. Bezbarwnym, lodowatym tonem kontynuuje:

— Nie pytajcie, skąd je mam, a ja nie zapytam, dlaczego je ukryliście. — Spogląda z ciekawością na zdjęcie. — Właś ciwie nie wiem, o co tu chodzi. W sumie to raczej komplikuje całą sprawę, nie sądzicie? — Skinienie w moją stronę. — To chyba na razie byłoby tyle. Pan jest człowiekiem terenu, wkrótce zapewne wyruszy pan znów na południe. Czy tym razem będziemy mogli liczyć na pisemny raport? Jeśli pułkownik nie ma nic przeciwko temu, chciałabym, żeby złożył pan ten raport bezpośrednio mnie.

— Czy muszę? — pytam Vikorna.

Kiwa z wahaniem głową.

— Taki jest układ. Obiecali zostawić w spokoju Chanyę, jeżeli będziemy im szli na rękę.

Tej nocy przed pójściem do łóżka klękam przed wizerunkiem Buddy, stojącym na półce w mojej norze i wyrażam intencję skontaktowania się z moim niezującym bratem krwi, Pichaiem. Ludzie często ujmują takie osobiste rytuały w kłamry nawyków i szczególnych talizmanów, ale ja w to nie wchodzę. Bez owijania w bawełnę, moje pytanie do Pichai, do jego wyższego poziomu wglądu, brzmi: Co ja mam, kurwa, dalej z tym robić?

I oczywiście przychodzi do mnie w nocy, jak zwykle emanując złotą poświatą. Stoimy razem na wysokiej górze, nad którą suną z niezwykłą szybkością chmury. W tle rozbrzmiewa kosmiczny ryk, wzbudzony silną energią tego miejsca. Pichai pokazuje na formację obłoków, które przybierają

natychmiast półksiężycowaty kształt ogromnej, dziobatej ryby, skaczącej ponad falami. Pichai gwałtownie próbuje mi coś przekazać, lecz jego głos pochłania narastający ryk wszechświata...

Nazajutrz rano Chanya stoi przede mną w jednym z naszych pokoi do bzykania, naga do pasa. Nie potrafię się oprzeć pokusie i chwytam ją za lewą pierś, przez którą przeskakuje bez końca wyjątkowo elegancki delfin.

— Skąd to masz? — pytam.

— Nie powiem ci. — Kręci stanowczo głową.

Pocieram jej sutek pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym, jakby to były pieniądze, aż nabrzmiwa pod sylwetką delfina.

— Wspaniałe wykonanie.

— Spadaj. — Odpycha mnie.

— Jeżeli się nie dowiem, kto naprawdę zabił Mitcha Turnera, ci idioci rozpętają wojnę.

— Powiedziałam spadaj.

Może Pichai nie miał wcale na myśli delfina Chanyi. Może w ogóle nie miał na myśli delfina. Ale innego tropu nie mam.

V 5²

r

|

L |

33

Znudzony dziś Pisitem, przełączam na radio publiczne, w którym znany i powszechnie szanowany, wielebny Phra Titapika wygłasza wykład o współzależnym powstawaniu. Zgadzam się, że nie jest to bajka dla każdego (ten program nie należy do najpopularniejszych w Tajlandii), lecz sama doktryna to serce buddyzmu. Musisz zrozumieć, drogi czytelniku (mówiąc uczciwie, ale bez obrazy), że jesteś chaotycznym zbiorem najróżniejszych okoliczności, połączonych w jedno na skutek rozpaczliwego i irracjonalnego Ignięcia, że nie istnieje centrum, wszystko zależy od wszystkiego innego, twoje ciało zależy od otoczenia, twoje myśli od śmieci płynących z mediów, twoje emocje pochodzą głównie z gadziej końcówki twego DNA, twój intelekt to chemiczny komputer, który nie potrafi dodać kilku liczb tak szybko jak kieszonkowy kalkulator, i nawet twoje najlepsze strony są tylko powierzchownym efektem społecznego programowania, które przestanie działać, gdy tylko twoja druga połowa odejdzie z dziećmi i pieniędzmi z konta albo gospodarka podupadnie i zwolnią cię z pracy, albo wezmą cię do wojska na wojnę jakiegoś idioty, albo dowiesz się nagle, że masz raka mózgu. Określanie tego amorficznego grzęzawiska próżności, uzalania się nad sobą i rozpaczy mianem „ja” nie tylko jest

Wracamy do sprawy.

Gdzie człowiek sprytny ukryje liść? — zapytał kiedyś wielki Sherlock Holmes. Oczywiście w lesie. Gdzie sprytny detektyw zacznie szukać mistrza tatuażu, który ma oko akwarelisty zen? Na pewno nie w Songai Kolok. Lepszym pomysłem będzie Soi 39 przy Sukhunwit. Wszystkie kluby należą tam do Japońców. Ponieważ cieszymy się w tym kraju wolnością słowa, napisy na drzwiach informują wprost, że szefostwo wyznaje tu politykę „tylko dla Japończyków”. Wkładam najlepsze niedzielne ubranie (jest wół do dziesiątej w piątkowy wieczór) i wędruję ulicą, aż docieram do bogato rzeźbionego sanktuarium Buddy, ozdobionego girlandami nagietków. Unoszę dłonie w *wai* i proszę milcząco o przewodnictwo.

Próbując otworzyć się maksymalnie na pustkę, kilkakrot-

274

szczytem arogancji, dowodzi również (jeśli potrzeba dowodu), że przede wszystkim jesteśmy gatunkiem pogrążonym w iluzji. (Tkwimy w transie od narodzin po śmierć). Przekłujmy balon i co zostanie? Pustka. Dotyczy to nie tylko nas — ta radykalna nauka obejmuje cały czujący świat, wszystkie istoty. Nalepka na zderzak: *Lęk przed puszczaniem nie pozwala ci puścić lęku przed puszczaniem*. Poczciwy Phra jest dzisiaj w doskonałym nastroju: „Weźmy na przykład ślimaka. Zastanówmy się, jaka to uporczywa, zarozumiale egocentryczna namiętność doprowadziła go do jego ślimaczego stanu. Czy możemy zobaczyć wściekłość ślimaka? Frustrację karalucha? Ego mrówki? Jeżeli to potrafisz, jesteś już blisko oświecenia”.

Jak powiedziałem, nie każdemu to będzie pasowało. W zasadzie wolę Pisita, ale Phra Titapika też ma rację: wystarczy wejść dwa kroki w buddyjską medytację i nagle nie poznajesz planety, na której żyjesz. Wszystkie te pragnienia i lęki, które uważałeś za kościec własnego istnienia, okazują się tylko błędami w oprogramowaniu. (Nawet pewność śmierci nabiera niuansów). Nie odnajdziesz w nich sensu ani znaczenia.

spizcuawac mangu na siragamej i pyia wzrokiem, czy jej pragnę. Mam już dać znak, że nie, gdy zauważam zwiniętego wokół pępka węża. W klubie jest zbyt ciemno, żeby móc się przyjrzeć dokładnie tej świetnej robocie. Pewien, że nie ja pierwszy to robię, proszę o jakieś oświetlenie. *Mamasan* przyświeca mi latarką (hitachi na akumulatorki). Z bliska, nawet bez szkła powiększającego, mogę potwierdzić moje najgłębsze podejrzenia: to rzeczywiście wyjątkowy smok — ma szmaragdowe łuski w różnych odcieniach, rozwidlony granatowy język penetruje jej pępek, piękny jest też rysunek skrzydeł. (Nie takich ciężkich i niezgrabnych jak u smoka, z którym walczył święty Jerzy — to są przejrzyste skrzydła z orientalnego mitu: wiem, że na coś trafiłem). Domagam się, by dama została natychmiast uwolniona z więzów.

275

nie przemierzam ulicę i w końcu, nie kierując się niczym konkretnym (najbardziej wiarygodne źródło), pukam do drzwi w kolorze szkarłatnym. Uchyła się klapka i wystrojona tajska *mamasan* z marsową miną wysłuchuje mojego wyjaśnienia, dlaczego leży w jej i jej szefa interesie, żeby mnie wpuścić. Chyba zrozumiała.

Po kilku minutach znajduję się w scenograficznej hybrydzie, tak ukochanej przez przemysł pornograficzny: ciemny loch rodem z de Sade'a, skały z papier mache (z plastikowymi łańcuchami) jak z filmów Disneya, kostiumy z *Gejszy* (szczerze mówiąc, nasze dziewczęta nie potrafią i nie lubią ich nosić, zbyt ograniczają ruchy), dziwki z Isaan. Zostaję zaprowadzony na tyły klubu, gdzie przyglądam się dyskretnie różnym stadiom rozbierania się siedzących na ławeczkach dziewcząt i ich klientów.

Dziewczyna przykuta łańcuchem do najbliższej skały (w jamie tuż obok czai się smok) jest całkiem naga i usiłuje nie wyglądać na znudzoną, gdy ją biczują i kapią jej gorącym woskiem na piersi. Uśmiecha się do mnie z miną kompletnie pozbawioną rozwiążności (jutro z tym samym uśmiechem

Kiedy potwierdzam, że zapłacę, dziewczyna, imieniem Dao, wyslizguje się z kajdan bez niczyjej pomocy. Żaden konwenans towarzyski nie każe jej się ubierać, więc siedzimy teraz na wyściełanej ławeczce w głębi klubu, a niedaleko nas na innych ławeczkach poruszają się nieustannie inne ciała. *Mamasan* z pewnością byłaby szczęśliwsza, gdybym wypytywał dziewczynę, naśladowując uwodzenie przynajmniej gestami, więc Dao ratuje mnie od zawodowych oporów, kładąc sobie moją prawą dłoń na lewej piersi, z której łagodnie zdzieram płatki wosku. Sprawdza mojego penisa, by się upewnić, czy jej ciało wywiera pożądany handlowo skutek na moim (bez komentarza), a ja tymczasem szepczę jej lirycznie do ucha moje pytanie: Gdzie w Tajlandii można sobie zrobić taki cudowny tatuaż?

Uśmiecha się wdzięcznie, jakbym pochwalił jej nową sukienkę, i pokazuje mi jeszcze jeden. Klęka na ławce i odwraca się do mnie tyłem; widzę dwa smoki (lekki rysunek, dawka humoru, niemal niesubstancjalne jak obłoki, prawdziwe arcydzieło mistrza tatuażu — gdybym sam chciał mieć smoki, które ścigają się do moich miejsc intymnych, wybrałbym właśnie te), pragnące posiadać ciemną nagrodę.

— Fantastyczne — potwierdzam, a ona tymczasem do siada mnie, zadowolona i kładzie sobie moją lewą dłoń na cipce, która — jak mi oznajmia na wypadek, gdybym nie wiedział — jest całkiem wilgotna.

— Ale co z tymi tatuażami?

— Popieść mnie i powiedz, co mam zrobić. O wiele lepiej mi się pracuje, jak jestem napalona.

Gdy bezpośredni kontakt zostaje nawiązany w taki sposób, pojawia się (spójrzmy prawdzie w oczy) pierwotny sygnał, który dociera do wszystkich zakątków męskiego układu nerwowego. To naprawdę boli, gdy trzeba się w takiej sytuacji zmusić do przesunięcia świadomości z krocza do nieco wyższych partii kręgosłupa.

— Nie ma sprawy, możesz mnie przelecieć tutaj, jeśli chcesz. Szef to bogaty Japończyk, opłaca się policji. Możemy zrobić, co zechcesz.

— Ale co z tatuażem?

— Zapytaj mnie, jak już będziesz to robił. Bardzo mnie rozpalileś.

— Nie mogę. Wstydzę się.

— Och... chcesz mnie gdzieś zabrać?

— Nie... po prostu mi nie staje.

— Żartujesz sobie? Przecież to istny drąg.

— Wolałbym tylko udawać.

— Ojej... — mówi rozczarowana.

— Będę tylko udawał ruchy, dobrze?

— Co by cię mogło nakręcić?

— Byłoby świetnie, gdybyśmy mogli po prostu porozmawiać o tatuażach. Zapłacę ci tak samo, jakbyśmy to zrobili.

— I znów te tatuaze... Nawet nie jesteś Japończykiem. Po prostu klient mnie namówił i sobie zrobiłam — wyznaje mi do ucha, wyginając biodra kocim ruchem, co jest całkiem miłe. — On oczywiście był Japończykiem. Podobało mu się moje ciało, ale uważał, że bez tatuazy jestem za bardzo naga. Powiedział, że pragnąłby mnie o wiele bardziej, gdybym je miała, i że zapłaci mi podwójnie, więc się zgodziłam. I za działało. Przedtem wytrzymał zaledwie kilka minut, a później mógł jechać w nieskończoność. Jak się zmęczył, kazał mi wstawać, oglądał je sobie i znów się podniecał. Powiedział, że to najlepsze tatuaze, jakie widział poza Japonią, że wykonał je prawdziwy mistrz.

— Jak on się nazywał?

— Podoba ci się ten smok, który liże moją cipkę od tyłu?

— Bardzo.

— Trwało to wieki, facet przychodził codziennie przez tydzień. Najpierw zrobił rysunek, a potem go kolorował. Musiał bardzo uważać, wiesz, żeby nie było zakażenia.

— Bolało?

— Nie za bardzo. Używał takich specjalnych, długich japońskich igieł, mają jakąś specjalną nazwę. Bałam się, ale on był bardzo delikatny. Jakoś tak dziwnie mnie podniecał.

— Jak się nazywał?

— Ten klient?

— Nie, tatuażysta.

— Nie pamiętam. Iszi coś tam... Ikiszi? Uitakaszi? A może Yamamoto... naprawdę nie pamiętam. Mógłbyś powiedzieć coś świńskiego? Tracę koncentrację.

— A nazwisko tego klienta?

— Może Honda. Albo Toshiba.

— Dobra, nie chcesz powiedzieć, to nie musisz.

— Takie są zasady. Powiesz coś sprośnego?

— Coś sprośnego?

Dziwna rzecz, zważywszy na moje powołanie, nigdy nie miałem okazji wyćwiczyć tej sztuki. Co więcej, od czasów mej inkarnacji na wielkim buddyjskim uniwersytecie w Nalandzie mój kontakt z seksem był dosyć dziwaczny. Przy całym szacunku, *farangu*, muszę stwierdzić, że przez waszą niesamowitą skłonność do tłumienia popędu seksualnego zmarnowaliście ostatnie dwa tysiące lat. Celibat nie to miał na celu, drogi panie, *au contraire* — chodziło o sublimację. Podpalasz ten ogień, wytwarzasz straszliwy żar, gotuje się w tym kotle tak intensywnie, że nie da się tego wytrzymać, a potem przesyłasz to w górę, poprzez kolejne czakry, aż do tysiACPłatkowego lotosu w głowie. Ten etap kojarzy mi się zawsze z matematyką, oczywiście matematyką buddyjską. Przejście od nędznego niedotykalnego do pozycji ulubionego ucznia opata w Nalandzie zabrało mi tylko pięć krótkich żywotów. I chociaż muzułmańskie hordy grasowały pod murami uniwersytetu i wyrzynały w pień mnichów w całych Indiach, pięciu z nas pracowało w pocie czoła nad przywróceniem przedwedyjskiej godności liczbie zero, jako numerycznemu symbolowi nirwany (jest ono liczbą sylaby OM). W tym sensie reprezentuje ono nie tylko Nic (odkrycie dość

oczywiste, więc Arabowie niesłusznie domagają się od świata uznania za to, że ukradli je nam), ale również Wszystko, a tym samym wszelkie wartości zawarte pomiędzy tymi dwoma ekstremami. Odkryłem, że pochwycone w pułapkę równania, że tak powiem, zero nieustannie zmieniało wartość, czyli rozwiązywało problem i stwarzało go na nowo z prędkością myśli. Transcendencja nie przydaje się może przy konstruowaniu domowego budżetu, lecz pozostaje esencją całej tej historii.

— Co tam szepcesz pod nosem? — chce wiedzieć Dao.

— Nic. Wszystko.

— Jesteś romantykiem? Wieki całe nie miałam romantycznego klienta. Chciałbyś mnie mieć z jeszcze jedną dziewczyną? Może masz żonę? Moglibyście dominować nade mną na zmianę.

— Nie jestem żonaty.

— A może z drugim mężczyzną? Lubię to. Moglibyście mnie jednocześnie używać dwoma kutasami. Kosztowałoby tylko o połowę więcej niż pojedynczo.

— Czy on miał jakąś pracownię?

— Kto?

— Ten tatuażysta.

— Nie, przychodził do mieszkania mojego klienta. Miał w sobie coś wyjątkowego, rozumiesz, to nie był koleś, który mógłby prowadzić pracownię.

— Co było takie wyjątkowe?

— O czym teraz myślisz?

— *Om.*

— To imię twojej żony?

— Mówiłem ci, że nie jestem żonaty. Czy tatuował jakieś inne dziewczyny?

— Nie. Pracował specjalnie dla mojego klienta. Wszyscy inni Japończycy zazdrościli mu tych moich tatuaży, ale nie wyjawiał im nazwiska artysty. Bardzo cię podniecają, no nie?

— Uhm.

— Wiesz co? Zanieś mnie na tamtą ławeczkę, to będziesz mógł się im przyjrzeć w lustrze.

Czemu mam takie uczucie, jakby robiła to już przedtem? W badawczym uniesieniu zauważam, że gdy porusza pośladkami, oba smoki — widoczne teraz w pełnej krasie dzięki odbiciu w zwierciadle — wykonują coś w rodzaju tańca, jakby skurcz i rozkurcz; to najwyraźniej odniesienie do wdechu i wydechu kosmosu.

Dao zsuwa się ze mnie powoli, niemal bez tchu.

— Spójrz tylko, spościłam się. Załatwiłeś mnie, a nawet nie rozpiąłeś jeszcze rozporka.

— Przepraszam; sublimowałem. Siądź mi na chwilę na kolanie, chciałbym się jeszcze przyjrzeć temu na brzuchu. Takiego to naprawdę chciałbym mieć. To niesamowite, on utrzymuje piękną formę, nawet jak się zginasz.

— Chciałbyś, żebyś znalazła tego człowieka?

— Mogłabyś? Masz jakiś trop?

— Ten klient chodził z inną dziewczyną, miała na imię Du. Ona się czasem buja w Ogrodzie Różanym. Słyszałam, że dał jej zrobić tatuaż u tego samego faceta. Ale to było jeszcze przede mną; rzucił ją, bo skończyła dwadzieścia siedem lat. Japońcy nie lubią starych bab.

— Na pewno pamiętasz jego tatuaże, prawda?

— Tatuażysty? Jasne, to żaden problem. Nic na rękach, stopach i twarzy. Ale reszta... po prostu całe ciało. Wyglądał jak chodzący komiks, każdy kawałek ciała był zamalowany. Pracował najczęściej w szortach, więc wszystko widziałam. Któregoś dnia spytałam go, czy mogę go zobaczyć nago, i zdjął majtki. Mówię ci, dziewięćdziesiąt procent skóry miał w tuszu.

— Kutasa też?

— Tam to już wyjątkowo. Powiedział mi, że jak jest twardy, to można zobaczyć jakąś słynną bitwę morską Japonii z Ameryką, ale wtedy był mały i pomarszczony. Wcale nie miał dużego. Powiedziałam mu, że może mnie mieć za dwa

tysiące bahtów, że nie powiem klientowi, ale on powiedział, że w ten sposób tego nie robi. A ja chciałam tylko zobaczyć tę bitwę.

— Jest pedałem?

— Nie powiedział tego, tylko że nie postępuje tak z kobietami. Wiesz, ci Japończycy są bardzo dziwni.

— Coś jeszcze?

— Strasznie się jąkał. Na początku myślałam, że w ogóle nie mówi po tajsku, ale mówił bardzo dobrze, gdyby nie to jąkanie. Był jakiś niesamowicie nieśmiały, jakby całe życie siedział w dżungli i nie umiał się znaleźć wśród ludzi.

Ogród Różany: tu wszystkie kobiety to wolni strzelcy. Można by rzec, że na pół piśmienni tajscy właściciele baru wykazali się zmysłem handlowym, o jakim marzą absolwenci szkół biznesu — pozwolili samotnym kobietom przesiadywać przy stolikach przez cały dzień i pół nocy za cenę jednej kawy albo szklanki soku. Przewodniki turystyczne całkiem słusznie ostrzegały w swoim czasie przed małą armią ubogich prostytutek, pozbawionych skrupułów i niepoddanych dyscyplinie przez pracodawców czy alfonsów. Nie wszystkie były młode i zwykle ginął po nich wszelki ślad, gdy klient budził się w środku nocy w hotelowym pokoju i odkrywał, że zniknęła nie tylko dziwka, ale i jego portfel. Rezultat tych ostrzeżeń był taki, że rosła także armia ciekawskich młodych *farangów*, którzy wręcz chcieli wydać mnóstwo pieniędzy na stawianie takim dziewczynom drinków, żeby doświadczyć na własnej skórze ich drapieżności i braku skrupułów. W ciągu kilku lat zaowocowało to wielce udanym przedsięwzięciem w postaci kooperatywy, działającej w przypominającej stodołę budowli. Właściciele tego przybytku zupełnie nie przejmują się wystrojem wnętrza, chociaż ich sanktuarium Buddy należy do największych w przemyśle rozrywkowym Tajlandii.

A oto i Salee, która przepycha się w moją stronę poprzez

L

zwierzyniec mężczyzn w wieku od czterdziestki do nieokreślonego, przeciska między kobietami w podróbkach kreacji od wielkich projektantów (o czym trąbi histerycznie i bez przerwy wasz rząd, choć przecież karma nie odróżnia podróbki od oryginału). Creedence Clearwater Revival grają *Have You Ever Seen the Rain*, ledwie słyszalni w zgiełku ogólnego tańca. Gdy patrzę na to zdyszane, globalne targowisko, zauważam, że do środka wpływa coraz gęściej szy strumień dziewcząt. Gdy przedzierają się przez tłum, wdzięk i kokieteria przełączają się automatycznie na najwyższe obroty. Salee jednakże jest tutaj już od kilku godzin i robi wrażenie niezadowolonej. Została wolnym strzelcem, gdy moja matka wyrzuciła ją z roboty za to, że kiedyś po pijaku tańczyła nago na barze, a potem zasnęła gdzieś w kącie. Jak wszyscy poważni właściciele klubów, moja mamusia ma w sobie purytański rys.

— Jak interesy? — pytam z uśmiechem i automatycznie zamawiam podwójną tequilę.

Salee wychyla drinka duszkiem i posępnieje.

— Starzeję się, Sonchai. W tym miesiącu kończę dwa dzieścia dziewięć lat. Młodsze dziewczyny zaliczają trzy, cztery numery w ciągu nocy. Sto pięćdziesiąt dolarów amerykańskich za to, że cztery razy pójdziesz do łóżka na dwa dzieścia minut. To już jest całkiem inne pokolenie. To już nie jest tak, że odstawiasz numerka, a potem idziesz się napić z koleżankami do tajskiego baru. One wracają do klubu i każda załatwia po czterech klientów. To nie kurwy, tylko młode kobiety interesu; po prostu cheszą kasę. Niektóre mają własne strony internetowe, klienci piszą do nich e-maile, a one wychodzą po nich na lotnisko. To są normalnie działające firmy, a dla nas, całej reszty, zostają ochłapy. To nie fair.

— Jak chcesz, to poproszę Nong, żeby cię przyjęła z powrotem.

Zamawiam kolejną tequilę, którą dziewczyna znów szybko wypija.

— Nie. — Kręci głową. — Uczciwie mówiąc, miała rację, że mnie wywaliła. Jestem już w takim wieku, sam wiesz, że nie dogadam się z żadną *mamasan* ani *papasanem*. Przed trzydziestką powinno się iść na swoje, bez dwóch zdań. Nie chodzi tylko o zmarszczki wokół oczu i o to, że cycki za czynają obwisać, chodzi o sposób bycia. Nawet najgłupszy klient to wychwyci: To już nie dziewczyna, tylko kobieta. A oni przecież chcą dziewczyn.

— Kiedy ostatnio miałaś klienta?

Uśmiech zakłopotania.

— Dziś po południu. — Śmiech. — Ale to też jest dowód na to, że mam rację. Nie mogę konkurować z młodszymi, więc muszę tu sterczeć już od popołudnia, gdy one jeszcze śpią.

— Przychodzą ostatnio jacyś Azjaci? Chyba niezbyt wielu, co?

Przygląda się przez moment mojej twarzy, lecz postanawia o nic nie pytać.

— Kilku było. Trochę Koreańczyków, ostatnio byli dwaj Wietnamczycy, tacy barczyści, muskularni, chyba półkrewi Amerykanie, jeszcze z wojny. Przychodzili już przedtem. Wzięli dwie dziewczyny, może jeszcze wrócą.

— A Japońcy?

— Bardzo niewielu. Oni raczej wolą japońskie kluby na Soi 39, ale po co ja ci to tłumaczę?

— Szukam pewnego nietypowego Japończyka, tak do trzydziestu pięciu lat. Tatuażysta. — Wzrusza ramionami. — Mówi po tajsku, ale się jąka. Prawdopodobnie kompletny samotnik.

Znowu wzrusza ramionami.

— Raczej mnie o to nie pytaj. Azjaci mnie nie lubią, wiesz, jestem za wysoka jak na Tajkę. Znasz złotą zasadę.

— Zawsze bądź niższa od klienta.

— Mogę zapytać Tuk, jeśli chcesz. Azjaci za nią przepa dają, bo jest małutka. Czasami chyba miewa Japońców. Ale nie wiem, czy jest w tej chwili wolna.

Podaję jej ukradkiem banknot stubahtowy. Ścisną moją dłoń i zsuwa się ze stolka. Zamawiam następną tequilę i stawiam drinka na barze, żeby na nią czekał. Po mojej lewej i prawej siedzą kobiety, ale są z klientami i już zaczęły ich hipnotyzować zręcznymi muśnięciami krocza, całkiem jak Vikorn przy łapaniu ryby.

Tłum jest tak gęsty, że Salee znika w nim niemal natychmiast. Ponieważ nie pojawia się z powrotem, uznaję, że znalazła klienta, i zaczynam się rozglądać za innym kontaktem. Nagle łaskoczą mnie od tyłu dwie dłonie. Stoi za mną uśmiechnięta Salee ze swoją przyjaciółką Tuk. Dla tej ostatniej też zamawiam drinka i obie piją jednocześnie, do dna.

— Japoński tatuażysta — wyjaśniam. — Jakaś. Może to któryś z tych Japońców, co to nie umieją gadać z ludźmi, taki cyborgowaty?

Tuk naprawdę stara się mi pomóc. Koncentruje się, marszcząc brwi.

— Tatuażysta? A on sam też ma tatuaż?

— Na całym ciele poza twarzą, rękami i stopami.

— Na kutasie też?

— Wolałbym nie odchodzić od tematu — mówię i zamawiam kolejne drinki.

— Ja tam nie wiem, czy to by mnie podniecało — za stanawia się Salee. — Na pewno chciałabym go postawić, żeby się przyjrzeć obrazkowi. To chyba trochę tak jak w grach wideo.

Dopijam piwo i biorę następne. Alkohol chyba poluzował coś w moim mózgu i przypominam sobie w końcu, jak działać nie wprost.

— Czy znasz dziewczynę imieniem Dao? — pytam. — Też jest z branży.

— Znam kilka.

— Ta ma niezwykle tatuaże, smoka na brzuchu i dwa smoki na pośladkach.

Tuk wybałusza na mnie oczy.

— Chodzi ci o tę Dao? Jasne, że ją znam, bo mieszkałam z nią w pokoju; było nas pięć i było ciasno, więc widziałam co wieczór, jak się rozbierała. Niesamowite te tatuaże. Kilka dziewczyn też chciało sobie takie zrobić, ale ona nie zdradzała nazwiska tego gościa. Miała klienta Japończyka, który jej to załatwił. Później brała od niego podwójną stawkę, cztery tysiące bahtów za szybki numer, osiem za całą noc.

— Widziałaś może kiedyś tego klienta?

— Nie. To była wielka tajemnica. On chyba pracował tutaj, w Krung Thep, rozumiesz, i pewnie miał żonę i dzieci.

Salee wybucha nagle potokiem słów w isaańskim, dialekcie z dalekiego pomocnego wschodu, podobnym raczej do lao-tańskiego niż do tajskiego. Nie nadążam i obserwuję tylko, jak twarz Tuk się rozjaśnia, a potem obie wybuchają śmiechem. Przystają na chwilę, patrzą na mnie i znów się śmieją.

— Przepraszam — mówi Salee. — Trochę nam głupio... Wiesz, jak to jest w branży, Sonchai, dziewczynom czasami odbija, rozumiesz, o czym mówię.

Trudno jej się wypowiedzieć i nie bardzo łąpię, do czego zmierza.

— Nie rozumiem.

— Oj, na pewno tak. Widziałeś to tysiące razy. Dziewczyna ma dość tego seksualnego niewolnictwa i sama raz na jakiś czas chce mieć niewolnika. W zeszłe Boże Narodzenie zarobiłyśmy z Tuk sporo kasy na grubym Niemcu, który nie dość, że był bardzo dominujący, to jeszcze brzydki, więc postanowiłyśmy się wyżyć na jakichś ładnych tajskich chłopakach z barów dla gejów przy Surawong. Taka rekompensata, żeby odzyskać własny tyłek, wiesz, jak to jest.

Opowieść podejmuje Tuk:

— Zanim znalazłyśmy odpowiednich chłopców, obeszlśmy chyba z pięć barów. Zabralyśmy ich do siebie i wspólnie się zabawiałyśmy. Dałyśmy im zapalić trochę *yaa baa*, żeby mogli jechać całą noc, w końcu mieli zapłacone... ale nie to

chciałeś usłyszeć. No więc gdy chodziliśmy po tych gejowskich barach, naoglądałyśmy się mnóstwo tatuaży...

— I w jednym barze widziałyśmy kilka bogatych Japonek i co najdziwniejsze, były tak samo nakręcone na tatuaże jak faceci. Oni wszyscy mają takie artystyczne ciągoty, nie uważasz? Te kobiety przyszły tam wynająć sobie kutasa za pieniądze, ale zależało im na tatuażach.

— Szczególnie na fiucie.

— No i w tym barze odbył się wtedy pokaz tatuaży.

— Zwyciężył Japończyk, około trzydziestki, te kobiety ciągle powtarzały *donburi, donburi*; myśmy myślały, że to chodzi o *huri*, wiesz, papierosy, ale okazało się, że *donburi* oznacza po japońsku tatuaż całego ciała.

— Naprawdę? — Wybałuszam na nią oczy zaskoczony.

— Tak. I on właśnie wygrał, naprawdę miał świetne tatuaże. Ale nie zgodził się z żadną pójść, powiedział, że nie jest na sprzedaż, chciał się tylko popisać swoim ciałem.

35

Nazwijmy go Iszi. Nieważne jak go znalazłem — tak, odwiedziłem większość gejowskich barów w okolicy Surawongu, ale trafiłem tylko, że tak powiem, na jego wystygłą woń. Okazało się, że ten Japończyk z szokującymi tatuażami i — co jeszcze bardziej zbijało z tropu — mocno się jękający, jest po prostu niedzielnym ekstrawertykiem, dla którego bary są oknem wystawowym. Nie sprzedawał tam swego ciała, lecz tylko sztukę. No i siedzi teraz ze mną w japońskiej restauracji przy Soi 39. Nie sądzę, żeby miało sens opisywanie tu całego łańcucha — sklepikarzy, właścicieli barów, bramkarzy, gliniarzy gejów, *mamasan* i ochroniarzy — po którym do niego dotarłem.

Widzieliście takie restauracje w filmach o mafii *yakuza*: pogrążone w półmroku, z lożami w ciemnym drewnie, z ciepłą sake w małych kamiennych dzbankach (sekretne pijaństwo i męskie prawdy wymieniane szeptem między duchowymi braćmi), z kelnerkami w plisowanych fartuszkach (dyganie zamiast ukłonu, a przecież są Tajkami); możesz nawet upić się tutaj do nieprzytomności, ale głośna rozmowa jest wykluczona. Iszi siedział sam w loży, a przed nim stała butelka dobrej sake ze sławnej destylarni Koshino Kagiro. Gdy jego mózg nasiąknął ciepłym alkoholem, jękanie — tak okropne

na trzeźwo — rozpuściło się w namiętym rozgadaniu. Ostatnie segmenty małych palców u rąk miał odcięte, zgodnie z tradycją *yakuzy*, na znak honoru i inicjacji. Kiedy usiadłem, ledwie coś mruknął pod nosem, jakby moje przybycie było czymś oczywistym. Poprosił o drugie nakrycie, by móc się ze mną podzielić jedzeniem z pojemników *bento*: porcjami leszcza, krewetek w cieście *tempura*, łuczana i *sashimi*. Zamówił dla mnie zupę z *miso*, zmierzył mnie bezosobowo nieprzyjaznym spojrzeniem i powiedział:

— Połóż łososia na ryżu i polej zieloną herbatą z dodatkiem *miso* i siekanego *nori*.

Dziwne, ale jest wysokim, przystojnym facetem, którego obycie towarzyskie ucierpiało z powodu artystycznego geniuszu. Jakże mógłby się angażować w błahe pogawędki, gdy okiem wyobraźni widział na gładkiej skórze swoich towarzyszy epickie opowieści. Zaproponował, że zupełnie za darmo wytatuuje mi na plecach Roześmianego Budę, jeżeli tylko się zgodzę na użycie długich na stopę igieł *tebori* zamiast zachodniego pistoletu do tatuażu. Wtedy zacząłem rozumieć upośledzenie jego mowy. Kiedy już obaj dobrze popiliśmy, przenieśliśmy się na wysokie stolki przy barze.

Gdy przestawał mówić o tuszach i sztuce dekorowania ciała, zbaczał na temat gangów *yakuza* w Tokio i Kioto; były to dla mnie historie przepojone sadyzmem, z jakiejś zupełnie nieznannej kosmologii. Dość szybko zrozumiałem, że dzieli się ze mną swoją autobiografią. I tutaj też liczyło się tylko *hońmono*. Jak wytłumaczyć na przykład niedoszłemu zapaśnikowi sumo, osiłkowi o IQ wartości temperatury pokojowej, że wcale nie chce brzydkiego niebieskiego sztyletu, sięgającego od kolana do krocza, i to na obu udach, lecz woli elegancki krzak róży o zawitym rysunku, gdzie każdy płatek jest arcydziełem detalu? Miasta Japonii znanej Iszitemu roily się od bandziorów wychodzących o zmierzchu z metra, podrzynaczy gardeł, mistrzów okaleczania i zastraszania (każdy z obciętym końcem przynajmniej jednego małego

palca), a on potrafił wyperswadować tylko nielicznym z nich — i to dosłownie ryzykując życie — żeby nie poddawali się oklepanym i degradującym schematom jego rzemiosła. Niemniej jednak jego sława rosła, w Japonii bowiem nawet bandziorem nie brak swoistej kultury. Jego usługi zaczęli sobie cenić szefowie mafii, jadał i pijał w najświetniejszych męskich klubach, gdzie gości zabawiały najlepiej wyszkolone gejsze. Czasem proszono go o wytatuowanie czegoś eleganckiego na pośladku lub brzuchu jakiejś kobiety. Kiedy wlał w siebie dość sake, potrafił czasem przezwyciężyć zahamowania i podjąć próbę oświecenia tępowych umysłów ojców chrzestnych *yakuzy*: bądź co bądź jego sztuka nie wywodziła się z graffiti (do którego odczuwał odrazę), lecz z wielkiej tradycji malarstwa tuszem, od Hokusai'a i jego poprzedników.

Pewnej szczególnie nasyconej karmą nocy udało mu się odwieść wielkiego ojca chrzestnego Tsukubę od pomysłu wytatuowania sobie na obu przedramionach karabinu M16. Zamiast tego zaproponował mu górę Fudzi, ze śniegiem i wszystkimi bajerami. Jest pewne, że Tsukuba był pijany w sztok, podobnie jak sam Iszi.

— No to do roboty — rozkazał mafioso.

— Gdzie chcesz to mieć? — zapytał artysta.

— Na czole! — ryknął boss, wywołując tym chór podziwu dla swej odwagi. Nazajutrz, już na trzeźwo, Iszi zrozumiał, że czas opuścić ojczyznę na zawsze. Wiedział, że potężny szef *yakuzy*, z wytatuowanym na czole pięknym widokiem Fudzi, łaknie jego krwi. Naturalnym celem podróży mistrza tatuażu powinny być Singapur, Hongkong, San Francisco lub Los Angeles; nie wybrał jednak żadnego z tych miast, gdyż było pewne, że Tsukuba będzie go tam szukał. Dobrą kryjówką wydał mu się Bangkok, z jego niewielką i dyskretną japońską społecznością, pełen marzących o tatuażu prostytutek. Trzymał się na uboczu, rzadko pracował w domu, przyjmował zamówienia tylko od zaufanych klientów (głów-

nie japońskich biznesmenów, dla których jedynym marzeniem życia było erotyczne *horimono* zdobiące ich ulubione dziewczyny, gdyż na ciałach żon nie było już prawie wolnego miejsca). Od czasu do czasu jednak drzemiący w Iszim artysta domagał się szerszego uznania. Większą część własnych tatuaży wykonał sam, lecz wiedział od początku, że jego przeznaczeniem jest *donbuñ*: tatuaż całego ciała. Miejsca, których nie mógł osiągnąć nawet igłami *tebori*, powierzył zaufanemu uczniowi, który wykonał tatuaże według szczegółowych barwnych wydruków. W efekcie powstał przepięknie zintegrowany gobelin, w którym istotne dla jego życia tematy przeplatały się jak wątki melodyczne w koncercie Mozarta: góra Fudzi, laptop Toshiba, gejsza w pełnym rynsztunku, pierwszy moped Hondy, potrawa z wołowiny z Kobe, admirał Yamamoto w galowym mundurze, pięciu pijanych samurajów w tradycyjnych zbrojach, wszystkie pozycje kopulacji zalecane w Kamasutrze i tak dalej. W Bangkoku zaczął się pokazywać w barach dla gejów wyłącznie po to, żeby pochwalić się swym dziełem.

Kiedy już upiliśmy się, nie pamiętam iloma butelkami sake, Iszi w końcu rozpiął, a potem zdjął koszulę. Jego *donbuñ* przypominało jedwabną koszulkę z krótkimi rękawami, niesamowicie wysokiej jakości. Subtelna symfonia barw skomponowana została według precyzyjnej piramidalnej struktury, nawiązującej, jeśli się nie mylę, bezpośrednio do Cezanne'a. Tajskie kelnerki zbiegły się całą gromadą, żeby go pooglądać.

— Możesz się rozebrać do końca — powiedziała jedna z nich. — I tak nie będziesz wyglądał jak goły.

Rozebrał się więc i ujrzeliśmy to, chociaż dla uniknięcia nieporozumień powstrzymałem się od bliższych oględzin. Dziewczyny jednak nie miały takich oporów i jedna z nich popracowała trochę nad jego członkiem, żeby — jak wyjaśniła — bardziej docenić artyzm dzieła. W pełni nabrzmiały penis objawił nam wyjątkowo i bardzo japońską w spojrzeniu panoramę bitwy o Midway.

Iszi, czując się najwyraźniej komfortowo w skórze artysty, nalał nam sake i zaczął się ze mną dzielić swym życiem wewnętrznym.

— Byłem jednym z nich, wiesz?

Zdążyłem się już zorientować, że większość jego wypowiedzi zakłada u słuchacza zdolność jasnowidzenia.

— Cyborgiem, od samego początku? — zapytałem.

— Nigdy nie nauczyłem się rozmawiać z ludźmi. Wciąż czuję się z tym dziwnie, dlatego tak się jąkam. Od czwartego roku życia grałem w gry na kieszonkowym kalkulatorze. Kiedy pojawiły się pierwsze komputery osobiste, zrozumiałem, dlaczego odrodziłem się akurat w tej epoce. Po pewnym czasie przestałem wychodzić ze swojego pokoju. Matka zostawiała mi pod drzwiami jedzenie, a tata książki. W końcu wezwali do mnie lekarza. Powiedział, że ześwirowałem. Nie było na to lekarstwa, problem dotyczył połowy mojego pokolenia. Któregoś dnia tata, który był już u kresu wytrzymałości, dał mi książkę z ilustracjami *horimono* i kilka drzeworytów Hokusai. — Iszi pociągnął łyk sake. — Było to dla mnie przeżycie niemal religijne i poprosiłem go o więcej książek o sztuce, a szczególnie więcej o *horimono*. Przyniósł mi całą bibliotekę. Wszystkich przewyższył wielki Hokusai, który objawił mi się w ogromie swego talentu. Do dziś potrafię narysować dokładną kopię każdego z jego drzeworytów *ukiyo-e*, znam każdą kreskę *Wielkiej fali*, tak jak ktoś inny mógłby znać na pamięć słowa ulubionej piosenki.

Iszi przerwał, żeby napić się sake, i przez chwilę przyglądał się z ciekawością jednej z kelnerek, która przyprowadziła koleżankę z kuchni i kucnęła przed nim, by znów pobudzić jego członek.

— Czuję się tak, jakbym sobie przypomniał jeden z poprzednich żywotów. Wręcz doświadczyłem tej ekscytacji dawnych mistrzów, związanej z wynalezieniem bloków drewnianych: nareszcie można było powielać obrazy, coś za przełom! I geniusz Moronobu, gdy dostrzegł doskonały

temat właśnie w *ukiyo-e*) Poznawałem tę sztukę od jej początków, poprzez Masanobu, Harunobu, Utamaro, Hiroshige i w końcu niezrównanego Hokusai. Jednakże, jak każdy dobry czeladnik, dostrzegłem słabość mego mistrza. Nie, to za mocne słowo, powiedzmy raczej, że każde pokolenie musi zinterpretować rzeczywistość w sposób dla siebie najodpowiedniejszy. Mamy epokę natychmiastowości, nieprawdaż? Dziś młodym ludziom nie starcza koncentracji na wizyty w muzeach czy galeriach, nie mówiąc już o kontemplowaniu arcydzieł. Lecz Hokusai potrafił dosłownie wyręczyć człowieka w materii jego własnej skóry, a to — wiedziałem o tym — działa nawet w dwudziestym pierwszym wieku, to potrafi docenić nawet najgłupszy Japończyk, łącznie z gangsterami. Bardzo szybko przeprowadziłem się do małego mieszkania w Shinbashi, starej dzielnicy czerwonych latarni w Tokio. Poczuliśmy się, jakbyśmy wrócili do domu. — Do kelnerki: — Tylko go postaw, kochanie, nie doprowadzaj mnie do orgazmu.

— Jest niesamowity.

— Dziękuję. Jeszcze butelkę sake proszę.

Przyznam, że nie mogłem się powstrzymać od patrzenia, gdy pozbawione nagle opieki kelnerki wielkie okręty zatoczyły w sflaczałości. Była czwarta piętnaście rano — japoński właściciel baru, sam pod wrażeniem Isziego i jego tatuaży, pozwolił nam posiedzieć długo po zamknięciu lokalu — i kelnerki przebrały się już w dzinsy i koszulki. Przestały się już zachwycać *donburi* Isziego i chciały po prostu pójść spać do domu. Sam już nie myślałem skądnie, w przeciwnym bowiem razie nigdy nie wysnęłoby mi się to, co do dzisiaj przyprawia mnie o dreszcz.

— Mitch Turner — wymamrotałem, z ledwością utrzymując się na stołku. Słowa powoli zagłębiały się w pijany czerep Isziego, coś mu tam zaświtało, spojrzał na mnie z przerażeniem i osunął się na podłogę. Chciałem go podtrzymać, ale sam też się przewróciłem. Właściciel pomógł mi

wsiąść do taksówki. Kazałem mu zaopiekować się Iszim i zdobyć jego adres, nawet gdyby trzeba było grzebać po kieszeniach. Znalazłem go po tygodniu uganiania się po mieście i nie zamierzałem teraz zgubić. Obawiam się jednak, że moim wskazówkom zabrakło przejrzystości, ponieważ język mi się plątał od alkoholu. To była niezwykła noc. Chciałem już spać.

Koło dziesiątej rano z alkoholowej śpiączki wyrwał mnie atak paniki. We śnie znów przyszedł do mnie Pichai: *Czemu nie aresztowałeś tego donburi?*

Patrzę szeroko otwartymi oczami w kosmiczną ciemność: *Upił mnie. To chyba przez te tatuaże. Kim on jest, u diabła?*

Głos Pichai trzeszczy, jakby docierał przez popsutego satelitę: *Renegat... nag w ludzkiej formie... Nalanda... dawno temu... tatuaże... potężna magia... osaczyć... obserwować...*

Nie wstając z łóżka, z głową pękającą od najgorszego kaca w moim życiu, zadzwoniłem do japońskiej restauracji. Zastałem tylko sprzątaczkę, lecz używając Groźnego Głosu, przekonałem jedną z nich, żeby podała mi numer domowy szefa. Kiedy zadzwoniłem do niego, oznajmił, że nie zna nikogo o imieniu Iszi. Nigdy nie spotkał Japończyka o tak dziwnym wyglądzie. Może po prostu pomyliłem restaurację?

36

Działam, *farangu*, w znanym ci już trybie: siedzę przed komputerem w ulubionej kafejce internetowej, przeglądając różne wersje Encyclopaedia Britannica Online. Nie musisz czuć się gorszy, ja też nie wiem, co to, u diabła, jest *ukiyo-e*. Proszę bardzo: Przedstawiły one różne aspekty życia w dzielnicach rozrywek (nazywanych eufemistycznie „przepływającym światem”) Edo (obecnie Tokio) i innych ośrodków miejskich. Do popularnych motywów należały wizerunki kurtyzan i prostytutek, aktorzy teatru kabuki i sceny z jego przedstawień, a także erotyka. Twórcy *ukiyo-e* pierwsi zaczęli się posługiwać drewnianymi klockami.

Koincydencja uderza mnie z groteskową dosłownością. Wtem dzwoni do mnie Vikorn i wzywa do komendy, gdzie kierują mnie natychmiast do jego gabinetu. Zastaję tam Hudsona; ma nieco rozbiegany wzrok i chodzi po pokoju. Wrażenie, że jego umysł też jest rozbiegany, jest bardzo silne. Albo, ściśle mówiąc, najwyraźniej przejął nad nim kontrolę Obcy. Podejrzewam, że z Mgławicy Andromedy, ale nie jestem tu ekspertem.

— Jakież postępy? — pyta mnie agent.

Snuję opowieść o tatuażach i prostytutkach, o pijackiej nocy z pogrobowym czeladnikiem Hokusai'a, o wrażeniu,

jakie wywarły na nim słowa „Mitch Turner” — choć zważywszy na okoliczności, nie jest to wcale takie pewne.

— Muzułmański łącznik, ot czego mi potrzeba — warczy Hudson. Zerka na Vikorna i mówi: — Ta suka urwie nam wszystkim jaja, jak się dowie o twoim wypadzie do Indo nezji. — Przełyka ślinę. — I muszę znaleźć tego cholernego laptopa.

Vikorna trudno w tym momencie rozszyfrować. Czy czuje się zastraszone przez Hudsona, czy tylko stara się mu pomóc? Intuicyjnie odrzucam obie możliwości. Dzieje się tutaj coś więcej, rozgrywa się dramat, tłumiony od czasów sprzed moich narodzin. Wietnam, Laos... co jest w mojej karmie? Ojciec? Jakoś niepokojąco łatwo godzę się z myślą, że Hudson mógłby być źródłem nasienia, które stało się mną, choć przecież nie jest Mikiem Smithem. Hudson patrzy na mnie, a Vikorn świdruje go wzrokiem z jakąś dziwną miną.

— Olej te zakichane tatuaze — mówi Hudson. — Olej ten cały japoński wątek i skup się na tropie muzulmańskim. *Me ma zwycięzcy ponad Allaha*. — Waha się przez chwilę, po czym powtarza to (chyba cytat z Koranu) po arabsku. Jego akcent wydaje mi się bezbłędny; w gardłowym tonie jest nawet pewien powab. Defensywnym tonem (na widok mojej miny) mówi: — Jestem dobrym Amerykaninem i mam prawo do schizofrenii.

Podchodzi do okna, wygląda na ulicę i zaczyna mówić gawędziarskim tonem, należącym jakby do innego człowieka lub do wcześniejszej wersji jego samego. Pobrzmiewa w tym heavy metal.

— Mało kto wytrzymuje w Agencji wiele lat. W Stanach jest tak z każdą pracą; Amerykanie szybko się nudzą albo dochodzą do wniosku, że nikt ich nie docenia. Ciągłe się przenosimy. Myślimy, że wystarczy zmieniać widoki, żeby sobie wmówić, że się uciekło z kołowrotu. Ale nie na zawsze. Gdy mija w życiu pewien szczególny moment, człowiek zaczyna spoglądać wstecz i zauważa schemat. Coś brzyd-

kiego, przykurzonego, maniakalnego, udęczonego i potwarzalnego. Widzisz, że cały jesteś właśnie tym schematem, ukształtowanym przez twoją kulturę. Ale to jeszcze nie powód do rezygnacji, jeszcze nie powód, żeby się stać Mitchem Turnerem. Żeby zmienić front. Musisz wojować dalej, na dobre czy na złe. Skąd mógłbyś się dowiedzieć, jak bardzo pobiłdź się, jak mógłbyś sobie przyswoić życiową lekcję, gdybyś był tylko piórkiem na wietrze? Musisz to przerobić do samego końca, nie ma innej drogi.

Hudson wraca na miejsce, jak gdyby nic się nie wydarzyło.

— Chcę, żebyś wrócił na południe, Sonchai — mówi. — Przestań się bujać ze stukniętymi Japońcami i durnymi kurwami z Bangkoku. Posiedź tam miesiąc albo nawet rok, jeśli będzie trzeba. — Przesuwa dłonią po szczeciniastej czuprynie, jakby dla uspokojenia. — I oddaj mi tego laptopa. — Znów pauza. — Zanim ona go dorwie.

Spoglądam na Yikorna, który kiwa głową.

Tak naprawdę wcale nie mam ochoty jechać na południe w poszukiwaniu wczorajszego dnia. Krótka inwokacja do Buddy załatwia sprawę: nie zdążyłem jeszcze wetknąć kadzidła w piasek, gdy dzwoni telefon.



37

— Tak go znalazłam, gdy przyszedłam rano — szepce Nat, ochrypla ze zgrozy. Patrzy szeroko otwartymi oczami, podobnie jak Lek (któremu musiałem wygłosić ostrą reprymendę, żeby zdecydował się wstać z łóżka; przeproszał mnie potem w taksówce: to estrogen go tak rozstraja, jest humorzasty, chociaż załączki piersi są dopiero ledwie widoczne). — Mieszkałam u niego w weekendy, dał mi klucz. — Pokazuje mi.

Jesteśmy w wynajętym dwupokojowym mieszkaniu przy Soi 22 od Sukhunwit. Stephen Bright miał piękne ciało; jego młoda, krzepka materia jest wciąż oczywista, chociaż wewnętrzna organizacja już się rozpada. Na tym etapie ścianki komórek zostają przerwane, bakterie przedostają się do wcześniej niedostępnych obszarów, organizm traci wewnętrzną spójność. Istota, która przez dwadzieścia siedem lat grała rolę Stephena Brighta, odczuwa prawdziwą ulgę, że uwolniła się wreszcie ze swego chemicznego więzienia i czuje się w tej chwili o wiele lepiej w jakiejś spokojnej, miłej galaktyce. Zrobił, co mógł, żeby uniknąć kolejnej gwałtownej śmierci za młodu, lecz teraz, gdy już zakończył służbę, czeka go długi okres wypoczynku i rekreacji. Nie zdecydował się opuścić naszego Układu Słonecznego, ale następną wizytę złoży chyba raczej na Wenus. Jednakże patrząc na to ziem-

skimi oczami, jego ciało (minus członek, wrzucony do kosza na śmieci) z wielką ziejącą raną w kroczu, z purpurowymi rurkami wiszącymi niczym kiść winogron... hm, cóż tu można powiedzieć? Po prostu niezły bajzel. Tym razem to ja odwracam trupa na brzuch. No tak, obawiałem się tego.

Lek zakrywa dłonią usta i rzuca Nat kolejne przerażone i bardzo kobiece spojrzenie. Następnie klęka na dywanie i robi *wai* przed Buddą. Nat idzie w jego ślady. (U nas nie śmierć, lecz sam zmarły sprawia, że ma się pełne spodnie. Wierzcie mi, nie ma większej udręki niż duch, który przyczepił się do człowieka na całe życie). Czekam, a oni, wznosząc złożone dłonie, nurzają się w stężonej mieszance magii, zabobonu i użytkowego buddyzmu. Nat wstaje z kolan pierwsza, a za nią Lek, który nie zdołał się powstrzymać od ponownego spojrzenia do śmietnika i odruchowo chwyta się za krocz. (Mnie się udało powstrzymać ten odruch, ale ledwo ledwo). Nat czyta w jego myślach.

— Z tobą jest inaczej, będziesz miał znieczulenie. Poza tym tobie on niepotrzebny.

— Nienawidziłem go, to prawda — przyznaje Lek. — Ale jednak człowiek się przyzwyczaja, chyba rozumiecie?

Przyglądam się Nat. Jej zgroza jest nieudawana. Smutek również.

— Stephen Bright oświadczył mi się kilka dni temu — mówi, widząc moje spojrzenie. — Myślałam, że może w końcu mi się poszczęściło. To był poważny chłopak i chyba naprawdę mnie kochał. Wiele wycierpiał, wiesz przecież, i zawsze okazywał mi tyle wdzięczności, gdy się kochaliśmy. Mówił, że jestem bardzo szczodłą kochanką. Właściwie robiłam z nim to samo, co z każdym innym klientem, ale on mi przez cały czas dziękował. — Nat wybucha płaczem.

— A te plecy?

Pytanie przejmuję ją dreszczem.

— To moja wina. Mam trochę hyzja na punkcie tatuaży, wiesz, i ciągle go pytałam, czy nie chciałby mieć czegoś na

plecach. Powiedział, że się zastanowi, i pewnego dnia mnie zaskoczył. Nie tak to sobie wyobrażałam, ale to była rewelacja, od ramion prawie aż do tyłka. Naprawdę piękny tatuaż.

— Powiedział ci, gdzie go zrobił?

— Tylko tyle, że u jakiegoś Japończyka, którego znają ludzie z kręgów wywiadowczych. Nic więcej.

Postanawiam obejść Hudsona, nie z braku zaufania, bo jego zaangażowanie w nic nieznaczące szczegóły jest niewątpliwe — tylko dlatego, że nie zniósłbym chyba w tym momencie jego arabszczyzny. CIA rodzaju żeńskiego wydaje mi się w tym kontekście oazą normalności.

— Halo?

— Mówi detektyw Jitpleecheep.

— Słucham, detektywie.

— Byłoby dobrze, gdyby pani tu przyjechała. — Podaję jej adres i proszę Nat, żeby zabrała Lęka z powrotem do klubu. Dziewczyna obejmuje go siostrzanym gestem i mocno przytula.

— Ja naprawdę nie wiem, czy dam radę przez to wszystko przejść — jęczy Lek, gdy są już przy drzwiach. — Może wystarczy taśma klejąca? Wielu tancerzy tak robi.

— Naprawdę chcesz przez całe życie być taki pół na pół? — pyta go łagodnie Nat.

— Nie.

Damska CIA przybywa wraz z Hudsonem. Obserwuję ją, gdy przez kilka minut wpatruje się w ciało Brighta; gdyby nie była wytrawną profesjonalistką, uznałbym, że jej zmienne miny są oznaką głębokiej lubieżności. W końcu otrząsa się z transu; wrażenie jest takie, jakby ktoś ubierał się po orgii.

— Widzicie — mówi — ucieli mu penisa, zgodnie z naszą teorią. I przyjrzyjcie się jego plecom.

Patrzemy obaj z Hudsonem. Nie widać wielkiej różnicy pomiędzy Brightem i Mitchem Turnerem — skóra została



zerwana, od ramion po dół pleców, podskórna tkanka tłuszczowa nasiąknęła krwią.

— Przynajmniej dobrze, że nie musimy pytać speców z wydziału zabójstw, czy te zgony są ze sobą powiązane. — Elizabeth Hatch patrzy na Hudsona. — Ale ci ludzie, którzy zabili Turnera, zginęli zdaje się w jakimś wybuchu w Indonezji, tak? A więc mamy do czynienia ze znakomicie skoordynowaną zbrodnią, centralnie zaplanowaną na najwyższych szczeblach Al-Kaidy: różni zabójcy wzorują się na pierwszym morderstwie, jakby chcieli z niego uczynić swoisty znak firmowy. A celem jest zastraszenie Amerykanów, wszystkich i wszędzie. — Zagryza dolną wargę. — Sprawa jest poważna. O wiele poważniejsza, niż sądziłam. To psychologia terroryzmu, wyśrubowana do wysokiego poziomu wyrafinowania. Jeżeli to się rozniesie, Amerykanie zaczną się jeszcze bardziej bać podróży za granicę. A jeśli takie rzeczy zaczną się wydarzać w Stanach, co moim zdaniem prędzej czy później nastąpi, to zbiorowa świadomość społeczeństwa stanie się zakładnikiem tej sytuacji. To genialne, zło w czystej postaci. — Zwraca się do mnie: — Nie ma kręconych czarnych włosów? Chcę, żeby to mieszkanie zbadali wasi najlepsi technicy. Załatwić wam jakieś specjalne wyposażenie? Może sprzęt do zdejmowania odcisków palców z ciała albo mikroskopy do badania włókien? Mogę to ściągnąć ze Stanów najbliższym samolotem, razem z obsługą. — Spogląda badawczo na Hudsona. — To naprawdę zaczyna przypominać wojnę.

Na dźwięk tego świętego słowa Hudson sztywnieje.

Godzinę później stoimy wciąż z Vikornem w mieszkaniu Brighta. Cała ta sytuacja, podobnie jak sam widok trupa, przyprawia mnie o ból głowy.

— Po prostu nie widzę dobrego rozwiązania — mówię do niego.

Pułkownik jednak wydaje się dziwnie spokojny.

— Będzie dobrze — mówi. — Mam jeszcze trochę tych włosów. Palców niestety już nie.

— Czy pan oszalał? Przecież te włosy należą do terrorysty, który zginął przed śmiercią Brighta. Wszystko się wyda i to będzie nasz koniec!

Kręci głową zdumiony moją tępotą i wyjmuje z kieszeni kopertę poczty lotniczej. Rozrywa ją i potrząsa nad podłogą. Kręcone włosy sypią się jak czarny śnieg.

— Ja chyba nigdy ich nie zrozumieję — mówi. — Pokażesz takiemu *farangowi* sprzeczne ze sobą dowody, a on w swojej nieskończonej naiwności pójdzie tym błędnym tropem jeszcze dalej.

Elizabeth Hatch wezwała mnie na wieczorną rozmowę w cztery oczy, jadę więc taksówką do Sheratona na Sukhumvit. Stoimy w korku na skrzyżowaniu Siłom i Ramy IV, naprzeciwko Lumpini Park i słuchamy razem z kierowcą Pisita, który szaleje dziś od rana, oburzony niesprawiedliwością władz. Nasz rząd polecił policji zlikwidowanie dwóch tysięcy domniemanych handlarzy narkotyków, na zasadzie kontyngentu. Pisit widzi ten problem tak: skąd w ogóle wiadomo, że ci ludzie mieli cokolwiek wspólnego z handlem narkotykami? Czy nie po to istnieją sądy? I czy to nie dziwny zbieg okoliczności, że jeśli nawet są to handlarze, to drobni, zupełnie płotki. Czy walcząc z handlem narkotykami, nie powinniśmy chociaż spróbować dotrzeć do szefów?

Pisit rozmawia na ten temat z emerytowanym oficerem wydziału ograniczania przestępczości.

Pisit: Czy wśród zlikwidowanych osób byli jacyś *jao por*, szefowie?

Były glina: Proszę wybaczyć, ale to niezbyt inteligentne pytanie. Gdyby zabicie szefów było takie proste, ich wrogowie uczyniliby to już dawno temu. Zlikwidowanie *jao por* jest trudne z definicji.

Pisit: I dlatego rząd postanowił walczyć z problemem łatwiejszą metodą, każąc zabijać drobnicę?

Były glina: To logiczne, nie sądzi pan?

Pisit: A może posuniemy się w tej logice jeszcze dalej i polecimy policji zabijanie ludzi niemających w ogóle związku z przestępczością?

Były glina: Gra pan cwaniaka?

Pisit: Nie.

Były glina, po namyśle: Właściwie to dokładnie tak się dzieje.

Przecież jeżeli chodzi tutaj tylko o pozorowaną akcję, to wszystko jedno, kto zostanie zabity.

Pisit: Czyli po prostu rządowy humbug w tajskim stylu?

Były glina: Można to tak nazwać.

Dziwi mnie, że CIA wyznaczyła mi spotkanie o dziewiątej wieczorem. Jeszcze ciekawszy jest jej strój: wspaniały ciemnoniebieski kostium od Versace i biała koronkowa bluzka. Szokuje mnie, że na rękach ma bransoletki ze słoniowego wlosia i przyciemniła dyskretnie włosy o kilka odcieni. Być może całą tę grę wyjaśnia szminka — karmazynowa i wilgotna — oraz czarowna woń perfum Kenzo. Czy jest choć jeden oficer CIA, który nie odrodzi się w przyszłym życiu jako kameleon?

— Nagle zachciało mi się przeżyć coś zwyczajnego — wyjaśnia, gdy spotykamy się w holu. — Przy takich sprawach trzeba się bronić przed izolacją.

— Taniec?

Szybkie spojrzenie.

— To właśnie proponujesz?

— Tradycyjny, tajski?

— Raczej nie.

Podążam szlakiem jej propozycji, od dziewcząt w bikini tańczących na aluminiowych rurach w Nana Plaža, poprzez tańczące w barze topless Firehouse przy Soi Kauboi, aż do całkiem nagich w Purple Pussycat, też przy Kauboi. W końcu

docieramy do baru na piętrze w Pat Pongu. Klub jest ciemny, poza kręgiem światła, w którym główna atrakcja programu wykonuje swój pokaz.

Widziałem występ z bananem tyle razy, że mnie już nudzi. Elizabeth Hatch patrzy jak zahipnotyzowana. Nagle mówi szeptem, jak gdyby chciała stworzyć więź między nami albo wynagrodzić mnie za spełnienie jej zachcianki:

— Jedna bomba w takim miejscu jak to i więcej nie musieliby dodawać. Popierasz Amerykę, zrujnujemy ci gospodarkę. Przecież wy nawet nie macie porządnego wywiadu ani sił bezpieczeństwa. Jak chcecie bronić swojego kraju? I my was też nie ochronimy, więc co z nas za sojusznik? — Nikły, litościwy umieszek, zmiana tematu, pruderyjny ton: — Czy to prawdziwe żyletki? Czytałam o tym w którymś przewodniku, ale nie uwierzyłam. Jak ona to robi, że się nie posieka na makaron?

— Tajemnica zawodowa. Mam przyprowadzić *mamasan*?

— Niech najpierw występ się skończy. Ależ ma piękne ciało.

CIA obserwuje występ, a ja dyskretnie kiwam na *mamasan* i szepczę do niej po tajsku. Nawet w Pat Pongu nie każda z dziewcząt jest bi, a chcę mieć Elizabeth Hatch po swojej stronie. *Mamasan* proponuje jednak kwotę, której oparłyby się tylko nieliczne. Przekazuję to CIA, która kiwa głową. Kiedy dziewczyna kończy pokaz, *mamasan* mówi coś do niej, a ona rzuca Elizabeth zaciekawione spojrzenie połączone z uwodzicielskim uśmiechem. Elizabeth odpowiada tym samym. Gdy dziewczyna jest już ubrana, podchodzi do nas, siada obok CIA i skłania głowę na jej ramieniu.

— Czy mam sobie iść? — pytam.

Tonem nabrzmiałym lubieżnością mówi:

— Zapytaj ją jeszcze, proszę, jeśli możesz, czy jest coś, czego nie robi.

Rozmawiam krótko z dziewczyną po tajsku.

— Nie ma niczego takiego — mówię. — Tylko nie sprawiaj jej bólu.

CIA patrzy mi w oczy.

— Czy powiedziałaś to, bo jestem Amerykanką, czy dla tego, że jestem kobietą, czy dlatego, że jestem lesbijką?

— Mężczyznom mówię to samo — odpowiadam z uśmiechem.

Wychodzimy we trójkę. Łapię taksówkę i patrzę, jak Elizabeth znika w jej wnętrzu ze swą zdobyczą. Już odjeżdżają, gdy nagle każe kierowcy stanąć i opuszcza szybę. Kiedy podchodzę, chwyta mnie za rękę.

— Bardzo ci dziękuję — mówi. — Przyznaję, że wcale nie jestem dumna z tego, co robię. Ale muszę trochę odechnąć.

— Rozumiem — uśmiecham się.

Zamyka okno.

— Zazwyczaj tak się nie zachowuję.

Dziewczyna obok niej, ubrana w czarną jedwabną bluzeczkę na ramiączkach i białą minispódniczkę odsłaniającą długie, brązowe nogi, patrzy mi pytająco w oczy. *Problem?* Kręcę głową: *Nie ma żadnego problemu, to tylko zwyczajny, zadyszany, laknący życia farang.* Taksówka odjeżdża.

Jest piętnaście po pierwszej, czyli trzy kwadranse przed zamknięciem barów. Na ulicy pełno ciał, w połowie już skojarzonych ze sobą i zdążających do okolicznych hoteli. Trafiają się wśród nich kobiety z Zachodu w towarzystwie miejscowych dziewcząt, lecz większość jest heteroseksualna. Jednakże Pat Pong znajduje się tylko kilka minut marszu od gejowskich barów po drugiej stronie Surawong. W Grand Finale Club panuje klimat podobny jak w Pat Pongu, tyle że na scenie są wyłącznie mężczyźni. Większość, w samych majtkach, to dwudziestolatkowie, ale jest też wielu starszych, ostrzejszych, twardszych. A tatuaże są wszechobecne,

Idę na drugą stronę ulicy, do czarnych gotyckich, wybijanych ćwiekami drzwi. To bardzo dyskretne wejście do No Name Bar, lokalu tak ekskluzywnego i znanego, że nie potrzebuje reklamy. Nie wpuszczają tu byle kogo, jednak ja,

dziecko ulicy, znam odpowiednią formułkę i krępy, wytatowany bramkarz odsuwa się na bok.

Otoczające scenę fotele mieszczą dość znaczną liczbę damskich tyłków, w większości japońskich, choć jest też trochę Tajek, pracujących dziewcząt na nocnej eskapadzie. Reszta klientów to biali, wszystko geje. Mężczyźni na scenie są nadzy; wybrano ich ze względu na piękno młodości albo kipiącą testosteronem postawę, albo rozmiary penisa, albo walory dekoracyjne ich tatuaży.

Przychodzę akurat na początek ostatniego aktu. Światła przygasają, z głośników płynie *Nights in White Satin* i na scenę wychodzi naga postać w czarnej katowskiej masce. Wszyscy, szczególnie Japonki, wydają jęk zachwytu nad jakością jego tatuaży, lśniących w świetle reflektora. Pojawiają się nagi chłopak i naga dziewczyna. Pracują nad jego członkiem, aż w końcu, gdy klimatyczna muzyka osiąga crescendo, sflaczałość znika i oczom publiczności ukazuje się bitwa o Midway. Nie wiem, czy dojrzał mnie, czy nie, ale nawet jeżeli tak, to obaj wiemy, że to bez znaczenia.

Opuszczam klub po dziesięciu minutach. Ulicą ledwie można się przecisnąć, wypełnia ją tłum uciekinierów przed godziną policyjną. Przystaję w wejściu do jednego z barów, wyciągam komórkę i dzwonię.

— Jeżeli ci dam moje serce, czy ty dasz mi swoje?—pytam.

— Jeśli zamierzasz umrzeć, to nie.

— Musimy go powstrzymać, przecież wiesz.

Drugie milczenie.

— To nie takie proste. Co chcesz zrobić?

— Mieszkać z tobą. Spać z tobą.

— Czy to wystarczy? — pyta z powątpiewaniem.

Serce mam w gardle.

— Warto spróbować, nie sądzisz?

Słysząc jęk i ona się rozłącza.

39

Jestem pewien, *farangu*, że twoja pokrętna moralność nakazuje mężczyźnie i kobiecie zatrudnionym w siłach policyjnych — gdy sytuacja (powiedzmy, obserwacja przestępcy lub pułapka) wymaga od nich z powodów strategicznych zostania kochankami na niby — żeby starannie się pilnowali, by ich udawane przytulanki nie zamieniły się przypadkiem w pełnospektaklową kopulację. Zgadza się?

Ach, chrzanić to. Chanya i ja w naszym maleńkim miłosnym gniazdku przy Soi 39 (bo tylko na to mogę sobie pozwolić w tej drogiej części miasta) bzykamy się jak norki. Jest nie tylko piękna, lecz również szczodra. Kimże ja jestem, żeby się z nią n i e kochać? Swej wyjątkowej urody nie zawdzięcza sobie, bo taka się urodziła, ale ta przyjacielskość, to łagodne zatroskanie wyrażające się w czułym dotyku, słodkich pieszczotach, zamierzonej dobroci — wszystko to pochodzi z jej duszy i musiałbym chyba być z kamienia, żeby się nie poddać. Niemniej częścią naszej pracy jest także obnoszenie się z tą namiętnością po *soi*, szczególnie wieczorami, kiedy japońskie kluby są już otwarte i *mamasan* stoją w drzwiach, lustrując bacznie ulicę. Za dnia nasze obowiązki mają bardziej praktyczny charakter.

Mieszkanie jest w tradycyjnym stylu, co oznacza, że mycie

odbywa się w wielkiej wannie na podwórzu. Tam też znajduje się podwójny palnik gazowy do gotowania, a w domu stoi jeszcze rozklekotany kredens. Łóżka nie było, kupiłem więc materace z gąbki. Uwielbiam ją najbardziej o poranku, gdy jeszcze śpiąca odwraca się na bok i wpuszcza mnie od tyłu. A może bardziej ją uwielbiam, kiedy jest taka napalona nocą? A może wtedy, gdy myje się na podwórzu, zasłonięta sarongiem przed oczami sąsiadów? Nie pytajcie. Miłość to rodzaj obłędu, który przenika każdą komórkę ciała. Doznania potęguje świadomość, że mogę umrzeć jeszcze przed weekendem. Komórki mamy cały czas włączone i co dzień sprawdzam w najbliższej kafejce internetowej, czy coś się nie pojawiło w sieci. Mija jednakże dzień za dniem i noc za nocą i atak nie następuje; nie pojawia się na ten temat ani jedno słowo. Może zanadto popadamy w samozadowolenie? Gdy przypominam sobie, że jestem policjantem, staram się jakoś z niej wydobyć istotne informacje. Zasadniczo chętnie się zgadza, ale z głębokimi cenzorskimi cięciami. Jej opowieść o drugiej części związku z Mitchem Turnerem przypomina historię Otella, lecz bez najmniejszej wzmianki o Jagonie.

Chanya wróciła do Tajlandii, kiedy świat wpatrywał się jak zahipnotyzowany w dwie wieże, rozpadające się wciąż od nowa na ekranach telewizorów. Miała w kieszeni sto tysięcy dolarów i nie zamierzała już nigdy sprzedawać swego ciała. Poza tym skończyła już dwadzieścia siedem lat i była trochę za stara jak na branżę. Zbudowała rodzicom nowy dom, kupiła im dwadzieścia bawołów, dzięki czemu mogli rozwijać hodowlę (zdecydowany postęp w porównaniu z ciężką pracą na polu ryżowym), posłała dwóch braci do najlepszych prywatnych szkół w Tajlandii, a wcześniej jeszcze pomogła swej bardzo inteligentnej młodszej siostrze podjąć studia biologiczne na uniwersytecie Chulalongkorn. Po zapłaceniu za to wszystko nie zostało jej wiele, ale też wiele nie potrzebo-

wała. Pod koniec pobytu w Waszyngtonie, ogarnięta nostalgią i wątpliwościami, postanowiła zrównoważyć złą karmę swej niemoralnej profesji poprzez poświęcenie reszty życia Buddzie. Chciała zostać *maichee*, buddyjską zakonnicą. Była królową swojej wioski, bożyszczem swych rodziców, postacią niemal niebiańską dla każdego, kto wiedział cokolwiek o życiu na tajlandzkiej wsi.

Starła się z całych sił nadrobić stracone lata, spędzając jak najwięcej czasu z rodzicami, szczególnie z ojcem, gorliwym buddystą, z którym zawsze łączyła ją silna więź. „Niczego nie pragnąc, oto ekstaza”, powiedział jej. Wiedziała, że dla niego lekarstwa/arangÓH' — dzięki którym mógł pożyć dziesięć lat dłużej — nie były tak do końca błogosławieństwem, bo przynosiły więcej zobowiązań niż radości. Nie rozumiał właściwie, po co ma sobie sztucznie przedłużać życie, i brał te leki z uprzejmości, żeby jej sprawić przyjemność. Chanya kupiła motorower Hondę i niemal co rano wozila go do świątyni na śpiewy, zazdroszcząc mu tej niewinności i w głębi ducha ślubując jakoś odzyskać własną.

Gdy nie jechała do *wai*, wstawiała przed świtem i przyglądała się swej kuzynce, którą знаła niemal od urodzenia. Jiap była w tym samym wieku co ona i niemal równie piękna, lecz nigdy nie kierowała nią ambicja czy pragnienie bogactwa. Żyła w beczasowych obszarach przydomowego rolnictwa. Chanya obserwowała tę matkę trójki dzieci, jak wyprowadza bawoły na pastwisko w porannej mgle, śpiewając zwierzętom cicho w dialekcie isaańskim, dokładnie tak samo jak w ich dzieciństwie i dokładnie z tą samą radosną lekkością. Nie dzielił ich już dystans geograficzny; to nie czas ani przestrzeń odseparowały Chanyę od Jiap, lecz niewidzialna szyba. W Ameryce ta pierwsza czuła się w porównaniu z poznawanymi ludźmi lekka i swobodna; tu czuła się przybita, zagnębiona i ociążała.

Ponury nastrój jednak dość szybko się rozwiewał i przez resztę dnia nawiedzały jej umysł zupełnie inne myśli.

W szczególności pojawił się pewien problem, o którym nikt w gospodarstwie nie odważył się z nią porozmawiać i w końcu któregoś popołudnia odwiedziła ją w tym celu delegacja z sąsiedniej wioski. Właściwie nie był to problem, lecz coś pozytywnego. Delegaci najwyraźniej należeli do ludzi o umysłach bardziej światowych niż u przeciętnego Taję.

Cichymi głosami, irytująco powoli wyłuszczając sedno sprawy, wytłumaczyli Chanyi, jak uzdolniona jest jej siostra. Zawsze najlepsza w klasie, dysponowała czymś więcej niż tylko samą bystrością; była to bez wątpienia inspiracja płynąca od samego Buddy. I bez dwóch zdań, z małą pomocą, gdyby miała sponsora... mogłaby bez problemu ukończyć tajską uczelnię medyczną. Tymczasem jednak...

Chanya, zmęczona już ich podchodami, dokończyła zdanie. Tajska uczelnia? Najlepsi lekarze w kraju mówili płynnie po angielsku, ponieważ wykształcili się w Stanach albo w Anglii. Trzeba by na to mnóstwa pieniędzy, ale jak wielka byłaby z tego korzyść dla kraju! Tajka z zapadłej wioski, rozumiejąca zdrowotne potrzeby ubogich, która mogłaby się pochwalić najlepszym lekarskim dyplomem na świecie. Podniosłoby to również status kobiet.

Chanya rozumiała doskonale sposób myślenia tych bardziej światowych wieśniaków, ponieważ sama też wracała czasem do tej myśli: miała przed sobą jeszcze kilka lat, podczas których mogłaby zarabiać pieniądze, o jakich większość jej rodaków mogła tylko pomarzyć. Później — jako niewykształcona dziewczyna z Surinu i eksprostytutka — nie będzie już miała innych możliwości.

Przeliczyła to sobie. Nie chciała wyjeżdżać z Tajlandii, ale wyszło jej, że to, co już zarobiła, plus rok lub trochę więcej w Bangkoku, powinno ją ustawić. Rok w tym całym układzie nie stanowił żadnej różnicy, zważywszy na zasługę wykierowania siostry na świetnego lekarza. Zdołała więc przekonać samą siebie, że Budda to zaaprobuje, i uwierzyła w dodatku, że potrafi to udowodnić matematycznie. Posłużyła się kal-

kulatorem, a rachunek wyglądał mniej więcej tak: średnia trzech mężczyzn tygodniowo przez dziesięć lat daje 1560, a przy dwóch numerach na klienta (jeden w nocy i jeden rano, żeby go wprowadzić w nastrój napiwkowy) wychodzi 3120 jednostek negatywnej karmy. Żeby ją zrównoważyć, jej siostra musiałaby uzdrowić tę samą liczbę ciężko i średnio chorych, co zdaniem Chanyi było do zrobienia w ciągu roku. Innymi słowy, w rewanżu za sponsorowanie siostry, Budda uwolni ją z karmicznych konsekwencji zawodu dziwki rok po uzyskaniu przez siostrę dyplomu.

Chciała dać sobie jednak trochę czasu. Ameryka wyczerpała jej siły bardziej, niż sądziła. Potrzebowała odpoczynku w tajskim stylu.

Dzięki przestrodze Mitcha opuściła Amerykę w takim pośpiechu, że nie zdążył jej nawet poprosić o adres domowy. Nie miał też jej telefonu, bo amerykańska komórka nie działała poza Stanami. Gdyby chciała, mogłaby zatrzaskać przed Mitchem drzwi na zawsze. Nie znalazłby jej w Tajlandii nawet kanałami CIA. I tego właśnie pragnęła: zerwać z Mitchem i jego przerażającym (choć jakże rozkosznym) szaleństwem na zawsze.

Przestawienie się z Zachodu na Wschód oznacza jednak zmianę tempa, która potrafi zbić człowieka z tropu. Popołudnia w jej wiosce były długie i upalne, a nikomu nie przychodziły do głowy inne zajęcia poza spaniem, grą w palanta albo piciem bimbrow. (Nie bez powodu nazywano ją Wioską Śpiącego Słonia). Nawet kuzynka Jiap grywała o miedziaki i piła zimne piwo. Chanya w dążeniu do bogactwa przyswoiła sobie częściowo kult celowości działania (*rób sobie co wieczór listę spraw — nauczał ją trzeźwy Mitch — które masz jutro do załatwienia. I pod koniec dnia sprawdzaj, jak daleko się posunęłaś w dążeniu do celu*), co po powrocie do kraju przekładało się natychmiast na odczucie niepokoju. Gdyby

mogła odczekać kilka miesięcy, ten niepokój szybko by zniknął i przystosowałyby się do pierwotnych rytmów swej ukochanej ojczyzny. Jednakże we wsi, dziesięć minut drogi motorowerem od jej domu, otwarto kafejkę internetową.

Mieściła się w domu w chińskim stylu, w sklepie, którego właścicielka poza sprzedażą horoskopów i mikstur miłosnych oraz udzielaniem astrologicznych porad finansowych parała się dla zarobku praniem, a w pewnym momencie zdobyła gdzieś kilka komputerów i podłączyła je do sieci. Chanya wiedziała, że w wielu wyszukiwarkach — choćby na Yahoo czy Hotmailu — może sobie założyć darmowe konto pocztowe. Mitch Turner także i tą drogą nie mógłby jej namierzyć.

Wówczas nie przyznawała się do tego, lecz później zdała sobie sprawę, że Mitch, przy wszystkich jego problemach, był spośród znanych jej mężczyzn najbliższy statusu prawdziwego kochanka. (Oczywiście Thanee był cudowny, ale dla niego była *mia noi*, a nie boginią). Nie była pewna, jak bardzo kochała Mitcha Turnera, lecz zrozumiała teraz, że jego namiętność była głęboko uzależniająca. Miała wrażenie, jakby jakiś żywotny element jej egzystencji został brutalnie amputowany. Coś w głębi serca nieustannie ją nękało i było to dla niej wrażenie równie nieznanne, jak dziwne.

Jej pierwszy e-mail do niego, na adres służbowy, był majstersztykiem powściągliwości:

Cześć, co u ciebie?

Odpowiedział po kilku minutach z prywatnej skrzynki:

Chanya? O Boże, gdzie ty się podziewała? Gdzie jesteś? Ja tu dostaję obłądu! Odkąd zniknęłaś, codziennie się modlę, codziennie rano i wieczorem siedzę w kościele, na ławce z tyłu i jak się nie modlę, to płaczę. Chanya, ja po prostu nie mogę bez ciebie żyć. Wiem, że jestem popieprzony, kochanie, że mam złe podejście do religii, że niczego nie rozu-

miem, że w pracy jestem hipokrytą, zresztą cały ten system to jeden wielki bajzel, wiem to wszystko, ale ty jesteś moim jedynym wyjściem. Przez te ostatnie tygodnie zrozumiałem jedno: tylko ty mnie możesz uratować. Po prostu muszę być z tobą. Zrobię wszystko, co zechcesz, i ty też będziesz mogła robić, co chcesz. Możesz się dalej kurwić, jeśli ci na tym zależy. Zamieszkamy w Tajlandii. Gdzie jesteś? Posłuchaj, mogę sobie załatwić przydział gdzieś tam u ciebie. Po tej historii z dwoma wieżami w Firmie jest istne szaleństwo. Kolesie zza biurka pójną każdym tropem, szczególnie jeśli podsunie go ktoś, kto zna Azję. Wystarczy, że się zgłoszę na ochotnika, powiem, że chcę posiedzieć gdzieś na tajskiej granicy, gdzie jest dużo muzułmanów, zebrać dane, zorientować się, co brodacze kombinują... Mogę tam być już za miesiąc, może szybciej. Wszyscy chcą teraz zbijać punkty na 9/11, a to bardzo dobrze wygląda w raportach, że udało im się kogoś wysłać na taką placówkę w głębokim Islamlandzie. Podaj mi swój numer komórki, najmiłsza, proszę.

A nie możemy sobie pogadać przez net?

Musisz mi dać swój numer. Wczoraj rozmawiałem z szefem, powiedziałem mu, że chcę jechać, i facet mi dziękował prawie na kolanach. W nagrodę musisz mi chociaż podać swój numer. Proszę, Chanya, ja tutaj umieram. PS. Oglądałem wczoraj *Simpsonów* w twoim zastępstwie. Homer został oficjalną maskotką drużyny baseballowej Springfield Isotopes, to był fajny odcinek.

Chanya poczuła, zupełnie tak samo jak na początku ich znajomości, że pociąga ją jakaś tajemnicza siła. Może to ta legendarna energia, która podobno cechuje Amerykanów? A może tylko zwykły kobiecy narcyzm, bo trudno było nie czuć się mile polectaną, kiedy mężczyzna pragnął cię tak bardzo, że zdecydował się porzucić Waszyngton i żyć na

jakim zadupiu w Trzecim Świecie tylko po to, żeby się znaleźć w tym samym kraju. Podała mu numer swojej tajskiej komórki i od tej pory telefon dzwonił bez przerwy. Sądząc po porach tych rozmów, Mitch Turner cierpiał chyba na bezsenność; zawsze też wychylał przedtem szklaneczkę wina, żeby oszczędzić jej tej ciężkiej, kaznodziejskiej i poważnej strony swej osobowości. Podpity, nawet przez telefon rozbrajał ją zupełnie. I nagle drugie, gorące, senne i nudne popołudnia w tajskiej wiosce zaczął wypełniać jej serdeczny śmiech.

Po kilku tygodniach zadzwonił do niej z miasta na drugim końcu Tajlandii, przy granicy z Malezją, którego nazwa, Songai Kolok, tylko obita się jej kiedyś o uszy. Wiedziała tyle, że to miasto burdeli, obsługujące muzułmanów przybywających tam całymi stadami z purytańskiej Malezji. Oczywiście elita prostytutek z Bangkoku spoglądała na tamtejsze kobiety z góry.

Po pierwszej rozmowie z Songai Kolok Chanya wyłączyła komórkę z mieszanymi uczuciami. Jak do tej pory ich telefoniczne spotkania były jedną wielką zabawą, odlotowym zastrzykiem amerykańskiego dowcipu, energii i optymizmu, bez najmniejszego śladu zaborczości, natarczywości, hipokryzji, kaznodziejstwa czy nietolerancji. Otrzymywała Stany Zjednoczone jak z reklamówki, ale nie była wcale pewna, czy Mitch potrafi utrzymać ten styl przy spotkaniu twarzą w twarz. Dlatego, pomimo jego błagalnych próśb, zdecydowała się na pierwsze odwiedziny na południu dopiero po miesiącu. Nadal też nie chciała mu podać swego adresu i prawdziwego nazwiska.

Spotkali się na dworcu autobusowym w Songai Kolok i od razu się zorientowała, że coś jest nie tak. Był wczesny ranek (jechała przez pół nocy), a Mitch był zupełnie trzeźwy. Z układu jego ust wyczytała, że wzięła nad nim górę ta zła

strona, pełna napięcia i zniechęcenia, pokawałkowana i rozpamiętująca. Lecz było w tym coś jeszcze — stracił na wadze i wyglądał na chorego. Pobyt w Songai Kolok wyraźnie mu nie służył. W rozmowie, którą prowadzili po drodze w taksówce, wymuskiło mu się nawet, że nienawidzi tego miejsca. Całkiem po prostu doskwierał mu głęboki szok kulturowy. Jedynym azjatyckim krajem, jaki znał do tej pory (w ogóle jedynym krajem, w którym był poza Stanami, kropka), była Japonia — a tam doświadczył raczej odwrotności szoku kulturowego. Japończycy bowiem wyprzedzali Amerykanów o kilka długości w organizacji codziennego życia i udało im się dokonać rzeczy niemal niemożliwej: pogodzenia starożytnej tradycji z kulturą supernowoczesnych gadżetów. W Japonii wszystko było lepsze niż w Stanach — jedzenie, higiena, nocne życie, kobiety, tatuaże... szczególnie tatuaże. Songai Kolok dla kontrastu było, nie ma co kryć, wychodkiem Trzeciego Świata.

Pokazał jej widok za oknem mieszkania, komisariat policji z przylepionymi do jego murów setkami bud, w których pracowały miejscowe dziwki.

— Widzisz to? Ja patrzę na to codziennie. — Wbija w nią agresywne spojrzenie. — Codziennie, rozumiesz?

No i co z tego? — pomyślała. Sam chyba nie był tego pewien, jednak jej serce ścisnął chłód, kiedy się okazało, że obserwuje to wszystko przez lunetę.

— Zawsze są uśmiechnięte, roześmiane. To takie... cholera, sam nie wiem.

— O co chodzi, Mitch? Jaki masz z tym problem?

— Jak one mogą to robić? — Pokręcił głową. — Dlaczego nie siedzą w piekle? Jak one tak mogą, zupełnie jakby wystarczyło wziąć prysznic i już po wszystkim, nic się nie wydarzyło? Jakby to były przyjacielskie przysługi — ona dostaje kasę, on ją przelatuje, nie ma sprawy. To po prostu... nie wiem...

Jadąc tu z Surinu, Chanya przesiadała się w Bangkoku, gdzie specjalnie z myślą o nim zajrzała do supermarketu na

przedmieściach i kupiła butelkę czerwonego kalifornijskiego wina, jego ulubionego. Na widok butelki skrzywił się, ale poszukał korkociągu, a ona znalazła w kredensie kieliszki, naląła mu zdrową porcję i patrzyła, jak pije. Chciała sprawdzić, czy magia wciąż działa. W pierwszej chwili wydawało się, że nie, wciąż kłął na tych plugawych młodych ludzi, którzy co wieczór zbiegali się jak zwierzęta do bud prostytutek. Ale stopniowo jego nastrój zaczął się zmieniać. W oczach pojawił się ogień, lekko zabarwiony obłędem, lecz i tak lepszy od depresji. I nagle już się uśmiechał. Klęcząc przed nią, gdy siedziała na kanapie, mówił:

— Cholerny ze mnie hipokryta, co?

— Tak.

— Wsiadłem znów na tego wysokiego konia, a tymczasem, czego teraz pragnę najbardziej na świecie?

— Przelecieć tajska kurewkę.

Szok w spojrzeniu, śmiech.

— Rany boskie, Chanya, co ze mną jest nie tak? Z czym ja właściwie nie mogę sobie poradzić?

Nie powiedziała: *z rzeczywistością*. Prawdę mówiąc, sama też była mocno podniecona. Od pięciu miesięcy w ogóle nie uprawiała seksu, a pamiętała doskonale jego niezwykle wigor po alkoholu. Pozwoliła mu się rozebrać.

Po znakomitym jak zwykle występie Mitch wybuchnął nagle płaczem.

— Jestem taki popieprzony, kochanie. Przepraszam. Może to jednak jest błąd. Nie chcę znów widzieć, jak cię dręczę. Może ja jestem po prostu kompletnym świrem i nie nadaję się do życia?

Zanurzyła dłoń w jego włosach i nic nie odpowiedziała.

Jej pierwsze odwiedziny trwały trzy dni i w tym czasie Chanya zaczęła rozumieć, co się z nim stało. W jego umyśle dokonał się ten sam cykl co w Waszyngtonie, z istotną

wszakże różnicą. W Stanach praca go pochłaniała, miał nad czym dywagować, godzina za godziną, dzień po dniu; to prawda, że wychodząc z pracy i przygotowując się do zmiany osobowości, był raczej w kiepskim nastroju, wciąż jednak towarzyszyło temu uczucie, że dokądś zmierza, że coś osiągnął, że jest w tym jakiś postęp. Innymi słowy, w Waszyngtonie miał przed sobą cel, a dla Amerykanina nie ma wyższego boga. W Songai Kolok ten cel zniknął; to, co powiedział na temat wyjazdu swemu szefowi, było tylko wymówką i stało się to jasne już pierwszego dnia. Jako bystry obserwator od razu zrozumiał, że to miasto burdeli jest odporne na islamski fanatyzm choćby z tego powodu, że opanowane było przez muzułmańskich dekadentów, którzy umieli sobie poradzić z wichrzycielami. Dlatego co wieczór obserwował budy. Uczynił z tego swój nowy cel. Ten widok kłuł go w oczy. Czasem do dziewczyn przychodzili policjanci w pełnym umundurowaniu, by pogawędzić i pośmiać się przy piwie, a kiedy zjawiał się klient, przyłączał się do rozmowy i wyglądało to wszystko jak jedna wielka impreza, podczas której ludzie są kompletnie pozbawieni poczucia winy. Co do facetów, to młodzi muzułmanie odnosili się do prostytutek wyjątkowo uprzejmie i wręcz z szacunkiem. Dziewczęta nie wyglądały z kolei na osoby żyjące na najniższym szczeblu feudalnego społeczeństwa, nie przejawiały w ogóle kompleksu niższości. Przeciwnie, wydawały się szczęśliwsze od przeciętnego trutnia zza firmowego biurka. Właściwie były o wiele pogodniejsze od wszystkich jego znajomych w Stanach i w Japonii, a ich wesołość w żadnym razie nie wyglądała na wymuszoną czy chwilową. Ktoś uboższy duchem nie byłby może tym wszystkim tak wstrząśnięty, ale Mitch, co mu trzeba przyznać, dostrzegł w tym głębsze znaczenie. Ci chłopcy byli muzułmanami, odpowiednikami pobożnych chrześcijan (tyle że wszyscy w myckach i wąsaci), a jednak grzeszyli sobie wesoło, jakby w ogóle się nie przejmując skutkami takiego postępowania dla nieśmiertelnej duszy. O co tu chodziło?

Odpowiedzi udzieliła mu Chanya, weteranka zmagają na tym odwiecznym polu bitwy, zwanym zachodnim umysłem:

— Żaden z nich nie czuje się ważny, Mitch.

Zamrugął ze zdumienia. Cholera, to prawda. Nie przyszło mu do głowy, podobnie jak tym młodzieniaszkom, że w porządku świata czuli się zupełnie nieważni. Był to oczywiście błąd typowy dla ludzi prymitywnych, którzy nie otrzymali jeszcze wielkiego daru: ego.

Patrząc inaczej: oczywiście z czasem to wszystko się zmieni, nawet Songai Kolok zacznie wyglądać i funkcjonować jak normalne miasto — gdy tylko ten niewdzięczny świat zostanie oświecony, a cały brud zostanie zamieciony... pod dywan. Tymczasem jednak całe to niemoralne, chore zjawisko zdawało się rozrastać. Od jego przyjazdu zdążyło już pod murem komisariatu wyrosnąć pięć nowych bud, widział to przez lunetę. To miasto kwitło. Rozkwitało dzięki seksowi. Muzułmańskiemu seksowi. I nikt, u diabła, nic z tym nie próbował zrobić.

Chanya patrzyła, jak udreka pojawia się na jego twarzy i znika, i w końcu powiedziała coś, co można z pewnością uznać za kwintesencję całej jej intuicji dotyczącej Mitcha Turnera, białych mężczyzn i zachodniego umysłu:

— Ale gdybyś się tak tym nie dręczył, to nie byłoby żadnej różnicy, co?

Tego dosłownie nie mógł już znieść. Ta koncepcja, że gdyby nie jego wewnętrzne rozdarcie, zupełnie zbędne, niczym by się nie różnił od tych napalonych młodych muzułmanów, od tych kurewek i policjantów z Songai Kolok — była nie do przyjęcia. Zachód był wprawdzie skonstruowany głównie z luster i zasłon dymnych, ale to właśnie takim ludziom jak on — walczącym o najwyższą stawkę — najtrudniej było przełknąć tę dość oczywistą prawdę. Mitch uciekł tym razem w próżność, zaczął oglądać w lustrze swoje ciało i mruczeć coś na temat tatuażu, jaki zamierzał sobie sprawić.

Chanya otworzyła więc butelkę wina, wręczyła mu kieliszek i czekała, aż jego kardynalny problem nieco się rozpuści, aż będzie mógł zapomnieć o swym celu i zacząć się z siebie śmiać. Ów cel wrył się jednak w jego świadomość tak głęboko, że jedynym na to lekarstwem stał się alkohol. W każdym razie ona, jak dotąd, innego nie znalazła. Problem: gdy wino przestawało działać, ponury nastrój Mitcha jeszcze się pogłębiał. I jeszcze jedno: tym razem Mitch 1 i Mitch 2 zamieszkiwali jego ciało równocześnie, odbijając między sobą jego umysł tam i z powrotem, niczym na jakimś wewnętrznym korcie tenisowym. Chanya nie mogła wiedzieć, że jest to znaczący etap postępującej psychozy. Jako Tajka dostrzegała również zabawną stronę sytuacji. Miała wrażenie, że raczej rozbroiła tego wielkiego, muskularnego, błyskotliwego i niezwykle ważnego człowieka, powodowana jak najlepszymi intencjami. Jakim cudem miała się domyślić, że w rzeczywistości jest taki delikatny?

Nie ulega jednak wątpliwości, że jej odwiedziny wyszły mu na dobre. Nawet zupełnie trzeźwy, gdy zegnał ją na dworcu autobusowym, miał zdrowszy błysk w oku i mniej zmatowiałą skórę. Chanya jednakże nie wiedziała, kiedy znów przyjedzie. Nie chciała mu obiecywać niczego konkretnego, a on choć raz zachował się jak mężczyzna i nie protestował. Tej samodyscypliny starczyło mu akurat na czas jej podróży. Gdy wysiadała z autobusu, w torebce zaczęła dzwonić komórka.

I tak to się toczyło. Spełniały się jej najczarniejsze obawy. Mitch dzwonił codziennie. Kiedy nie odbierała, dręczyło ją poczucie winy i lęk o to, co może się dzieć z jego umysłem. (W końcu to z jej powodu znalazł się w tej zabitej dechami dziurze). Gdy z kolei odbierała, uwodził ją swym błyskotliwym dowcipem i taką rozluźnioną atakował nagle żądania-
mi ponownych odwiedzin albo podania adresu, żeby on mógł przyjechać do niej.

Chanya, weteranka tysiąca spotkań z mężczyznami, nie potrafiła się połapać w zawilosciach miłości i poczuła po-

trzebę odwołania się do pradawnej wiedzy. Stara wiedźma, właścicielka wiejskiego sklepu z kafejką internetową, zdawała się czytać w jej myślach. Dziewczyna wytłumaczyła jej, że nie potrzebuje miłosnej mikstury, lecz raczej czegoś na uspokojenie dla mężczyzny. Był *farangiem*, przyznała, z całą tą farangowską, pobudliwą psychiką, niezdolną do przyjmowania życia takiego, jakie ono jest. Dlaczego taki był? Najwyraźniej pragnął zmienić ją w Amerykankę — skolonizować, można by rzec, jak gdyby była ubogim krajem, któremu trzeba pomóc w rozwoju. Jej opór wobec tych prób psychicznej inwazji doprowadzał go do szału. Co gorsza nie dało się ukryć, że jej umysł funkcjonował lepiej niż jego. Nie dorównywała mu oczywiście wykształceniem, lecz potrafiła za to bez trudu odczytywać jego niezbyt skomplikowane nastroje, podczas gdy sama była dla niego właściwie nie do zgłębienia. Prawdę mówiąc, zupełnie go nie interesowało jej wnętrze. Można to zrozumieć, wołał nie myśleć, w jaki sposób zarabiała na życie. Ale to także uznała za idiotyzm. Skoro jej praca stanowiła dla niego taki problem, to czemu przejechał pół świata, żeby z nią być? To właśnie był cały on, umysł głęboko podzielony, fatalnie zauroczony tym, czego nienawidził (albo zdawało mu się, że nienawidzi), napędzany pragnieniem przekształcenia Chanyi w kogoś, kogo by pozornie pragnął, a w gruncie rzeczy nie cierpiał. Oczywiście w momencie, gdy zmieniłaby się w Amerykankę, natychmiast poczułby się nią znudzony i zniesmaczony. No i jest chrześcijaninem, dodała na koniec.

Stara kobieta niezbyt dobrze знаła chrześcijan, wiedziała jednak to i owo na temat zaczadzonych mężczyzn, czy to *farangów*, czy miejscowych. Jej pokolenie, żyjące w pobliżu granicy z Kambodżą, znało jedno niezawodne lekarstwo, uniwersalny lek, który *farangi* w swej ignorancji zepchnęły do podziemia. W tamtych czasach, gdy się złapało grype, wpadło w depresję, potrzebowało środka znieczulającego czy tylko chciało wzbogacić ugotowaną na obiad zupę, natura

dostarczała odpowiedniego środka w postaci maku. Spróbuj opium, brzmiała rada wiedźmy. Dodaj mu trochę do wina albo jedzenia. Jak już mu się spodoba, naucz go palić. Po opium jeszcze nikt nikogo nie skrzywdził, nie było po nim kaca i nie powodowało przykrych zmian nastroju jak alkohol. Ona sama miała kiedyś za męża alkoholika brutala, wszelkie napoje wytworzone drogą fermentacji były jej wstrętne i najchętniej by je zdelegalizowała. W jej sklepie alkohol był zakazany, łącznie z piwem. Sprzedała Chanyi kilka gramów opium i fajkę, pokazała, jak ją nabić, a także jak dodawać narkotyku do jedzenia lub wina. Przy kolejnej rozmowie z Mitchem Chanya zgodziła się przyjechać do niego za tydzień.

Przez całą niekończącą się podróż autobusem na południe czuła skurcz w żołądku. Nienawidziła go za to. Jeśli tak miała wyglądać miłość, to ona posmakowała jej już w nadmiarze. Bała się jego nastroju przy powitaniu, bo tak jak poprzednio miała się znaleźć w Songai Kolok wczesnym rankiem.

Trudno było powiedzieć, czy jest lepiej, czy gorzej. Gdy się spotkali, był nieogolony, miał mętny wzrok, wyglądał na wyczerpanego. Przeraziło ją spustoszenie, jakie się w nim dokonało w tak krótkim czasie, lecz z drugiej strony przynajmniej jej nie nękał. Był wręcz przepraszający, jak nie on.

Wyznał jej, że poprzedniego wieczoru wziął kilka tabletek *yaa baa*. Po godzinie efekt działania metamfetaminy okazał się tak przerażający (silne paranoiczne wizje, pokusa wyskoczenia przez okno), że kupił butelkę taniej tajskiej whisky i wypił całą. Prawdopodobnie uratowało mu to życie, ponieważ zaczął wymiotować. Mety nie miesza się z alkoholem, wyjaśniła mu. Mógł się po prostu zabić. Obojętnie wzruszył ramionami i uśmiechnął się jak obłąkany. Niebywałe jak na Amerykanina, ale nie umył nawet zębów i miał cuchnący oddech.

— No i co z tego? I tak już czuję się jak martwy. Niszczysz mnie, Chanyu. Nie wiem, jak to robisz ani dlaczego. A ty wiesz dlaczego? Bo nienawidzisz Amerykanów? Sprzymierzyłaś się z naszymi wrogami?

— Mitch! — Zakryła dłonią usta. I po chwili dodała: — Odchodzę.

— Nie, nie, najdroższa, proszę. Wcale tak nie myślę, tylko żartowałem, udawałem paranoika, to taki amerykański humor, nie zrozumiałaś. Nie odchodź, błagam, zostań. Jak odejdziesz, to się zabiję, przysięgam.

Kłęczał przed nią, obejmując mocno jej nogi, jak gdyby to go miało ocalić od katastrofy. Pomyślała o opium, które miała w torebce.

— Napij się wina, Mitch. Uspokój się, nie szalej. Myślisz, że przejechałam taki kawał drogi, żeby być z szaleńcem?

Patrzyła, jak pije wino z domieszką opium. Zastanawiała się, czy rzeczywiście to ona go niszczy. Przecież nauczyła go pić. A teraz jeszcze to opium. Był to zapewne półśrodek, lecz atmosfera w jego małym mieszkaniu stała się tak klaustrofobiczna, obłęd w jego oczach tak przerażający, że wszystko wydawało się lepsze od tego. To po prostu udzielanie pierwszej pomocy, tłumaczyła sobie. Poza tym ratowała własną skórę. Ten *farang* mógł być na dnie, lecz jego ciało jeszcze nie straciło mocy.

40

No, przyznaj, *farangu*, zawsze chciałeś spróbować opium, czyż nie? Oczywiście tylko uncyjkę, żeby zobaczyć, jak to jest, prawda? I oczywiście nie przy rodzinie, nawet nie przy kolegach, którzy mogliby coś chlapiąć szefowi akurat w przeddzień awansu, ale gdyby trafiła się okazja, dla eksperymentu, na przykład na wakacjach, na które pojechałeś sam — za zgodą partnera, żeby spróbować odnaleźć siebie na nowo przy okazji kryzysu wieku średniego (albo kryzysu małżeńskiego, albo kryzysu wartości...) — powiedzmy, do jakiegoś dalekiego kraju, może w Azji Południowo-Wschodniej? Opium... samo to słowo ma uwodzicielskie brzmienie, zgodzisz się? Jakże kuszące, jakże dosłowne, jakże szczególne — a to rzadkość w dzisiejszych czasach.

Organizowane są specjalne opiumowe wyprawy w rejon granicy birmańskiej i laotańskiej, choć oczywiście nikt tego tak nie nazywa. Przygoda to właściwe słowo. W ofercie jest jazda na słoniu przez dżunglę, rafting po rzece na bambusowej tratwie, tyle gandzi, ile zdołasz wypalić, i kilka wieczorów specjalnych, gdy siedzisz w rozchwierutanej chatce z bambusa (znanej ci doskonale z filmów o Wietnamie), dzieląc się fajką, albo dziesięcioma, z malowniczymi tubylcami i ich kobietami (których dzieci, z powodów zagrzeba-

nych w historii, znają na pamięć całe „Panie Janie” po francusku i śpiewają je przy byle okazji). A czemużby nie? Opium nie uzależnia tak jak telewizja, ten największy zaśmieczacz ludzkich umysłów. Biały człowiek handlował nim namiętnie od wieków, prowadząc nawet słuszne wojny — w obronie swej świętej powinności ulżenia ciężkiej doli miliardów Azjatów — z narkotykiem już uznanym za niebezpieczny dla białej rasy (dzwoni gdzieś tam, Philipie Morrisie?). Dzisiaj o wiele większe zyski czerpie się z antydepresantów na receptę i z kina domowego... zastanów się nad tym.

Chanya obserwowała jego reakcję na opium z odrobiną tajskiego chłodu (może dla ciebie to odpychające, *farangu*, lecz dla mnie wręcz urocze). Do mózgu Mitcha najpierw dotarł alkohol, ze zwykłym skutkiem. Nastrój mu się zmienił, zaczął z nią żartować, a potem ją rozebrał. Wzięli wspólnie rytualny prysznic (nazywał to „higieną kurestwa”) i magia jej ciała znów zrobiła swoje. W takich momentach, nie było co do tego wątpliwości, okazywał jej dosłownie boską cześć. W jego miłosnym szepcie pobrzmiwał taki szacunek, w westchnieniach ulgi, jaką przynosiło rozgorączkowanemu umysłowi ich spółkowanie, było tyle wdzięczności, jego zachwyt nad jej pięknem był tak głęboki (szczególnie gdy się uśmiechała), że nie mogłaby określić tego cynicznym mianem zwyczajnej żądz. Na której kobiecie nie zrobiłoby to wrażenia? Uderzało do głowy, było lepsze niż filmy i przede wszystkim prawdziwe.

W chwili gdy nakrył jej ciało swym muskularnym udem, by jej dosiąść, wydał nagle powolny, niedowierzający jęk głębokiej satysfakcji, jak człowiek, który nagle zrzucił klątwę ciążącą nad całym jego życiem. Jego prawa noga leżała na jej udach, Chanya mogła więc poczuć, jak stopniowo rozluźniają się jego mięśnie. Otwierały się jeden po drugim niczym kwiaty, oddając swą chorą energię, owo gorączkowe chwytanie, które Budda rozpoznał jako źródło wszelkiej karmy,

a tym samym wszelkiego cierpienia. Była tak zaskoczona i pod takim wrażeniem (stara wiedźma naprawdę знаła się na rzeczy), że chciała tylko tak sobie leżeć, jak gdyby sama także wzięła opium. A potem potężne męskie tornado nagle odeszło i przeżyła to katharsis na równi z Mitchem. Leżeli tak przez pełnych dziesięć minut; on patrzył w muszlę jej ucha, ona słuchała rozluźnionego, głębokiego oddechu człowieka, którego umysł chwilowo zaleczył swe straszliwe rany. Jego udręczona twarz powlekła się maską spokoju.

Trudno by było przecenić wrażenie, jakie to na niej wywarło: ujrzała nagle normalne, ludzkie oblicze. Przez ponad rok trwała w przekonaniu, że ten dziwny olbrzym jest istotą — *farangiem* — o wnętrzu zupełnie innym od wszystkich znanych jej osób. Teraz zaś była świadkiem transformacji, w której powracał do człowieczej rodziny — co nieuchronnie prowadziło do wniosku, że wszystko, co wydarzyło się przedtem, było swoistym obłudem, prowadzącą donikąd iluzją umysłu *faranga*, żywym przykładem niedojrzałości całego społeczeństwa. Przeżyła szok. W końcu udało jej się łagodnie zepchnąć jego nogę i odwrócić go na wznak. Obejmował ją jeszcze przez chwilę, patrząc niewidzącym wzrokiem w jej oczy.

— Marge — wyszeptał.

— Tak, Homerze — odparła, starając się naśladować postać z filmu, pomimo tajskiego akcentu.

Zachichotał bezgłośnie, odpływając w jakąś intrygującą zagadkę, dokąd nie mogła mu towarzyszyć. Podłożyła mu pod głowę poduszkę, owinęła się ręcznikiem i zostawiła śpiącego. Po ośmiu godzinach obudził się cudownie odświeżony i wyjątkowo łagodnie usposobiony.

— To opium — powiedziała mu. — Dodałam ci opium do wina.

Ta informacja wcale nie popsowała mu nastroju. Stara wiedźma miała rację — poprosił o jeszcze.

41

To bardzo w stylu *farangów*, znaleźć w życiu jakąś przyjemną odskocznnię od codzienności, a potem zniszczyć ją przez nieumiarkowanie. W złotych czasach opium palący dżentelmen ograniczał się do kilku wieczornych fajeczek i mógł dożyć setki, wypełniając z zadowoleniem swe codzienne zadania, gdyż wiedział, że pod koniec dnia czeka go egzotyczny odpoczynek od światowych spraw. (Jeden Budda wie, *farangu*, skąd ci się wziął ten pomysł, że niezakłócona monotonia umysłu zaprzątniętego zwykłymi czynnościami to coś zdrowego i normalnego). Nikt nie uważał wtedy, że mak stanowi odpowiedź na życiowe problemy; każdy doskonale rozumiał, że to tylko przerwa w niekończącej się aktywności umysłu. I nikt nie oczekiwał, że będzie na haju przez cały dzień.

Po opiumowym debiucie Mitcha Chanya odwiedziła go jeszcze kilkakrotnie. Narkotyk niemal ją zastąpił w roli głównego obiektu jego zainteresowania. I wciąż prosił o więcej. Stał się ekspertem w używaniu fajki, a ona przyzwyczaiała się do jego zmętniałych oczu, wpatrzonych gdzieś w bliską przestrzeń. Plusem była jego wielka łagodność i wdzięczność. Z głębi tej łagodności wyłaniał się doskonały kochanek i partner, chociaż ich życie seksualne straciło na intensywność.

ności — co też prawdopodobnie nie było takie złe. Zasmakowała w tych długich, głęboko satysfakcjonujących okresach ciszy, gdy tak typową dla *farangów* obsesję wypełniania przestrzeni dźwiękami zastępowała wzniosła pustka.

Przy każdych odwiedzinach przywoziła mu więcej opium, lecz z coraz bardziej ściśniętym sercem. Starą zaczęły niepokoić zużywane przez *faranga* ilości. Nie uważała siebie w żadnym razie za handlarkę opium — raczej udostępniała potrzebującym lek ziołowy, należący od dawna do jej kultury. Była to część jej roli jako wioskowej baby jagi. W końcu przestrzegła Chanyę, że już niczego jej nie sprzeda. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby zaczął ją nękać jakiś farangowski urząd zwalczania narkomanii albo miejscowa policja domagająca się okupu. Chanya postanowiła oznajmić Mitchowi, że musi przestać, bo jej źródło opium już wyschło. Choć raz, pomyślała, los stanął po jej stronie.

Podczas następnej wizyty Mitch opowiedział jej o dziwnym wydarzeniu, choć trudno było wyczuć, ile w tym prawdy, a ile zmyślenia. On w każdym razie wydawał się w to wierzyć i widać było, że cała historia głęboko go poruszyła.

Tydzień wcześniej wrócił wieczorem do domu z kolejnej niekończącej się włóczęgi po mieście, które znał już jak własną kieszeń, i kiedy wsunął klucz do zamka, okazało się, że drzwi są otwarte. Prawdę powiedziawszy, wcale nie był pewien, czy je w ogóle zamknął, bo od ciągłego brania różnych odurzających substancji popadł w roztargnienie. Jednak gdy wszedł do środka, dwie pary rąk chwyciły go mocno, wciągnęły do pokoju i zamknęły za nim drzwi.

Scena, jaką ujrzał, przypominała tak dokładnie jego najgorsze senne koszmary, że na chwilę sparaliżował go strach. Dwaj młodzi mężczyźni, którzy go trzymali, byli to krępi Malajowie w myckach. Na podłodze siedział chyba jakiś imam, z długą siwą brodą, w muzułmańskiej szacie i ozdobnej

czapce. Wokół niego rozsiadło się z piętnastu innych, głównie w średnim wieku, wszyscy w myckach, najwyraźniej jego uczniowie. Malajowie zmusili go, żeby też usiadł na podłodze, twarzą do imama.

Kiedy opadła pierwsza fala paranoicznego lęku, gdy ledwie mógł oddychać, wróciła część wpojonej treningiem rutyny i przyjrzał się całej grupie, wypatrując broni. Nie dostrzegł jej; nawet dwaj młodzi strażnicy byli nieuzbrojeni. Po latach spędzonych w siłowni Mitch miał wciąż w sobie tyle siły, że prawdopodobnie mógłby się z nimi uporać i uciec. Ta myśl musiała zaświtać również w głowie imama i jego towarzyszy, gdyż zaczęli mu pokazywać otwartymi dłońmi, żeby jednak nie wstawał. Szybko ocenił sytuację. Gdyby zamierzali go zabić, mogli to zrobić w dowolnej chwili. Jeżeli nawet stąd ucieknie, bez trudu mogą go załatwić, zanim dotrze na lotnisko w Hat Yai — innymi słowy, zanim zdąży opuścić muzułmańską Tajlandię. Nerwy miał mocno nadwreżone od opium i prochów, lecz opanował się na tyle, żeby usiedzieć na miejscu. Próbował nawet przygotować się wewnętrznie na śmierć. Wśród najgłębiej skrywanych, najświętszych obietnic danych samemu sobie była również i ta, że przynajmniej umrze jak odważny Amerykanin, nawet jeżeli żył nie najlepiej. Stać cię chociaż na tyle, powiedział sobie w duchu, choć serce waliło mu jak młot.

Poczucia własnej wartości Mitcha nie podniósł bynajmniej imam, który intuicyjnie wyczuł głębię jego strachu i uśmiechnął się cokolwiek protekcyjnie, jak do zaleknionego dziecka. Pozostali mężczyźni — wśród których rozpoznał szanowanych i wpływowych obywateli Songai Kolok, między innymi bogatych hotelarzy — również wykonywali uspokajające gesty. Kiedy już było pewne, że Mitch nie spróbuje ucieczki, jeden z młodych strażników usiadł z szacunkiem koło imama.

— Niechaj nam pan wybaczy, panie Turner — zaczął duchowny — ale obawiam się, że gdybyśmy nie przeprowa-

dzili naszego spotkania w taki sposób, nie uszłoby to uwagi pewnych kręgów i pańskie życie, nie mówiąc już o naszym, znalazłoby się w niebezpieczeństwie. Przyszliśmy tutaj, panie Turner, żeby pomóc panu przeżyć. My nie zamierzamy pana skrzywdzić, lecz chcemy pana przestrzec również w naszym własnym interesie, jak się pan zaraz przekona. — Kasznięcie i dziwny gest, który zapadnie Mitchowi w pamięć: imam miał zwyczaj przesuwać dłonią w powietrzu falistym ruchem, jak gdyby głaskał niewidzialnego kota. — Wiemy, że pracuje pan dla CIA i pańskim zadaniem jest szpiegowanie tutejszych muzułmanów, a szczególnie fanatyków z Malezji i Indonezji, potencjalnych członków Al-Kaidy lub innych organizacji terrorystycznych. Proszę mi wierzyć, panie Turner, że do pewnego stopnia sympatyzujemy z pańską sprawą, choć nie z metodami, jakimi posługuje się pański kraj. — Łagodzący gest dłoni. — W każdym razie nie przyszliśmy tu pana nawracać, lecz tylko pomóc. Czy pan naprawdę sądził, panie Turner, że pańska obecność tutaj pozostała niezauważona przez świat muzułmański w Azji Południowo-Wschodniej? Nikt oczywiście nie uwierzył w historyjkę o pańskiej pracy w branży telekomunikacyjnej, a pańskie nazwisko, a nawet fotografia zostały szeroko rozpowszechnione naszymi kanałami. Jak pan myśli, ilu młodych fanatyków byłoby bardziej niż szczęśliwych, gdyby mogło pana zlikwidować w samobójczym zamachu? Kontaktowały się już z nami trzy takie grupy z Indonezji, dwie działające z terenu Malezji, a także miejscowi tajscy muzułmanie. Wszyscy są wściekli z powodu pańskiej prowokacyjnej obecności w Songai Kolok. Jest pan człowiekiem inteligentnym, panie Turner, nawet bardzo, więc chyba nie muszę panu tłumaczyć, jakie korzyści odniosłaby klasa rządząca w pańskim kraju z prowadzenia ustawicznej wojny z islamem. Ropa i broń, panie Turner. Czyż nie jest prawdą, że Ameryką o wiele łatwiej się rządzi, gdy znajduje się w stanie wojny? — Kolejna pauza. — Pozwoli pan, że zacytuję pewnego bardzo mądrego Amerykanina: „Ameryka

to olbrzym, ale ułomny". Tak, tak, panie Turner, nie tylko wy potraficie zakładać podsłuch w Internecie, niech pan nie zapomina, że części do waszych urządzeń produkuje się właśnie w Malezji, tuż za granicą.

Długie milczenie, podczas którego Mitch Turner usiłował objąć to wszystko rozumem: przecież ten cytat pochodził z e-maila, którego wysłał do bliskiego przyjaciela w Stanach!

— My nie chcemy wojny, panie Turner — ciągnął imam. — Cieszy nas to, że jesteśmy obywatelami Tajlandii. Jednak jesteśmy także muzułmanami, a nie muszę panu chyba tłumaczyć, jacy bezwzględni potrafią być tajscy buddyści, gdy uznają, że integralność ich królestwa jest zagrożona. Jeśli zostanie pan zamordowany tutaj, na południu, panie Turner, Waszyngton podniesie wrzask na cały świat. Na rząd Tajlandii będzie wywierana potężna presja, a przecież już istnieją plany internowania muzułmanów w obozach, jeśli stan bezpieczeństwa kraju się pogorszy. To oczywiście byłby początek końca, nie tylko dla nas, ale w ogóle dla pokoju w Azji Południowo-Wschodniej. Nie sędzę, żeby pański rząd w ogóle się tym przejmował. — Chwila namysłu. — Chcemy, żeby opuścił pan Songai Kolok, panie Turner. Jeżeli nie chce pan ratować własnej skóry, to proszę to zrobić dla nas. Z tego, co wiem, jest pan pobożnym chrześcijaninem, prawda? Wie pan z pewnością, że w islamie głęboko poważamy Chrystusa. A więc w imię Chrystusa, niech pan wyjedzie. — Patrząc Mitchowi prosto w oczy, dodał: — Niech pan podąża za swym pragnieniem śmierci w jakimś innym kraju, panie Turner. Dzięki temu tylko pan stanie się ofiarą, a nie połowa świata.

Po tych słowach imam wstał i z wielką godnością ruszył do wyjścia, prowadząc za sobą pozostałych. Zatrzymał się przy drzwiach.

— Zachód ma mnóstwo problemów, panie Turner, ale wśród nich jest jeden, przez który może zostać zniszczona cywilizacja. Mam na myśli waszą niezdolność do przyznania się, że możecie nie mieć racji.

Mitch Turner został sam. W budach wokół komisariatu noc właśnie się rozkręcała, a on drżał cały pod wpływem szoku. Zaczął krążyć po mieszkaniu; w głowie mu szumiało i dopiero po pięciu minutach spostrzegł leżącą na nocnym stoliku paczkę, owiniętą piękną zielono-złotą tkaniną i przewiazaną złotą wstążką. W tych okolicznościach bomba była mało prawdopodobna, lecz nerwy miał tak zszargane, że potrwało chwilę, zanim otworzył pakunek. W środku znalazł dużą bryłę czarnego, lepkiego opium, o wiele większą od największej porcji przywiezionej przez Chanyę.

— Wiedział, że myślę o śmierci; wyczuł to we mnie — mruknął do siebie, nabijając fajkę.

42

Chanya nie mogła wręcz uwierzyć, jaki zły obrót przybrały sprawy. Mitch Turner uzależnił się od opium, i to z jej winy.

Wzruszyła ramionami w geście typowym dla Tajów. Karma to karma. Być może nie powinna zapoznawać go z tym narkotykiem, lecz obsesyjne zachowanie, będące właściwą przyczyną uzależnienia, pochodziło z głębi jego osobowości. Za to nie była żadną miarą odpowiedzialna. Działała w najlepszej wierze, ale, jak mówią buddyści, tak naprawdę można pomóc innym istotom tylko w jeden sposób: wspierając je na ścieżce do oświecenia. Cała reszta to zwykłe folgowanie swoim pragnieniom. Chanya poczuła, że musi z tym skończyć. Tak czy inaczej podjęła już decyzję powrotu do pracy w naszym klubie.

W efekcie ona, z tajską prostotą w pigułce, zmieniła kartę SIM w swojej komórce i przestała mu odpisywać na e-maile. On natomiast, z amerykańską determinacją człowieka w kleszczach obsesji, znalazł ją kilka miesięcy później w Old Man's Club.

Chanya nie miała niczego przeciwko barowi mojej matki, lecz dla niej był to jednak regres, powrót do stanu umysłu, od którego już się jej właściwie udało uciec. Nie miała też

niczego przeciwko klientom, ponieważ w całej swej długiej karierze trafiła może na pięciu czy sześciu, z którymi był jakiś problem, i wiedziała, jak sobie z tym poradzić. Przede wszystkim jednak nękała ją poczucie poniżenia. Dwadzieścia dziewięć lat to nie to samo co dziewiętnaście. To już nie ten wiek, że można bawić się w tę grę niejako po drodze do dorosłości. Gdy tylko mogła, unikała fellatio. Niby nic takiego, po prostu robiła dobrą minę do złej gry. Smutna dziwka to przegrana dziwka. Klienci chcieli wesołej zabawy, w końcu nie płaciliby za to, gdyby nie mieli własnych problemów. Pod powierzchnią ten świat był jednak ponury i dołujący — zgodnie z pierwszą buddyjską prawdą: „Istnieje cierpienie”. Kiedy ujrzała Mitcha tamtej nocy przy stoliku w Old Man's Club, nie mogła uwierzyć własnym oczom.

Była już wcześniej z jednym klientem i miała prawo pójść do domu, pracowała jednak na pełnych obrotach. W tym momencie akurat zrobiła sobie przerwę i właśnie wyszła z jednego z pokoi na górze, gdzie odpoczywała przez pół godziny, podczas gdy posepny *farang* siedział w kącie, ignorowany przez pozostałe dziewczyny. Schodząc na dół, pochwyciła moje spojrzenie i mogła dzięki temu udawać, że to na mój znak z nim usiadła. Starła się panować nad sobą i nie miała problemu z tym, że ten akurat klient jest jej byłym kochankiem, ale po prostu jak każda Tajka nie znosiła publicznych scen. Była wdzięczna Mitchowi, że zrozumiał już Azję na tyle, żeby to uszanować. Jego wygląd pozytywnie ją zaskoczył. Wydawał się zdrowszy i bardziej pozbierany psychicznie niż przy ich ostatnim spotkaniu.

Jego postawa wobec niej była tej nocy też zupełnie inna. Nie starał się jej uwodzić swym zbitkowanym poczuciem humoru, lecz najwyraźniej zamierzał zaimponować trzeźwością. Nie tracił panowania nad sobą nawet po kilku piwach i skutecznie odgrywał wyluzowanego. Przyznał, że czuje się samotny i bardzo za nią tęskni, lecz wszystko to było w granicach zdrowego rozsądku. Chciał jeszcze raz spróbować,

pokazać jej, że nie jest świrem, że mają szansę. Powtarzał jej, jak pięknie wygląda i jak bardzo jest w niej zakochany, a pokora, z jaką to mówił, wręcz ją oczarowała. Na koniec zaproponował, że zapłaci jej grzywnę barową.

Wynajął pokój w dość schludnym hotelu niedaleko klubu. Wychodzili, trzymając się za ręce, a po drodze do hotelu zapytała go, jak sobie radzi z szokiem kulturowym, nudą i brakiem celu w Songai Kolok, gdzie szczerze mówiąc, nawet ona czułaby się samotnie.

— Przestań — mówię jej. — Nie zniosę już tych twoich kłamstw.

43

— Jakich kłamstw?

Jest zaskoczona. Jej opowieść toczyła się przecież tak wartko. Może nawet sama zaczęła w nią wierzyć.

— Nie mówisz o tym, co istotne. O tatuażu, kochanie. Musisz mi opowiedzieć o tatuażu.

Bierze głęboki oddech.


— Muszę? — Przygląda się mojej twarzy z odwiecznym pytaniem w oczach: Czy on to zniesie? — No dobrze, skoro tak.

Trudno powiedzieć, co było pierwsze — zainteresowanie Mitcha islamem czy jego decyzja, żeby zrobić sobie wreszcie duży tatuaż. Wydawało się, że jedno i drugie wypływa z tego samego rozpaczliwego impulsu. W jego wypowiedziach zaczynało już brakować spójności. Chanya zdołała jednak wywnioskować tyle, że agent CIA zaprzyjaźnił się z tym samym imamem, który przyszedł go ostrzec o zagrożeniu ze strony muzułmańskich fanatyków. Wspomnienia Chanyi z tej rozmowy są żywe, lecz fragmentaryczne, przypominają intensywne, ale niezrozumiałe obrazy z opiumowego snu — co właściwie nie dziwi, gdyż Mitch nie wychodził już w tym stadium z domu bez wypalenia chociaż jednej fajki.

Imam mieszka poza miastem, w skromnym drewnianym domu na palach pośrodku zielonej doliny, która jego arabskim pobratymcom zapewne przypomina raj. Ziemię i niebo łączy tu artezyjska studnia z wysokim starodawnym żurawiem. Nie ma tu prądu ani telefonicznych drutów, to oaza nieskażona postęmem. Pięć minut drogi od domu duchownego, skryty nieco głębiej wśród lasu stoi meczet, zgrabny jak z obrazka. Jego kopuła ma obwód nie większy od obwodu dużego domu, a minaret wygląda nie groźniej od anteny samochodowej. Podczas swej pierwszej wizyty Mitch został nagle otoczony przez grupkę ochroniarzy. Jeden z nich zwrócił się do usługującej kobiety, która wróciła wkrótce z informacją, że czcigodny imam oddaje się modlitwie, lecz wkrótce go przyjmie. Usiadł więc ze skrzyżowanymi nogami na plecionej macie i popijając słodką miętową herbatę, gawędził ze strażnikami, przekonany najwyraźniej o jego nieszkodliwości, nawet go bowiem nie przeszukali. Wkrótce zaczęli się jednak schodzić całkiem inni ludzie. Brodaci, odziani w długie szaty i mycki muzułmańskich duchownych, w ogóle nie zwracali na niego uwagi.

Potem zjawilo się pięciu starszych mężczyzn z siwymi brodami, noszących się z godnością magów, wszyscy wyprostowani jak struny. Siadali na podłodze, krzyżując nogi z płynnością oświeconych istot, i zastygali z westchnieniem, zamykając oczy. Porozumiewali się między sobą niezrozumiałymi pomrukami i również nie zwracali uwagi na przybysza. Na końcu przyszedł gospodarz, w pełnym rynsztunku estety, rzucały się w oczy jego ostre rysy twarzy, długa siwa broda, proste plecy i blask czarnych jak węgiel oczu. Jeden z młodych mężczyzn tłumaczył Mitchowi słowa imama.

— Rozmawialiśmy o wielkim Abu al-Walidzie Muhammadzie Ibn Ruszdzie, czyż nie tak? — Duchowny płynnym gestem poprawił szatę. Jego głos był niemal szeptem, lecz nabrzmiałym mocą. — Czy chcecie kontynuować nasze nauki?



— Z woli Boga — odmruknęli zebrani.


Mitch zorientował się, że trafił na seminarium uczonych, dysputę opartą na wykładzie leciwego imama. Był wręcz oczarowany, postanowił jednak zaczekać na zewnątrz. Starając się robić to z gracją, wstał, skłonił się z *wai* i wyszedł z sali. Obawiał się, że jego kroki na drewnianych schodkach opadających ku ścieżce wiodącej do studni są najgłośniejszym dźwiękiem w całej dolinie.

Czekał przy studni. Zbliżał się zmierzch, więc imam musiał się wkrótce udać do meczetu na modły, jeszcze przed ich rozmową. Patrzył, jak mężczyźni wysypują się z jego domu, przemierzają krótką ścieżkę wiodącą do meczetu i znikają w środku, dokładnie w chwili, gdy głos muezina jakby podrywał się spośród traw i wzniósł do nieba. Zachodziło słońce, wschodził księżyc, niesamowicie wielki i lśniący rogal, wiszący ryzykownie tuż nad palmami. Nie zdziwiło go wcale, że imam posiadał magiczną zdolność pojawiania się bezgłośnie za czyimiś plecami. Na odgłos kasznięcia Mitch się odwrócił i ujrzał go, opartego o przeciwną ścianę studni.

Starzec przemówił cicho, formalnym, ciężko akcentowanym angielskim, nie zrażając się kontekstem:

— Na ziemi nastanie pokój, gdy w Hollywood zaczną kręcić filmy, w których bohaterami będą nie Amerykanie. Według słów niejakiego Ibn Kutajby, w ogrodach Hindustanu rósł krzak różany z kwiatami o purpurowych płatkach, na których widniał arabski tekst, najslynniejszy cytat z Koranu: „Nie ma Boga prócz Allaha, a Mahomet jest jego prorokiem”.

— Rozumiem — odrzekł Mitch Turner przeciągle, jakby rzucono nań urok.



— I to wszystko? To był ten jego islam? — pytam Chanyę, kiedy leżymy nadzy obok siebie w naszym skromnym gniazdku, wsłuchani w odgłosy nocy.

- Tyle pamiętam. To wszystko było bardzo niezborne.
— No a tatuaż?

Hońmono to był zupełnie odrębny temat, wymagający konkretnej decyzji. Chanya postrzega je jako męski odpowiednik implantu piersi, rewolucyjną modyfikację, która może odmienić ludzki los. O tatuażystcie wie tylko tyle, że Mitch znalazł go gdzieś dzięki swoim japońskim koneksjom. Turner zbudował sobie bowiem w Tokio, jako nieoficjalny tajny agent, szeroką sieć kontaktów, których część utrzymał. Jak to się często zdarza, znaczna liczba tych ludzi związana była ze światem przestępczym, czyli z *yakuza*. Wśród e-mailowych pogwarek pojawiała się co jakiś czas echo opowieści o szalonym tatuażystcie, który w pijanym widzie ozdobił czoło jednego z ojców chrzestnych widokiem góry Fudzi. Uważano, że nieszczęsny artysta ukrywa się gdzieś w Bangkoku. Jak głosiła legenda, był on mistrzem w swym rzemiośle, geniuszem nawiązującym do chwalebnej tradycji dawnych mistrzów drzeworytu, lecz seksualnie sfrustrowanym, złaźnionym pracy i bliskim obłądu. Mitch, posługując się technikami znanymi wszystkim szpiegom, zlokalizował go bez trudu.

Japoński tatuażysta przyjechał na tydzień do Songai Kolok i zamieszkał u niego w wolnym pokoju. Z Chaną zapalali do siebie niechęcią od pierwszego wejrzenia. Brakujący kawałek małego palca u jego lewej dłoni napawał ją obrzydzeniem. Gdy przed rozpoczęciem pracy rozebrał się do szortów, zrozumiała, że dzieli mieszkanie z potworem.

Początkowo w ogóle z nią nie rozmawiał. Odebrała to jako szczyt chamstwa i wyraz pogardy dla jej profesji. Dopiero później uzmysłowiła sobie jego patologiczną nieśmiałość, spowodowaną jękaniem. Przesiadali razem z Mitchem nad plikiem wstępnych projektów, które tatuażysta wykonał dla amerykańskiego szpiega, i wymieniali się uwa-

gami po japońsku. Mitch najwyraźniej dokładnie wiedział, czego chce. Jego *horimono* miało być wielkim całościowym obrazem, pokrywającym plecy od ramion po biodra. Prawa ręka Isziego pracowała z szybkością błyskawicy, potrafił tworzyć piękne szkice jeden za drugim. Chanya nigdy przedtem nie miała do czynienia z człowiekiem zarażonym artystyczną pasją. Japończyk ani razu nie rzucił lubieżnego spojrzenia na jej ciało, ale nie czuła się tym urażona. Chociaż uznała, że go nie cierpi, jego fanatyczne skupienie na pracy budziło szacunek. Patrzyła jak zahipnotyzowana, gdy pierwszy raz otworzył podłużne pudełko z czarnej laki, mniej więcej rozmiarów futerału na flet. Zastanawiała się, czy ten człowiek traktował kiedykolwiek ciało kobiety z takim szacunkiem, jaki okazywał swym *tebori*, długim igłom do tatuażu z polerowanego bambusa.

Rysunki zastąpiła później wyteżona praca na komputerze. Iszi miał cyfrowy aparat fotograficzny i pamięć USB. Mógł na ekranie nałożyć na zdjęcie pleców Mitcha siatkę milimetrową, co pozwalało mu zaplanować precyzyjnie każde nakłucie. Następnie musiał mozolnie przenieść całą siatkę na grzbiet Amerykanina i nakreślić główne linie kompozycji zachodnim pistoletem do tatuażu. Na koniec Iszi zmieszał tusz *sumi* w specjalnym urządzeniu i po mieszkaniu rozeszła się nieokreślona woń, którą Chanya określiła jako ani przyjemną, ani nieprzyjemną, lecz specyficznie japońską. Mitch zniósł ze stoickim spokojem pierwszą głęboką penetrację swej skóry. Leżał na łóżku, a Iszi siedział nad nim, napierając całym ciężarem ciała na *tebori*, którym operował trochę podobnie jak drugim dłutem.

Pojawił się pewien problem. Mitch na trzeźwo z trudem wytrzymał długie godziny leżenia bez ruchu. Potrafił znieść ból, lecz nie nudę. Iszi zaczął się denerwować. Nie mógł pozwolić, żeby brak cierpliwości Amerykanina zepsuł jego arcydzieło. Rozwiązanie narzucało się samo; Mitch przed każdą sesją powinien wypalić kilka fajek opium, po czym

mógł trwać w szczęśliwej śpiączce przez osiem godzin. Tatu-
ażysta był zachwycony. Moc koncentracji pozwalała mu
pracować przez cały ten czas bez przerwy. Dzięki temu, że
Mitch pozostawał odurzony, pracę zaplanowaną na dwa
tygodnie można było wykonać w ciągu jednego.

Gdy Iszi pracował, Chanya nie miała wstępu do sypialni
zmienionej w studio artysty. Jej obowiązkiem było pilnowa-
nie, żeby nie wystygła butelka ciepłej sake, jedynej substancji
spożywczej, jaką tolerował podczas pracy. W końcu zaczęło
ją bawić, że wylania się co jakiś czas z pokoju, wypija porcję
sake i wraca do roboty, prawie nie zauważając jej obecności.
Zaczęła rozumieć, że nie jest to brak osobistej kultury, lecz
zachowanie dzikiego stworzenia, mieszkańca elektronicznej
dżungli, który nie miał gdzie i kiedy nabrać towarzyskiej
ogłady. Dla sprawdzenia tej teorii pewnego dnia pokazała
mu się topless. Artysta wszedł do kuchni, pociągnął łyk sake
i wrócił do pracy, rzucając tylko od drzwi uwagę, że jej
nagości dobrze zrobiłoby *horimono* — może błękitny delfin
nad lewą piersią?

— Delfiny są niemodne — fuknęła Chanya, gdy znów się
wyłonił z pokoju. Jęknął tylko, lecz za następnym wyjściem
przyniósł jej rysunek najpiękniejszego delfina, jakiego wi-
działa w życiu. Jego proporcje odzwierciedlały dokładnie
powab jej ciała. Odtąd pomiędzy długimi sesjami z Mitchem
Iszi pracował nad jej biustem. Siedziała na krześle, zdumiona
delikatnością jego dotyku, zakłopotana nabrzmiewaniem
suteków, oczarowana tym samosterującym pociskiem nie
ustępliwej koncentracji. Nie zdawała sobie do tej pory spra-
wy, jak erotyczna może być męska pasja, kiedy wykroczy
ponad poziom seksu. I jaka nieuchwytna. Odkryła, że nieco
przesadza ze swoją reakcją na ból. Iszi kazał jej podtrzymy-
wać pierś ręką, żeby się nie poruszała.

— Wcale tak bardzo cię nie boli — powiedział. — Poza
okolicą sutka piersi nie są takie wrażliwe. To w większości
tkanka tłuszczowa.

Przy końcu tygodnia tatuaż Mitcha był gotowy, a ona i Japończyk zostali kochankami. Cóż tutaj można dodać? Preferencje seksualne prostytutek bywają ekscentryczne, ja chyba wiem o tym najlepiej. Mitch był więźniem milionów zakazów i nakazów, w większości sprzecznych ze sobą. Iszi zaś — nieznaną zasadą dzikim stworzeniem. Obce mu były nawet zasady konwersacji i w aspekcie czystego seksu bez emocji Amerykanin nie mógł z nim konkurować. No i było jeszcze *donburi*, owo skandaliczne i nieusuwalne wyzwanie wobec wszechświata. Sprofanowana skóra, która tak przeraziła ją na początku tygodnia, pod koniec przyciągała ją z magnetyczną siłą. Jako kochanek Iszi miał w sobie coś kociego, a obrazy o intensywnych kolorach, które widziała, kiedy w milczeniu podziwiał jej ciało, wracały do niej jeszcze długo po jego odejściu. Co noc śnili się jej olbrzymi, wielobarwni nagowie. Potężna zmysłowość tych węzowych bogów była niemal nie do zniesienia. Codziennie, kiedy się kochali, myślała o Amerykaninie, leżącym w transie w pokoju obok; zupełnie jakby Iszi i ona byli postaciami z jego erotycznych opiumowych wizji.

Jej serce po raz pierwszy musiało odnaleźć równowagę w namiętności. Kiedy Iszi wyjechał do Bangkoku, umierała z tęsknoty. Przekonywała się w duchu, że jej potrzebuje, że ona sama, dzięki swemu miejskiemu sprytowi i niewzruszonej twardości, potrafi uratować tego zagubionego mężczyznę--dziecko, brnącego przez życie pod brzemieniem własnego wielkiego talentu. On jednak nie odpowiadał na jej SMS-y i e-maile. To była nowość. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że kiedy w końcu zadurzy się w jakimś mężczyźnie, on może nie zareagować. Przeżyła znane powszechnie fazy — gwałtownej tęsknoty, wściekłości, ściskania w dołku, poczucia utraty mocy i przekonania, że jego obojętność wynika z jej niegodnej profesji i z tego, że zbliżała się do trzydziestki.

Ostatnią próbą kontaktu z ukochanym był SMS w stylu, który lubił: Czemu k-wa nie dzwonisz? Odpowiedzi nie było,

lecz po kilku dniach dostała przesyłkę pocztą — kopertę z pojedynczą kartką w środku. I jednym zdaniem, wypisanym elegancko tradycyjną tajską kaligrafią:

Ponieważ nie jestem ciebie wart.

Do tego listu Iszi dołączył ostatni fragment swego obciętego małego palca. To ironiczne odniesienie do pewnego holenderskiego malarza było dla niej nieczytelne, lecz przesłanie i tak do niej dotarło. Poczula teraz wstyd z innego powodu: jej namiętność okazała się dość mieszczańska w porównaniu z jego odczuciami. Oto ten wielki artysta gotów był poświęcić dla niej swoje dłonie. Mogła już tylko tęsknić i wzdychać. Wbijając tekst do swej komórki, uwolniła serce z wszelkich hamulców i odwołała się do języka orientalnych skrajności: Oddałabym oczy, żeby cię znów zobaczyć.

Iszi: Nie wiesz, o co prosisz.

Chanya: Nie obchodzi mnie. Chcę cię.

W końcu, z widocznym ociąganiem, zgodził się spotkać z nią w Bangkoku, lecz nie w swoim mieszkaniu, które wciąż pozostawało tajemnicą, lecz w barze przy Sukhumvit. Jego postawa była dla niej tak niepojęta, że jeszcze bardziej ją przez to pociągał; przyszła więc wcześniej i wychyliła dla kurażu trzy tequila, ale i tak nie poradziła sobie z okropnym uciskiem w dołku, gdy ten nieśmiały geniusz wkroczył w końcu do baru, zamówił sake i usiadł koło niej. O co tu mogło chodzić? Jego oczy płonęły pożądaniem, ale nie zgodził się jej zabrać do mieszkania. Próbował jej to wytłumaczyć, lecz jąkał się jeszcze gorzej niż zwykle i nic nie zrozumiała. Zaczęła cokolwiek rozumieć dopiero, gdy opróżnił trzy butelki sake, ale wtedy byli już zbyt podnieceni, by używać słów.

— Znam tu niedaleko hotel na godziny — powiedziała Chanya.

— Nie mam pieniędzy.

— Nie przejmuj się, ja zapłacę — odparła.

W wyłożonym lustrami pokoju — którego obsceniczność podkreślał fotel ginekologiczny, wstawiony tutaj dla gości

gustujących w takich perwersjach — położyła go na łóżku i przykryła (wraz z jego nieprawdopodobnymi tatuażami) swoim nieskazitelnym ciałem. Posiadła go tak, jak tyłu mężczyzn do tej pory posiadało ją albo przynajmniej usiłowało. Po raz pierwszy w życiu zrozumiała mężczyzn i ich dążenie do totalnego zawłaszczenia kobiety poprzez akt seksualny. (Wreszcie zrozumiała Mitcha).

Nie potrafiła sobie przypomnieć, jak długo się kochali — miała wrażenie, że całe popołudnie. Od czasu do czasu posyłała po ciepłą sake dla niego i zimne piwo dla siebie. Było tak, jakby chcieli zaspokoić głód narastający przez wiele żywotów. Gdy namiętność zaczęła w końcu przygasać, włączyli telewizor, który od razu zaczął odtwarzać ostre porno. Nareszcie nasytzeni, leżeli na wznak, patrząc na swoje ciała w sufitowym lustrze. Iszi wypił już tyle, że przestał się jąkać i zaczął mówić. Chanya widziała w lustrze kobietę leżącą obok kosmity i ta kombinacja dawała jej poczucie ukojenia, chyba dlatego, że on był w tym momencie jej męskim odpowiednikiem. W końcu przecież oboje uważali, że nie istnieje żadna ludzka wspólnota, do której warto by przynależeć, jedynie poszarpana pajęczyna hipokryzji, której się trzeba wystrzegać.

Iszi tłumaczył jej: tylko praca pozwala mu odetchnąć na chwilę od przejmującego poczucia nieprzystosowania, związanego z trudnościami w kontaktach międzyludzkich. A gdy nie było pracy, co zdarzało się dość często? Gdy nie pracował dłużej niż przez dzień, cierpiał najgorsze psychiczne katusze, czuł się stłamszony, niemal unicestwiony. Podstawami jego istnienia potrafił zachwiać widok ludzi oddających się bezmyślnej paplaninie, owa bezwysiłkowa, koleżeńska komitywa tak łatwo przychodząca Taj om, szczególnie kobietom. Dwie pogrążone w pogawędce stare kobiety mogły wywołać w nim szal zazdrości (był zdolny do zazdrości nawet o to, że ktoś głaszcze kota). Tak głębokiego poczucia izolacji nie powinna doświadczać żadna ludzka istota. Doświadczał przy tym

chorego pragnienia, by tatuować wszystkich wokół, żeby nosili dowód jego istnienia aż do grobowej deski. Po dwóch dniach bez pracy jego umysł zaczynały wypełniać brutalne fantazje. Wewnątrz jego czaszki, tuż nad oczami, wyświetlały się animowane filmy pełne sadyzmu, zabijania i śmierci. Istniało tylko jedno działanie, które przynosiło mu ukojenie dorównujące intensywnością twórczości.

— Co to takiego? — spytała Chanya, bojąc się odpowiedzi.

— Hazard.

— Hazard? — Niemal się roześmiała, podejrzewała bowiem coś znacznie gorszego.

Jednak gdy Iszi zaczął przybliżać jej szczegóły, zrozumiała, że nie należy tego brać tak lekko. Mówił po tajsku tak dobrze, przynajmniej gdy był pijany, ponieważ większość wolnego czasu i wszystkie pieniądze poświęcał na grę — walki bokserskie, walki kogutów, wyścigi konne, a nawet wyścigi karaluchów zarządzane przez bezdomnych w osiedlach z kartonowych pudeł pod mostami. Finansował swój nałóg z pożyczek zaciąganych u lichwiarzy. Byli to nieodmiennie Chińczycy z położonego na południe od Szanghaju regionu Shantou, który był domem największych finansistów i bandytów obszaru Pacyfiku już od tysiąca lat. Jego życie dosłownie wisiało na włosku, gdy nieustannie zmagał się z długami, pożyczając u jednego krwiożerczego gangstera, by spłacić innego. Obecnie winien był w sumie około miliona dolarów, głównie finansistom z Japonii, którzy uratowali go przed okaleczeniem przez Chińczyków — w zamian za jego podpis pod pewnym szczególnie nieprzyjemnym kontraktem.

— Czego ten kontrakt dotyczy? — zapytała.

— Nie powiem — odparł. — Lepiej, żebyś nie wiedziała.

Choć pochwycona w szpony namiętności, Chanya zrozumiała. W Tajlandii wszyscy znali metody chińskich lichwiarzy, a nie sądziła, żeby japońscy byli bardziej humanitarni. Gdyby odkryli, że w jego życiu pojawiła się miłość, ona

mogłaby się stać zakładniczką. Zrobiliby z nią wszystko, co uważaliby za konieczne do wyciśnięcia pieniędzy z Isziego. Próbując ratować się przed obłędem, tatuażysta oddał w zastaw własne życie.

— Nie tylko własne — dopowiedział, krzywiąc ironicznie usta.

Chanya w odruchu rozpaczy zaczęła argumentować całkiem po męsku:

— A może moglibyśmy się spotykać od czasu do czasu, w jakimś bezpiecznym hotelu, pobyć razem choć kilka godzin?

Iszi pokręcił głową. Ludzie, którzy mu zagrażali, byli bezwzględni i wyjątkowo sprawni w swoim fachu. Nie mógł ryzykować. Nie chciał nawet myśleć o tym, co mogliby jej zrobić. Dzisiaj na przykład dla zatarcia śladów przedsięwziął środki ostrożności o barokowym wręcz stopniu komplikowania, a mimo to nie czuł się całkiem bezpiecznie. To było ich ostatnie spotkanie, nieodwołalnie. Chciał w obliczu śmierci choć takiej pociechy, że zdołał ją uchronić przed najgorszym.

Chanya mierzy mnie przenikliwym spojrzeniem kobiety, która doświadczyła wszystkich odcieni męskiej zazdrości. Oblizuję usta i przelękam ślinę, żeby zwilżyć zaschnięte gardło.

— W porządku — chrypię. — Już się pozbierałem.

— Ale co myślisz? Co się w tej chwili dzieje w twoim sercu?

— Właściwie to pomyślałem o Mitchu Turnerze.

44

Zdumiewa mnie, jak często o nim myślę (kimkolwiek był). Nie było w nim zła, nigdy nie użył swych wspaniałych mięśni w gniewie i nawet ostre słowa wypowiedziane w furii do kobiety, którą kochał, były raczej wyrazem jego dezorientacji: jak w ogóle mógł się zakochać w kimś takim? Jednakże myślę o nim głównie dlatego, że on tego chce. Ostatniej nocy ujrzałem go w postaci Supermana, zamkniętego w sześcianie ze śmiertelnościanego kryptonitu i pozbawionego mocy — bo nie odważył się dotknąć ścian pułapki. Była to jednak, jak się okazało, tylko projekcja moich uprzedzeń. Chwilę później stał się już tylko skromnym facetem w podkoszulku i dżinsach i śmiał się łagodnie z moich szaleństw. Twoje plecy! — wykrzyknąłem. Podniósł koszulkę i odwrócił się: zobaczyłem prostokąt, jakby ramę od obrazu, a wewnątrz niej nieznanne słowa, zapisane kodem, którego nie umiałem rozszyfrować. Wzruszył ramionami: dla niego to już nie miało znaczenia, próbował mi jedynie pomóc w rozwiązaniu tej sprawy.

Znów siedzę na motorowerze taksówce i słucham przez słuchawki talk-show Pisita, gdy przebijamy się przez zastygającą co chwila rzekę pojazdów. (Samochody, autobusy

i ciężarówka to jedyne obiekty w tym buddyjskim mieście, niepodlegające prawu nieustannego ruchu). Chanya została w naszym miłosnym gniazdku i mocno śpi, a ja jadę na wezwanie Vikorna: kolejne T808. Stary chyba nareszcie zaczął się czymś przejmować.

Pisit jest dzisiaj w terenie; historia dotyczy zastrzelonego w zeszłym tygodniu opata z Nonthaburi, który jak się okazało miał na koncie w banku ponad milion bahtów. Dziennikarz cytuje z „Nation” krótką biografię zmarłego mnicha: *Dzięki swej obrotności i znajomości magii szybko piął się w górę Sanghi * i w wieku trzydziestu siedmiu lat został mianowany opatem.*

Pisit do rzecznika Sanghi: Czy to normalne, że ambitni mniisi posługują się magią, żeby awansować?

Rzecznik: Niestety, dzięki medytacji możemy nabyć wielu różnych mocy, których łatwo jest nadużyć w niewłaściwym celu.

Pisit: Na przykład wywołać purpurowy deszcz? Albo zarobić milion bahtów?

Rzecznik: Buddyzm walczy z czarami od dwóch i pół tysiąca lat. Ogólnie odsetek zwycięstw mamy doskonały, ale zawsze się jeszcze znajdzie jakiś niegodziwiec.

Pisit: W tym wypadku magia zadziałała raczej ziemskimi środkami: poprzez seks i narkotyki. Krąży pogłoska, że opat zginął, bo próbował wyrolować pewnego generała.

Rzecznik: Karmiczna cena czarnoksięstwa jest bardzo wysoka.

Pisit: Prawie każdy Taj uczy się medytować w wieku dwudziestu kilku lat. Jak pan myśli, jaki jest zakres oddziaływania magii w naszym królestwie? To znaczy, jaki procent naszych prominentnych polityków i biznesmenów zawdzięcza swą karierę ciemnym mocom?

* Sangha — w buddyzmie wspólnota praktykujących.

Rzecznik: Nie prowadzimy takich statystyk.

Pisit: A gdyby miał pan zaryzykować i podać jakąś liczbę?

Rzecznik: Wszyscy.

Cel mojej jazdy tego wesołego poranka to okazały dom przy Soi 22 od strony Sukhumvit. Vikorn siedzi w kuchni i flirtuje z atrakcyjną dwudziestoparoletnią Tajką, a trup leży w salonie. Twarz mojego pułkownika nabiegła krwią i błyszczy jakoś obscenicznie. Przedstawia swoją rozmówczynię jako Nok, a z układu jej ust wnioskuję, że chyba już się dogadali.

— Powiedz mi sama — mówi do niej Vikorn. I dodaje z ohydym uśmiechem: — Nie chcę ci wkładać słów w usta.

— Jestem pokojówką — mówi Nok, wstając i prowadząc mnie do salonu. — Przyszłam dziś rano i tak go zastałam. Oczywiście zadzwoniłam na policję, a pan pułkownik przyjechał osobiście.

Japończyk w średnim wieku leży nagi na sosnowej podłodze, a wokół niego rozlało się szeroko czerwone jezioro. Vikorn wpada do pokoju, gdy zaczynam wstępne oględziny zwłok. Mały palec lewej dłoni ma odcięty ostatni segment, rana jest bardzo stara. Widzę wzrok Vikorna, gdy odwracam trupa na brzuch.

Pułkownik kręci głową.

— Musisz to powstrzymać. Zrób, co konieczne. Nawet go nie aresztuj, tylko zastrzel podczas próby ucieczki. To się musi skończyć. — Wzrusza ramionami. — Dobrze przynajmniej, że to nie Amerykanin i nie musimy wzywać CIA.

— Nie powie im pan?

— Skończyły mi się czarne włosy.

Zwracam się do Nok:

— Powiedz mi, proszę, wszystko, co wiesz.

— Zaczęłam tu pracować rok temu — mówi dziewczyna. — Przyjęła mnie jego żona, Japonka. Miała jakieś problemy ze sobą, wciąż tylko narzekała. Miała też hyzja na punkcie domu. — Gest ręki. — To wszystko ona stworzyła.

Rozglądam się przez chwilę. Trudno o wnętrze bardziej w japońskim stylu: rozsuwane ekrany z półprzezroczystego papieru, na środku pokoju mała niesymetryczna sadzawka (w której pływa odcięty penis), obłożona otoczkami, drzewka bonsai w glazurowanych beżowych doniczkach, ściany pokryte marszczonym papierem w naturalnym kolorze.

— Musiałam się nauczyć japońskich nazw tego wszystkiego — ciągnie Nok. — Trwało to wieki, a ona wciąż się na mnie wściekała. Musiało być nieskazitelnie czysto. I jak już wszystko było perfektnie, nagle go rzuciła i wyjechała do Japonii. Powiedziała, że nie może wytrzymać w Tajlandii, że jesteśmy prymitywni, brudni i krnąbrni. Japonec to jeszcze gorsi rasiści niż my.

— Kiedy to było?

— Jakies dwa miesiące temu. On wcale się tym nie przejął. Sprowadzał sobie czasami dziwki.

— Spałaś z nim?

— Nie — zaprzecza stanowczo. — Proponował mi kilka razy, ale powiedziałam, że nie jestem taka.

— A gdyby ci zaproponował coś lepszego, na przykład rolę *mia noil*

— Ale nie zrobił tego. Chciał sobie pobzykać za tanioczę i nie zamierzał płacić więcej niż tym swoim dziwkom, więc powiedziałam „nie”.

— Nie widziałaś go nigdy nago?

— Nie.

— Ani jego obnażonych pleców?

— Nie.

— Nie wiesz, czy miał wrogów?

Vikom staje nad zwłokami, marszcząc brwi.

— Daj sobie spokój — mówi do mnie. — Ten gość był prezesem Tajsko-Japońskiej Korporacji Zalesiania i Rekultywacji Regionu Isaan.

Pochylałem się właśnie nad ciałem; prostuję się i patrzę mu w oczy. Wzrusza ramionami.

— Mnie nie pytaj, nie mam zielonego pojęcia.
— Zinna pomyśli, że to pan za tym stoi.
— Wiem. To jeden z tych okropnych zbiegów okoliczności. — Chyba nie przejął się za bardzo Zinną. — Naprawdę nie rozumiem, jaki tu może istnieć związek. Nie mam z tym absolutnie nic wspólnego. A czy to ważne dla czego, skoro wiemy kto?

Kiwam głową na znak zgody.

— Technicy będą tu lada chwila — wyjaśniam służącej, ruszając do drzwi. — Wzywają mnie ważne sprawy na drugim końcu miasta.

Wychodzę na ulicę i łapię motorower, by mnie zawiózł z powrotem do Chanyi. Po drodze moja komórka wreszcie sygnalizuje wiadomość tekstową:

Wzięli ją. Chcą jej tatuaż.

Nasze gniazdko powtarza bezgłośnym echem miłosne szepty. Jestem tak zdruzgotany, że nie mogę się ruszyć. Poruszony do samych trzewi, czuję w piersi rozszerzającą się próżnię, która nie daje zaczerpnąć oddechu. Przez głowę przelatują mi obrazy jej okaleczenia. Kochałem ją na długo przedtem, nim poznałem jej twarz i imię. Jestem świadomością uwięzioną w rurce. Czy trzeba tu coś wyjaśniać? Dopóki ona nie rozświetliła mojego życia, niczego nie potrzebowałem. A teraz nie potrafię już powrócić do monotonii tego czasu sprzed Chanyi, do tej szarej rutyny. (Nawet Budda nie błyszczy takim blaskiem jak ona). Nie boję się niczego poza tym, że ją stracę. Ledwie starcza mi woli, żeby przeczytać kolejnego SMS-a: Przyjdź sam, przynieś milion dolarów w różnych seriach. Pomóż mi uratować. Wiadomość kończy się adresem na drugim końcu miasta, w pobliżu Kaosan Road. Dzwonię do Vikorna. W tych okolicznościach milion dolarów amerykańskich to dziwnie niewygórowana suma. Pułkownik zaraz przyśle kogoś z pieniędzmi.

— Chcesz wsparcie? — pyta. — Możemy wysadzić ten dom w powietrze.

— I ją też zabić?

Vikorn postępuje.

— Zrób po swojemu. Jeżeli przegrasz walkę, przysyłam oddział specjalny, a Chanya będzie musiała zaryzykować. Pieprzeni Chińczycy.

Pieniądze, wrzucone luzem do plastikowej torby, przybývają w towarzystwie młodego posterunkowego. Sądząc po jego minie, został należycie zastraszone przez Vikorna.

Ulice są jednak tradycyjnie zaczopowane, korek ciągnie się aż do Sukhunwit. Ruch w bocznych *soi* też się zatrzymał i tamtędy także nie da się przejechać. Łagodność mnie opuszcza, nie mogę medytować. Stałem się jednym z wielu bezradnych istnień, podobnym do innych — od mrówek do einsteinów — chłostanych przez karmę. Gdy docieramy wreszcie na drugą stronę miasta, nerwy mam zszargane, oczy rozbiegane, a ręka ściskająca torbę z gotówką mocno drży. Mózg wypełniają mi obrazy tego, co z nimi zrobię, jeśli zabrali się już do Chanyi. Jednocześnie, jak typowy amator, próbuję przekupić Buddę. Kiedy skręcamy w końcu w Kaosan Road, staje na trzech świńskich głowach i tysiącu jajek. O ile sobie przypominam, nawet narodziny były mniej stresujące.

Gdy trzeba obniżyć ciśnienie, nie ma to jak Budda. Dom okazuje się starą tekową konstrukcją na słupach, w dawnym tajskim stylu. W tej okolicy jest ich jeszcze trochę, przeważnie zamienionych w pensjonaty dla nostalgicznie usposobionych *farangów*. Ten jednak jest w dość kiepskim stanie; wygląda niemal jak ruina, a niegdysiejszy tropikalny ogród porasta gęszcz chwastów i innej dzikiej roślinności. Na frontowej ścianie wisi zapomniana tablica, głosząca po tajsku, angielsku i japońsku: TATUAŻE. Wszystkie okna zakryte są okiennicami. Na ulicy przed domem stoi duże bmw, szary metalik, z kierowcą w środku. Pukam i drzwiczki natychmiast się otwierają. Dobrze ubrany Chińczyk po trzydziestce przygląda mi się przez chwilę, spostrzega plastikową torbę i wpuszcza mnie do domu. Zamyka starannie drzwi i pokazuje mi następne, które prowadzą do wielkiego pokoju zajmującego cały parter.

Światła rzucają tu smugi w kształcie noży, przenikają przez tekowe żaluzje i wycinają na meblach i podłodze podłużne, jasne kształty. Część tego światła pada na ciemne ściany i gdy źrenice mi się już rozszerzyły, widzę, że zawieszono są obrazami, projektami i groteskowo powiększonymi fotografiami wytatuowanych ciał, zarówno męskich, jak i kobiecych, w większości nagich, pokrytych tylko tuszem. Widok tych ścian jest tak niezwykle, że całkiem zaćmiewa siedzące pod nimi ludzkie postacie. Myślę, że tak mógł wyglądać dom Gauguina na Tahiti. Tu, w tym przestronnym starym wnętrzu, tatuażysta pozwolił swej wyobraźni swobodnie się wyżywać. A była to wyobraźnia niezwykle. Poddana najróżniejszym wpływom, od wielkiego Houksaia, poprzez Hieronymusa Boscha, Warhola, van Gogha, Picassa, aż po graffiti z tokijskiego metra. Sztuka Isziego jest eklektyczna, lecz jakimś cudem udało mu się — przy tym natłoku barw i form — utrzymać zatrważającą spójność. Ściany są przedłużeniem jego własnych tatuażów: niezwykle, namiętnych, niezapomnianych i ostatecznie niezrozumiałych; to produkt szalonego geniuszu, przymuszonego do obwieszczania wszem wobec, za wszelką cenę: *Ja istnieję*.

Kiedy opuszczam wreszcie wzrok do poziom stołu, zastanawiam się, czy czasem nie nastąpiło nieporozumienie i nie znalazłem się niechcący na biznesowej naradzie. Siedmiu Chińczyków ubranych jest w garnitury i krawaty; tylko jeden, około czterdziestki, prawdopodobnie główny negocjator, włożył pod kaszmirową marynarkę rozpiętą koszulę. Podłoga pod stołem jest obniżona, żeby było miejsce dla nóg, lecz z drugiego końca pokoju wygląda to jak zgromadzenie karłów siedzących wokół tekowego blatu, pod ścianami udekorowanymi przez szalonego boga. Długi promień światła wydobywa z ciemności postać Isziego. Siedzi na końcu stołu w śnieżnobiałej lnianej koszuli, spod której wзира jego tatuaż. Przed Japończykiem stoi nieodłączna butelka sake. Obok niego, spowita w jedwabny szal w barwie starego

złota, siedzi Chanya. Gdy do niej podchodzę, rzuca półgłosem:

— Dali mi znieczulenie. Nie czuję cycków.

Na dowód tego ugniata je przez chwilę oburącz. Podchodzę bez słowa do szczytu stołu i stawiam przed Iszim torbę. Wszyscy się na nią gapią, lecz nikt nie rusza pieniędzy. W czymś chyba przeszkodziłem, ale w czym? W końcu Iszi odchrząkuje. Musiał już sporo wypić, bo w ogóle się nie jąka.

— Niestety, sprawa już nie jest taka prosta — mówi.

— Wybaczalne nieporozumienie. Nikt nie zawinił — odzywa się Chińczyk w rozpiętej koszuli, rzucając mi upiorny uśmiech. — Tak czy inaczej, trzeba będzie dojść z tym jakoś do ładu.

Iszi patrzy mi w oczy.

— Wygląda na to, że ten milion jest za sam tatuaż Chanyi. Chcieli go wyciąć i zakonserwować. Wyobraź sobie tylko, milion za samego delfina. Byłbym bogaczem, gdybym miał więcej czasu.

— No to w czym problem?

— Oni myśleli, że będą po prostu mogli zabrać pozostałe tatuaże, żeby je sprzedać na czarnym rynku. W tej chwili jest dość duży popyt na moje prace, głównie w Japonii, wśród *yakuzy*. To dla nich symbol statusu, podobnie jak dla niektórych oryginalny van Gogh, którego trzymają w sejfie i wyciągają tylko dla przechwałki. To dość przygnębiające dla artysty, który pragnie być oglądany.

— Gdzie są te pozostałe tatuaże?

— Na górze. Te najnowsze wciąż są w trakcie konserwacji. Czy wiesz, że jest to taki sam proces jak wyprawianie świńskiej skóry?

— Od kiedy trwa ten... ehm, handel?

— To długa historia. Można powiedzieć, że Mitch Turner był pierwszy. Ale nie sądziłem, że to mi się tak wymknie spod kontroli, nie chciałem zabijać nikogo poza nim. — Wskazuje rzeczowo dłonią na Chanę. — Nie mogłem jej

mieć, ale nie mogłem też znieść myśli, że będą z nią inni. Ty miałeś być następny, Sonchai. A skoro już się zamierza zabić, czemu by na tym przy okazji nie zarobić? Marzyłem o tym twoim kremowym ciele od naszego pierwszego spotkania, szczególnie o plecach.

Oczywiście domyślałem się tego. Stoję dwa metry od stołu i mój głos rozbrzmiewa echem w przepastnym wnętrzu, jak głos człowieka wołającego ponad doliną:

— No i dlaczego nie mogą wziąć tych tatuaży, zakonserwowanych czy niezakonserwowanych?

Iszi kręci głową, zdumiony moją tępotą.

— Ponieważ już je zastawiłem u Japończyków. U lich wiarzy *zyakuzy*. Wysłali tu ekipę z prawnikiem. I z Włochem. Mogą się zjawić lada moment. — Na widok mojego za skoczenia, dodaje: — Chłopie kochany, chyba nie spodzie wałeś się w tych okolicznościach wojny, co? Zaprosiłem ich tutaj w porozumieniu z panem Chu.

— To prawda — mówi monotonnym głosem Chińczyk bez krawata. — Wszyscy należymy do globalnej wspólnoty interesów. Byłoby prawdziwym nieszczęściem, gdyby podzieliła nas tak drobna przeszkoda, akurat teraz, kiedy wymiana z naszymi japońskimi kolegami tak rozkwita. W żadnym razie nie chcie libyśmy po prostu zabrać tych dzieł, skoro możemy wypracować sensowniejsze rozwiązanie. Obawiam się, że pan Iszi jako prawdziwy artysta raczej nie wchodzi się w takie prawnicze subtelnosci. Zastawił wszystkie swoje prace co najmniej dwukrotnie. — Smutny uśmiech. — I to jest rzeczywiście problem.

Iszi bezradnie rozkłada ręce i robi skruszoną minę. Nagle się ożywia:

— Chcesz je zobaczyć?

Idziemy za nim na górę, do wąskiego korytarza z dwójgiem drzwi. Pierwsze prowadzą do sypialni, o ścianach pokrytych projektami tatuaży o najbardziej intymnym — i pornograficznym — charakterze. Iszi wskazuje suszący się na gołej desce płat skóry.

— Przyszło mi do głowy, że skoro już mam zabijać ludzi dla skór, to przynajmniej niech to jakoś służy społeczeństwu. Ten gość był bandytą z *yakuzy*, z samej elity. Był prezesem tej lipnej korporacji, która odbiera chłopom w Isaan ziemię, żeby hodować na niej drzewa na pieprzone pałeczki. To on kazał zabić tego dziennikarza, zresztą mojego przyjaciela... Ten tatuaż z motylem to jedna z moich najlepszych prac. Zrobiłem go jednemu z pierwszych klientów w Bangkoku, który oczywiście chciał mieć na plecach samuraja. Moi rodacy wciąż mają problem z mitologią, a przecież większość samurajów to byli alkoholicy i homoseksualiści stojący na krawędzi psychopatii, tylko że o tym się głośno w Japonii nie mówi. Musiałem działać subtelnie. Na szczęście ten nasz ojczulek chrzestny był tak głupi, że nie zrozumiał przesłania wypisanego na jego skórze. Niezłe, co?

Tatuaż rozpięty na desce to w rzeczy samej triumf subtelnej satyry. Na pierwszy rzut oka samuraj w zbroi i hełmie, siedzący na grzbiecie czarnego ogiera, dzierżący w dłoniach łuk, jest uosobieniem doskonałego wojownika. Przy bliższych oglądzeniach jednak okazuje się, że Iszi kilkoma zręcznymi pociągnięciami ukazał prawdę: to pijany pederasta, bez dwóch zdań, nadęty narcyz wystrojony na drogę prowadzącą donikąd.

— Czy mogę wiedzieć, dlaczego ucinałeś im kutasy? — pytam.

Iszi marszczy brwi, drapie się po głowie, wskazuje kciukiem Chanę.

— To jej karma. Turnerowi zrobiłem to w szale zazdrości, ale potem uzmysłowiłem sobie, że ją przecież może mieć każdy. Każdy idiota z ulicy. Musiał tylko zapłacić, prawda? — Chanya krzywi się i wbija wzrok w podłogę. — Mógłbym z jej powodu wykastrować całe miasto. To jest miłość.

— Ale ty kastrowałeś martwych ludzi!

— Powiedziałem miłość, a nie mądrość. Miłość to mowa symboli, powinieś to wiedzieć.

— A dlaczego zabijałeś tych już wytatuowanych? Mogłeś przecież zabić byle kogo i dopiero potem go wytatuować?

Japończyk kręci posepnie głową.

— To recepta na mierność. Po pierwsze, jeżeli chce się uzyskać odpowiednią jakość barw i odcieni, tusz musi dotrzeć głęboko pod powierzchnię. Po drugie, ty nie rozumiesz rynku, Sonchai. Ja nie sprzedaję tylko tatuaży, sprzedaję jednocześnie morderstwo. Ludzie pragną tego *frisson*, chcą mieć pewność, że dostają artystycznie ozdobioną skórę za morderstwo człowieka, tę, którą nosił za życia, zanim został ścięty niczym drzewo, w imię sztuki. To taka cywilizowana odmiana kolekcjonowania zmniejszonych głów. — Łyk sake z butelki. — Oczywiście sprzedaję także rozgłos. Kiedy to wszystko się rozniesie, ceny moich prac wzrosną po sto kroć. — W zamyśleniu, kontynuuje: — Czymże jest morderstwo, jeśli nie samobójstwem dokonany przez kogoś z zewnątrz? Bądź co bądź wszyscy jesteśmy częścią ludzkiej rodziny i tylko mordercy doświadczają tej obezwładniającej namiętności, jaką niesie prawdziwa miłość.

Chińczyk w koszuli bez krawata kiwa głową na znak potwierdzenia.

W przyległym pokoju wiszą na ścianie tylko dwa dzieła sztuki, oba zakryte jedwabną tkaniną. Iszi odsłania pierwsze z nich.

— Przykra historia, młody agent CIA. Tego właśnie pragnął i bardzo mu się podobało. Przypuszczam, że niczego więcej nie oczekiwał od życia; niestety, skończył u boku tajskiej kurwy.


Tatuaż ma bardzo smutną wymowę dla każdego, kto znał Stephena Brighta: młoda kobieta, rasy kaukaskiej, z długimi blond włosami, trzyma w ramionach niemowlę — obraz w tradycji Madonny z Dzieciątkiem. Prostota rysunku (być może Iszi chciał coś podkreślić, bo jest nawet odrobinę zbyt prosty) sprawia, że jest on jeszcze bardziej przejmujący.

— Przepiękny — wrywa mi się.

— Ale nie taki piękny jak ten — oznajmia Iszi, ściągając zasłonę z drugiej, większej pracy. Chanya wciąga głośno powietrze na widok znanego obrazu, który dotąd oglądała w innych okolicznościach. Ja również wydaję cichy okrzyk, podobnie człowiek bez krawata. Nawet gangsterzy są pod wrażeniem. — Mitch Turner — objaśnia Iszi. — Sam to wymyślił, może pod wpływem jakiejś książki albo majaków po opium, albo może ktoś rzucił na niego zaklęcie... nie wiem. W każdym razie musiał mi pozwolić na własną interpretację.

Tym razem jednak tatuażysta poddał swą wyobraźnię ścisłej dyscyplinie, co zadziało wręcz magicznie. Cały tatuaz wypełnia gęste pnącze, niezwykle bujne i po męsku witalne, przedstawione tak żywo, że zdaje się wyrastać wprost ze ściany, na której wisi obraz. Same różyczki natomiast są małe, to ledwie czerwone refleksy, podkreślające zielen liści. A wszystkie liście, nawet te najdrobniejsze, są opatrzone sentencją: *Nie ma Boga nad Allaha, a Mahomet jest jego prorokiem.*

Chanya wybucha histerycznym szlochem i jednocześnie słycać dyskretne pukanie do drzwi.



Wróciliśmy wszyscy do wielkiego pokoju na parterze. Minęło wiele godzin. Człowiek bez krawata mówi płynnie po japońsku i prowadzi w tym języku negocjacje z nowo przybyłymi. To grupa raczej muskularnych Japończyków w czarnych garniturach i wszystkim, co do jednego, brakuje co najmniej kawałka małego palca. Siedzą rzędem pod jedną ścianą, a zbiry Chiu Chów siedzą pod drugą i każdy z tych wojowników bezustannie obserwuje swojego odpowiednika. Chanya i ja siedzimy na poduszkach na podłodze. Iszi, główny japoński negocjator oraz człowiek bez krawata siedzą przy długim stole, pijąc sake. Iszi jest już mocno podpity; ma rozpiętą koszulę i być może specjalnie eksponuje admirała Yamamoto, który spoziera surowo spomiędzy lnianych fałd. Włoch, szczupły i kościsty mężczyzna o ciemnych kręconych włosach, jest w czarnej koszuli z krótkimi rękawami i dżinsach, a na gołych stopach ma pantofle. Przycupnął w kącie, oparty plecami o ścianę. Iszi wyjaśnił mi, nie bez pewnej pogardy w głosie, że to konserwator dzieł sztuki, sprowadzony specjalnie z Rzymu. Jak widać, Japończycy wolą nie ryzykować. („Potrafi zdjąć mikronową warstwę farby z pięciusetletniego arcydzieła" — oznajmił Iszi). Wygląda na to, że jeden z japońskich gangsterów jest także chirurgiem.

Dobry humor Isziego trudno wytłumaczyć w tych okolicznościach, a jednak z każdą chwilą tatuażysta jest coraz bardziej rozbawiony. W końcu następuje przerwa w ożywionej dyskusji.

— Dogadali się co do sedna — komunikuje Iszi. — Jeszcze tylko uzgodnią szczegóły; prawa autorskie, marketing i takie tam.

Jednocześnie Chanya, która co nieco zrozumiała z negocjacji, bo otrząsała się trochę z japońskim przez lata pracy, zanosła się znowu rozdzierającym płaczem i popatruje co chwila z niedowierzaniem na Isziego oczami rozszerzonymi przerażeniem. Kiedy Włoch z japońskim chirurgiem zbliżają się w naszą stronę, dziewczyna obronnym gestem zasłania piersi.

Oni jednak mijają nas obojętnie. Iszi zdejmuje koszulę, a potem resztę rzeczy.

— Ci z *yakuzy* są bardzo humanitarni — wyjaśnia nam, gdy chirurg wyjmuje z kieszeni strzykawkę i małą fiolkę, ściąga ze strzykawki opakowanie i zanurza igłę w fiolce. — Powiedzieli, że mogę umrzeć przed faktem, ale się nie zgodziłem, chcę uczestniczyć w zdejmowaniu mojego arcydzieła. Jeden fałszywy ruch tego makaroniarza i przeklnę go na wieki. — Spogląda na Chanę. — Nie martw się, kochanie, wystarczy na wszystkie długi. Nie musisz się już bać, dzięki temu uratujesz cycki. — Milknie, bo jeden z jego rodaków obwiązuje mu głowę białym szalem pokrytym czarnymi japońskimi znakami, w tradycji kamikadze. Chirurg robi mu zastrzyk w ramię. — To jeden z tych nowych środków działających na mózg — mówi Iszi. — Będę mógł wszystko obserwować bezboleśnie, przez taką mgłę świadomości obejrzę własne oskórowanie. Ja to uważam za swój osobisty triumf — zrzucę skórę niczym wąż, którym jestem, oddam moje ego i życie na chwałę Buddy i miłości do człowieka. Myślę, że po tym wszystkim, co przeszedłem, to bohaterstwo. Ale ty chyba nie chciałaś tego oglądać, Cha-

nyu. Możesz sobie iść, jesteś wolna. Przekonałem ich, że nikomu nie powiesz.

Mówię Chanyi, żeby wynosiła się stąd jak najszybciej, póki jeszcze może, chociaż ci ludzie już jej chyba nie zagrażają i właściwie ignorują ją od momentu dobicia targu. Czy staram się ją chronić, czy stoją za tym jakieś inne motywy? Może się wstydzę swej niezdrowej ciekawości? Może nie chcę, żeby wiedziała, jak bardzo mnie fascynuje to, co ma się wydarzyć. (A może sam nie chcę widzieć jej zafascynowania?). Odprowadzam ją do drzwi, całuję i wypycham za próg. Gdy wracam, specyfik już zaczął działać i Iszi nie może ustać na nogach. Chirurg rzuca rozkaz po japońsku i pięciu ludzi natychmiast otacza artystę i kładzie go łagodnie na długim stole. Stracił już zupełnie kontrolę nad ciałem, połączenie między umysłem a nerwami zostało zerwane, lecz w nieruchomych oczach wciąż jest światło. Dużo bym dał, żeby znać teraz jego myśli.

Chiurg, pod kierunkiem Włocha, wykonuje kilka zręcznych nacięć skalpelem, od pach po biodra i wzdłuż ramion. Nacina też lekko ciało wokół przegubów i kostek oraz wzdłuż penisa. Przy asyście Włocha i jeszcze jednego mężczyzny zdumiewająco szybko ściągają z Isziego skórę. Włoch zwija ją ostrożnie, jak cenny obraz i zanoszą na górę, żeby od razu zabrać się do konserwacji. Pozostali mężczyźni idą za nim, a ja zostaję sam w wielkim pokoju, z jarzącymi się ze ścian barwnymi malowidłami.

Iszi, nareszcie całkiem nagi, przygląda się, nieodgadniony, własnej powolnej śmierci.

VII

PlanC

— Mamy już wyniki badań z laboratorium — mówi Elizabeth Hatch tym swoim rzeczowym, superopanowanym głosem, choć jednocześnie rzuca mi nieco zakłopotane spoj rzenie. (Mam swoich szpiegów — wróble ćwierkają, że zeszłej nocy znów wyruszyła na wyprawę i zakończyła ją z tą samą dziewczyną. Może to miłość? Coś, czuję, że pani Hatch powróci do Bangkoku). — Okazuje się, że w obu przypadkach, Mitcha Turnera i Stephena Brighta, DNA zabójcy jest identyczne. Sęk w tym, że według naszych danych, to DNA należy do terrorysty Ahmada Yony, który zginął w wybuchu bomby w Salamandze w Indonezji kilka tygodni przed śmiercią Brighta.

— Czyli zamordował Mitcha, zginął w wybuchu, a potem wrócił, żeby zabić Stephena — konkluduje Hudson.

Nie jestem wcale przekonany, czy ironizuje. Rozmowa odbywa się w apartamencie CIA w Sheratonie i ma w sobie coś surrealistycznego, jak gdyby była tylko próbą teatralną. Oboje agenci napiszą oczywiście później odrębne, indywidualne raporty; to są tylko ćwiczenia.

— Więc jakie mamy tutaj możliwości? — zastanawia się Hatch. — Pierwsza: Ahmad Yona nie miał nic wspólnego z żadnym z tych zabójstw. Dał włosy z brody i dwa obcięte

palce swoim towarzyszom, żeby stworzyli fałszywy trop, albo dla własnego rozgłosu. Druga: Yona dokonał obu morderstw, a DNA znalezione w Indonezji jest zmyłką.

— Podejźmy do tego tak — mówi Hudson, prostując się (jakimś cudem zmutował się w Papierowego Wojownika) — że Indonezję zlekceważymy. Znaleźli jakieś DNA, i co z tego? Wszystkie szczątki po tym wybuchu spalili, zanim zdążyliśmy je zbadać, więc tak naprawdę nie wiemy, co właściwie znalezione, może nic. Indonezyjczycy to w końcu też muzułmanie i nie możemy im zaufać tak do końca. W głębi duszy wielu z nich sympatyzuje z radykałami.

— Ano właśnie — przytakuje Elizabeth. — Tę indonezyjską historię przenosimy do przypisów.

— To jest właściwe podejście — dorzuca Hudson.

Oboje przypominają sobie nagle o mojej obecności.

— Sprowadziliśmy cię tutaj, Sonchai — mówi z uśmiechem Elizabeth — bo chcemy mieć pewność, że śpiewamy wszyscy z tego samego śpiewnika. Czy coś z tego, co powiedzieliśmy dotychczas, przeczy twojemu rozumieniu tej sprawy?

Zmęczony już kłamaniami dla Vikorna, wciąż mając w oczach obraz Mustafy i jego ojca, doświadczam silnej, wyzwalającej i głęboko buddyjskiej potrzeby, żeby wreszcie powiedzieć prawdę.

— Tak naprawdę Mitch Turner i Stephen Bright zostali zabici przez szalonego Japończyka, tatuażystę o chorej osobowości, który przed śmiercią przyznał się do winy. Ta sprawa nie ma nic wspólnego z Al-Kaidą.

Ciekawy jestem, jak podziiała na tych dwoje profesjonalistów wybuch mojej bomby. A to dowodzi tylko mojego braku przenikliwości, bo powinienem był pamiętać, że *farangi*

— No to świetnie — mówi Elizabeth po dłuższej chwili. Żadne z nich nie patrzy mi w oczy. — Możemy napisać, że przedstawiciele miejscowej policji zgadzają się z naszym wstępnym raportem. — Ruszam do drzwi, a ona rzuca mi to swoje spojrzenie surowej bibliotekarki. — Wiemy, że twój pułkownik też tak to widzi.

Oglądam się jeszcze na nich od progu, a Hudson mruczy przepaszająco:

— GS jedenaście.

Hotel Sheraton jest tylko kilka kroków od naszego miłego gniazdka. Powinniśmy się już chyba stąd wyprowadzić, ale oboje z Chaną przywykliśmy do tego, że tutaj naprawdę jesteśmy sobą: parą tajskich wieśniaków, którzy cieszą się chwilą, którzy przedkładają jakość życia ponad jego wysoki standard. Szczególnie upodobaliśmy sobie wielkie koryto z wodą na podwórzu, w którym pluszczemy się razem niczym słonie. Chana gotuje również na podwórku i bardzo lubię patrzeć, jak ubija chili w móżdżerzu, ubrana tylko w sarong. Kilka piw, nocne odgłosy z ulicy, gdy się wtulamy w siebie pod wentylatorem — czego jeszcze mógłby pragnąć zdrowy mężczyzna?

Jest jednak w tym wszystkim pewna zagwozdka, która mnie martwi. Czekam na odpowiednią chwilę — właśnie się kochaliśmy i Chana, zmieniona w tradycyjną tajską żonę, idzie do lodówki po piwo. Odchrząkuję, ona patrzy na mnie. Przechylam głowę w najbardziej uroczej imitacji znaku zapytania. Jest za sprytna, żeby nie zorientować się, o co chodzi. Stawia koło mnie butelkę i zaczyna grzebać w jednej ze stojących w kącie toreb podróżnych. Po chwili podchodzi do

— Jak dokładnie brzmi twoje pytanie? — pyta słodziutkim tonem.

Patrzę na ekran, który rozbłyskuje na niebiesko, gdy otwiera się Windows XP, a idiotyczne windowsowskie ikonki rozprzestrzeniają się niczym wirus.

— Vikorn. Dlaczego właściwie tak gorliwie cię chronił po śmierci Mitcha? Nigdy przedtem go takiego nie widziałem; nawet specjalnie poleciał do Indonezji. Spałaś z nim?

— Oczywiście, że nie — odpowiada z marsową miną. — Bał się po prostu, że kiedy CIA zaczniesz mnie wypytywać, mogę coś chlapanąć i Zinna wygryzie go z miasta.

— Skąd masz ten sprzęt? — Wskazuję notebooka.

— Mitch schował go do skrytki w tym hotelu, w którym zabił go Iszi. Jak stamtąd wychodziłam, wzięłam klucz, bo wiedziałam, że w skrytce jest też trochę opium. I przy okazji zabrałam ThinkPada.

— Lepiej mi powiedz o wszystkim, na wypadek gdybym musiał coś kombinować z CIA.

— Jasne — odpowiada, stukając w klawiaturę. Wyszliśmy z Windowsa i pojawiło się okrutne ostrzeżenie rządu amerykańskiego, że będzie ścigał i niszczył każdego, kto wejdzie nieupoważniony do tej supertajnej bazy danych. — No więc posłuchaj — mówi Chanya.

Miejsce akcji to mieszkanie Mitcha w Songai Kolok, jakiś czas przed pojawieniem się Isziego, który tak skomplikował im życie. Czas akcji — około piętnastej. Gdy Mitch już odpłynął do swego opiumowego rajku — ku jej uldze, był bowiem tym razem wyjątkowo spięty — zadowolona szwendała się po mieszkaniu. Nie ulegało kwestii, że ich związek funkcjonował wyjątkowo, szczególnie gdy Biały Huragan napalił się opium. Leżał nagusieńki na łóżku, a ona lubiła oglądać jego niesamowite ciało pod różnymi kątami. Raz przykryła mu głowę ręcznikiem i wyobrażała sobie, jak by to

było, gdyby jego twarz dorównywała urodą reszcie. W szufladzie biurka znalazła miniaturową flagę amerykańską i wtknęła mu ją w rękę, mozoląc się jakiś czas nad zaciśnięciem dłoni. Próbowwała z ciekawości popracować nad jego erekcją, lecz wzwód wyszedł akurat na spacer.

Po jakimś czasie znudziło ją to i była gotowa przyznać, że nie przeszkadzałoby jej, gdyby się odezwał czy choćby ruszył palcem. W końcu weszła do pokoju, który służył mu jako biuro. Tego dnia Mitch był szczególnie złakniony opium i zapalił fajkę, gdy tylko wręczyła mu lepką, czarną bryłę. W tym pośpiechu zapomniał wyłączyć laptopa i na ekranie widniał teraz wyjątkowo banalny wygaszacz. Jednak ruch myszką wystarczył, żeby znalazła się nagle w znacznie przereklamowanym tajnym świecie, ponieważ Mitch zapomniał też rozłączyć się z Internetem.

Tajny świat okazał się równie nudny, jak wygaszacz ekranu. Potok e-maili niósł w sobie mnóstwo bezmyślnej międzynarodowej paplaniny i plotek. Na Durbar Square w Katmandu zgwałcono Amerykankę; w Singapurze złapano gang nastolatków, przemycających konopie indyjskie; Chiny uwięziły się na amerykańskiego biznesmena, ponieważ za dużo zarabiał, oskarżyły go o szpiegostwo (właściwie to był szpiegiem, przyznał autor e-maila), wskazana mocna reakcja Departamentu Stanu. Cynk dla DEA: ze Złotego Trójkąta wyruszył duży transport heroiny, najwyraźniej płynie do Bangkoku.

To ostatnie zainteresowało ją i odszukała wcześniejsze wiadomości na ten temat. Sprzymierzone siły CIA, FBI, DEA, tajskich celników i tajskiej policji antynarkotykowej śledziły potajemnie ładunek z północnego Laosu aż do granicy z Tajlandią. Po drodze, niczym kula śniegowa, obrastał kolejnymi ekipami przestępców, lecz plan był taki, żeby odczekać, aż towar znajdzie się w Bangkoku, i przyskrzynić mózg całej akcji. Chanya doczytała się jednak, że ładunek w końcu zaginął. Gdzieś na przedmieściach Krung Thep furgonetka śledzona przez kawalkadę pojazdów (głów-

nie japońskich terenówek z napędem na cztery koła, ukochanych przez zagraniczne agencje rządowe) nagle zniknęła im z oczu. W internetowym komunikatorze rozległy się jęki, steki i westchnienia. Amerykanie podejrzewali, że to Tajowie wykręcili im numer. Podobnie zresztą większość Tajów, śliniących się na myśl o wysokości prawdopodobnej łapówki. — Uważamy, że to generał Zinna — oznajmił jeden z dyskutujących w necie agentów.

— Naprawdę?

— Tak, naprawdę.

— Naprawdę myślisz, że to on?

— Tak właśnie myślę.

— Ale nie wiesz na pewno?

— No, nie wiem.

— Przecież to mógł być ktoś inny.

— Mógł, ale nie był.

— Skąd wiesz?

— Znikąd. Ale wiem.

— Masz przecucie?

— Przecucie, ale nie do końca. Coś jakby...

— Jakby co?

— Jakby takie niby-przecucie.

— Co to jest niby-przecucie?

— Coś podobnego do przecucia, ale nie całkiem. Czasami mi się to zdarza.

— Nigdy nie słyszałem o niby-przecuciach. Jakoś to dla mnie trudne do pojęcia.

— Rozumiem.

— Ale wracając do rzeczy, teraz je znów miałeś, tak?

— Tak. Dosłownie przed chwilą. Że to właśnie on.

— Zinna?

— Tak, Zinna.

— Tak mi się tutaj nudzi, że aż mi odbija. A tobie?

— Gdybym nie zdychał z nudów, tobym tak z tobą nie

ględził. Jesteś ostatnim ogniwiem, które mnie łączy z ludzkością. Zupełnie jakbym był tym kapitanem statku kosmicznego z tej piosenki Bowiego, pamiętasz? Wystrzelili mnie w cyberprzestrzeń tysiące lat temu i nic więcej nie wiem. Gdyby nie to cieniutkie ogniwo, byłbym już teraz tylko cyfrą, cieniem istoty. Właściwie to już jestem. Jak te japońskie dzieciaki, które potrafią się porozumiewać tylko przez komputer.

- Powinieneś pójść z kimś do łóżka.
- Albo zapalić trawkę.
- No właśnie. To w sumie zabawne.

Chanya dostrzegła w tym wydarzeniu nie najgorsze lekarstwo na nudę w przyszłości. W rozmowie nieznanym jej z twarzy Amerykanów było jakieś znajome ciepło, przypominała o różnych osobach, które okazały jej w Stanach życzliwość. Mitch już powoli wychodził ze swego transu, choć do trzeźwości było mu jeszcze daleko. Zerknął w jej stronę, gdy weszła do sypialni, lecz jego spojrzenie natychmiast przeskoczyło na sufit.

- Marge, widziałem to — wymamrotał.
- Co widziałeś, Homerze? — spytała Chanya, naśladowając, jak potrafiła najlepiej, głos Marge Simpson.
- Widziałem początek świata, Marge — odparł ekstatycznie.
- Naprawdę?
- Tak. — Nagle się strapił. — A potem zobaczyłem jego koniec.
- Czy Firma znów przysłała ci wiadomość?
- Tak. Dlatego właśnie zobaczyłem początek i koniec świata, Marge. Firma wie wszystko.
- Homer, kochanie, przypomnij mi ten tajny kod do odbierania informacji z Firmy przez net.
- AQ82860136574X-Halifax dziewiętnaście [małymi literami] Oklahoma dwadzieścia-2 BŁĘKITNY WIELORYB [dużymi] Amerika stop 783.

48

Po rozstaniu tego dnia z Mitchem Chanya zaczęła myśleć o zaginionym ładunku heroiny i generale Zinnie. W jej głowie błyskawicznie powstał plan. Kupiła duży kalkulator, z ekranikiem mieszczącym dwadzieścia cyfr, lecz nawet wówczas nie potrafiła przewidzieć, jak dramatycznie poprawi się jej karma.

Me ma tylu zer na świecie. Chanya wzięci tym razem ku gwiazdom.

Sama nie mogła uwierzyć w genialność swego pomysłu ani w zalewające ją fale wielkiej ulgi. Już czuła się oczyszczona, a w czasie podróży doświadczała powtarzających się przyjemnych dreszczy, dokładnie takich, o jakich pisze się, że są związane z pierwszym prawdziwym doświadczeniem *samadhi* — umysł po prostu nie potrafi pojąć tego uczucia ulgi i początkowo z trudem przyjmuje do wiadomości, że życie jest doświadczeniem ekstatycznym, choć wszystkie serwisy informacyjne mówiły dotychczas co innego.

Zakrywała usta, by powstrzymać ataki radosnego śmiechu, a czasem z jej piersi wyrывał się szloch. To było zbawienie, dokładnie takie, o jakim nauczał Budda: działać

z absolutną bezinteresownością, nawet ryzykując własne życie, mając przy tym pewność, że postępuje się ścieżką w zgodzie z kontekstem własnej karmy, wykorzystując każdą okazję do uwalniania czujących istot z oków egzystencji. Zrozumiała znaną buddyjską anegdotę, jak gdyby sama właśnie teraz ją przeżywała: poziomki jeszcze nigdy nie smakowały tak dobrze. Złożyła ślubowanie, że chociaż nie jest jeszcze mniszka, będzie powracać na Ziemię życie za życiem, aż do końca czasu, żeby pomagać i uzdrawiać. Szczególnie uzdrawiać. Niczym Joanna d'Arc, stała się nagle kobietą świadomą swej łączności z Wyższym Światem. Jedyny problem: jak *znaleźć* odpowiedniego *jao por*, któremu mogłaby sprzedać swój plan.

Jednakże, jak to często bywa z wielkimi planami polepszenia własnej karmy, Chanya zaczęła myśleć o całym pomysle z coraz mniejszym entuzjazmem. Zastanawiała się, czy przypadkiem nie spędziła zbyt wiele czasu z tym szaleńcem Mitchem: jakże w ogóle ona, nic nieznająca dziewczyna, dziwka, mogłaby liczyć na to, że taki plan się powiedzie?

Śmierć Mitcha (a zwłaszcza jej kontekst) wywołała potężny wstrząs w jej umyśle. Oboje byli już nadzy i zaczęli się kochać, gdy do pokoju wpadł Iszi z wielkim wojskowym nożem w ręce i twarzą wykrzywioną obłędem zazdrości. Wszystko stało się bardzo szybko. Leżała jeszcze obok Amerykanina, gdy Iszi przyskoczył do niego, wbił mu nóż w genitalia i na jej oczach odciął penisa, po czym rzucił go na nocny stolik. Nad Iszim artystą zapanował w pełni Iszi potwór. W jego furii czuło się nawet pewne przekonanie o własnej racji i kiedy podniósł w górę ucięty członek Mitcha, z jego twarzy bił wyraz samousprawiedliwienia: oto udęczony umysł, który porzucił ostatni bastion oporu przeciwko swemu demonowi. A był to demon w czystej postaci. Jej twarz wyrażała jednak ostateczne odrzucenie: nie bała się umrzeć. Iszi zupełnie nie mógł pojąć, że ona nie potrafił uznać jego postępowania za wyraz miłości. To rozwścieczyło

go jeszcze bardziej. Chwycił telefon i postawił go przy niej. Proszę bardzo, zadzwoń po gliny, mówiła jego mina.

Chanya jednak odwróciła głowę; nie odważyłaby się tego zrobić. Jej upokorzenie było ostateczne. Pozwoliłaby się zabić Iszemu bez słowa skargi, lecz myśl o spędzeniu reszty życia w tajskim więzieniu była zbyt przerażająca. (Jako prostytutka i była kochanka Isziego nie uniknęłaby przecież oskarżenia o współudział).

Japończyk z pogardliwą miną odwrócił Amerykanina na brzuch i za pomocą noża zaczął fachowo usuwać jego tatuaż. Leżący obok Chanyi na łóżku Mitch Turner wydawał przedśmiertne jęki. Patrzyła, jak światło w jego oczach gaśnie, gdy wpatrywały się w nią z wiekuistym smutkiem.

Twarz Isziego przypominała teraz ohydny karykaturę z japońskiej demonologii. Zwinął ostrożnie tatuaż i umieścił go w plastikowym worku. Znow wziął do ręki nóż, uniósł jej lewą pierś i obrysował kontur delfina czubkiem ostrza — po czym raptownie rzucił nóż na łóżko i wyszedł.

Doznała szoku, jej ciałem wstrząsały spazmy. Zmusiła się do wstania z łóżka i błąkała się po pokoju jak pijana, zanim znalazła fajkę Mitcha i wypaliła trochę opium. Dopiero wtedy mogła opanować się na tyle, żeby wyjść. Na lekkim odjeździe (wchodząc w świat opiumowych symboli) podniosła różę, którą rzuciła przedtem byle gdzie, i włożyła ją do plastikowego pucharka napełnionego wodą z łazienki. Postawiła kwiat na drugim końcu nocnego stolika, naprzeciwko penisu. Oba te symbole jakoś równoważyły się nawzajem.

Nie miała dokąd się udać, poza barem. Wychodząc, zauważyła klucz od hotelowego sejf, gdzie Mitch, jak wiedziała, schował resztę opium. O laptopie nie myślała w ogóle, dopóki go tam nazajutrz nie zobaczyła. Recepcjoniście dała w łapę, żeby trzymał gębę na kłódkę.

Gdy opiumowy sen zaczął się rozpraszać, opadła na nią czarna chmura poczucia winy. Przerazenie tym rodzajem karmy, którą mogła stworzyć swoim udziałem w tej ohydnej

zbrodni (nie było przecież wątpliwości, że przyczyną tego mordu było jej pożądanie Isziego), wywołało w niej wewnętrzną walkę, umiejscowioną jakby w dolnej części brzucha. Powoli zaczęła odzyskiwać niezależność myślenia.

Skryte pod maską nonszalancji jej wewnętrzne życie wyglądało zupełnie inaczej: w obliczu piekła odnalazła w sobie siłę i podjęła rozpaczliwą próbę naprawienia wszystkiego, gotowa wszystko zaryzykować. Zrewidowała swój plan i udała się z nim do Vikorna. Siła jej argumentacji, w połączeniu z korzyściami politycznymi z jego punktu widzenia (i szansą załatwienia Zinny), choć raz przeważały nad zachłannością starego łobuza. Zgodził się zrezygnować z zysku, jeżeli ona posłuży się laptopem CIA, tak jak to wymyśliła. Osobiście zorganizuje przechwycenie towaru, gdy tylko będzie znany termin następnego transportu generała. Jedyne warunki: będzie mógł sobie przypisać autorstwo jej wspaniałego pomysłu.

Sprawa okazała się zdumiewająco prosta. Chanya śledziła e-mailowe pogawarki na kodowanej linii CIA, dopóki znów nie wypłynęło nazwisko Zinny, wraz z dokładnymi informacjami o wielkości i prawdopodobnym miejscu przeznaczenia kolejnej przesyłki. Zadzwoiła do Vikorna, przekazała mu aktualną lokalizację transportu według danych CIA i dalej obserwowała wymianę korespondencji, podczas gdy pułkownik wykonywał swój ruch. Oddział policjantów w cywilu pod osobistym dowództwem Vikorna przeprowadził popisową akcję i wszystko poszło jak z płatka. Przechwycono potężny ładunek świeżej heroiny, uzyskanej z najlepszego birmańskiego opium w profesjonalnych laboratoriach, działających na północnym wschodzie, na ziemi niczyjej, gdzie od pięćdziesięciu lat plemię Karenów toczyło wojnę z Birmańczykami. (Wieści z ulicy głosiły, że Zinna nie tyka już morfiny). Vikorn za pomocą własnej siatki zdołał sprzedać cały towar hurtem w ciągu kilku dni, a zarobione pieniądze posłużyły mu do realizacji planu Chanyi, do którego zdążył

już nabrać entuzjazmu. Zinna oczywiście nie mógł podnieść krzyku i zmuszony był pozostawać w stanie stłumionej erupcji. Naturalnie później, po sfinalizowaniu planu, nie mogło być już wątpliwości co do tego, kto ukradł mu towar i co z nim zrobił. Vikornowi to pasowało, miał bowiem wielką ochotę na zemstę z otwartą przyłbicą.

— Spójrz — mówi Chanya, pokazując na ekran, przez który płynie strumień rozmów w komunikatorze.

Z tego, co wiemy, to gliniarze przechycili ten transport Zinny.

No co ty?

Ano tak. Wszystko wskazuje na jego arcywroga, pułkownika Vikorna z Bangkoku.

Chyba żartujesz!

Wcale nie. Są różne zabawne dowody, wskazujące na niego.

Co to znaczy?

To znaczy, że na przykład robione są wykopy pod budowę bardzo dużego szpitala pod Surinem.

Nie łapię.

Zaraz złapiesz. To będzie się nazywało Szpital Ogólny imienia pułkownika Vikorna.

No tak, teraz łapię.

Patrzę na Chanyę.

— Szpital? — pytam zdumiony.

Wyjmuje wielki kalkulator i pokazuje mi, w jakim tempie jej negatywna karma zostanie wypalona dzięki operacjom ratowania życia przeprowadzanym w szpitalu. Będzie oczyszczona z wszelkich skalań w niecały miesiąc po jego otwarciu.

Szczęka mi opadła aż do samej ziemi.

— A więc to ty stałaś za planem C, a nie Manny!

— Kto taki?

— Porucznik Manhatsirikit. — Dziewczyna patrzy na mnie, nic nie rozumiejąc. — Czy Vikorn dał ci te sto tysięcy dolarów nagrody, które obiecał każdemu, kto skutecznie załatwi Zinnę? — Moje pytanie nie jest neutralne, ponieważ od ponad tygodnia nie używamy środków antykoncepcyjnych.

— Przekazałam je fundacji, która pomaga prostytutkom w powrocie do normalnego życia. Chcę sobie oczyścić karmę i nie wezmę ani grosza z brudnych pieniędzy.

Czyżby była lepszą buddystką nawet ode mnie? No cóż, przynajmniej potrafię dojrzeć zabawną stronę tej historii.

— Z czego ty się znów śmiejesz? — Daje mi potężnego kuksańca w ramię. — Uważasz mnie za głupią, ciemną i przesadną dziwkę, tak?

Ze śmiechu nie mogę odpowiedzieć.

Ładujemy z Chanyą jajka i inne ofiary do bagażnika taksówki. Pochlebilo jej, że wyceniłem ją ostatecznie na pięć wieprzowych łbów, ale nie podobało jej się gotowanie, które zabrało nam w sumie całą noc. (Czy miałeś kiedyś okazję rozpracować logistycznie ugotowanie tysiąca jajek na dwóch palnikach gazowych? Nawet w dużym garnku zmieści się najwyżej kilka tuzinów, pomyśl o tym).

Dzielimy tylne siedzenie z piątym świńskim łbem, który nie zmieścił się do bagażnika, i każemy się zawieźć do świątyni Wat Shaton. To miejsce o szczególnej mocy, leżące jakieś sześćdziesiąt kilometrów od Bangkoku i uczęszczane wyłącznie przez Tajów (zupełnie bez zadęcia, istna fabryka magii, słynna ze swego zapładniania nieplodnych, przywracania potencji impotentom, podnoszenia upadłych i ujawniania wygranych numerów loterii prawdziwie wierzącym — nie wspominając już o okolicznych straganach ze znakomitym ciepłym jedzeniem). Taksówkarz puszcza nam z głośników wesoły tajski pop.

Po przyjeździe zanosimy do świątyni jajka i świńskie głowy, nagietki, girlandy z lotosów, owoce i warzywa. Wnętrze *wat* wypełnia tłum klientów, pragnących tak jak my złożyć ofiary. (Tak na oko ze sto pięćdziesiąt głów wieprzowych, a jajka

idą w dziesiątki tysięcy sztuk). Składamy wszystko przed posągami stojących, siedzących i idących Buddów, zaludniających podwyższenie. Zapalamy z Chanyą kadzidło i trzymamy dymiące wiązki przy czołach w głębokim *wai*, dziękując za ocalenie życia i naszej miłości, a na koniec otwieramy paczuszki złotych płatków. Trzeba być przy tym zręcznym, bo mniej wprawnym pielgrzymom delikatne płatki kruszą się na twarzach i dłoniach posągów. Nam jednak udaje się za każdym razem przylepić je we właściwych miejscach. Ona upodobała sobie grubego Śmiejącego się Budde, a ja mam słabość do Idącego Buddy z Uniesioną Lewą Ręką (co oznacza: *Nie bójcie się*). Powoli jednak obchodzimy wszystkich i pokrywamy ich głowy i kończyny złotem, nie pomijając żadnego. Potem klękamy, składamy *wai* i modlimy się. (Ona chyba modli się o córkę; ja o to, żeby mnie nie zostawiła — jakież to żalodne!). Teraz przychodzi czas na stragany z jedzeniem i smażone małże w chili (lepszych nigdzie nie jadłem), *miang kham* na liściu sałaty z wiórkami kokosowymi, *laap pet* (pikantna sałatka z kaczki) i kilka piw.

W drodze powrotnej, gdy stajemy w korku na przedmieściach Krung Thep, proszę taksówkarza, żeby złapał Radio Korek. Pisit rozmawia ze sławnym opatem jednego z naszych leśnych klasztorów.

Pisit do opata: Im więcej myślę o Tajlandii, tym bardziej doprowadza mnie to do szału. Dosłownie — do szału, do obłędu, do wściekłości.

Opat: Z powodu gnębiących nasz kraj problemów?

Pisit: Właśnie, z powodu gnębiących nas problemów.

Opat: A które z nich nękają pana najbardziej?

Pisit: Wszystkie.

Opat: Proszę wybaczyć, ale czy wyraził się pan precyzyjnie?

Czy nie byłoby słuszniejsze twierdzenie, że to nie problemy nas gnębią — w końcu to tylko jakieś tam sprawy do załatwienia — ale niemożność ich rozwiązania?

Pisit, z rezygnacją: Jak opat woli. Tak, niemożność ich rozwiązania.

Opat, z satysfakcją: Och, w takim razie buddyzm może panu naprawdę pomóc. W pierwszej chwili myślałem, że nie, ale teraz już wiem, że tak.

Pisit: W jaki sposób?

Opat: To bardzo proste. To nie problemy kraju pana nękają, lecz pańskie aroganckie i egoistyczne przeświadczenie, że potrafi pan pomóc w ich rozwiązaniu.

Krzyk Pisita, a potem cisza.

Kalpa, farangu (jeżeli jeszcze nie wiesz): Wyobraź sobie górę, skalisty sześcian o boku półtora kilometra. Jeżeli ktoś pocierałby tę górę kawałkiem materiału pod koniec każdego stulecia, to czas potrzebny do całkowitego jej starcia na proch i tak będzie krótszy od jednej *kalpy*.

Pichai: Ostatnim razem przyznał, że cała historia została uknuta w imię Nienazwanego, żeby on mógł się odrodzić w łonie Chanyi dzięki mojemu nasieniu. To najbardziej rasowa istota na tej planecie — stwierdził. A ode mnie niczego byś nie chciał? — zapytałem, ale Pichai już zniknął.

Najnowsze wiadomości: Superman przyjeżdża za dwa dni. (Czasem mam motyle w brzuchu, a Nong wróciła do swojej diety; kupiliśmy też pół kilo trawy i trochę opium, na wypadek gdyby wciąż działał w trybie wietnamskim. Nong mówi, że *zfarangiem* na urlopie to nigdy nic nie wiadomo).

Lek wciąż pochłania estrogen i co dzień składa mi sprawozdanie z rozmiaru swoich piersi (wciąż jeszcze są dość nikle i łatwo je może ukryć). Jednakże nadal nie może się zdecydować na pełną operację. Może pół na pół też nie będzie tak źle? — zastanawia się.

Świadomość uwięziona w rurce: To kondycja ludzka. Rurka oznacza ciało.

Nirwana: patrzymy na świat i widzimy jedynie zakurzoną kolekcję znajomych symboli. Zatrzymujemy te, które akurat w danej chwili pasują do naszych uprzedzeń, a resztę wyrzucamy. Gubimy zagubienie, gubiąc się w zagubieniu. Nic się nie wydarza. Nic się nie wydarzyło. Nic się nie wydarzy. Ostatecznym wyzwaniem jest pustka, a tożsamość jest dobra dla frajerów. Budda powiada: Całe znaczenie zostało urzeczywistnione, wszechświat jest nirwaniczny.

Bądź szczodry i wdzięczny (i przyznaj, gdy taki nie jesteś), ludzkość bowiem mieszka na najruchliwszym skrzyżowaniu w siedmiu tysiącach wszechświatów. Oddany w *dharmie*, Sonchai Jitpleecheep (nie ma żadnego końca, więc kropki też nie będzie)

Nota autora

Bangkok to jedno z wielkich miast świata, a wszystkie one mają swoje dzielnice czerwonych latarni, które trafiają czasem na karty powieści. Przemysł usług seksualnych Tajlandii jest statystycznie mniej rozwinięty niż w wielu innych krajach. Cieszy się tylko większą sławą, a to dlatego, że Tajowie są mniej wstydliwi w tej kwestii od innych narodów. Większość odwiedzających królestwo turystów spędza tam wspaniałe wakacje, nie napotykając śladu rozwiązłości. W rzeczy samej olbrzymia większość mieszkańców tego kraju przestrzega ściśle buddyjskich zasad godziwego życia.

Chcę również dodać, że osobiście nie zetknąłem się w Tajlandii z korupcją w policji pod żadną postacią — chociaż miejscowe media donoszą o takich wykroczeniach niemal codziennie.

Spis treści

I. Old Man's Club	9
II. Południe	85
III. Generał Zinna	117
IV. Dziennik Chanyi	181
V. Al-Kaida	227
VI. Tatuaż	271
VII. Plan C	363

Polecamy

BANGKOK 8

John Burdett

Akcja książki toczy się we współczesnym Bangkoku, czyli Mieście Aniołów, światowej stolicy płatnego seksu, ukazanym w całym egzotycznym kolorycie świata Orientu - dzielnic rozputy, nędzy i narkotyków, skonstrastowanych z supernowoczesnymi wieżowcami i szybkimi kolejkami nadziemnymi. Bohater-narrator, Sonchai Jitpleecheep, syn prostytutki - właścicielki burdelu, wyznawca buddyzmu, jest jedynym nieskorumpowanym gliną w mieście, gdzie korupcja stanowi normę. Sonchai prowadzi śledztwo w sprawie śmierci sierżanta marines z ochrony ambasady USA oraz swojego przyjaciela Piczai, który zginął ukąszony przez kobrę. Pomaga mu przysłana z Waszyngtonu agentka FBI Kimberley Jones. Trop zabójcy wiedzie do amerykańskiego handlarza sztuką i „króla nefrytu”, człowieka mającego wielu wpływowych przyjaciół, wśród nich nawet prezydenta Stanów Zjednoczonych...